

ECHO GŁOSU MATKI

(Fighting Mother's Echo)

ERIC M. WITCHEY

ROZDZIAŁ I

- Syzyfie?

Wysłane myśli Echa niechętnie opuszczały półprzytomny, niedobudzony umysł.

- Czy moja regeneracja się zakończyła?

Leżała w ciszy, z zamkniętymi oczyma, czekając na odpowiedź swojego przewodnika. Chciała wrócić do ciepłej bezświadomości, do leczniczego snu bez marzeń. Chciała dokończyć wchłanianie, wygaszanie tej osobowości, którą nosiła przez poprzednie dwa tygodnie.

- Nie jestem gotowa - pomyślała cicho. Głos Syzyfa był łagodny, kojący.

- Masz za sobą mniej niż godzinę standardowego cyklu regeneracyjnego, niezbędnego z punktu widzenia zasad Światowej Karty Transferów Tymczasowych - zaszemrał w jej głowie.

Przetoczyła się na skraj leżanki i usiadła. Otulający ją dotąd kokon, produkt korporacji Somno, opadł bezgłośnie na łóżko. Zamrugowała w ciemności.

- Potrzebuję regeneracji! - Rozdrażniona, wysłała te słowa i jednocześnie wypowiedziała na głos.

- Pan Mathiason chce cię widzieć na podziemiu szóstym. Natychmiast.

Samo wspomnienie nazwiska Mathiasona otrzeźwiło ją momentalnie. A może wiedział...? Zimny strach zakwitł gdzieś wewnątrz i owinał się wokół kręgosłupa.

- Mówiłeś przecież, że jeszcze nie czas... - szepnęła. Echo szukała po omacku okrycia, błękitnoniebieskiego, luźnego szlafroka, który cisnęła na leżankę mniej niż godzinę temu.

- Światło - powiedziała.

Luminopanele korporacji Lucent wypełniły surowe, betonowe pomieszczenie białym blaskiem. Zmrużyła oczy. Znalazła wreszcie szlafrok. Ostrożnie wyciągnęła go spod kokonu, starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów. To mogłoby zagrozić fizycznym i mentalnym bliznom, które pozostały w niej po ostatnim zadaniu. Nie zdążyły się zagoić: nie przeszła przez pełen cykl. Zeszła z łóżka i stanęła w otwartym pojemniku. Luźne nogawki popęzły w górę, wzdłuż jej łydek i ud, otulając szczupłe nogi. Chwyliła uniform, pomagając mu pokonać wypukłość bioder, i naciągnęła go na ramiona. Przez otwór w wysokiej stójce kołnierza wyciągnęła na zewnątrz swoją implantenkę. Pokryta opłotem ciemnego, rzadkiego włosa, przypominająca szczurzy ogon antenka wyrastała z podstawy czaszki. Była o wiele wyraźniejszym znakiem przynależności do klasy pracowniczej „Echo” niż niebieski kolor uniformu.

Bezwiednie odebrany przekaz: „Bezpiecznie. Czysto”.

Niemal się roześmiała. Jak mogła tak bardzo się mylić?

Cieszyła się z przywilejów przynależności od bardzo dawna. Ostateczną decyzję podjęła dziesięć lat temu. Miała wtedy siedemnaście lat, wychowana i wytrenowana przez Oddział Rekrutacyjny Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Chciała pomagać ludziom. Chciała żyć bezpiecznie. Firma wiele obiecywała. Dali jej implant i sprawili, że poczuła się wyjątkowa.

Wrażenia i doświadczenia były przesyłane przez neurosieciowy interfejs korporacji Cyberscribe - oparty na organicznych neuronach twór, który wrósł jej głęboko w substancję szarą mózgu. Impulsy nerwowe, wyłapywane w siateczce wyspecjalizowanych komórek, były próbkowane i przetwarzane w sprzężonym klastrze nanoprocessorów wszczepionych w okolice rdzenia przedłużonego. Stamtąd biegła już szerokopasmowa transmisja sygnału cyfrowego do biołącząca umieszczonego w podstawie czaszki. Znajdujący się tam transponder wysyłał i odbierał dane dzięki wszczepionej implantence, podobnej do szczurzego ogona.

- Jak długo odpoczywałam? - spytała Echo, naciągając rękawy uniformu.

- Dwadzieścia pięć minut - odparł Syzyf.

A więc tyle co nic, pomyślała. Nawet nie zbliżyła się do fazy snu delta, absolutnie niezbędnej dla prawidłowej regeneracji.

- Nie może mnie wzywać przez następne dwadzieścia trzy godziny. Przecież to wie.

- Przykro mi.

Maszynie było przykro. Jak Syzyfowi mogło być przykro? Ale istotnie, tak brzmiał jego głos. Czy Syzyf rzeczywiście traktował ją lepiej niż innych czasowników, czy tylko jej się zdawało?

- Mówi, że to nagły wypadek. Chce cię widzieć jak najszybciej.

- Nie mogę przyjąć następnego transferu bez prawidłowego wchłonięcia poprzedniego - mówiła, idąc w stronę drzwi.

- Sam wiesz, że jestem już zbyt blisko wypalenia.

Wypalenie. Zamknięte ośrodki - gdzieś, na odległych równinach; a może gdzieś pośród gór. A wszystko było takie proste, takie ekscytujące, kiedy decydowała się zostać czasownikiem. Bezpieczeństwo. Wspólnota. Nigdy więcej samotności. Mogła pomóc leczyć rany świata, wywołane przez Wojny Przeludnienia.

- Próbuję znaleźć jakiś sposób, by ci pomóc - przerwał jej myśli łagodny głos Syzyfa.

Echo zatrzymała się w drzwiach.

- Pomóc? - pomyślała gniewnie. - Budząc mnie zaledwie po dwudziestu pięciu minutach regeneracji?

Wsunęła stopy w czarne, robocze buty, które zostawiła na progu.

- Czy chcesz, aby Mathiason został powiadomiony o twoim ryzyku wypalenia? - spytał Syzyf, jak zwykle beznamiętnie.

Echo powstrzymała się od podyktowanej złością odpowiedzi. Czy Syzyf ją straszyl? Czy mógłby? Z drugiej strony, czy w ogóle mógł nie przekazać Mathiasonowi jej statusu? Wolałaby, żeby szef Korporacji nie zmienił zdania na temat jej osobistej przydatności. Mógłby od razu odesłać ją do ośrodka.

Ośrodka... Echo właściwie nie wiedziała, co dzieje się z wypalonymi czasownikami. Ale była prawie pewna, że wcale nie idą do tych ośrodków, o których opowiadały Kadry i Marketing. Nikt z pozostałych jeszcze na służbie nie miał kontaktu z kimkolwiek, kogo rzekomo odesłano do ośrodka.

- Co to za nagła sytuacja? - spytała Syzyfa, starając się uspokoić.

- Jestem tylko twoim przewodnikiem, a nie członkiem zarządu firmy. Herrington Mathiason polecił: sprowadzić Echo 5127. Sprowadzam Echo 5127, Moje zadanie skończone. Twój wybór to podporządkować się poleceniu lub zaprotestować.

Mimo że był tylko Sztuczną Inteligencją, Syzyf wydawał się urażony.

- Nie musisz się od razu obrażać! - powiedziała Echo pojednawczym tonem. - Idę, idę.

Przejechała dłonią wzdłuż mostka i niżej, a materiał uniformu zamknął się bez śladu na jej małych piersiach i płaskim brzuchu. Przez ciężkie drzwi pokoju wyszła na korytarz: oświetlony słabym, żółtym blaskiem cichy korytarz dormitorium pracowników klasy Echo.

O cokolwiek chodziło, myślała, była to wystarczająco ważna sprawa, aby sam Herrington Mathiason, prezes Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych, zaryzykował sankcje Międzynarodowego Konsorcjum Bankowego, które groziły za złamanie kodeksu. A nawet Herrington Mathiason nie mógł lekceważyć decyzji MKB.

Tylko że jej problemy były bliżej. O wiele bliżej niż jakieś tam przyszłe sankcje. Kiedy zaczynała pracę, wypalenie zdawało się być zupełnie niemożliwe, niewyobrażalnie odległe... Ot, straszna historyjka opowiadana na sesjach treningowych, nic więcej. Wtedy liczyły się żywność, opieka medyczna, czystość, dobre życie. Liczyło się bezpieczeństwo, odseparowanie od groźnej masy nie-przynależnych.

Wypalenie było wtedy bajką. Teraz stało się realnym koszmarem.

*

Spotkała Mathiasona przy windzie, na podpoziomie szóstym. Słaby, wyniszczony, półleżał w swoim podtrzymującym życie fotelu. Czerwono-czarny koc okrywał jego delikatne ciało aż po szyję. Fotel - lśniąca, sześcienne bryła, akrylowy cud techniki - unosił się w powietrzu to wyżej, to znów niżej, jakby w dziwaczny sposób zsynchronizowany z oddechem swego pana, wyczerpanego, chorego starca.

Echo odetchnęła gwałtownie. Ciepłe, gęste powietrze było wypełnione najrozmaitszymi chemikaliami. Upiorna twarz Mathiasona wyglądała na jeszcze bledszą, jeszcze chudsza, niż ją zapamiętała. Spojrzała w jego mętne, wodniste oczy, próbując domyślić się, o co mogło mu chodzić.

- Według kontraktu, przysługują mi jeszcze dwadzieścia trzy godziny - powiedziała Echo, prostując się.

Jego skrzeczący głos dobiegł do niej wzmocniony przez głośniki fotela.

- Masz twarz swojej matki. Te indiańskie kości policzkowe, ta mleczna skóra... - Zaśmiał się słabo. - Ta iskra w oczach, te...

- Nie powinnam tu być. Odbylam tylko...

- Coś ci pokażę. Potrzebuję twojej pomocy. - Czarny fotel Mathiasona zawrócił i skierował się w ciemne korytarze podpoziomu.

Strach, pełną parą po kręgosłupie Echa, był coraz wyżej.

*

W milczeniu szli labiryntem pustych, nieprzyjaznych korytarzy. Wreszcie Echo przeszła za szefem przez pancerne, oliwkowozielone drzwi do wielkiego, dziwaczного pomieszczenia. Zimne powietrze na chwilę odebrało jej oddech. Niski, biały sufit lśnił jednostajnym blaskiem. Ściany ciągnęły się na dziesiątki, setki metrów z każdej strony.

Komorę wypełniały rzędy zielonych plastikowych kontenerów. Każdy z nich sięgał Echu do piersi i był tak duży, że zmieściłby się w nim Mathiason razem ze swoim fotelem. Każdy pojemnik wieńczyła oliwkowa, sferyczna kopuła,

pokryta warstwą szronu. Kontenery łączyły się z posadzką przezroczystymi rurami. Ukryta pod podłogą maszyna niestrudzenie tłoczyła i odsysała jakieś nieokreślone, gęste płyny.

Lód, pełzający wzdłuż kręgosłupa Echa, dotarł do serca. Poczula podmuch na kostkach: to latający fotel Mathiasona zmienił pozycję. Unosił się przed nią - kruchy starzec, żyjący tylko dzięki magii zaklętej w fotelu i dzięki swej roli w Korporacji.

- Długo razem pracowaliśmy - przerwał ciszę Mathiason.

- Dziesięć lat - odparła, patrząc na nieskończone szeregi kontenerów.

- Jesteś dla mnie wyjątkowa. Zapewniałem ci przez te lata wszystko co potrzebne. Po to, byśmy mogli dzisiaj odbyć tę rozmowę.

Te słowa zaskoczyły Echo. Odwróciła się, by spojrzeć w puste oczy Mathiasona.

- Rozejrzyj się - zaświszczał starzec. - Co widzisz?

- Pudła. Pojemniki. Rzędy pojemników.

- Przyjrzyj się im z bliska.

Echo z wahaniem podeszła do najbliższego kontenera. Delikatnie dotknęła szronu pokrywającego wieko. Kryształki topiły się pod jej dotykiem.

Powoli zaczęła rozpoznawać skąpane w bladym świetle ludzkie kształty. Dwaj mężczyźni i kobieta. Zanurzeni w zimnej, białej ciszy, owinięci w przezroczysty plastik, wyglądali jak zamrożone manekiny.

Ciche bulgotanie tłoczonych płynów. Delikatne drgania gałek ocznych pod sinymi powiekami. Jedyne oznaki życia ludzi zamkniętych w plastikowych kontenerach. Strach dławiący Echo zamknął jej serce w lodowatej klatce.

- To twoja przyszłość - powiedział Mathiason.

- Kim... oni są? - Z całych sił starała się uspokoić oddech i przełknąć ślinę.

- Słyszałaś o ośrodkach dla wypalonych? Na pewno opowiadacie sobie o nich różne bajki.

- Tak, proszę pana - odparła cicho. - Opowiadamy. Ale ja nigdy nie wierzyłam w te ośrodki.

- Byłem twoim przyjacielem - ciągnął Mathiason, jakby jej w ogóle nie usłyszał. - Na długo zanim przekonałem się, że możesz przyswajać umiejętności dawców bez przejmowania obcych schematów myśli i zachowań. To wyjątkowe. Jesteś najlepszą pracowniczką klasy Echo, którą kiedykolwiek stworzyliśmy. Zachowałaś spójność swojej jaźni dłużej niż którykolwiek inny czasownik.

- Jesteś moim osobistym projektem - dodał po dłuższej ciszy.

Echo skinęła głową; nie śmiała się odezwać ani oderwać wzroku od ludzi w pojemnikach.

- Pamiętaj - zaświszczał Mathiason. - Kupiłem cię od twojej nieprzynależnej matki.

Echo pogładziła złotą bransoletkę, oplecioną wokół lewego nadgarstka.

- Dałem ci tę bransoletkę i powiedziałem, że należała niegdyś do twojej matki - mówił dalej prezes. - Wyćwiczyłem cię. Karmiłem, dawałem schronienie. Kiedy dorostaś, dałem ci wybór: życie na ulicach albo korporacyjną przynależność w charakterze czasownika. Wybrałaś uniform pracownika klasy Echo.

Tylko dzięki ćwiczonej latami samokontroli udało się jej nie rozpląkać, nie uciec z krzykiem przed siebie w złowrogi labirynt sarkofagów. Starzec miał rację. Wybrała. Ale nie wybierała tego! Chciała tylko bezpiecznej służby.

Gdzieś, daleko, Mathiason wciąż skrzeczał:

- Jesteś pracownikiem przyjmującym transfery tymczasowe - jak mówią wszyscy, czasownikiem. Nosisz więc neutralne niebieskie barwy Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Wszyscy na świecie: wszystkie korporacje, kościoły, Międzynarodowe Konsorcjum Bankowe, a nawet ludzkie wraki żyjące na ulicach, które nie należą do żadnej korporacji, rozumieją fundamentalną rolę, pełnioną w społeczeństwie przez pracowników klasy Echo. Bez ciebie zginęłoby całe doświadczenie przeszłości. Musielibyśmy odbudować uniwersytety. Upadłaby cała ekonomia, bo cenne zasoby ludzkie musiałyby zostać skierowane do mozolnego zdobywania redundantnej wiedzy. Słyszysz wszystkim - Mathiason skrzywił się w parodii uśmiechu - więc inni mogą walczyć, toczyć ekonomiczne boje, rozmnażać się, wykonywać wszelkie proste prace, niewdzięczne, a wciąż niezbędne w dobie korporacyjnego feudalizmu. Dzięki tobie każda korporacja może kupić dowolny rodzaj istniejącej wiedzy, umiejętności i uzdolnień.

Zła, lepka ciemność zimnego przerażenia urodziła się w jej żołądku i rosła, rosła aż do gardła, aż do zacisniętych ust. Odwróciła się, by spojrzeć na Mathiasona: miała nadzieję, że nie widać strachu na jej twarzy.

- Jesteś najlepszą z najlepszych - ciągnął starzec. - Nie możemy sobie pozwolić na stratę ciebie, a niestety zbytnio zbliżyliśmy się do tego punktu.

Jego czarny fotel obrócił się na poduszce powietrznej i podleciał bliżej.

- Już blisko do wypalenia, co? - wyszeptał jej prosto do ucha.

- Tak - odparła, wiedząc, że żadne kłamstwo jej nie uratuje.

Bryła fotela oddaliła się z miarowym świstem silników. Mathiason wyciągnął słabe ramiona, jakby chciał objąć nimi całą salę.

- Wkrótce trafisz do jednego z tych sarkofagów. - Jego głos zabijał w niej ostatnie iskierki nadziei; głos i monotony szum rur tłoczących płyny do kontenerów. - Czy naprawdę tego chcesz?

Echo z całej siły zacisnęła oczy, aby powstrzymać łzy.

- Nie ma żadnych ośrodków dla wypalonych - kontynuował Mathiason. - To jedyny ośrodek, do którego możesz trafić. I to wyłącznie dlatego, że połączone doświadczenia ludzi, których nosiłaś w swojej głowie, mogą okazać się równie cenne, co właściwe osobowości zapisane w naszych bazach. Ciało to proch. To nic. Doświadczenie i wiedza to potęga. Zachowujemy tych czasowników na wypadek, gdyby kiedyś udało się nam wynaleźć metodę odzyskania doświadczeń z wypalonego mózgu.

- Czyli sprowadzicie nas z powrotem, kiedy tylko odkryjecie, jak to zrobić?

- Jeżeli odkryjemy.

- Ale próbujecie? - Echo bardzo chciała mieć coś, w co jeszcze mogłaby wierzyć.

- Czy założysz się o własne życie - Mathiason uśmiechnął się - że Korporacja znajdzie sposób, aby ustabilizować twój pogrążający się w chaosie mózg? Uwarunkowania ekonomiczne mogą nas zmusić do wyekstrahowania twojego umysłu i zachowania go w bibliotece osobowości do późniejszego wykorzystania.

- Taka ekstrakcja jest śmiertelna. - Głos Echo zadrżał.

- Ciało to proch - powtórzył prezes; unosił maskę tlenową z poręczy krzesła i zaciągnął się ożywczą mieszanką gazów. - Czy chcesz spędzić resztę swego czasu w jednym z tych sarkofagów, w nadziei, że kiedyś technologia pozwoli cię stąd wyciągnąć? Jeżeli tak, musimy cię tam umieścić przed całkowitym wypaleniem, żeby zachować maksymalnie dużo z twojego umysłu. W przeciwnym razie tysiące dusz, które żyją w twojej głowie, wpędzą cię wreszcie w nieuchronne i autodestrukcyjne szaleństwo.

Echo odwróciła się do betonowej ściany. Poczula silne mdłości i myślała już, że zaraz zwymiotuje. Nudności minęły, ale pozostał tępy ból w dole brzucha.

Obraz wypalenia rósł jej przed oczyma. Zobaczyła siebie w jednej z tych sterylnych, plastikowych trumien. Nic już nie widziała, nic nie czuła; jej myśli utonęły w kakofonii wrzasku obcych głosów i natłoku chaotycznych, cudzych wspomnień.

Otrząsnęła się, oddychając zimnym, nieprzyjemnym powietrzem. Zebrała się w sobie i odpędziła koszmary. Czemu jej to wszystko pokazuje? I czemu pyta ją o zdanie?

- Nie, proszę pana. - Spojrzała prosto w twarz Mathiasona. - Nie chcę tak skończyć.

- Dobrze. - W jego zmęczonym głosie było słycać satysfakcję. - Masz szansę tego uniknąć. Wybrać inną przyszłość. Ale musisz mi w czymś pomóc.

- Tak, proszę pana.

Poczula coś w rodzaju nadziei na dnie serca.

- Dam ci stanowisko kierownicze w firmie. - Jeżeli...?

- Twój ton mnie martwi - zachnął się starzec. - Wiele poświęciłem, by uczynić cię tym, czym jesteś. Daję ci to, o czym każdy czasownik mógłby jedynie marzyć. Czy odmówisz mi w zamian za małą przysługę?

Jego fotel zawisł nieruchomo w powietrzu. Zimny wzrok Mathiasona przebijał ją na wylot. Echo milczała.

- „Jeżeli”, pytasz. A więc odpowiadam: jeżeli zaprezentujesz odpowiedni poziom potencjału kierowniczego i właściwy stopień zaangażowania.

Nie wiedziała, co zrobić ze wzrokiem. Z jednej strony sarkofagi, z drugiej upiorna, wyniszczona twarz prezesa. Patrzyła w podłogę.

- Wie pan, co się stanie, jeśli będę dalej pracować. Ile jeszcze zniosę transferów, zanim wpadnę w katatonię albo trafię tutaj?

- Jeszcze dwa. - Mathiason uśmiechnął się. - Wytrzymasz jeszcze dwa, prawda?

- Muszę... skończyć mój cykl regeneracyjny - zahała się Echo.

- Nie - przerwał jej starzec. - Nie mamy czasu. Nawet bez regeneracji, przez czterdzieści osiem godzin nie utracisz spójności osobowościowej. Do tego czasu zrobimy ci transfer zdolności zarządczych.

- Transfer to transfer. Tylko pogorszy sprawę.

- Transfer zarządczy nie może zintegrować twoich mul-tiosobowości, ale może je koordynować. Chronić przed wypaleniem. Wystarczy, jeśli wcześniej wykonasz proste zlecenie na odzyskanie danych. Dwie, góra trzy godziny.

Echo pomyślała o ryzyku schizofrenicznej katatonii, które wynikałoby z przyjęcia transferu przed ukończeniem cyklu regeneracyjnego. Pomyślała o możliwym przeładowaniu mózgu i - w rezultacie - wypaleniu. Pomyślała o tym, czego doświadczała już teraz: migotaniu osobowości, zaburzeniach widzenia, trudnościach ze skupieniem się, napadach dziwnych cudzych myśli i wspomnień. Spojrzała w puste oczy starego człowieka.

- Panie Mathiason - powiedziała cicho. - Wypowiadam moją przynależność do Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych.

- To ci nie pomoże. Już nie.

- Jeżeli nie przyjmę więcej transferów, to uda mi się powstrzymać napierające pozostałości poprzednich. Tylko czasami udaje im się na moment zaistnieć w mojej świadomości. Kontroluję to. Jeśli już więcej nic nie przyjmę, wytrzymam. Dam radę!

Echo odwróciła się od Mathiasona i wyszła przez ciężkie drzwi. Prezes zawołał za nią:

- Jeżeli już przedostają się przez barierę świadomości, to za późno na cokolwiek! Będą coraz silniejsze. A jeśli odejdziesz, stracisz opiekę medyczną.

Echo stanęła. Powoli odwróciła się w jego stronę.

- Będziesz tam, na zewnątrz, w dzikim świecie nieprzy-należnych, kiedy głosy ostatecznie złamią cię i posiadą. Twoje ciało stanie się igraszką w rękę tysiąca duchów, miliona wspomnień, miliarda cudzych doświadczeń. Nie będziesz w stanie zdobyć pożywienia, znaleźć dachu nad głową, obronić się przed rabusiami.

- I umrę - wyszeptwała. Chmurka jej oddechu zniknęła pomiędzy sarkofagami.

Czarny fotel Mathiasona podleciał do niej tak blisko, że poczuła bijące od niego trupie zimno.

- Umrzesz! - wysyczał z bliska, patrząc jej w oczy. Zgniły oddech starca wypełnił jej nozdrza. W oczach zebrały się łzy.

- Nie mogę przyjąć teraz następnego transferu! - wyrzuciła z siebie rozpaczliwie. - To... zbyt szybko. Nie dam rady!

- Musisz - zaszeleścił Mathiason. - Cały zarząd Korporacji śledzi postępek tego zlecenia. Jeśli ci się uda, zdobędę ich zgodę na twój transfer zarządczy.

- Pracownik klasy Echo nie może zajmować stanowiska kierowniczego - powiedziała drżącym głosem.

- To zadanie wyjątkowe. I nagroda też.

Echo czuła, że prezes chce czegoś więcej. Czuła, jak przeszywa ją wzrokiem, jak w skupieniu czeka na każde jej słowo. Na zgodę.

- Transfer zarządczy może mnie zabić... - wyszeptwała.

- Przecież ty i tak już nie żyjesz! - prychnął Mathiason. - On może cię tylko uratować.

Zlecenie. Ostatnie zlecenie, a potem już nic. Starła się uwierzyć.

- Co to za zadanie? - spytała.

- Kradzież danych z kabla linii podziemnej.

- Ale.., Nikt już nie używa linii podziemnych, od kiedy MKB zaprzestało dotowania rządów narodowych. Są zbyt trudne do zabezpieczenia.

- Specjalistyczne Usługi Tymczasowe mają kilka tajemnic. - Mathiason skrzywił się w parodii uśmiechu. - Wciąż istniejące linie podziemne utrzymuje się właśnie dlatego, że są trudne do zabezpieczenia. Potrzebujemy człowieka, który fizycznie dotrze do terminala i uzyska pewne istotne dane dla zamożnego klienta.

- Jakie dane? - spytała Echo. - Dla jakiego klienta?

- Plany budynku Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan. Przekazujemy je Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allaha.

- Przecież jesteśmy neutralni! - odparła dziewczyna. - Nie wolno nam się angażować. Chrześcijanie i Dżihad to wrogie korporacje, formalnie zarejestrowane jako takie w indeksie MKB. Jeżeli wmieszamy się w ich walkę o udziały rynkowe, Konsorcjum nas ukarze.

Fotel Mathiasona uniósł się nieco. Starzec wyprostował się, a czerwono-czarny koc zsunął się z zapadłej klatki piersiowej. Spod poznaczonej starymi szwami, pergaminowej skóry pokrywającej mostek i żebra, prześwitywało zielone, sztuczne serce.

- Jesteśmy Korporacją Specjalistycznych Usług Tymczasowych - powiedział z mocą prezes największej firmy świata.

- Możemy to zrobić. I zrobimy to!

- Chce pan, żebym zdradziła jeden kodeks korporacyjny w imię drugiego? - spytała Echo, robiąc niezdecydowany krok w stronę drzwi.

- Twoją zdradę biorę na siebie! - wyskrzeczwał Mathiason. - Ty wykonasz tylko techniczną robotę. To na mnie spadnie ewentualna zemsta MKB. Wejdiesz do korporacyjnej strefy negocjacji bojowych. Mamy tam opuszczone biuro, w którym stoi terminal. Ma połączenie z biegnącymi pod ziemią liniami, które prowadzą do Wieży Światłości, centrali Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan. Włamiesz się i wyciągniesz plany budynku, schematy obrony, topologię sieci komputerowych.

Mathiason zaczął, aż wzrok Echa znów skoncentrował się na jego twarzy.

- Osobowość, która zostanie przetransferowana do twojego umysłu na czas tej misji, figuruje w naszych bazach jako Maria Del Muerte. Około dwudziestu lat temu była znaną hakerką. Pod koniec Wojen próbowała włamywać się do naszych sieci. Kiedy ją eliminowaliśmy, jej wyekstrahowany profil osobowościowy został zachowany w naszych archiwach. Pomogą ci jej umiejętności. Podczas misji twoim przewodnikiem i łącznikiem ze mną będzie Syzyf. Wszystko, co wydobydziesz, przekazuj jemu. On skopiuje materiał do naszych archiwów i przygotuje do przekazu satelitarnego dla klienta. Ty musisz tylko wydobyć dane i podać klientowi kod dostępu do nich.

- Nie zrobię tego - powiedziała Echo po chwili milczenia. - Wolę iść na ulicę, niż przyjąć nielegalny transfer.

- Myślałem, że zrozumiałaś. - W słabym głosie Mathiasona nie było już ani trochę ciepła. - Jesteś zbyt cenna, żeby wypuścić cię na ulicę.

Do pomieszczenia weszło trzech techników w białych kitlach. Dwóch ruszyło w stronę Echa, trzeci podszedł do sarkofagu stojącego najbliżej ściany i zdjął pokrywę. Echo spróbowała się schować za fotel Mathiasona, ale mężczyźni okrążyli go z obu stron. Rzuciła się w stronę drzwi. Zanim przebiegła dwa metry, ciężkie skrzydła zamknęły się z łoskotem.

Echo zawahała się, po czyni skoczyła między rzędy kontenerów. Jeden z techników złapał ją za rękę. Okręciła się i kopnęła go w krocze. Upadł. Drugi chwycił ją od tyłu, trzeci zaszedł od frontu. Próbowała go kopnąć, ale chwycił jej stopę. Uderzyła drugą; odczuł cios, ale przyparł ją jeszcze mocniej. Szarpała się, ściśnięta między dwoma zwałistymi mężczyznami.

Herrington Mathiason podleciał bliżej, tak by spojrzeć dziewczynie w twarz. Znowu poczuła na policzku jego nieświeży oddech.

- Masz wybór, Echo 5127 - wyszeptał. - Misja albo sarkofag: zamrożone ciało i szalony umysł, niezdolny do ucieczki.

- Nie! - krzyknęła. Mathiason odsunął się.

- Sarkofag! - syknął.

Technicy powlekli ją w stronę otwartego kontenera.

- Nie! Nie! - płakała Echo; w myślach rozpaczliwie wzywała Syzyfa. - Ratunku!

- Nie mogę nic zrobić - odparł Syzyf głosem łagodnym i spokojnym jak zwykle. - A kiedy znajdziesz się w pojemniku, nie będę już mógł się z tobą nawet porozumieć.

Echo czuła za plecami zimną, twardą krawędź kontenera. Jeden z mężczyzn szarpnął mocniej i rozdarł rękaw jej

niebieskiego uniformu.

Krzyczała, szarpała się i kopała. W pewnej chwili w zimnej ciszy szklanej trumny dostrzegła znajomą twarz. Był to Echo 2212: człowiek, który prosił, by inni nazywali go „Bernie”. Znała go. Chodzili nawet razem na terapię potransferową. Pewnego dnia zniknął bez śladu.

- Mathiason! -jęknęła głośno. - Stój! Pójdę! Przyjmę transfer! Pójdę!

Technicy puścili ją. Ze szlochem osunęła się na podłogę. Kiedy uniosła głowę, w pobliżu był już tylko Mathiason, ciężkie drzwi stały otworem. Słyszała tylko cichy szum fotela starego człowieka.

- Misja... kiedy? - spytała drżącym głosem.

- Natychmiast - odpowiedział lodowaty głos. - W strefie negocjacji bojowych panuje odpowiednie zamieszanie. Klient zgłosi się o wschodzie słońca.

- Jeśli to zrobię, dostanę transfer zarządczy?

- Masz moje słowo.

Kwadratowy cień czarnego fotela obracał się wolno na posadzce. Wreszcie ruszył powoli w stronę drzwi.

- Ale... wypalenie... - wyjąkała. - Krawędź... Jestem na krawędzi...

- Właśnie działanie na krawędzi może udowodnić twoje oddanie dla Korporacji - odparł, nie odwracając głowy. - Oplaca się ryzykować.

Dostojnie wyleciał z sali, drzwi zamknęły się za nim. Echo klęczała na podłodze, ciężko oddychając zimnym, ostrym powietrzem, przybita i przerażona. Wstała i popatrzyła na najbliższy kontener. Bernie nie wyglądał na cierpiącego. Zastanowiła się, czy wypaleni są jeszcze świadomi czegokolwiek, zdolni do odczuwania.

Poprawiła rozdarty rękaw. Spróbowała przypomnieć sobie twarz Mathiasona, jej grymasy, szukając w tych wspomnieniach jakiegokolwiek pocieszenia. Jego twarz przypominała jednak bladą, szarą maskę, w której mieszkaly martwe, wodniste oczy. Nieludzką maskę.

ROZDZIAŁ 2

Szyf trwał pośród miękkich, połączonych szeptów tysięcy mężczyzn, kobiet i maszyn. Zastanawiał się nad podpięciem do którejś ze ścieżek danych, ale ostatecznie zdecydował chłonąć odległe echo bicia miliardów serc Sieci. Skurcz i rozkurez - rytm cywilizacji, ludzkich myśli, rytm życia.

W jego wirtualnym świecie ersatzów sztucznym zmysłom jawiły się dziwaczne sensacje. Potoki danych pachniały; każdy zapach manifestował się w ośrodkach zmysłu pozbawionego ciała mózgu. Niektóre zapachy były słodkie, silne, kuszące; inne dane śmierdziały uryną, odpychały, wskazując na obecność zabezpieczeń systemowych lub innych zagrożeń dla niego samego, dla korporacji, lub dla tych, na których mu zależało.

- Syzyfie.

Głos prezesa był niczym silny, palący ból. Brutalnie wydarł Syzyfa z jego cichej kąpieli w morzu danych, pośród niepojętych dla człowieka cudowności Sieci.

Wezwanie miało najwyższy korporacyjny priorytet alfa. Słyszał znajomy głos Herringtona Mathiasona, ale przede wszystkim czuł zapach: wiosenny bez, syrop klonowy, gotująca się kielbaska. Dom. To był zapach bunkra, w którym Syzyf spoczywał pod budynkiem centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Gdyby nie agresywna nuta zapachowa, którą wprowadzał sam Mathiason, Syzyf chętnie podążyłby tym tropem. Ale prezes śmierdział spalonym prochem i śmiercią.

Szyf odpowiedział na wezwanie, posłuszny korporacyjnemu szkoleniu i warunkowaniu.

*

Małe pomieszczenie pod centralą Korporacji było jedynym miejscem, gdzie dane było Syzyfowi mówić słyszalnym głosem. Podczas rzadkich chwil, gdy dzięki kaprysowi Mathiasona miał okazję to robić, Syzyf nie odmawiał sobie drobnej przyjemności przesterowania siły dźwięku.

Prezes unosił się ponad środkiem błyszczącego, białego pokoju. Jak zwykle zwrócony twarzą w stronę stalowych drzwi, za którymi były ukryte prywatna winda i schody do innych podpoziomów. Za plecami Mathiasona w ścianę wmontowany był wielki panel komunikacyjny, zapewniający połączenie z Siecią i z resztą budynku centrali.

- Oto jestem - uderzając bez uprzedzenia, potężny głos Syzyfa zatrzęsł świątynią Mathiasona.

Starzec zwinął się, usiłując zasłonić uszy słabymi rękami.

- Syzyfie, ciszej! - krzyknął słabo.

- Tak, proszę pana - odparł Syzyf już normalnym tonem, bardzo podobnym do głosu, jaki miał kiedyś, zanim wyjęto mu z ciała mózg i podłączono do Sieci.

- Syzyfie, jesteś jedyną osobą, której ufam. Wiem, że mnie wysłuchasz i ściśle wypełnisz wszelkie zadania. Ufam ci, ponieważ mam nad tobą całkowitą kontrolę.

- Jestem do pana usług.

- Och tak. Jesteś.

Szyf stłumił swoje myśli; kolejny raz ucieszył się, że Herrington Mathiason nie ma pojęcia, co kryje się za

mechanicznym głosem dochodzącym ze ściany. Mathiason, niegdyś jego Nemezis, a teraz pan i władca. Chciał, aby Herrington mu ufał, aby wierzył, że Syzyf to wierny i bezwolny korporacyjny rab. Musiał wierzyć, że całkowicie ujarzmił dawnego kapitana armii Nowej Republiki

- Jestem stary - ciągnął Mathiason. - To ciało już mnie zawodzi.

- Przykro mi, proszę pana.

- Cóż ty wiesz o współczuciu? - Suchy śmiech prezesa rozszedł się po pomieszczeniu. - Kiedy cię stwarzaliśmy, wyciąłem ci pamięć, aby powiększyć szansę pomyślnego zakończenia procesu. Nawet nie znasz swego prawdziwego imienia.

- Syzyf, proszę pana - odpowiedział. Swoje ludzkie imię, Jeffery, chował głęboko w duszy jak ostrą strzałę gniewu, która mogła ugodzić człowieka w fotelu.

- Otóż to - roześmiał się Mathiason. - Nieważne. Wystarczy, że ja je znam.

- Tak, proszę pana.

Syzyf też je znał. Pamiętał swoje powtarzane narodziny, pamiętał jasną, czystą świadomość, zagubienie, a także umieranie. I pustkę. Żadnego prawdziwego wspomnienia, którego mógłby się chwycić. Zginąłby, gdyby nie zapach. Delikatny, ulotny zapach jedwabistej skóry tuż za uchem kobiety. Złapał się go rozpaczliwie; to była jedyna i ostatnia rzecz, jaką pamiętał z poprzedniego życia. Podążył za nią z nadzieją, jak za obietnicą wybawienia od piekła zimnej pustki. Zapach. Znajomy, taki piękny... Zanurkował za nim w przepastne otchłanie baz danych Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Nie wahał się - sięgnął swoją nierzeczywistą, wirtualną dłonią i wy dobył jak przedmiot duży plik danych. Otwierał go niecierpliwie, jak dziecko rozdierające papier na świątecznym prezencie.

Pamięć. Doświadczenia, emocje, wszystko, czego doświadczył przed śmiercią, płynęło przez niego i do niego. Wypełniało go ciepłym poczuciem odzyskiwania kompletnej jaźni, pełnej osobowości. Wypełniało niesamowitym żalem i świadomością tragicznej straty. Syzyf pomyślał o Marii, zmuszonej przez nich do użycia swoich nieprzeciętnych zdolności, aby utrzymać jego mózg przy życiu po śmierci ciała; powstrzymać niecierpliwą duszę od ucieczki. Potworne wspomnienia rozpałyły w nim zimną, tępą nienawiść, która pozwoliła mu przeżyć dwadzieścia lat w Sieci i nie oszaleć.

- Zdecydowałem nie umierać - mówił dalej Mathiason, nieświadom uczuć ukrytych za mechanicznym głosem swojego rozmówcy. - Jestem zbyt cenny dla korporacji. Nikt nie mógłby mnie zastąpić.

- Nikt nie chce umierać, proszę pana - odparł beznamyślnie Syzyf. - Zapewne ja też nie chciałem umrzeć, zanim stałem się tym, czym jestem teraz.

Jeżeli nawet Mathiason wyczuł ironię w sztucznym głosie, to nie dał tego po sobie poznać.

- Musisz coś dla mnie zrobić - wyskrzecztał. - Chcę, żebyś jak najdokładniej monitorował Echo 5127.

- Tak właśnie robię, proszę pana.

- Więc rób to jeszcze dokładniej. Rytm serca, luźne myśli, decyzje, działania.

Syzyf odczytał zaprogramowane polecenie o wyższym priorytecie i wyrecytował je najbardziej oficjalnym tonem, jaki miał w swoich bazach wzorców głosu:

- Tu organiczna jednostka przetwarzania danych „Syzyf. Przypominam, że moim najwyższym priorytetem jest przestrzeganie regulacji korporacyjnych. Kodeks Korporacji pozwala na taki monitoring wyłącznie po zatwierdzeniu polecenia przez co najmniej siedemdziesiąt procent członków zarządu firmy.

- Tu prezes zarządu Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych - parsknął Mathiason. - Na mocy moich uprawnień zatwierdzam polecenie. Kod weryfikacyjny: sis897-a!2b. Potwierdzić!

Syzyf nie musiał sprawdzać, wiedział, że kod się zgadza. Wiedział także, że zarząd tego nie przegłosował.

- Tak jest. Wynik weryfikacji pozytywny. Rozpaczynam monitoring Echa 5127.

W rzeczywistości Syzyf robił to od samego początku, jak tylko dziewczyna stała się częścią Korporacji.

- Jaki jest cel monitoringu? - spytał. Chciał usłyszeć to, czego się domyślał.

- Po prostu zrób to. Wszelkie anomalie raportuj bezpośrednio do mnie.

- Jeżeli mam działać samodzielnie, muszę znać cel. - Syzyf nie ustępował. - W przeciwnym razie nie będę w stanie zidentyfikować anomalii i działać wystarczająco efektywnie dla Korporacji.

- Jasne. - Mathiason się skrzywił. - Czasem zastanawiam się, czy przypadkiem nie zostało w tobie coś z tego rebelianckiego psa. Ale to niemożliwe, co? Jesteś tylko wypranym mózgiem podłączonym do maszyn podtrzymujących życie. Mogę wyłączyć cię w każdej chwili.

- Cel monitoringu nie został określony. Nie rozumiem - powiedział Syzyf, powstrzymując się od ogłuszenia Mathiasona wściekłym rykiem. Chciał wykrzyknąć mu prosto w twarz: „Ależ jestem tu, Herringtonie! Maria odebrała ci możliwość wyłączenia mnie jakieś dwadzieścia lat temu!”

- Głupcze! - zachnął się Mathiason. - To nie był żaden cel. Masz ją obserwować, abym mógł jej potem użyć. Ona zapewni spokojną przyszłość całej Korporacji. Musi tylko doczekać w zdrowiu fizycznym i psychicznym chwili, kiedy będę gotowy. Musisz powstrzymać ją przed utratą zmysłów, przed osunięciem się poza krawędź szaleństwa. Ma pozostawać blisko krawędzi, tak blisko, jak tylko się da, a potem przyprowadzisz ją do mnie.

- Tak jest, proszę pana.

- Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. Czasami chciałbym, żebyś znowu był tym przeklętym partyzantem, jak kiedyś. Pamiętasz, jak ze mną walczyłeś? Życie miało wtedy prawdziwy smak.

- Tak jest... proszę pana? - spytał Syzyf po chwili wahania. - Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek z

panem walczył.

- To oczywiste. Nie możesz tego pamiętać.

- Tak jest, proszę pana.

- Ruszaj. Zajmij się Echem 5127. Kiedy przetransferuję do jej umysłu ograniczony zestaw umiejętności jej matki, będzie gotowa - słaby głos Mathiasona przerodził się w suchy ni to śmiech, ni kaszel. - Jest w tym jakaś ironia. Osobowość jej własnej matki popchnie ją ku krawędzi...

- Nie rozumiem - powiedział Syzyf, z trudem tłumiąc wściekłość.

- Nieważne. Rób, co kazałem. Przygotuj ją. Zamierzam dokonać transferu własnej jaźni do jej ciała, zanim dziewczyna do reszty oszaleje. Jest moją najbliższą krewną, Sy-zyfie. Wysoka zgodność synaptyczna. A ja jestem już gotowy.

- Tak jest, proszę pana. - Syzyf żałował, że nie ma rąk, w których mógłby trzymać broń; w tej sytuacji musiał jednak używać narzędzi, które mu pozostały. - Według mnie nie ma jednak sensu posyłanie Echa 5127 do strefy negocjacji, jeżeli ma pan zamiar użyć jej ciała. Ryzyko jest wysokie. Ciało może zostać poważnie uszkodzone.

Mathiason wykrzywił suche, bezkrwiste wargi. Kąciki ust opadły, ginąc w zniszczonej, brązowej skórze. Jego fotel zdawał się syczeć głośniej, jak pod większym obciążeniem.

- Konsorcjum używa nas jako narzędzia do regulacji stref wpływów na północnym zachodzie - odezwał się wreszcie. - Bitwa nie odbędzie się w strefie. Echo pozostanie bezpieczna. A stres związany z pobytem na tym obszarze zbliży ją jeszcze bardziej ku krawędzi. Rolandowi Fitzgeraldowi udało się odnaleźć i zidentyfikować mutację genetyczną, która była udziałem świętych, proroków, może nawet samego Jezusa. Nazywa ją Mutacją Mesjańską.

- A jaki to ma związek ze sprawą?

- Fitzgerald odnalazł historyczne zapiski, które doprowadziły go do bliskich krewnych Chrystusa.

- Jezusa Chrystusa? - Syzyf nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. To było niemożliwe. Wiedziałby o tym. Miał przecież wgląd w prawie wszystkie dane każdej liczącej się firmy świata.

- Dostarczył cenne DNA do korporacji Instivolve - ciągnął Mathiason. - Chciał z ich pomocą stworzyć cudowne dziecko. Zabrali się więc za inżynierię; spreparowane fagi wprowadzały do przygotowanych jajeczek sekwencje rekombinowanego na różne sposoby materiału genetycznego. Wszystkie próby zawiodły, zarodki obumierały. Z wyjątkiem jednego. Jego córka, Sunny Fitzgerald. Tylko ona przetrwała z tysięcy embrionów.

- To jawne pogwałcenie kodeksu etycznego MKB - powiedział zszokowany Syzyf. - Proszę o dostarczenie dowodów pańskich oskarżeń. Przekażę je natychmiast właściwym organom Konsorcjum.

- Syzyfie... Nawet jako superistota, mająca dostęp do każdej bazy danych na kontynencie, masz w sobie skazę naiwności mojego nieszczęsnego brata. MKB wie o wszystkim. Ludzie z Konsorcjum zasiadają w zarządzie Instivolve. Kościół Fitzgeralda zbytnio urósł, zagraża równowadze sił wśród korporacji religijnych. Chcieli więc, aby ta kosztowna operacja go osłabiła, wyczerpała zasoby. Nie spodziewali się tylko jednego: że mu się uda. Jest o krok od uzyskania Mutacji Mesjańskiej, zaklętej w cudownym dziecku. Użyje swojej córki jako świętej, dziewiczej matki. Sunny już dziś jest publicznie czczona. Kiedy urodzi syna, ludzie będą spijali z jej ust każde słowo. MKB nie może na to pozwolić, bo uczyniłoby to Fitzgeralda zbyt potężnym. Zepchnęli ten problem na mnie, a ja zepchnąłem go na Echo.

*

Syzyf powrócił do ciała, które istniało tylko w jego umyśle. Przeplątał po informacyjnych nurtach Sieci, czując się w nich jak ryba w wodzie.

Problemy Mathiasona niewiele go obchodziły. Martwił się tylko o Echo 5127. Życie w beczczasowych przestrzeniach Sieci nauczyło go, że cierpliwość i konsekwencja mogą zważyć każdą przeszkodę. Strzeż się, Herrington, pomyślał. Jestem czymś więcej, niż ci się wydaje. I prędzej cię zniszczę, niż pozwolę ci skrzywdzić Echo.

Pograżył się w czarnych oceanach informacji, wygasił świadomość w szarych prądach danych. Z radością zanurzył się w zbiorowej cyberduszy ludzkiej technokracji. Wiedział, że jego czyściec się kończy. Pomoże Echu 5127; przepchnie swój glaz ponad szczytem góry i wstrząśnie posadami Olimpu.

ROZDZIAŁ 3

Echo stała pośród rzadkiej mgły wiosennego poranka. Otaczało ją trzystu demonstrantów; maszerowali w rozfalowanych szeregach, naładowani złością i strachem. Zewsząd dochodził niski pomruk tłumu i szum wody; padało. Jej włosy były już mokre, wilgoć spływała na ramiona niebieskiego uniformu.

Czulą na sobie liczne spojrzenia. Korporacyjny płaszcz, zupełnie już mokry, przylgnął do szerokich pleców. Zmrużyła oczy, próbując dostrzec, co jest za mgłą. Poczula niepokój, napięcie; wiedziała, że to nastrój tłumu zgromadzonego dokoła. Woda spływała po drzewcach transparentu, który niosła, po zaciśniętych dłoniach, w rękawy

uniformu. Mżawka nieco przytłumiła wszechobecny smród smaru i spalin, mając obietnicą prawdziwego, wiosennego deszczu.

Deszcz nie przerzedził bynajmniej szeregów protestujących. Idealiści spod znaku Nowej Republiki maszerowali przed siebie, niesieni nadzieją przywrócenia politycznej i ekonomicznej normalności. Długie korowody białych i czarnych tablic z hasłami wiły się na wszystkie strony wokół oka cyklonu - marmurowej bryły portlandzkiego biura Międzynarodowego Konsorcjum Bankowego.

MKB posunęło się za daleko. W latach 2050-2052 zerwano powiązania między bankami a instytucjami władzy stanowej i municypalnej. Plotka głosiła, że rząd federalny jest następny w kolejce. Jednak kroplą, która przepełniła czarę, była decyzja MKB o rozpoczęciu kredytowania zarejestrowanych korporacji religijnych. Zarejestrować się mogły tylko te firmy, które wykazywały dodatnie saldo finansowe, perspektywy na zwiększenie udziałów rynkowych oraz jasną wizję przyciągnięcia typowego klienta z klasy średniej.

Echo oraz jej towarzysze ze Świeckiej Partii Konserwatywnych Humanistów nie mogli pozwolić na to, by banki zastąpiły rząd. Nie w tej sytuacji, gdy największy wpływ na państwo miały potężne korporacje, także te religijne. Przystąpili więc do rebelianckiej armii Nowej Republiki.

Głosy demonstrantów raz brzmiały głucho pośród deszczu, innym razem znów niosły się echem po betonowych alejach miasta: „Pań-stwo-koś-ciół! Nig-dy-ra-zem!”

Przez szum deszczu i rytmiczne skandowanie przebiło się niskie, przenikające do kości buczenie. Echo najpierw je poczuła, dopiero potem usłyszała. Krzyki demonstrantów cichły. Niski, niemal niesłyszalny pogłos niósł się po ziemi. Poczuła go w nogach, potem w żołądku. Opuściła transparent na ramię.

- Pancerki! - krzyknął ktoś z tłumu.

Dwa wielkie, obie kształty zmaterializowały się na końcu zamglonej uliczki; dostojnie sunęły między szarymi sylwetkami budynków. Sześć potężnych silników utrzymywało każdy transporter opancerzony kilka metrów nad ziemią, okrywając pojazdy chmurą pary i mgły.

Siepacze MKB nadciągali, by rozgonić ich protest.

...

Ich protest? Jej protest?

Coś tu nie pasowało.

...

Obserwowała zbliżające się transportery. Porzucone upadły na bruk; jakaś kobieta krzyczała. Ludzie rozbiegli się w stronę pobliskich przecznic.

Echo była zdezorientowana. Czuła się jak pośród gęstej mgły. Nic tu nie pasowało - rządów państwowych nie było już od ponad dwudziestu lat, kiedy w roku 2057 podpisano Korporacyjny Pakt Feudalny. Nie mogła więc teraz oprotestowywać decyzji MKB z roku 2052.

...

Zacisnęła mocniej dłonie na drzewcach transparentu, aż ostre drzazgi wbiły się w skórę.

Pancerki zatrzymały się trzy metry przed stopniami biura, na których stali ostatni demonstranci. Potężne silniki odrzutowe miażdżyły asfalt pod pojazdami. Nagle transportery wyrzuciły z opasłych brzuchów szerokie trapy, po których zbiegali żołnierze w zielono-czarnych mundurach; nierealni jak duchy z zupełnie innego świata.

Długa, błyszcząca broń jednego z żołnierzy plunęła niebieskim ogniem. Kobieta stojąca po prawej stronie Echa eksplodowała; jej spalone szczątki upadły na mokry asfalt.

Echo potrząsnęła głową, aby wyostrzyć wzrok oraz oczyścić umysł.

...

To była jedna z transferowanych w nią kiedyś osobowości. Z pewnością. Ona nie mogła brać udziału w tamtych zdarzeniach; w czasach Wojen była jeszcze dzieckiem.

...

Znajdowała się w opuszczonym biurze Korporacji w portlandzkiej strefie negocjacji bojowych. Wypełniała misję dla Mathiasona.

...

Echo starała się uporządkować chaotyczne sygnały i wrażenia płynące z ciała, z umysłu, z pamięci. Obrazy, dźwięki, zapachy...

Pomóż mi!, pomyślała rozpaczliwie do swego przewodnika.

- Echo!

...

Rozejrzała się po rozbiegającym się z krzykiem tłumie demonstrantów, szukając człowieka, który do niej wołał.

...

Poczuła pod palcami zimną, ceramiczną powierzchnię.

- Echo 5127! - krzyczał głos. - Spadasz poza krawędź! Wracaj! Jesteś w dawnym biurze Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych w strefie bitewnej Port-land! Wykonujesz misję poszukiwania i odzyskania danych, twój klient wkrótce się pojawi!

Szyfyte?, spytała w myślach; jego głos wyciągnął ją z chaosu wypalenia, w który wpadała; przerwał przeskakiwanie po długim szeregu osobowości, które przetransferowano do jej umysłu podczas pracy w Korporacji. Szyfyte? Wróciłam...?

Jej serce tłuło się szaleńczo w spoconej piersi. Nie śmiała nawet drgnąć, by nie osunąć się znowu w otchłań

szaleństwa.

- Wróciłaś, Echo. - Łagodny, męski głos działał kojąco na skołataną duszę. - Już dobrze. To nie trwało długo. Wezwałaś mnie, zanim zaczęło się migotanie osobowości.

Echo spojrzała na swoje szczupłe, opalone dłonie. Podciągnęła rękaw i dotknęła bransoletki. Ścisnęła znoszone złoto między palcami. Twarde. Zimne. Gładkie w tym miejscu, które zazwyczaj odruchowo pocierała. Prawdziwe. Bransoletka była pomostem do przeszłości, której Echo nie pamiętała. Przypominała jej o tym, że miała kiedyś matkę i ojca, miała życie prawdziwsze od tysięcy cudzych wspomnień kłębiących się w głowie.

- Syzyfie... Jest coraz gorzej.

- Wiem. - Jego spokojny głos działał na nią podobnie jak dotyk bransoletki. - Wiem, Echo.

Dziewczyna ostrożnie dotknęła bariery, którą wyczuwała w swej głowie. Cienkiej zasłony, która oddzielała jej myśli od kłębiących się duchów. Wyobraziła sobie krawędź tak, jak dawni żeglarze wyobrażali sobie kraniec świata. Granica, a za nią pusta, czarna otchłań wirującej nicości. Coś absolutnie niepojętego. Poza krawędzią był już tylko chaos. Jednak żeglarze, bez względu na to jak daleko popłynęli, nigdy nie dotarli do swojego wymyślanego krańca świata. Krawędź, ku której zbliżała się Echo, była jak najbardziej realna. Przez poprzednie dziesięć lat była to twarda, nieprzepuszczalna ściana, broniąca dostępu niechcianym cudzym myślom i doświadczeniom. Echo mogła spokojnie sięgnąć do ostatniego transferu i wybrać te umiejętności, których potrzebowała. Ale z każdym transferem ściana słabła. Teraz była już półprzeźroczystą kurtyną, za którą szalały upiory.

Echo odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Jej palce zatańczyły po żółtej klawiaturze terminala, wpuszczonego w zniszczone, na wpół spalone biurko; pozostała w zasadzie tylko końcówka Sieci, klawiatura i stary holoprojektor. Pomarańczowo-żółte linie, wykresy i cyfry pojawiły się w brudnym powietrzu nad biurkiem - terminal działał. Echo wpatrzyła się w wyświetlaną informację. Poranne słońce zajrzało do zniszczonego biura przez wybite okna.

- Mam połączenie przez podziemny światłowód - pomyślała do Syzyfa. Z profesjonalną pewnością siebie sięgnęła ponad krawędzią po umiejętności Marii. Od razu zaczęła szybciej uderzać w klawiaturę; po chwili palce śmigały już po klawiszach z niewiarygodną prędkością.

Echo starała się zrelaksować, nie myśleć o coraz słabszej barierze. Skupiła się na pracy; musiała się skoncentrować, aby w pełni wyzyskać umiejętności Marii.

- Pierwsza bramka zabezpieczająca - pomyślała. - Badam sieć bezpieczeństwa Wieży. Weszłam. Syzyfie, czego dokładnie potrzebujemy?

- Planów i schematów konstrukcyjnych Wieży Światłości. Interesują nas poziomy jeden, dwa, trzy i sto czterdzieści siedem.

Głos Syzyfa wytrącił ją z hakerskiego transu; przypomniał o zimnych, pustych oczach Mathiasona. O twarzy Berniego za szkłem sarkofagu.

- Łamanie zabezpieczeń Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan nie ujdzie nam na sucho. - Na jej dłoniach wykwitły kropelki zimnego potu. - Ktoś się wkrótce zorientuje. Możemy zostać przyłapani.

- Zanim ktokolwiek się zorientuje, będziesz daleko stąd. A Wieża Światłości będzie wtedy miała inne problemy.

- Nie podoba mi się to, Syzyfie. - Jej palce podjęły szalony taniec po klawiaturze. - Powinniśmy zachować neutralność.

- Już za późno.

Echo знаła swojego przewodnika. Syzyf potrafił ją uspokoić, kiedy sytuacja tego wymagała, potrafił również przypomnieć jej o zagrożeniach i niebezpieczeństwach czyhających za każdym rogiem, jeśli uznał, że podniesienie poziomu adrenaliny przysłuży się realizacji korporacyjnych celów.

- Jesteś w trakcie kolejnej misji, bez wymaganej regeneracji - kontynuował. - Operujesz w negocjacyjnej strefie walki. Korporacja pozostaje neutralna, o ile jej własne interesy nie są narażone na szwank.

- Nie wyspałam się, no trudno. Gorzej, że wstaje słońce i mogę stać się przypadkową ofiarą widowiskowej, międzykorporacyjnej wymiany argumentów, którą obejrzą na żywo miliony ludzi w RealITY. To ta strefa. To przez nią staczam się bliżej i bliżej ku krawędzi...

- Echo! - powiedział z mocą Syzyf. - Skoncentruj się. Niedługo przybędzie klient. Będzie potrzebować planów budynku, kodów dostępu do wind, schematów elektroniki obronnej, najkrótszej drogi z wind do prywatnych apartamentów Fitzgeralda w zachodnim skrzydle piętra sto czterdzieści siedem, a także obejścia wszystkich zabezpieczeń, dającego co najmniej trzydziestosekundo-we okno czasowe wolnego dostępu do głównego holu.

Nie trafiła w klawisz. Poczula nagłą słabość w nogach; krawędź stała się warstwą przejrzystej, cienkiej folii.

- Syzyfie! - Wciągnęła powietrze. - Takie informacje mogą się przydać wyłącznie w razie bezpośredniego ataku. Nie jestem naiwna.

Umiejętności Marii opuściły jej dłonie. Palce nie tańczyły już szalonej polki na klawiaturze. Obserwowała własne ręce, bezwładne i obce, nieposłuszne. Mogła tylko na nie patrzeć.

- Krawędź... Zbyt blisko... - wyszeptła.

- Echo! - krzyknął w jej głowie przewodnik, wyciągając ją z powrotem na powierzchnię i pomagając uciszyć głosy. - Nie myśl o krawędzi. Nie poddawaj się! Nie pozwolę ci na to. Musisz... Musimy się teraz skoncentrować na wyciągnięciu tych planów.

Potrząsnęła głową. Jej ręce, ręce Marii, znów ożyły na klawiaturze. Pliki pojawiały się i znikły. Wykresy i schematy przemykały nad biurkiem, morfując nieustannie.

Wreszcie Maria znalazła dane zabezpieczeń. Znalazła aplikacje i interfejsy, których szukała, i zmodyfikowała je w taki sposób, żeby ochrona Wieży nie zauważyła czasowej utraty funkcjonalności niektórych instalacji obronnych.

Wydobyła pliki, których chciał klient i dzięki którym w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin uzyska transfer zarządcy. Zanim zupełnie oszaleje.

- Mam! - krzyknęła z satysfakcją, łamiąc ostatnie zabezpieczenia. Schematy wszystkich instalacji ochronnych centrali Zjednoczonych Chrześcijan stały przed nią otworem.

- Co masz, czasownika? - zabrzmiał niski, mocny głos za jej plecami. Odwróciła się. Najpierw zobaczyła czarne, wypolerowane na wysoki połysk wojskowe buty. Potem ciemne, opalizujące nagolenniki z kewlarytu. Wiszącą u szerokiego pasa kaburę. Granaty, ładownice i niezbędny, umieszczone na pasach skrzyżowanych na opancerzonej piersi przybysza. Zobaczyła też wymierzony w siebie pistolet smugowy Smitzer o charakterystycznej, srebrnej lufie.

Napiersnik żołnierza był ozdobiony wizerunkiem krzyża chrześcijańskiego otoczonego sześcioma gwiazdami Dawida. Symbole te przecinała czerwona błyskawica, której źródłem był półksiężyc. Znaki Korporacji Dżihad -Prawe Ramię Allaha.

Poświata holoprojektora oświetlała muskularny kark i lewą stronę twarzy mężczyzny. Spod okapu ciężkiego hełmu spoznał na Echo surowym, szarym okiem. Swoim wyglądem budził w niej lęk i respekt.

Zółte światło terminala prześliznęło się po starannie przystrzyżonej brodzie żołnierza. Echo nie śmiała się poruszyć. Przybysz zbliżył się do niej i wtedy zobaczyła resztę jego twarzy. Mimo woli głośno wciągnęła powietrze. Prawy policzek mężczyzny pokrywała płatanina blizn, z której spozierało rozbiegane, niespokojne, szalone oko. Echo poczuła, jak jeża się jej włosy na karku. Zarost na prawej, spalonej stronie twarzy żołnierza musiał być kiedyś równie wypielęgnowany, co na lewej, teraz jednak wyglądał jak sen chorego surrealisty. Dziewczyna wstała powoli.

- Znajdujesz się na terytorium neutralnym - powiedziała mechanicznie, recytując formułkę. - Wkroczyłeś bez autoryzacji do biura Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych i uniemożliwiasz pracownikowi klasy Echo wykonanie zleconych zadań.

- Lubię, kiedy przeciwnik demonstruje siłę, marionetko - odparł, podchodząc bliżej z pistoletem wciąż wycelowanym w jej głowę. - Ten budynek stoi w strefie korporacyjnych negocjacji bojowych, ale na dziś żadnych negocjacji nie zaplanowano. Zatem nigdzie w pobliżu nie latają maszyny autoreporterskie RealiTY. Jeżeli zginiesz, nikt się o tym nie dowie.

- Kim jesteś? - spytała niepewnie. Wyglądało na to, że etap dyplomacji mają już za sobą. W głowie Echa mieszkała teraz znakomita hakerka, bez jakiegokolwiek pojęcia o walce. Syzyf zapewne wiedział, co się dzieje, ale nie mógł przecież fizycznie interweniować.

- Jestem pułkownik Raszid Dżabbar Ibn Haszim z trzeciego regimentu Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allaha. - Uśmiechnął się ironicznie. Lewa strona jego twarzy dziwnie pociągała Echo, emanując męskością i ciepłem, prawa z kolei wykrzywiła się groteskowo w upiornej parodii uśmiechu. Po plecach dziewczyny spłynęła strużka potu, kiedy pomyślała, że oficer mógłby nacisnąć spust tylko po to, by nacieszyć się odorem palonego ciała. - Jestem twoim klientem, czasowniczo! - parsknął z pogardą.

Korporacyjny imprinting wymusił na Echu wymówienie kolejnej wyuczzonej kwestii:

- Jestem Echo 5127. Nie wolno mi przekazać informacji przed autoryzowaniem klienta.

Starła się bardzo, aby głos jej nie drżał. Starła się nie patrzeć w prawe oko żołnierza, szalejące w spalonym oczodole.

Odwrócił się do niej zdrową stroną twarzy i zmierzył powolnym spojrzeniem od stóp do głów. Echo zadrzała; czuła się jak naga niewolnica, wystawiona na targ w którejś z plemiennych osad nieprzynależnych. Modliła się o właściwe hasło, które pozwoli jej przekazać dane i uciec stąd jak najszybciej.

- Ogień Allacha wykuł miecz w kuźni mego serca - powiedział przybysz.

Echo odetchnęła. Pułkownik naprawdę był jej klientem. Znów włączyło się jej korporacyjne warunkowanie.

- Terenu przyległego do Wieży bronią baterie dział plazmowych korporacji Raisere o sile pięciuset megawatów każda, ze sprzężonymi czujnikami ruchu. Na każdej ścianie budynku umieszczono trzy niezależnie sterowane działka z amunicją penetrującą i odłamkowo-przeciwpiechotną. Ponadto, na terenie przyległym do Wieży znajdują się inteligentne miny oraz po dwa szerokokalibrowe moździerz na każdym rogu. Na wysokości trzeciego piętra umieszczono precyzyjne, wysokoenergetyczne lasery. Obwody kierujące instalacjami obronnymi poziomu zero...

Przerwała. Wyraźnie usłyszała ryk silników odrzutowych. Poczuła wibracje. Chwilę później nastąpił błysk jasnego, boleśnie oślepiającego światła; ból, słabość, płacz. Z jękiem upadła na kolana.

- Echo! Echo! - krzyczał Syzyf w jej głowie. - Zakończ misję! Przekaż pułkownikowi resztę informacji! Inaczej on cię zabije!

Gdy otworzyła oczy, zobaczyła spokojny półmrok zrujnowanego biura. Oficer trzymał ją za ramiona, patrzył poważnie swoim zdrowym, szarym okiem. Jego pistolet tkwił w kaburze.

Z zakamarków umysłu Echa wyłoniła się Maria: „Pistolety smugowe wymagają nie lada celności, chirurgicznej precyzji. Żadnych odłamków, żadnego pola rażenia. Eleganckie, czyste, punktowe rany. Kto może posługiwać się czymś takim? Elita, a może głupiec udający elitarnego żołnierza? To może go kosztować życie”.

Echo potrząsnęła głową. To nie mogły być myśli Marii. Maria była hakerka, nie wojowniczką.

- Obwody kierujące instalacjami obronnymi poziomu zero - kontynuowała oficjalnym tonem - są podzielone na trzy segmenty: jeden kontroluje główny hol, dwa pozostałe - półpiętra. Wyłączyłam urządzenia obronne z frontowej strony Wieży. Między minami jest bezpieczna ścieżka. Należy obrać drogę odchyloną o trzydzieści siedem stopni od osi centralnego wejścia. Będziecie mieć czterdzieści osiem sekund. Początek o szóstej czterdzieści standardowego czasu MKB.

- Schematy? - rzucił pułkownik, zwalniając uchwyt.

- Przekazane do mojej korporacji. Dostępne na kodowanym kanale satelitarnym Usług Tymczasowych. Kod dostępu: 7A-5351C7.

Mężczyzna wyszeptał kilka słów do wbudowanego w hełm komunikatora.

- Oczekujesz, że zaufam informacjom czasownika, który nawet nie jest w stanie ustać na własnych nogach? Niby czemu? Bo jesteś neutralna?

- Nie masz wyboru. Nie mam tutaj tych danych na żadnym nośniku; nie możemy zostawiać śladów. Z naszej strony to wszystko. Wypełniliśmy kontrakt.

Złapał ją za rękę i ścisnął boleśnie.

- Powtórzę to moim ludziom, kiedy będą ginąć! - syknął. - Nie ufam Usługom Tymczasowym.

- Zawsze dotrzymujemy kontraktów! - powiedziała Echo z przekonaniem. Potem przypomniała sobie twarz Berniego i zamilkła.

- Przecież to wbrew kodeksowi - mówił pułkownik, ciągnąc ją w stronę drzwi. - Potajemnie stawać po stronie korporacji zarejestrowanej jako wroga wobec innych firm. Łamiecie zasady zgodnie z widzimisię waszego zarządu. Idziesz ze mną! Odegrasz dziś zaszczytną rolę świętego wojownika.

- Nie przetransferowano mi osobowości żołnierza! - krzyknęła Echo, próbując się wyrwać.

- Ale zapewne masz w sobie hakera. Prócz tego informacje, które wysłałaś do swojej centrali korporacyjnej. A to już bardzo dużo. Dla mnie wystarczy.

*

Transporter przybył w taki sam sposób jak w jej niedawnej wizji. Obły kształt osiadł na asfalcie, a po czarnej rampie zszedł jakiś człowiek. Był to porucznik Dżihadu: wysoki blondyn w wieku około dwudziestu pięciu lat, o jasnej, pociągłej twarzy. Jej rysy były piękne, klasycznie regularne. Stał na baczność przed pułkownikiem.

- Siedem minut, poruczniku! - rzucił w jego stronę Raszid. - Potwierdzić gotowość!

- Pełna gotowość, pułkowniku! Cel akcji?

- Rajd na Wieżę Światłości.

Oczy porucznika spojrzały gdzieś ponad ramieniem dowódcy. Echo wiedziała, na co patrzy - strzelista, biała wieża godziła w niebo zaledwie dwie przecznice od granic strefy negocjacyjnej.

- Poruczniku Aswad! - krzyknął Raszid. - Marnujemy czas! Dalej!

- Tak jest! Allah akbar! - odpowiedział porucznik i wbiegł po trapie do transportera. Chwilę później wysypali się stamtąd żołnierze w czarnych zbrojach. Wielu niosło najnowsze karabiny plazmowe. Lufa takiej broni była w istocie akceleratorem rozpalonych granulek śrutu ceramicznego, dzięki czemu efektywny zasięg rażenia karabinu przekraczał pięć kilometrów. Temperatura przegrzanych granulek ceramicznych była tak wielka, że reagowały one egzoenergetycznie z powietrzem. Wytworzone w ten sposób smugi plazmy z łatwością penetrowały zbroję i były w stanie dosłownie stopić człowieka. Komora ładunkowa broni, wystarczająca na oddanie jednego strzału, była połączona kablem z energetyczną ładownicą, noszoną na plecach strzelca. Poza tym wszyscy żołnierze byli obwieszani granatami przytwierdzonymi do pasów skrzyżowanych na opancerzonych piersiach. Każdy nosił ciężki, czarny hełm ze srebrnym wizorem-przybicią, chroniący oczy przed oślepiającymi wyładowaniami i wybuchami.

Echo dotychczas oglądała wojowników Dżihadu tylko na bitewnym kanale RealiTY. Z bliska robili jeszcze większe wrażenie; może swoje dokładał też ostry, przypominający ozon zapach kewlarytowych zbroi. Dziewczyna patrzyła, jak pięćdziesięciu mężczyzn karnie ustawia się w szeregu.

- Pułkowniku? - wyszeptała Echo. - Wydaje mi się, że będzie pan potrzebował więcej ludzi.

- Jeżeli rzeczywiście tak będzie, to jesteś już martwa, czasowniczo. - Nawet nie oderwał wzroku od swojego oddziału; krzyknął głośno - Allah akbar!

Żołnierze wyprostowali się. Pięćdziesiąt głosów odkrzyknęło basowym chórem:

- ALLACH AKBAR!

Twarz pułkownika skrzywiła się w groteskowej parodii uśmiechu. Pociągnął Echo w stronę końca szeregu, gdzie stał niski żołnierz z odkrytą głową.

- Kapralu Yeats!

- Tak jest! - Żołnierz stanął na baczność. Echo spojrzała w jego zielone oczy. Kapral Yeats nie mógł mieć więcej niż piętnaście lat. Piaskoworude włosy okalały jego okrągłą, chłopięcą twarz.

- Zbroja dla tej kobiety.

Głowy zwróciły się w ich kierunku. Srebrne, anonimowe przyłbice. Kapral chwycił Echo za nadgarstek i poprowadził wzdłuż szeregu. Pułkownik szedł za nimi niespiesznie, przypatrując się mijanym żołnierzom.

Nagle Raszid zatrzymał się. Sięgnął do zbroi jednego ze swoich ludzi i odpiął czarny granat z czerwonym paskiem, nie większy od męskiej pięści.

- Poruczniku Aswad!

Kapral Yeats nie bardzo wiedział, czy ma iść dalej. Pojawił się wysoki porucznik.

- Tak jest! - Stuknął podkutymi butami o zniszczony asfalt i uderzył pięścią w insygnia Dżihadu na piersi.

- Ten żołnierz ma na wyposażeniu F-57. Te granaty mają zawodność rzędu trzydziestu procent. Wymienić natychmiast!

- Panie pułkowniku... - Ku zdziwieniu Echa młody porucznik zawahał się. - Z całym szacunkiem, mój ojciec nie przysłałby nam niepewnego sprzętu.

Na twarz pułkownika wypełził zły, bordowy rumieniec. Odpiął jeszcze dwa granaty ze zbroi żołnierza i podał wszystkie trzy porucznikowi.

- Poruczniku Aswad Ibn Abd aFalim - wyszczał mu w twarz z odległości centymetra. - Przyrzekałem wierność i posłuszeństwo twojemu ojcu. Jestem związany tą przysięgą do końca swoich dni. Moim obowiązkiem jest wypełniać jego wolę, a zatem i wolę Allacha. Ale ty przysięgałeś posłuszeństwo mnie, a nie ojcu. Zatem jeżeli chcesz doczekać zachodu słońca, sugerowałbym zaprzestanie kwestionowania moich rozkazów. - Raszid wskazał na trzy granaty trzymane przez porucznika. - Połóż je na ulicy. Pięćdziesiąt metrów stąd.

- Tak jest - odpowiedział cicho porucznik, po czym ruszył biegiem. Zatrzymał się w odpowiednio dużej odległości, przykleknął i ułożył granaty obok siebie. Potem wstał i pobiegł z powrotem.

Raszid wyciągnął pistolet z kabury i przymierzył. Białe błysk wystrzelił z lufy smugowca; porucznik rzucił się na ziemię. Promień trafił granat leżący z prawej strony.

Cisza. Aswad leżał na ulicy mniej niż trzy metry od granatów; w prawym ziała spora, dymiąca dziura. To nie brawura, ale doświadczenie weterana, pomyślała Echo.

- Szczęściarz - mruknął pułkownik, chowając pistolet. - No, co jest z tą zbroją, kapralu? - Odwrócił się do młodego Yeatsa.

Kapral pospiesznie pociągnął Echo wzdłuż szeregu żołnierzy, po rampie, do transportera.

ROZDZIAŁ 4

Dena Brigham przechyliła głowę. Długie, kruczoczarne włosy zsunęły się z jej ramienia na wypukłość okrytych satyną piersi, spłynęły łagodną kaskadą po delikatnej skórze karku i pleców.

Po drugiej stronie pokoju Sunny Fitzgerald podniosła swoją białą, jedwabną suknię z pomarańczowej dźwigni, która wyzwała mechanizm ewakuacyjny szerokiej sofy. Wkładając suknię, lekko kopnęła kolorowe sandaalki korporacji PedoTech. Uśmiechnęła się do przyjaciółki i poprawiła jasne włosy.

Upinając satynowe wstążki w okolicy pasa, Sunny zastanawiała się, czy jej stalowoniebieskie oczy wciąż emanują tym samym dziecięcym blaskiem, którym Dena zdawała się czasem promieniować. Obie miały po siedemnaście lat; Sunny skrycie zazdrościła przyjaciółce bardziej kobiecego ciała i wciąż bardziej dziecięcego umysłu. Paradoksalnie, Dena potrafiła być od Sunny bardziej dorosła, a zarazem bardziej dziecinna.

Spojrzała w rozedrgany blask ściany siłowej, oddzielającej ich pomieszczenie od dużego pokoju spotkań. Dena podeszła do bariery i stanęła obiema stopami na wymalowanych znakach.

Syk drzwi pneumatycznych zwiastował przybycie matki Miriam Providence. Dumnie nosząc czerwono - kasztanowe szaty matki przełożonej, kobieta lekko wkroczyła przez stalowy portyk, niczym prawdziwy anioł. Drzwi ochronne zamknęły się za nią; kręcone, rude włosy kobiety zafalowały w podmuchu powietrza. Dwa białe pasemka okalały jej białą, celtycką twarz o miękkich rysach i wyraźnie zaznaczonych kościach policzkowych.

- Jak się czujesz, Deno? - spytała przyjaźnie, mijając sofę i zdejmując sandały.

Ściana siłowa zadrżała. Z kątów wysunęły się obiektywy kamer. Dena poprawiła szybko włosy; Sunny i Miriam zajęły wyznaczone miejsca.

- Deno - powiedziała Sunny, przeczesując ręką jasne włosy. - Wiem, że chcesz przystąpić do Zespołu Projektowego Sióstr Służebniczek. Ale proszę cię, zastanów się jeszcze. Jeżeli się na to zdecydujesz, zostaniemy rozdzielone już na początku nowicjatu.

- Przecież możesz pójść ze mną. - Policzki Deny płonęły rumieńcem oczekiwania. - Obie możemy wstąpić do Służebniczek.

- Obawiam się, że to niemożliwe, dziewczęta - wtrąciła się łagodnie Miriam. - Sunny nie ma wyboru. Jej los został jasno określony przez Posłańca - ma być narzędziem w ręku proroków. Musi podążać mistyczną drogą Bożego serca, a nie zajmować się Jego stworzeniami.

- Będę za tobą tęsknić, Deno - powiedziała Sunny ze smutkiem.

- Ja za tobą też, Sunny. Ale nie martw się. Widziałam, jak twój ojciec uzdrawiał; wiem, że ty też jesteś do tego przeznaczona. - Sunny wyczuła wahanie w głosie Deny, to samo, z którym mówiła o swojej matce; głos dziewczyny pobrzmiwał udawaną pewnością siebie. - A zresztą, już i tak za późno. Rozmawiałam z twoim ojcem po nabożeństwie i powiedział, że jestem gotowa. Zresztą czuję to po każdym naszym spotkaniu.

Zabrział dzwon. Ściana siłowa rozplynęła się w płynną tęczę kolorów.

- Jesteście gotowe? - zapytała Miriam.

- Tak, matko - odpowiedziały jednocześnie dziewczęta.

Kolory spłynęły na podłogę. W dużej sali stały trzy szeregi kobiet ubranych w takie same szaty jak obie dziewczyny. Niektóre z nich były wysokie i smukłe, inne krępe i okrągłe. Niektóre bardzo stare, urodzone jeszcze przed Wojnami. Wszystkie zebrały się tutaj, aby wziąć udział w porannej modlitwie prowadzonej przez córkę Posłańca. Wszystkie czekały w nabożnym skupieniu, aby dotknąć Świętości. Nawet siostra Magda, najstarsza, stojąca na honorowym miejscu z lewej strony pierwszego szeregu. Zawsze tam stała, od kiedy tylko mała Sunny zaczęła uczestniczyć w modlitwach.

We wspomnieniach dziewczyny twarz starej kobiety zawsze wyglądała tak samo; jakby nie zmieniła się przez te wszystkie lata, pomarszczona, pergaminowa maska. Tak samo wyglądały zgarbione plecy staruszki. Tuż obok niej stała trzyletnia dziewczynka o kręconych, czarnych włosach, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Mała siostra Teresa właśnie rozpoczęła swą drogę.

- Tyś jest jedyną córką Posłańca, zrodzonego bliżej łaski Bożej niż którykolwiek ze śmiertelników - uroczyście zwróciła się do Sunny matka Miriam. - Tyś podążała ścieżką ducha przez całe swe życie. Tyś jest zrodzona', aby słuchać pieśni wszystkich dusz wszechświata.

- Tyś jest córką Pierwszego Apostoła, oddanego służy Posłańca - powiedziała Miriam do Deny. - Tyś jest poświęceniem, ofiarą i przebaczeniem. Razem stanowicie doskonałą jedność ducha i ciała.

Miriam odwróciła się twarzą do sióstr. Wszystkie patrzyły wyczekująco na Sunny. Dziewczyna odetchnęła głęboko, by oczyścić umysł. Uśmiechnęła się i wyciągnęła w górę skrzyżowane ręce.

- Jesteśmy wolne od udręk tego świata - rzekła uroczyście.

- Stajemy przed Bogiem takie, jakimi nas stworzył - odpowiedziały chórem kobiety.

Sunny powoli opuściła ręce, aż dłonie spotkały się nad linią piersi.

- Odetchnijmy głęboko duchem Ziemi. Niech on oczyści nasze dusze.

Siostry powtarzały każdy jej ruch. Wolno opuszczała i rozdzielała dłonie, aż stykały się tylko koniuszkami palców, tuż pod mostkiem. Rozpoczynając długi wydech, kierowała ręce ku ziemi; z końcem oddechu dłonie zatrzymały się pod brzuchem okrytym jedwabną szatą.

Razem z powietrzem wyrzuciła z siebie niepokój i złe myśli, tak jak uczyła ją Miriam. Jej umysł wypełniła doskonała pustka.

Zwróciła dłonie ku górze. Unosiła je wolno, znów aż do linii mostka, wdychając powietrze. Przy wydechu ponownie opuściła ręce ku ziemi.

W doskonałej pustce coś się pojawiło, jakieś zawirowanie. Sunny oddychała dalej, aby wkrótce poczuć gorącą kulę rodzącą się gdzieś w żołądku, ciężącą w dół, ku podbrzuszu. Dziewczyna pozwoliła, aby jej umysł wpadł w ten wir, zatracił się w nim, aż poczuła krew pulsującą w żyłach i powietrze wypełniające płuca. Z ufnością zanurzyła się w spokojnym rytmie.

Kojące ciepło zstąpiło w dół, przez rozluźnione mięśnie ud, przez ścięgna i więzadła kolan, przez łydki, aż do pięt dziewczyny.

Wreszcie poczuła zjednoczenie z Duszą Ziemi, łagodny dotyk absolutu, świadomości wyższej niż ludzka, poczucie znikomości własnej jaźni wobec cudownej różnorodności stworzenia. Drżenie przeniknęło ciało Sunny, ponownie przeistaczając się w brzuchu dziewczyny w gorącą kulę.

Sunny odetchnęła głęboko. Czerpała siłę i świadomość z wielkiej duszy świata. Gorąco wędrowało wyżej, ogarniając wreszcie jej głowę, ramiona i dłonie aż po mrowiące koniuszki palców.

Rozdzierający jęk przerwał koncentrację Sunny. Zamrugła oczami. Siostra Magda leżała na podłodze, wijąc się z bólu.

- Miriam! - krzyknęła Sunny, biegnąc do staruszki. - Pomóż mi!

*

Roland Fitzgerald delectował się kapsułką metamfy, jak zwykle przed swoim transmitowanym na cały świat nabożeństwem. Wiedział, co ta substancja może zrobić z człowiekiem, choć nie z każdym. Ale Fitz nie był pierwszym lepszym „każdym”, był Posłańcem. Jemu Bóg wybaczył tę drobną słabość.

Wideościana po przeciwnej stronie okrągłej komnaty, zazwyczaj będąca białą powierzchnią odbijającą refleksy witraży, tym razem żyła. Zaspokajała jego ciekawość, rosnącą coraz bardziej z każdym miligramem narkotyku spływającego do gardła.

Siostry ćwiczyły na piętrze sto czterdziestym siódmym, wiele poziomów poniżej jego sanktuarium. Obserwował ich powolny taniec na wielkim, półokrągłym ekranie.

Fitz poszukał wzrokiem twarzy Miriam i dwóch młodych Sióstr Szczęścia: swojej złotowłosej, sztucznie poczętej Sunny oraz zmysłowej córki Pierwszego Apostoła, Kevana Brigham. Z leniwą przyjemnością patrzył na ich poranne ćwiczenia, kiedy przygotowywały się do porannego spotkania.

Martwił go fakt, że jego córka wciąż nie udowodniła swoich nadnaturalnych zdolności. Powinna już pokazać jakieś znaki. Powinna wykazać się nieodpartą charyzmą, immanentnie obecną w jej sztucznie zmanipulowanych genach.

Umysł Fitz'a ogarnęła fala euforii, jego ciało wydawało się rozpyływać, cieknąć. To samo uczucie pokryło szarą oponą jego leniwe myśli, kiedy patrzył na dziewczęta przygotowujące się do porannej modlitwy. Energicznie poruszył szczękami, starając się wycisnąć z kapsułki jeszcze odrobinę narkotyku. Jego nozdrza wypełnił zapach miodu i mięty.

Czerwone światelko na poręczy fotela sygnalizowało przybycie windy. To musiał być Kevan Brigham, sumienie Kościoła. Jedynie Kevan i matka Miriam mogli używać tej windy bez pozwolenia. A Miriam była na sto czterdziestym siódmym.

Fitz nacisnął guzik na klawiaturze dotykowej wpuszczonej w poręcz fotela. Wideościana zmętniała, a potem ożyła na nowo. Tym razem widać było obły, szary transporter w pobliskiej strefie negocjacyjnej. Zaskoczony tym, co widzi, Fitz oderwał rozszerzone narkotykiem źrenice od ekranu i spojrzął na wielkie, mahoniowe drzwi, oddzielające wideościanę od drugiej połowy okrągłej.

Kevan wszedł do pomieszczenia. Potężny, dwumetrowy mężczyzna o siwiejących, ciemnokasztanowych włosach, ubrany w biało-złote szaty Apostoła Wieży. Fitz lubił ten widok - jego prawa ręka, mądry, silny człowiek, w którym

wszyscy mogli pokładać zaufanie i wiarę. Duże, dobre oczy wyrażały zrozumienie i empatię. Ich źrenice w pierwszej chwili zdawały się po prostu brązowe, ale już po chwili kontaktu wzrokowego każdy dostrzegał fascynujące odcienie czerwieni i złota. Opalona, szczerza, sympatyczna twarz Kevana robiła pozytywne wrażenie na każdym; przyciągała do niego i do Kościoła mężczyzn, kobiety i dzieci.

Fitz krzywił się, widząc, jak ludzie reagują na Kevana, ale uznawał Apostoła za nader przydatnego. Starał się mieć go zawsze przy sobie, a przynajmniej przy każdej transmisji telewizyjnej.

Kevan zbliżał się do obsydianowego podwyższenia, na którym stał tron Fitz'a. Posłaniec tymczasem zastanawiał się, czemu akurat jego Apostoł działa tak magnetycznie na tłumy przynależnych, szukających silnego i mądrego ojca, który pokazałby im sens życia.

Ludzie, którzy chcieli wziąć udział w zbożnym dziele, nie przychodzili do Rolanda Fitzgeralda. Może dawniej, kiedy był młodszy, gdy częściej widywano go w akcji, na pierwszej linii świętej walki przeciwko bezbożności i nihilizmowi, walki w imię Boga i MKB. Wtedy silnie działały na ludzi jego charyzma i gorąca wiara.

Podczas jednego z takich spektakularnych wypadów poza obszary korporacyjne Fitz znalazł mały, lichy kościółek Kevana w dolinie rzeki Columbia. Ocalił wtedy Apostoła i jego sześćioletnią córkę od śmierci z rąk bezbożnej bandy Małego Farrela, pogrobowca dawnej armii federalnej.

Trochę to trwało. Przez blisko dwa lata Kevan był niezbyt przydatny. Zbyt przybiła go śmierć żony i zagłada jego małej parafii. Ale wreszcie, po otrząśnięciu się, Kevan zrobił błyskawiczną karierę w korporacji, stając się jej pierwszym ewangelistą.

Teraz ludzie nie przychodzili już do Fitz'a. Przyciągał ich łagodny, spokojny głos i pełne miłosierdzia oczy Kevana Brighama.

Oklaski zbierał Fitz. To pozwalało mu żyć dobrze z jedyną potęgą większą od jego Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan.

MKB szanowało tylko silnych i popularnych.

Biznes kręcił się świetnie. Fitz miał wrodzoną łatwość układania się z innymi korporacjami, religiami, a także Usługami Tymczasowymi, które były niezbędne do zbudowania i podtrzymywania gmachu potęgi Kościoła. Do gromadzenia sił na ostateczną walkę, kiedy to przezwycięży wreszcie ostatnie przeszkody i sięgnie po koronę Bożą.

Władza w korporacji pochodziła od Rolanda Fitzgeralda. To pozwalało mu cieszyć się różnymi drobnymi przyjemnościami. Ale to Kevan był świętym wcieleniem patrona dla każdego z wiernych. Fitz zauważył to wystarczająco wcześniej, by wywindować Brighama na stanowisko Wiceprezydenta Korporacji i oficjalnej Opoki Kościoła. Kevan, jego prywatny Jan Chrzciciel.

- Panie Fitzgerald - przerwał mu rozmyślenia Apostoł, podchodząc do krawędzi podwyższenia. - Mam tu dane czasowników, których będziemy dziś leczyć.

Fitz siedział na tronie pośród aksamitnych poduszek. Purpura okrywała jego poznaczoną wojennymi bliznami klatkę piersiową. Długie rękawy kryły mocne, oplecione węzłami mięśni ręce. Posłaniec wstał, nie odrywając wzroku od wideościany.

- Świetnie, Kevanie - powiedział dobrodusznym tonem. - Niech Bóg błogosławi ci w dzisiejszym dziele. Sprawdziłeś ich?

Obaj patrzyli na obraz wyświetlany na wideościanie; kamera zaprezentowała ostre, wyraźne zbliżenie człowieka w czarnej zbroi. Fitz drgnął, kiedy ten odwrócił się prawą stroną - połowa twarzy żołnierza była pokryta strasznymi bliznami.

- Raszid - powiedział Kevan.

Fitz skinął głową. Pułkownik strzelił z pistoletu smugowego, bezbłędnie dziurawiąc leżący na asfalcie granat, bez wywoływania eksplozji. Posłaniec zadumał się, czy człowiek leżący nieopodal wiedział, że oficer strzeli. Żałował, że nie może słyszeć ich rozmowy.

- Wyjątkowy dar - rzekł Kevan.

- Albo po prostu szczęście.

Fitz zwrócił się w stronę monumentalnych witraży po przeciwnej stronie komnaty. Poły jego obszernej szaty zafurkotały w powietrzu. Cekał. Wiedział, że stojący za nim Kevan patrzy na plecy Posłańca i na wspaniałe witraże. Trzy potężne panele. Fitz czuł dumę, oglądając artystyczny obraz własnej, chwalebnej przeszłości. Tryptyk mierzył sześćdziesiąt metrów wysokości, od podłogi po szczyt kopuły wieńczącej sanktuarium. Podłoga sali była kołem o promieniu stu dwudziestu metrów.

- Spójrz tylko na pierwszą część tryptyku, Kevanie - powiedział łagodnie Fitz. - Oto i natchniony bożym światłem obraz przedstawiający Posłańca Pańskiego, ratującego maluczkich z opresji.

Słoneczne światło wpadało do sali tysiącami kolorów. Fitz rozłożył ramiona; promienie zagrały na szerokich rękawach jego atlasowej szaty. Czerwień, pomarańcz, zieleń rozlały się na posadzce; poranne słońce wschodziło nad Wieżą Światłości.

- Popatrz. - Fitz wskazał trzeci witraż, po przeciwnej stronie; jego głos zabrzmiał tonem kaznodziei. - Oto sąd nad rodzajem ludzkim. Oto śmierć, głód i terror Wojen Przeludnieniowych. Błogosławiony Roland Fitzgerald, odziany w białą szatę, napełniony Duchem, kroczy pośród chaosu. Umierający, chorzy i trędowaci czołgają się, by dotknąć rąbka jego sukni swoimi grzesznymi dłońmi. Czy pojmujesz znaczenie tego obrazu? Oczywiście, że tak. Przecież uczysz dzieci tego katechizmu. Nieprawdaż?

- Tak - odparł Kevan. - Tego uczę.

- Opowiedz mi zatem drugą stację. - Ależ...

- Druga stacja - powtórzył spokojnie Fitz..

- Zgromadzenie prawowiernych - pokornie zaczął Kevan. - Dym i siarka, mieszanina wyziewów płonącego miasta i substancji ulatujących dusz, tworzą ciężkie, czarne chmury. Umęczone dusze cierpią surową karę z ręki Boga. Ale przez ciemność przebija się jasny promień nadziei. Niebiańskie światło opromienia twarz Rolanda Fitzgeralda. Prawe ramię Posłańca przyzywa skruszonych i ochrania przed gniewem Pana. Lewa dłoń spoczywa na głowie wybranki Posłańca, która z kolei trzyma ich dziecko, Sunny, symbol nowego przymierza z Bogiem. Prorok wzywa tych, którzy się ostali, pod bezpieczne skrzydła Koalicji Chrześcijańskiej.

Świetnie, pomyślał Fitz. Jeszcze nie dziś jest dzień upadku najpierwszego z aniołów.

- Dobrze kazałeś, bracie Kevanie - uśmiechnął się do swego Apostoła; Kevan uklonił się, wyraźnie dumny. - Powiedz mi, jaki jest cel istnienia naszego Kościoła?

- Zaganianie rozproszonych owieczek na Boże pastwisko - odparł Kevan.

- Tak jest. - Fitz znowu odwrócił się ku trzeciemu witrażowi. Ten lubił najbardziej. W centrum on, półnagi, boski Adonis, cudownie zawieszony pomiędzy niebem a ziemią. Poniżej masa wyciągniętych rąk, ludzkich twarzy rozradowanych jego bliskością. Ponad nim niebo, światło Bożej łaski spływające na sylwetkę Posłańca. Białe anioły i Siostry Szczęścia, śpiewające chórem hymn jego chwały.

- Panie? - przerwał mu Kevan. - Musimy jeszcze zrobić kilka rzeczy przed nabożeństwem. Trzeba przeanalizować trochę liczb i wyników... No i muszę wiedzieć, czy akceptujesz tę wybraną grupę czasowników do uzdrowień.

- Chwalmy Pana za nasze dobre wyniki. - Fitz spojrzał na niego. - A uzdrowienia pójdą jak zwykle świetnie.

Kevan wyjął z kieszeni szaty niewielką kostkę pamięci, wciąż nerwowo czegoś tani szukając.

- Z czasownikami będzie wszystko dobrze - powiedział uspokajająco Fitz ze swojego podwyższenia. - Reszta może zaczekać.

Przyklęknął miękko na krawędzi. Teraz jego czerwona od metamfy twarz i poźółkle od narkotyku białka znajdowały się tuż przed Kevanem. Apostoł czuł bijącą od Posłańca charyzmę.

- O co chodzi, Kevanie? - zapytał. - Pan mówi mi, że dusza twoja nie może zaznać pokoju. Że twa wiara jest wystawiana na próbę. Pozwól mi zdeptać twój strach i uwolnić cię od demona niepewności.

- Myślałem... o naszych nabożeństwach z uzdrowieniami. - Kevan odetchnął głęboko i zacisnął dłoń. Fitz widział, jak zbiegły mu knykie.

Posłaniec przełknął pogryzioną kapsułkę i stłumił falę mdłości.

- Znakomicie prowadzisz telenabożeństwa, bracie - powiedział spokojnym, ciepłym tonem. - Właśnie tobie nasza korporacja zawdzięcza tak duży zysk i coraz większy udział w rynku. Twoje zbożne wysiłki przyciągają do nas coraz więcej wyznawców.

- Chodzi o to, że... moje dawne zgromadzenie...

- Tak, bracie? - A więc o to mu chodzi, pomyślał Fitz. - Bóg ma w opiece ich nieśmiertelne dusze.

- Kiedy... żyłem z moimi w dolinie. - Kevan oddychał płytko. - Ja i Rachel nigdy nie musieliśmy urządzić uzdrowień. Ludzie przychodzili do nas sami, z potrzeby serca i z miłości. Przychodzili po prostu chwalić Pana.

- To pięknie. - Fitz uśmiechnął się, kładąc mu rękę na ramieniu. - Wspaniałe świadectwo wystawiasz swoim parafianom.

- Słuchaliśmy ich, rozmawialiśmy z nimi. Dawaliśmy im wszystko. Rachel uprawiała nawet ogród, żeby...

Fitz przestał słuchać Opoki Kościoła, za to skoncentrował uwagę na wideościanie. Żołnierze szykowali się do telewizyjnej bitwy dnia.

- Przypomnij mi, bracie Kevanie - ocknął się Posłaniec - iluż to miałeś parafian?

- Prawie... dwie setki. - Głos Kevana zdradzał tę niepewność i wahanie, których Fitz oczekiwał.

- Zaprawdę powiadam ci, zadziwia mnie to, że Bóg nie pobłogosławił tak oddanego sługi większą trzódką. Tym bardziej chwalebę go każdego dnia, gdy pomyślę o siedemdziesięciu pięciu milionach naszych wiernych na całym świecie.

Fitz przerwał, pozwalając swoim słowom dobitnie wybrzmieć w powietrzu. Potem ciągnął tym samym głosem, którym nauczał na telenabożeństwach:

- Dzięki ci, o panie, za to że zawierzyłeś nam obowiązek i przywilej oświecania maluczkich Twoją chwałą. Dzięki ci za to, że nasze wyniki ekonomiczne pozwalają nam dotrzeć do tak wielu serc.

Kevan pochylał głowę, a Fitz uśmiechnął się triumfalnie.

- Bracie Kevanie, jestem ci osobiście wdzięczny za to, że poświęcasz swoje wyjątkowe zdolności ku pożytkowi wspólnemu, ku dobru naszej korporacji. Pan obdarzył cię wielkimi darami, a tyś podzielił się nimi z wiernymi zgromadzenia. Dzięki temu uratowałeś wiele dusz.

Kevan zaciskał wargi, starając się z całych sił ukryć złość.

- Mój ojciec... był oszustem - wyszeptał. - Zakłamanym, fałszywym wędrownym ewangelistą. Nigdy nikogo naprawdę nie uzdrowił. W swoich kłamstwach często posługiwał się mną, udawałem kalekę, ślepego...

- I dziękujemy Panu za twego ojca - przerwał mu Fitz. - Za wychowanie dobrego chrześcijanina. - Doskonale widział wściekłość gotującą się w Kevanie i zmienił ton na jeszcze bardziej egzaltowany. - Albowiem ojcu twojemu zawdzięczamy dobroć twoją, którą cieszyć się mogą wszyscy prawowierni.

Kevan zacisnął pięści jeszcze mocniej. Jego zazwyczaj spokojna twarz była teraz purpurowa.

- Mój ojciec był tylko małym, zakłamanym przebierańcem! - wyszczał. - Wierzył tylko i wyłącznie w bogactwo. Reżyserował ozdrowieńcze farsy, aby mieć pieniądze na alkohol i ładacznicę, aby zaspokoić głód metamfy. Wędrowaliśmy z naszym namiotem-kościółem z miasta do miasta i robiliśmy teatr, aby mógł pofolgować swoim

żądzą i przywarom.

- Bracie Kevanie, proszę - Fitz wykorzystał chwilę ciszy, gdy Brigham łapał oddech. - Nie powinieneś pielęgnować takich uczuć wobec swego ojca, szczególnie tu, w domu przebaczenia. Wspomnij na słowa świętego Pawła z listu do Efezjan: „Bądźcie dla siebie nawzajem dobrzy i miłosierni! Przebaczajcie sobie, tak jak i Bóg nam przebaczył w Chrystusie”.

Fitz usiadł swobodnie na podwyższeniu. Jego białe stopy wisały kilka centymetrów nad czarną, błyszczącą posadzką. Patrzył Keyanowi w oczy, ale wciąż znajdował w nich gniew i niepokój.

- Czyż to niepodobne do Pana - zapytał - uczynić złego człowieka narzędziem w boskim ręku, która będzie czynić dobro?

- Nie! - odpowiedział gwałtownie Kevan. - Zresztą nie o to mi chodzi. Mamy tu całkiem inną sytuację. Jesteśmy wystarczająco silni, aby pomóc przynależnym i nieprzynależnym!

- Uspokój się, bracie - powiedział Fitz, omiatając wzrokiem salę, jakby szukał szpiegów czających się po kątach. Kevan cofnął się, a Posłaniec zeskokczył na podłogę. Musiał teraz lekko unieść głowę, by patrzeć w twarz swojego Apostoła. - Czy naprawdę sądzisz - spytał swoim wytre-nowanym, miękkim głosem - że leżałoby w naszym interesie zaprzestanie uzdrowień?

- Tak - odparł Kevan spokojnie. - Tak sądzę. Nocami śnię o Rachel, pracującej w ogrodzie, jak każdego dnia, zanim zamordowali ją dezercerzy. Widzę jej białe stopy na ciepłej, żywej ziemi. Słyszę, jak pyta mnie, co dziś uczyniłem dla Pana. - Oczy Kevana zaszkliły się, ale nie uronił ani jednej łzy. - Panie Fitzgerald, to ona wyzwoliła mnie z kłamstw ojca. Jeśliby żyła, jak mógłbym dziś spojrzeć jej w twarz?

Fitz delikatnie położył rękę na głowie Apostoła; mężczyzna zadrżał pod jego dotykiem.

- Gdyby Rachel była dziś z nami - spytał łagodnie Fitz - jak myślisz, czego by od ciebie oczekiwała?

- Chciałaby, abym karmił i ubierał nieprzynależnych. - Kevan rozluźnił się. - Abym poświęcił całą energię na służenie biednym i zapomnianym.

- Czyż tego nie robimy? - Fitz ruszył wolnym krokiem w stronę witraży. - Pan podarował nam dziś wspaniały dzień. Poczujmy go i zobaczymy, nacieszymy oczy widokiem Boskiego cudu stworzenia. Pójdź.

- Jesteśmy silni - kontynuował Kevan, idąc za nim. - Możemy uczynić więcej. Możemy zacząć naprawdę uzdrawiać. Ludzie tego pragną. Potrzebują. Wojny skończyły się ponad dwadzieścia lat temu.

Fitz nie odpowiedział. Dotarł właśnie do małych, białych drzwi położonych dokładnie naprzeciwko głównych, wejściowych wrót. Przyłożył dłoń do czytnika, otwierając przejście, po czym zniknął w białoniebieskiej jasności rozpościerającej się na zewnątrz.

*

Kevan wyszedł za Posłańcem na metalową kładkę metrowej szerokości. Kurczowo chwycił się barierki, gdy tylko zerknął w dół, gdzie ziała trzystumetrowa przepaść. Poranne słońce było ciepłe, przyjemne, z północy wiał orzeźwiający wiatr, z rzadka tylko przynoszący smród spalonego plastiku i drewna z negocjacyjnej strefy bojowej.

Brigham odetchnął głęboko. Jego uwagę przyciągnął błysk czerwieni nieopodal, ostrzegawczy kolor dachu Czytelni Korporacji Naukowej. Strażnicy wiedzy, jedyni archiwiści na kontynencie, którzy udostępniali swoje zbiory wszystkim zainteresowanym. Przypominali Kevanowi o tym, że ekonomiczny zysk może być spożytkowany w dobrej sprawie. Zamknął oczy i zamyślił się.

- Wojny wcale się nie skończyły. - Głos Fitz'a brzmiał wyraźnie i czysto. - Po prostu zmieniła się ich forma. Spójrz. - Wskazał na strefę negocjacyjną, gdzie kłębiły się ludzkie mrówki. - Dżihad jest w strefie. Nie przypominam sobie, aby mieli dzisiaj w programie negocjacje. Zresztą i tak nie miałbym czasu oglądać.

- Może coś zaległego?

- Raczej improwizacja. Jakaś wyjątkowa okazja. Niech Bóg ma w opiece nieszczęśliwych, którzy staną na drodze wojowników Allaha.

- Kochasz swoją córkę, Kevanie? - spytał nagle Fitz, opierając się o barierkę.

- Chciałbym tylko...

- Kevanie - przerwał łagodnie Fitz, wychylając się bardziej ponad otchłanią. - Czy kochasz swoją córkę?

Zaskoczony Brigham przestępował z nogi na nogę. Wreszcie Fitz odwrócił się i spojrział mu w oczy.

- Oczywiście - odpowiedział Apostał. Posłaniec kiwnął głową.

- Czyż nie jest cudem Bożym ten strumień kredytów, płynący do nas każdego dnia od prawowiernych wyznawców? Pomagamy tysiącom ciał i milionom dusz!

- Ale moglibyśmy...

- Czy namawiasz mnie do porzucenia mej trzódki? - przerwał mu ostro Fitz.

Kevan nigdy nie wybaczył sobie przyjęcia Małego Farrela do parafii. Pamiętał, jak zmuszono go do patrzenia na wszystko, wisiał na wielkim, sufitowym wentylatorze, przybity za ręce i nogi. Jego córka, sześciolatka Dena, leżała pobita i posiniaczona, przywiązana do łóżeczka. Trzy ludzkie bestie właśnie zdarły z niej wesołą, żółtą sukienkę.

- Powiedziałeś, że kochasz Denę - usłyszał głos Fitz'a; bardzo starał się nie rozpłakać.

- Ona jest obrazem Rachel - wyszeptał. - Jest całym dobrem, które pozostało mi w życiu. Nie... To ona jest całym moim życiem.

- To wspaniale - odparł Fitz. - Doskonale cię rozumiem, bracie. Gdybym nie miał Sunny, nie wiem, czy byłbym jeszcze w stanie prowadzić Korporację. Powiedz mi, Kevanie, jaka jest największa potęga we wszechświecie po Bogu?

- Chrystus.

- Mam na myśli ludzką potęgę. MKB, Kevanie. Banki kontrolują wszystko. Boża łaska zapewnia nam przychyłność banków, dzięki czemu możemy transmitować nasze nabożeństwa na trzy kontynenty. Aby nadal cieszyć się tą łaską, by użyć jej w zbożnej sprawie, musimy walczyć o nasze udziały w rynku.

- Wywalczyliśmy już swój rynek. Już czas, aby zanieść dobrą nowinę ludziom na innych kontynentach.

- Kiedyś zaniemiemy. Ale zanim uwolnimy się od jarzma banków, musimy udawać głupców przed MKB. Bóg sprawdza w ten sposób moją gotowość do poprowadzenia całego świata ku Jego chwale. A czy MKB ufałoby nam, gdybyśmy szastali kredytami na wszystkie strony, rozdając pieniądze nieprzynależnym, czyli ludziom, którzy w ogóle nie istnieją dla rynku?

- Nie.

- A jeśli banki odmówiłyby nam kredytowania i utracilibyśmy płynność finansową, to czy moglibyśmy nadal szerzyć słowo Boże na ziemi?

Zapadła cisza, tylko wiatr wylł coraz głośniejsz.

- Jeżeli nasza korporacja upadnie - mówił dalej Fitz - jeśli przegra z silniejszym rywalem, na przykład z Džiha-dem, to tysiące małuczkich, którzy są nam wierni, upadną również. A z nimi twoja córka, krew z krwi, dziecko twojej Rachel. Wtedy również i ty, Kevanie, okrutnie zawiedziesz Pana.

Fitz wychylał się coraz bardziej, jakby zafascynowany otchłanią. Kevan stał przy samych drzwiach, opierając się plecami o szkło witraży - biała figura pośród feerii kolorów.

- Jestem pewien, że dostrzegasz maestrię Boskiego planu - powiedział Posłaniec. - Nie mogę ryzykować, zanim uwolnimy się od MKB. To byłaby zdrada Boga i naszych wiernych.

- Moglibyśmy przynajmniej rozdawać żywność z naszymi reklamami jako firmowe gratyfy...

- Cóż rzekłby Pan, widząc, że opuszczamy naszą owczarnię, Kevanie? Nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby ułamka udziałów w rynku. Czy audytorzy MKB pozwolą nam utrzymywać deficytowe zgromadzenie Sióstr Szczęścia? Co się stanie z Miriam? Z Deną?

Kevan pochylał głowę. Fitz triumfował, metamfa dodatkowo podbijała jego euforię.

- Musi być jakiś sposób, by pomóc nieprzynależnym - powiedział cicho Kevan. - Są tacy samotni, złamani, nieszczęśliwi... To nie w porządku, że nic dla nich nie robimy.

- Oczywiście. - Fitz obdarzył go najcieplejszym z uśmiechów. - Pomożemy im, gdy nadejdzie właściwa pora. Na razie uzdrawiamy. Zdobywamy rynek. Dajemy duchowe przewodnictwo wszystkim chrześcijanom na trzech kontynentach. Kiedy będziemy już pasterzami odpowiedniej liczby dusz, królestwo Boże na ziemi stanie się potężniejsze od MKB. Nie tylko uwolnimy się wówczas od wrogiej manipulacji, lecz także będziemy mieć największą na świecie, fanatyczną armię prawowiernych, która zmiażdży każdego bezbożnego przeciwnika. A jak możemy to osiągnąć...?

- Przyciągając ludzi do Pana - odparł Kevan z nadzieją w głosie.

- Właśnie tak. A uzdrowienia pomagają nam w cichej walce z MKB.

Kevan byłby świetnym męczennikiem, pomyślał Fitz. Najlepiej, gdyby zginął z ręki niewiernych, na przykład zabity przez Džihad. Da się zrobić.

Posłaniec uniósł dłoń i składając ją na kształt pistoletu, oddał „strzał” w kierunku transportera wojowników Allacha, wciąż stojącego w strefie.

- Gdy miecz błyszczący wyostrzę i wyrok wykona ma ręka, na swoich wrogach się pomszczę, odpłacę tym, którzy Mnie nienawidzą... - wyszeptał. - Każ podwoić strażę na poziomach jeden, dwa i trzy - rzucił w stronę Kevana, po czym ruszył do drzwi. - Niebawem ogłoszę największy z cudów.

- Miałaś wizję, panie?

- Mam wizję od dawna. Od bardzo dawna.

*

Fitz, samotny w swojej świątyni, wysunął duży panel kontrolny wmontowany w podwyższenie tronowe. Otworzył umieszczoną tam skrytkę i wyjął pojedynczy arkusz papieru. Uśmiechnął się, patrząc na podwójną helisę, logo korporacji Instivolve. Charyzma, pomyślał. Moc, za którą pójda tłumy. On sam będzie ojcem boskiego syna. Już wkrótce.

Nacisnął guzik i na wideościanę wróciły poranne ćwiczenia Sióstr.

Sunny i Miriam pochylały się nad siostrą Magdą. Fitz patrzył na dziwnie skrzycone ciało staruszki; rozpoznał wyraz potwornego bólu w jej oczach. Tak go to zaintrygowało, że aż przysiadł na brzegu tronu, chłonąc obraz.

Dena, długonoga, czarnowłosa siostra, niosła przestraszone dziecko; łagodnie uspokajała inne siostry, zupełnie jak jej ojciec.

Miriam wyprostowała nogi starowinki, Sunny podtrzymywała jej głowę. Oczy córki Fitz'a zamknęły się, oddech uspokoił. Bezgłośnie szepotała słowa niemej modlitwy. Dobra dziewczynka, pomyślał. Pokaż motłochowi, jaka jesteś współczująca i miłosierna. Tymczasem strach i ból opuścił twarz siostry Magdy. Staruszka wyglądała na spokojną, wyciszoną. Fitz wstał i podszedł do krawędzi podwyższenia.

- To niemożliwe... - wyszeptał. - Sunny nie mogła... W Instivolve twierdzili...

Miriam i Sunny pomogły wstać nieśmiało uśmiechniętej starej kobiecie.

Sunny nie mogła...! Fitzowi zrobiło się ciemno przed oczami. To musiała być ta wiedźma, Miriam. Nigdy nie chciała

opowiedzieć o swojej przeszłości wśród nie-przynależnych. O tym, co robiła przed przystąpieniem do Korporacji. A krążyły różne plotki.

O nie. To jednak musiał być Kevan.

Śmiejąc się, opadł na tron. Jak mógł tak dać się nabrać? Oczywiście. Kevan włączył uzdrowienie do ćwiczeń porannych, aby podnieść oglądalność i zdobyć jeszcze więcej udziałów w rynku. Specjalnie to zrobił, by zaskoczyć Fitz. Przecież przygotowywał tłuszczę na fakt, że Sunny zostanie dziewczyną matką. Tak naprawdę biodro staruchy wcale nie było złamane, a Sunny nie umiała cudownie leczyć. Jej geny zostały zmanipulowane tak, aby dać jej lepszy wygląd, charyzmę, siłę uwodzenia tłumów. A zresztą, przecież tak naprawdę nikt nie mógł cudownie leczyć. Fitz wiedział to najlepiej. Sam „leczył” niemal codziennie.

Kevan się z nim zabawił. Zapewne domyślił się, że Sunny to jedyny sukces programu „Mesjasz”. Jej siła przyciągania tłumów już za kilka lat będzie nieodparta. Ale nowy, prawdziwy zbawiciel dopiero miał nadejść. Kevan to wiedział. Czyżby naprawdę zakpił sobie z Fitz?

Nieważne. W przypadku męczennika najbardziej liczy się jego chwalebna śmierć, a nie to, co robił przed nią.

ROZDZIAŁ 5

- Echo - usłyszała myśl Syzyfa. - Zebrałem dwudziestu ludzi z ochrony Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych i przetransferowałem osobowości bojowe do pięćdziesięciorga czasowników. Pomoc przybędzie za kwadrans. Kierują się na sygnał twojej implantenki.

Echo spojrzała na zadbane trawnik otaczający podstawę Wieży Światłości. Wiedziała, że jest zaminowany. Jej wzrok powędrował w górę, po białych ścianach, aż do szczytu, na którym witraże sanktuarium Posłańca Bożego mieniły się wszystkimi barwami tęczy. Nawet kryjąc się za zrujnowanym murem, czuła się pewniej, patrząc na białą wieżę. Za nią straszły gruzy i szkielety budynków, które dla nieprzynależnych były domem. Cisza aż grała w uszach. Cisza przed burzą, przed nieuchronnie zbliżającą się bitwą.

- Gotowa, czasowniczo? - boleśnie wybuchł w jej uszach głos Raszida.

- Pułkowniku... - Odwróciła się do niego, patrząc przez opuszczoną przyłbicę. - Niech pan tego nie robi. Jestem tylko czasownikiem. Jestem...

Uniósł swój karabin plazmowy i zastukał ostrą lufą w plastmasę jej wizora. A potem wypowiedział komendę.

- Allah akbar!

Oślepiający, niebieski płomień wystrzelił z pobliskich ruin apteki i pognał w stronę głównych wrót Wieży. Ukryte działko wyrzucało wielkie, śmiertelne kule przegrzanych śrucin ceramicznych, ciągnące za sobą torusy białego, plazmowego ognia.

Biała ściana ugięła się i rozprysła miriadami drobin szkła, kamienia, metalu. Prerażona Echo patrzyła na dzieło zniszczenia. Nagle ręka w czarnej rękawicy pchnęła ją za murek. W samą porę, wieża zaczynała obronę.

Ciężkie panele uchyliły się, uwalniając falliczne kształty plazmowych dział i czarne igły laserów punktowych. Niebo eksplodowało niebieskim ogniem, przecinanym przez boleśnie oślepiające, stroboskopowe błyski laserów. Żołnierze Dzihadu kryli się wśród ruin, szukając pozycji do strzału, starając się zneutralizować którąś z instalacji obronnych wieży.

Ciężki ogień z dział i laserów wytworzył specyficzny mikroklimat, gęsty pył tańczył w nagłych podmuchach gorącego i zimnego wiatru. Gryząca woń ozonu mieszała się z intensywnym zapachem palonego białka, który Echo czuła mimo filtrów hełmu. Czasami któraś z szarych sylwetek kryjących się za górkami gruzu krzyczała krótko i przeraźliwie, zmieniając się w żywą pochodnię. Także tańczące tumany pyłu zajmowały się ogniem, ale w przeciwieństwie do ludzi nie gasły szybko - stając się kupkami popiołu - tylko rosły, karmiły się płomieniem, rozszalałe, płomienne anioły wściekle szukające ofiar.

Echo jęknęła, starając się schować, ukryć przed obrazem krawego chaosu.

- Ruszaj, czasowniczo! - usłyszała w uchu krzyk Raszida. Poczwała, jak szturchają pod żebro lufą karabinu.

Myśli przelatywały jej przez głowę jak szalone. Umrzeć jest łatwo. Uciec przed wypaleniem, przed Dzihadem, przed niepewnymi obietnicami Mathiasona. Wystarczy skulić się pod ścianą i czekać na błysk karabinu Raszida.

Poczwała żelazny uścisk rąk pułkownika na ramieniu i na udzie. Podniósł ją wysoko i po prostu przerzucił przez murek, prosto na zryty salwami zielony trawnik. Upadła twardo i boleśnie. Raszid wciąż stał, narażając się na trafienie - ponura, czarna sylweta na tle jasnego, porannego nieba.

- RUSZAJ! - krzyknął jego głos w słuchawkach kewla-rytowego hełmu.

Pobiegła. Świat wokół niej płonął. Nogi zakute w zbroję odpowiadały z opóźnieniem. Mięśnie paliły. Modliła się, by zdolności Marii Del Muerte pomogły jej w czymkolwiek.

- Zegnaj, Syzyfie - wysłała pospiesznie. - Wchodzę. Jakimś cudem dobiegła do podstawy Wieży. Tuż za nią Raszid z dwudziestką żołnierzy. Echo z trudem łapała oddech, wszędzie wokoło czuła ciężki odór śmierci.

- Nie jesteś takim tchórzem, żeby się poddawać - usłyszała śmiech pułkownika. - Starasz się z całych sił przeżyć, i to pomoże również moim ludziom.

Właśnie zbierała myśli, by rzucić mu w twarz właściwą odpowiedź, kiedy ziemia jęknęła i zadrżała. Deszcz

odłamków spadł na ich oddział. Główne wrota zniknęły, wewnątrz Wieży Światłości stało otworem.

Kolejna eksplozja targnęła okolicą. Stara apteka, w której ukryto działko Dżihadu, zmieniła się w monstrualną kulę białego ognia.

- Niech Allah powita ich w raju - zaszeptał głos w hełmie.

Raszid chwycił ją za rękę i pociągnął do rozbitego wejścia.

- Syzyfie! - wołała Echo rozpaczliwie. Cudze głosy w jej głowie szeptały głośniejsz, mruczały, aż wszystko utonęło w jednostajnym, ponurym pomruku tysiąca umysłów. - O Boże, Syzyfie! Zabierz mnie stąd!

- Spokojnie - odpowiedział znajomy głos. - Włamuję się przez łącze satelitarne, aby zneutralizować wewnętrzne systemy obronne Wieży.

Echo potknęła się i wpadła na Raszida.

- Nie pomagaj Dżihadowi, Syzyfie - wysłała przerażona. - Pomóż mi. Syzyfie, błagam cię, pomóż mi!

*

Głos Syzyfa, który słyszał Mathiason, jak zwykle nie zdradzał żadnych emocji.

- Wciąż ją odbieram, proszę pana. Jest jeszcze przytomna, ale walczy z coraz silniejszym migotaniem osobowości.

Czarny fotel Mathiasona uniósł się wyżej ponad konsolą sterowania. Starzec rzeźił i kaszłał przy każdym oddechu, ale jego pytania były wciąż zimne i precyzyjne:

- Monitorujesz przebieg bitwy?

- Z kamer obydwu stron.

- Zakodowane kanały również?

- Dostarczone przez pana oprogramowanie MKB rozkodowuje wszystko.

Syzyf przyjrzał się uważnie ciału Herringtona; ucieszyły go widoczne na twarzy grymasy bólu.

Nagle wróciło do niego wspomnienie z czasów, kiedy on też miał ciało. Z czasów przed Wojnami. Szedł razem z Marią i młodym, silnym Herringtonem Mathiasonem wzdłuż szeregu obrazów i rzeźb w galerii sztuki nowoczesnej. Pokręcone, dziwaczne twarze, upiorne, skrzywione sylwetki doprowadziły Marię do łez. Te dzieła chorej sztuki, zrodzone w umysłach anonimowych artystów, były odbiciem tego, co działo się na świecie. Walk o żywność, o zasady, bitew z coraz to nowymi epidemiami wirusowymi i bakteryjnymi. Tego wszystkiego, co wkrótce miało wybuchnąć z potworną siłą i zapisać się w kronikach ludzkości pod nazwą Wojen Przeludnieniowych.

Herrington martwił się wówczas tylko o to, jak wiele przestrzeni marnuje się na całkowicie bezużyteczną, jego zdaniem, sztukę. Wierzył tylko w zysk i stratę, gardził egalitaryzmem. Był żarliwym wyznawcą społecznego darwinizmu. Wtedy różnice zdań były tylko pretekstem do dyskusji, a nie sprawą życia i śmierci. A potem przyszły Wojny.

Patrząc na Mathiasona, Syzyf uśmiechnął się w duchu, starzec sam wyglądał dziś nie lepiej niż najbardziej groteskowe dzieła przedwojennych artystów.

- Gdzie ona jest? - wysyczał prezes. Jego głos zdradzał niepokój.

- Echo 5127 znajduje się w Wieży - odpowiedział Syzyf. - Wojownicy Dżihadu przebijają się przez główny hol. Analizy komputerów Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan sugerują, że napastnicy kierują się w stronę wind. Echo wskazuje im drogę przez obszary nieobjęte ogniem automatycznym. Posuwa się do przodu, ale ma znikome szanse przeżycia.

- Nasi najemnicy?

- Nie zdążą. - Syzyf poczuł prawie fizyczny ból, wypowiadając te słowa. Omiótł elektronicznym wzrokiem sterylny bunkier swego brata. W ułamku sekundy zestawiał i przeanalizował dane z dziesiątków czujników: raporty systemu podtrzymywania życia ukrytego w czarnym fotelu, skład powietrza w bunkrze, najnowsze dane z przebiegu bitwy, subtelne wahnięcia mocy w Wieży i w centrali Usług Tymczasowych. Szukał jakiegokolwiek znaku, że umierające ciało Mathiasona zaczyna się poddawać, że jego umęczony umysł traci oparcie w świecie materialnym. To dawałoby Syzyfowi szansę użycia jedynej broni, którą pozostawiło mu korporacyjne warunkowanie - manipulacji. Nie mógł zaatakować Mathiasona, ale mógł pokierować nim tak, by prezes sam doprowadził się do zagłady.

- Chcę ją mieć tutaj, Syzyfie. Całą i zdrową. - Jakby potwierdzając jego nadzieje, starzec oddychał coraz ciężej. - Włam się do ich satelity. Wyłącz wszystkie instalacje obronne Wieży.

- Nic z tego, proszę pana. Próbowałem. Bramki są zbyt dobrze strzeżone, nie mogę dostać się do systemów militarnych.

- Dostarczyłem ci przecież kody dostępu od MKB!

- To nie wystarczy. System Wieży działa teraz autonomicznie, odcięto wszystkie połączenia z Siecią.

Bryła czarnego fotela zaczęła niespokojnie krążyć po pomieszczeniu.

- Masz ją stamtąd wyciągnąć! - syknął Mathiason, zatrzymując się wreszcie przed mikrofonem. - Natychmiast, póki mam jeszcze czas. Ona jest moją jedyną krewną. Jej DNA ma najwyższą zgodność z moim.

Jego fotel znów rozpoczął nerwowe okrążanie konsoli. Sekunda po sekundzie, chwila po chwili. Skwantowana wieczność dla Syzyfa.

Był do tego przyzwyczajony, wiedział, jak sobie radzić. Nauczył się liczyć nanosekundy w zimnym bezczasie Sieci. Podłączał się do losowych źródeł danych, czekając na kluczową decyzję Mathiasona. Przejrzał elektroniczne księgi rachunkowe kilku oddziałów Korporacji, w czasie gdy jego brat wolno zamykał powieki. Zebrał i skoordynował dane dla siedemnastu zespołów analityków systemowych, gdy Mathiason oparł się o zagłówek fotela.

Wreszcie Mathiason przemówił, nie otwierając oczu:

- Daj mi bezpośrednie połączenie z Rolandem Fitzgeraldem.

*

Kevan biegł po wypolerowanej, czarnej posadzce sanktuarium Fitz'a, adrenalina grała w jego żyłach. Wokół rozbrzmiewały dźwięki syren alarmowych. Syk zamykanych drzwi za plecami Kevana oznaczał ostateczne odseparowanie świątyni od reszty Wieży.

Brigham próbował złapać oddech. Wideościana przedstawiała krwawy obraz toczącej się na dole bitwy, z różnych kamer i ujęć. W holu na dole ubrani na biało strażnicy walczyli wręcz z wojownikami odzianymi w czarne zbroje.

Na zewnątrz wieży widok był jeszcze bardziej przerażający. Na zielonym trawniku leżały ciała, wiele ciał. Ogromną większość stanowili cywile: wierni oraz nie-przynależni, którzy mieli nieszczęście dostać się w krzyżowy ogień. Kevan odwrócił się od szokującego obrazu i spojrzał na Posłańca.

Fitz wydawał się być spokojny na swoim miękkim tronie. Tylko jego oczy biegały po wirtualnych ekranach wideościany, palce błędziły po przyciskach konsoli.

- Przejmij kontrolę systemów wewnętrznych - powiedział poważnym, niskim głosem. - Ja trzymam ich na zewnętrznych. Kilku się przedarło.

Kevan usiadł przy drugiej konsoli, wysuniętej z posadzki tuż obok.

- Jak wielu? - zapytał.

- Dwudziestu sześciu jest w holu - odparł Fitz, patrząc na ekrany. - Resztę trzymam na dystans. Mieli działko plazmowe. Nawet dwa razy udało im się wystrzelić - zaśmiał się.

Kevan założył komunikator i podłączył się do wewnętrznej sieci obronnej Wieży. Przejął kontrolę nad laserami punktowymi korytarzy na poziomie zerowym. Wyćwiczonymi ruchami sprawnie wodził czerwoną plamką po ścianach i sklepieniach, sprawdzając celność za pomocą holoprojektacji konsoli. Wszedł teraz w rolę, której najbardziej nienawidził. Srogiego anioła zemsty, zbrojnego ramienia korporacyjnej maszyny.

- Nie pozwól im przedostać się do wind i schodów - powiedział Fitz.

- Nie pozwolę - odparł Kevan z niewzruszoną pewnością.

*

Rozkaz Mathiasona bardzo zdziwił Syzyfa. Nawet kiedy prezes walczył przeciwko ruchowi oporu, przeciwko swojemu bratu, zawsze starał się ukrywać tożsamość. W pełnym świetle ukazywał się wyłącznie po wszystkim, w chwilach triumfu. Nie chciał oficjalnie firmować swoim nazwiskiem niczego, co teoretycznie mogło się nie powieść. Nie lubił ponosić odpowiedzialności za porażki. Swoje bitwy wygrywał zwykle cudzymi rękami.

- Wielebny Fitzgeraldzie, straciliśmy pracowniczkę klasy Echo - powiedział starzec natychmiast po otwarciu połączenia.

- Przykro mi, panie Mathiason, ale mam w tej chwili znacznie pilniejsze sprawy. Czy moglibyśmy porozmawiać o tym później...

- Ostatnio widziano ją na waszym terenie w towarzystwie żołnierzy Dżihadu - przerwał mu Mathiason. Cisza. Wahanie, zastanowienie. Syzyf umiał czytać pauzy w rozmowie tak, jak zwykli ludzie czytali mowę ciała. Mathiason wygrał dla siebie uwagę Posłańca Bożego.

- Proszę mówić dalej.

- Były pewne problemy techniczne z jej transferem - zaczął ostrożnie Mathiason. - Dziewczyna może być w dużym niebezpieczeństwie. Jestem pewien, że jako duszpasterz swoich ludzi rozumie pan mój niepokój.

- Ależ oczywiście, panie Mathiason. - Głos Fitz'a ociekał ironią. - Doskonale rozumiem pańskie troski. Korporacja Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan zrobi wszystko co w jej mocy, aby odzyskać pańską zagubioną owieczkę. A teraz wybaczy pan, ale muszę...

- Wielebny Fitzgeraldzie, chciałbym podkreślić, jak bardzo zależy nam na tej pracowniczce. Możemy zaproponować wysoką nagrodę za jej bezpieczny powrót. Wiem, że pomogłoby nam pan tylko ze względu na zbożne przekonania, ale byłbym niepokieszony, nie mogąc zaoferować sowitej donacji dla Kościoła za pańskie wysiłki.

- Nasza wiara nakazuje pomagać bliźnim w potrzebie - odparł zaintrygowany Fitz. - Ale przyjmujemy dar dobrej woli, jeżeli Usługi Tymczasowe będą nalegać. W tej chwili jesteśmy jednak zaangażowani w konfrontację z Dżihadem, więc jak pan widzi...

- Widzę. I podejrzewam, że właśnie atakujący was oddział Dżihadu porwał naszą pracowniczkę.

- Niezmiernie przykro mi to słyszeć - odpowiedział Fitz z udawaną troską w głosie. - W takim razie może już nie żyć. Bronimy się, używając wszystkich środków. Jeżeli kobieta jest z nimi, jest dla nas potencjalnym celem.

- Zakłócenia w pracy jej mózgu mogły sprawić, że zaangażowała się czynnie w atak przeciwko wam. W zasadzie kontaktują się z panem, by was ostrzec.

- Dziękuję za troskę. - Syzyf wyczuł sarkazm w głosie Posłańca, Mathiason pewnie też. Sprawdził ostatnią telemetrię z implantenki Echa. Wciąż żyła. Była przerażona, ale żywa.

Gdyby nie chodziło o bezpieczeństwo Echa, Syzyf roześmiałby się, słuchając komedii rozgrywanej między dwoma rozmówcami. Obaj kłamali, kręcili, jednocześnie udając, że wierzą we wszystkie słowa interlokutora. Ale tak właśnie Herrington Mathiason doszedł do władzy. Jego chora etyka i niewątpliwy zmysł polityczny pozwalały na granie

chytrymi kłamstwami jak prawdami objawionymi. Umiał zmanipulować swych przeciwników tak, by wierzyli, iż właśnie to, co robią, jest optymalne dla nich samych.

- Jeżeli nasza pracowniczka zostanie schwytana - mówił Mathiason - to nasza korporacja hojnie wynagrodzi osobę lub organizację, która się do tego przyczyni.

- Dlaczego? - zapytał Fitz.

- Ta czasowniczka przenosi cenne informacje. Zależy nam na ich odzyskaniu.

Fitz milczał. Syzyf zaniepokoił się; główny kapłan Korporacji Chrześcijańskich nie był pierwszym lepszym pionkiem, którego Mathiason mógłby sobie zrobić. Fitz był wyjątkowy. Jego firma przenikała obszary działalności innych korporacji. Mógł nawet przyciągnąć nieprzynależnych. Kontrolował większą część rynku religijnego. Jeżeli chodzi o rząd dusz i umysłów, Kościół był równie potężny, co Usługi Tymczasowe.

Mathiason miał w ręku kontynent, bo kontrolował praktycznie całą wykwalifikowaną siłę roboczą w domenie MKB. Ale Fitz kontrolował dusze, nawet dusze czasowników, megalomańskie ambicje Posłańca czyniły go nieprzewidywalnym przeciwnikiem.

- Mamy za mało ludzi, żeby aktywnie szukać waszej zagubionej owieczki. - Zimny głos Fitz'a potwierdził obawy Syzyfa.

- Panie Fitzgerald... Nie rozumie pan, jak ważna może być ta kobieta dla interesów mojej korporacji i dla pańskiego bezpieczeństwa. Powtarzam: oferujemy za nią sowitą nagrodę.

- Czy to ma być groźba? - wyszczał gniewnie Fitz. - A może próba przekupstwa? Czy to MKB wysłało pana, aby mnie podjudzać? - Po chwili podjął już spokojniejszym tonem: - Panie Mathiason, zawsze myślałem, że jesteś ulepiony z tej samej gliny. Że jest pan człowiekiem czynu i twardych zasad. Nie podejrzewałem, że może pan występować jako wysłannik szatana. Mamy wszystko, czego nam potrzeba. Jedynym moim niespełnionym pragnieniem jest pozbycie się tych zakutych w czerń siepaczy z piekła rodem.

- W takim razie - wtrącił się szybko Mathiason - może zainteresowałaby pana możliwość nieodpłatnego skorzystania z usług oddziału profesjonalnych najemników?

Cisza. Z każdą sekundą Syzyf coraz bardziej bał się o Echo. Z każdą sekundą bitwa w Wieży stawała się bardziej krwawa.

- Panie Fitzgerald - odparł Mathiason łagodnie. - Według naszych danych, w pańskiej centrali znajduje się ponad tysiąc naszych pracowników tymczasowych.

- Jak śmiesz grozić Bogu! - wybuchnął Fitz.

- To nie groźba, panie Fitzgerald, tylko... Połączenie zostało przerwane. Mathiason uśmiechnął się szeroko.

- Syzyfie, odetnij wszystkich czasowników w Wieży Światłości.

- Proszę pana, Korporacja Chrześcijańska nie używa czasowników do działań bojowych.

- Nieważne. Pięciosekundowe odłączenie, potem podłącz z powrotem.

- Tak jest. - Aha, Syzyfie? - Tak?

- Wszystkich z wyjątkiem Echa 5127. - Tak jest.

Syzyf wykonał rozkaz. Słyszał nagłą, upiorną ciszę, jaka zapadła w całych segmentach Sieci, kiedy ponad tysiąc czasowników w tej samej chwili przerwało pracę. Medycy, łącznościowcy, informatycy, technicy, a nawet specjaliści klasy Echo. Wszyscy w tej samej sekundzie wykonali krok wstecz, opuszczając ręce wzdłuż tułowia. Mieli pozostać w tej pozycji aż do nadejścia sygnału powtórnego podłączenia. Syzyf wiedział, z własnego doświadczenia, że próby zwalczania warunkowania korporacyjnego na własną rękę były z góry skazane na porażkę. Ciało było silniejsze od woli, oczy zaszklily się, twarze obwisły jak gumowe maski, ręce wisiały bezradnie. Praca zamarła.

*

Kevan słuchał głosów krzyczących w mikrosluchawce. Strach i adrenalina przyspieszyły ruchy jego rąk po holo-projeckji konsoli. Słyszał odległy głos Rolanda Fitzgeralda, ale był zbyt zaabsorbowany walką, by rozróżnić słowa. Brigham dziwił się szaleństwu grupki czarnych żołnierzy, przebijających się przez hol. Żaden z dwudziestu sześciu nie przeżyje ataku. Otworzył ogień.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież weszli do budynku, co samo w sobie było praktycznie niemożliwe. Już to wystarczyłoby, aby ludzie ci stali się legendą swojej firmy, i nie tylko jej. Tymczasem niemal doszli do schodów prowadzących na piętra. Jeśli udałoby się im przedostać do wind i dalej, powyżej poziomu trzeciego, to bitwa zmieniłaby się w walkę o przetrwanie mieszkańców Wieży.

Fitz umilkł. Brigham odwrócił się, by spojrzeć na niego. Posłaniec ze złością potrząsnął głową; jego twarz była bordowa.

- Odplącę tym, którzy mnie nienawidzą! Upoję krwią moje strzały, mój miecz napasie się mięsem, krwią poległych i uprowadzonych, głowami dowódców nieprzyjacielskich! - krzyknął. - Zabij wszystkich. Zabij tę, która nie nosi broni. Albowiem ona jest córką szatana, która przywiodła bezbożnych do naszej świątyni!

Kevan starał się skupić na obrazie pola walki. Czarny hełm wychynał zza sterty białego gruzu; żołnierz wstał i pobiegł. Kolor zbroi czynił go cieniem biegnącym wśród płomieni ku centrum budynku. Kevan liczył punktowym światłem autocelownika jego napierśnik. Wyćwiczonym ruchem Brigham wybrał jeden z laserów umieszczonych na ścianach: niemal niedostrzegalny, czerwony błysk uderzył w czarną zbroję. Żołnierz nie upadł od razu; jego rozpedzone nogi zrobiły jeszcze dwa nieskładne kroki, zanim runął martwy na posadzkę.

- Jeden - powiedział Kevan, odsuwając się od konsoli.

- Zability! Chwalmy Pana! - Fitz pomachał mu ręką. - Demony szarpią nas, o Boże. Pogrom je swoim świętym ogniem, a my sprawimy, by zgięły kolana i oddały Ci pokłon!

- Na rany Boga, czego oni chcą? - krzyknął Kevan, wciąż patrząc na swoją pierwszą ofiarę. - Czemu się nie wycofują? Przecież nie mają szans!

Jego palce podjęły śmiertelny taniec po holoprojektacji.

- Dwa - powiedział po chwili zdławionym głosem. Fitz dalej biegał po sanktuarium, wołając głośno:

- Umrą z woli Boga i z ręki Posłańca Bożego! Przybyli, aby zabić wybrańca. Tymczasem ja wysłę ich w miejsce ciemności, gdzie z dala od miłości Pana rozpaczają nad swym losem w ogniu podsycanym przez Lucyfera i jego anioły!

- Jest jedna bez broni - powiedział Kevan, patrząc na sylwetkę niskiej wojowniczkę, kryjącej się wśród resztek wrót wejściowych.

- Zabij ją!

Kevan namierzył kobietę i wystrzelił. Kule plazmy i promienie laserów zatańczyły na ścianach i posadzce; powietrze wybuchło wokół niej. Kiedy płomienie przygasły, okazało się, że wojowniczka nie została nawet drażnięta. Dalej posuwała się wśród gruzu, jakby w ogóle nie zauważyła ataku.

Kevan sprawdził system naprowadzający, łączy laserów, swoją konsolę. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Spróbował wszystkich laserów po kolei, kierując je na wolno czołgającą się sylwetkę. Płamka autocelownika mierzyła dokładnie między łopatki kobiety. Strzelał raz za razem. Każda salwa wypalała dziurę w posadzce, nie mniej niż metr od kobiety. Żadna nawet jej nie drasnęła.

Mikrosłuchawka w uchu Kevana skrzeknęła dziwnie i w jednej chwili wybuchła kakofonią tysięcy głosów.

- Opuścić kanał! Wyłączyć się! To jest linia priorytetu zerowego! - wrzeszczał do mikrofonu; krzyknął do Fitz: - Komunikatory siadły! Mamy kłopoty!

- Nieważne. - Euforia w głosie Posłańca sprawiła, że Kevana przeszły ciarki. - Wrogowie zesłali na nas przekleństwo Wieży Babel, ale Bóg przewidział to w swej mądrości. Zwyciężymy.

Kevan wsłuchał się w krzyki na linii: wszyscy prosili o pomoc; każdy czasownik w Wieży zaprzestał swojej pracy.

- To strąk, panie! - zrozumiał Kevan. - Zostaliśmy opuszczeni przez własnych czasowników! Nie możemy dalej walczyć. Tracimy nadzór nad dystrybucją energii, łączność, opiekę medyczną dla rannych!

Twarz Fitz'a zbladła w jednej chwili. Przemówił cicho do swego mikrofonu.

Kakofonią ucichła.

Kevan wrócił do obrazu bitwy na dole: nieliczni żołnierze chrześcijańscy wciąż bronili holu. Czarni wojownicy przemykali pod ścianą, prowadzeni przez kobietę nienioszącą broni. Kevan namierzył ją ponownie i strzelił. Wybuch nawet nie musnął szeregu żołnierzy.

- Mamy problem, panie Fitzgerald - powiedział głośno.

- Zostaw to Panu, bracie. - Zły śmiech Fitz'a odbijał się echem pod kopułą sanktuarium. Posłaniec z pasją rzucił się na kontrolki zewnętrznych instalacji obronnych i przejechał szeroką serią po przedpolu Wieży.

Kevan zobaczył żołnierzy Dżihadu. A z nimi niewinnych nieprzynależnych, skręcających się z bólu na chodniku.

- Mamy problem - powtórzył, przełknąwszy ślinę. - Namierzam intruzów, ale nie jestem w stanie ich trafić.

Kiedy spojrzął ponownie na hol, dostrzegł tylko gruz, krew i szczątki kilku żołnierzy Dżihadu.

- Nie ma ich - powiedział.

- No i świetnie! Chodź tu i pomóż mi z obroną przedpola.

- Nie, nie chodzi o to, że nie żyją. Zniknęli. Przeszukuję pobliskie korytarze.

- Nikt nie ukryje się przed surowym wzrokiem Pana! - zawołał Fitz. - Znajdź ich!

- Cztery ciała w holu - odparł Kevan, starając się zapanować nad nudnościami. - Nie ma wśród nich kobiety.

- Czyli wciąż żyje? Kevanie!

- Mam ich! Są w korytarzu przy schodach na poziom trzeci.

- Kobieta?

- Jest z nimi. Prowadzi. Nie mogę ich trafić, w jakiś sposób neutralizują obronę.

Wściekłość Fitz'a eksplodowała w jednym słowie, wyplutym jak przekleństwo:

- Mathiason!

- Panie? - spytał niepewnie Kevin.

- Zapłaci mi za to życiem! - zawył Posłaniec. - Przygwoźdź tę zdrażnicę. Zapędź w ślepy zaułek. Spróbuj ją wziąć żywcem. Resztę zabij. Jeżeli dojdą do wind na trzecim, zabij wszystkich. Nie pozwól im wjechać na górę!

ROZDZIAŁ 6

Po pięciu sekundach Syzyf wysłał polecenie wznowienia pracy, po czym zestawił Mathiasonowi połączenie z Fitzgeraldem.

- Zrozumiałem aluzję, poganinie - odezwał się Posłaniec. - Mów, czego chcesz.

- Chcę mojej pracowniczki - odparł Mathiason pewnym głosem.

- To już słyszałem. - Głos Fitz'a był pełen jadu. - O co ci naprawdę chodzi? Ostrzegam cię, zrób tę strajkową sztuczkę jeszcze raz, a porozmawiamy inaczej. Objawię prawowiernym, jak to szatan opętał dusze czasowników. Wywołam świętą wojnę przeciwko twojej korporacji; poruszę siły, którym nawet ty się nie oprzesz!

- W takim razie przyjdzie nam się spotkać w strefie negocjacji bojowych. - Syzyf musiał przyznać Mathiasonowi, że jego głos nawet nie zadrżał. - Wykonam zadanie, które zleciło mi MKB. Korzystając ze wsparcia środkami Konsorcjum, obrócę twój Kościół w perzynę, a z ciebie, jeśli przeżyjesz, uczynię bosonogiego kaznodzieję dla nieprzynależnych.

- Jestem prezesem Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. - Syzyf znał ten ton; Mathiason wierzył, że już wygrał. - Mam poparcie MKB we wszystkim, co robię. Jednym z zadań, które wypełniam w imieniu Konsorcjum, jest upewnienie się, by twoja firma nie zdobyła zdecydowanej dominacji na rynku.

- To nielegalne! - wybuchnął Fitz.

- Czy wydaje ci się, że mówisz do zaślinionego, pół-głupiego parafianina? Fitzgerald, nie oszukujmy się. Za szybko rośniesz w siłę. Twój Kościół zaczyna zagrażać rządowi MKB. Stanowisz dla bankierów o wiele większe niebezpieczeństwo niż rebelianci przed dwudziestu laty.

- Nie doczekasz ranka za te słowa...

- Z pewnością nie doczekam końca tygodnia, jeśli nie wykonani zadania.

Syzyf żałował, że nie może słyszeć myśli obu mężczyzn. Mógł jednak wychwytywać subtelne wahania tonu, oddechu, rytmu serca. Umiał z tego wiele wyczytać.

- Niech ci będzie, żywy trupie - wyszczał Fitz. - Czego naprawdę chcesz? I co mi za to zaoferujesz?

- Już ci powiedziałem, jakie są plany MKB. Samo to ostrzeżenie jest wiele warte.

- Nie dowiedziałem się niczego nowego. Twoja informacja była bezwartościowa.

- Najlepsi najemnicy klasy Echo. Z pewnych źródeł wiem, że mogliby się przydać.

- Będzie już po wszystkim, zanim tu dotrą.

- Są już w drodze, przetransferowani i w pełni wyposażeni. - Głos Mathiasona był łagodny, gładki, niemal śliski. - Czekają tylko na rozkaz wkroczenia do walki po twojej stronie.

- Wiele ryzykujesz dla jednej marionetki.

- Chcę pracowniczki Echo 5127 - odparł starzec spokojnie. - Całej i zdrowej.

- A jeśli się zgodzę?

- Jeśli się zgodzisz, dostarczę ci informacji pozwalających na urwanie się ze smyczy MKB. Wspomogę cię zasobami Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych w dziele wybawiania twoich ludzi z bankowego domu niewoli.

- Dasz mi to na piśmie?

Głośny, skrzeczący śmiech Mathiasona skończył się ciężkim, rżącym kaszlem. Fitz milczał, czekając, aż starzec ucichnie.

- Przyślij mi wszelkie informacje i dane potrzebne do zidentyfikowania twojej pracowniczki - powiedział wreszcie.

- W tej chwili.

Syzyf zamknął połączenie, przesławszy dane Echa, po czym odezwał się głośno:

- Łamię pan kodeks korporacyjny i obowiązujące regulacje Międzynarodowego Konsorcjum Bankowego. W interesie naszej firmy ostrzegam pana, że planowane działania będą mieć ujemny wpływ na wartość Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych, jak również na nasze udziały w rynku.

- Syzyfie... - westchnął Mathiason, oddalając się na swym latającym fotelu od konsoli. - Ja właśnie ratuję Korporację. Ratuję ciebie. Pośrednio pomagam także MKB. Poza tym, nic a nic nie obchodzi mnie twoja opinia. Czarny fotel, sycząc, przemieścił się w stronę wyjścia.

- Poszukaj innego dawcy z odpowiednim poziomem zgodności - rzucił jeszcze Mathiason. - Jeżeli nic nie wyjdzie z układu z Fitzem, trzeba będzie zaryzykować.

Nadzieja, która tliła się w Syzyfie, gwałtownie zapłonęła. Herrington Mathiason nie był pewny, czyjego plan zadziała. Bał się o życie, a Syzyf mógł zwrócić ten strach przeciwko niemu. Ale jeżeli znajdzie innego dawcę... Echo będzie zgubiona.

- Tak jest - odpowiedział beznamiętnym głosem.

*

Ostatni obrońcy trzeciego poziomu zmienili się w dymiące kupki popiołu i spalonego ludzkiego mięsa.

Raszid osiągnął coś niespotykanego od czasów słynnych samobójczych rajdów, z których słynęły Wojny Przeludnieniowe. Mimo obojętności przerażenia Echo czuła coś w rodzaju podziwu dla pułkownika i jego ludzi, którzy z determinacją parli przed siebie w labirynt śmierci. Pojęła nawet okrutną logikę Raszida, który twierdził, że jej fizyczna obecność jest najlepszym ubezpieczeniem przeciwko ewentualnym przekłamaniom, jakie Usługi Tymczasowe mogłyby wprowadzić do zdobytych danych obronnych wieży. Każda pomyłka oznaczała śmierć dla niej samej.

Ostrożnie wspięła się po schodach. Liczne ciała spoczywały wokół drzwi windy. Niektóre w białych zbrojach, inne w czarnych. Jeszcze inne spalone na popiół. Raszid był święcie przekonany, że śmierć jest równie chwalebna, co zwycięstwo, i to dawało mu przewagę nad chrześcijanami. Ci ostatni bywali zbyt ostrożni; ostrożność oznaczała wahanie, a wahanie - śmierć.

Martwi żołnierze z obu stron oddali życie za ideały, których Echo nie pojmowała. Jej zależało tylko na spokoju,

cieplej kwaterze i niezakłóconym cyklu regeneracyjnym. Chciała wrócić tam, gdzie była pięć lat temu; miała wtedy spokój, bezpieczeństwo i bezproblemowe transfery. Chciała do domu.

Raszid pchnął ją do przodu, w stronę wind. Echo po raz kolejny zrozumiała, że może tylko iść naprzód lub zginąć.

*

- Proszę pana, przechwyciłem coś, co zapewne pana zainteresuje - rozległ się bezbarwny głos Syzyfa. - Transmisja z bojowego łącza Fitz.

- Czy kazałem ci monitorować ich kanały bojowe? Fotel Mathiasona zawisł nad centrum pomieszczenia.

- Rozkazał pan monitorować Echo 5127. Próbuję zdobyć informacje wszelkimi dostępnymi sposobami.

- Puszczaj! - sapnął Mathiason.

- Kevan, odetnij czasowniczkę od reszty i schwytaj - rozległ się w pokoju wibrujący głos Fitz.

- Mam ją na ekranach, ale nie mogę się do niej dostać.

- Zrań ją, Kevanie. Jeśli to niemożliwe, zabij. Ona jest ich przewodnikiem, usuniesz ją i reszta jest zgubiona.

Mathiason milczał; pomieszczenie wypełniały tylko odgłosy jego latającego fotela.

- Wiedziałem, że nie można ufać Fitzgeraldowi - powiedział wreszcie. - Znalazłeś alternatywnego dawcę?

- Tak jest. Ale jego zgodność dalece odbiega od tej wykazywanej przez Echo 5127.

- Szczegóły?

- Echo 7435. Mężczyzna, trzydzieści dwa lata, dwa miesiące do wypalenia. Nieświadomy swojego coraz gorszego stanu.

- Przyspieszyć wypalenie.

Zimne słowa Mathiasona skazywały na śmierć bez prawa do apelacji.

- To zajmie minimum trzy tygodnie - zaproponował Syzyf.

- Nie przeżyję trzech tygodni.

- To prawda, proszę pana.

- Podaj alternatywne rozwiązania.

- Pierwsze: natychmiast wyprowadzić Echo 5127 z pola walki. Drugie: dokonać ekstrakcji pańskiej osobowości do nośnika stałego, zanim znajdzie się dawca o odpowiedniej zgodności. Trzecie: zlecić budowę sztucznego ciała.

Czwarte: oddzielić pańską głowę i podłączyć do systemów podtrzymujących życie. Piąte: umieścić pana w komorze krionicznej.

- Chcę Echa 5127! - zaskrzeczał Mathiason, trzęsąc się w fotelu.

Niektóre z zaproponowanych rozwiązań mogły przedłużyć życie prezesa, ale żadne z nich nie pozwalało mu zachować pełnej kontroli nad procesem transferu osobowości. Już sam fakt powstrzyma go przed wybraniem takiej alternatywy. Poza tym, Echo 5127 była jego krewną. Jej struktura neuralna była optymalna dla Mathiasona.

- Zaprezentowane rozwiązania nie gwarantują największego prawdopodobieństwa sukcesu - mówił Syzyf, grając na desperacji brata. - Potrzebujemy Echa 5127. Musimy wyprowadzić ją bezpiecznie z terenu objętego walkami, zanim miną pozostałe jej czterdzieści dwie godziny. Być może sytuacja rozwinie się, prezentując nowe możliwości.

Mathiason zamyślił się nad problemem wydostania Echa z Wieży. Dokładnie tak, jak chciał Syzyf.

- Moglibyśmy zastosować ograniczony transfer specjalistycznego zestawu zdolności, aby zwiększyć jej szansę - zasugerował prezesowi.

- Oceń prawdopodobieństwo powodzenia transferu zdolności najemnika.

Syzyf zrobił pauzę wystarczająco długą, by Mathiason uznał, że przelicza szansę.

- Kolaps neuralny i katatonja - odparł bezbarwnym tonem.

- Zginąłem. - W świszczącym głosie Mathiasona pobrzmiwała desperacja. - Nawet jeżeli dożyję do końca tygodnia, MKB będzie drażyć. Nie zajmie im wiele czasu skończenie ze mną.

Syzyf nie mógł się powstrzymać

- Końcowy efekt i tak będzie identyczny.

W ciszy, która zapadła, Syzyf chciał wykrzyknąć Mathiasonowi w twarz rozwiązanie. Nie mógł tego zrobić: prezes musiał pozostać w przekonaniu, że coś takiego leży daleko poza zasięgiem możliwości Syzyfa. Wreszcie, po długim milczeniu, Mathiason odezwał się:

- A jeśli użylibyśmy transferu, którego część już w niej siedzi? Czyjej struktura neuralna przyjęłaby go lepiej niż zupełnie nowy transfer?

- Proszę sprecyzować pytanie.

- Mamy osobowość Marii Del Muerte, od niej pochodzą zdolności hakerskie używane obecnie przez Echo. Co jeśli przerzucilibyśmy resztę? Albo przynajmniej zdolności bojowe?

Syzyf wydał z siebie niemy ryk triumfu.

- Im transfer bliższy aktualnemu stanowi struktury, tym większa szansa powodzenia. Nie powinniśmy wydzielać kolejnych zestawów zdolności. To rodziłoby zbędne ryzyko. Bezpieczniej będzie przetransferować całą osobowość, to spowoduje zminimalizowanie konfliktów.

- To niemożliwe.

- Taka jest teoria, proszę pana.

- Jeżeli... byśmy to zrobili... - zastanawiał się głośno

Mathiason, a Syzyf aż drżał z niecierpliwości. - Maria nie była tylko hakerką. Kiedy zaczęły się Wojny, to ona

organizowała ruch oporu przeciwko korporacjom. Była najlepszą, najsprytniejszą i najgroźniejszą partyzantką. Generałem Nowej Republiki.

Nie zapomnij, że była też wspaniałą, kochającą matką, pomyślał Syzyf. Lojalną, wierną i mądrą żoną. Tych spraw nigdy nie zrozumiesz. A to one będą się liczyć na końcu czasu.

- Zdolności hakerskie nabyła podczas studiów neuro-cyberfizjologii - ciągnął Mathiason. - To ona cię stworzyła, Syzyfie.

- Maria Del Muerte?

- Maria Mathiason, matka Echa 5127.

Syzyf pamiętał. Z wielkim żalem wspominał to, co zrobili jemu - i płonął gniewem na wspomnienie tego, co uczynili jej. Zmusili ją, aby przedzierzgnęła go w niewolnika bez ciała, ale nie w bezwolną maszynę.

- Tak bliskie pokrewieństwo zwiększa szansę sukcesu - powiedział beznamiętnie. - 5127 powinna przyjąć transfer bez konfliktów.

- Nawet zmusiliśmy tę sukę, by pracowała dla nas nad projektem Echo - uśmiechnął się Mathiason, nie słuchając.

Tak było. Maria stworzyła pracowników klasy Echo i utwierdziła hegemonię Mathiasona nad Korporacją. A wtedy on ją zamordował, ekstrahując cenną osobowość do przyszłego wykorzystania. Syzyf oglądał potem zapis wideo tej ekstrakcji. Słyszał, jak Maria wzywała go, coraz słabiej, zanim osunęła się w czarną otchłań pustki. Mathiason... kiedyś za to zapłaci.

- Wyślij transfer, Syzyfie - nakazał starzec, przerywając jego mroczne myśli.

- Nie mam pełnego profilu osobowości Marii Del Muerte - odezwał się ostrożnie.

- Ścieżka jest zastrzeżona. Kod dostępu: MariaMathiason-sisl/10698a.

-Tak jest.

To było wszystko, czego potrzebowałem, mój drogi bracie, pomyślał. Wszystko.

*

- Panie Fitzgerald - powiedział Kevan. - Są w korytarzu na trzecim. Zniszczyli większość naszych laserów, zanim zdążyłem ich użyć. Ogień działek automatycznych napastnicy bezbłędnie omijają. Czasowniczka musi znać parametry pół ostrzału.

Fitz odwrócił się od swojej konsoli i spojrzał poważnie na Kevana. Brigham poczuł, jak jeża mu się włosy na karku.

- Doszli do wind - powiedział Apostoł. - Wyłączyłem je.

Fitz skoczył naprzód przez swoje podwyższenie tronowe. Nachylił się nad konsolą Kevana; jego silnie cuchnący metamfą oddech sprawiał, że Brighamowi zrobiło się niedobrze.

- Włącz je z powrotem, bracie Kevanie - wyszeptał. - A kiedy ruszą w górę, zatrzymaj między piętrami. Weźmiemy żywcem czasowniczkę, a głowę Raszida wywiesimy w strefie bojowej dla RealITY.

Kevan spojrzał w mętne od narkotyku oczy Posłańca: twarz Fitz'a pulsowała krwią, strachem i euforią.

*

Syzyf poczuł słodki zapach bzu i świeżej, zimnej wody. Zapach ciepłej skóry jego żony. Ten sam, który kiedyś pozwolił mu odzyskać skradzione wspomnienia.

Powitał go z radością; w spokojnym oczekiwaniu na rychły, a nieuchronny upadek swego brata.

*

- Echo. - Głos Syzyfa był łagodny i kojący jak zwykle. - Pomogę ci.

- Jestem w oku cyklonu - odpowiedziała, wbiegając w otwarte drzwi windy. - Raszid mnie zabije, jeżeli nie poprowadzę ich dalej aż do serca Wieży. Chrześcijańscy żołnierze zabiją mnie, bo noszę niewłaściwy mundur. Głosy w mojej głowie zabijają mnie w końcu, bo przez nie tracę kontrolę i refleks. Jestem chodzącym trupem, Syzyfie!

- Nie bój się. Wszystko będzie dobrze.

Jego łagodny głos działał jak zimny okład przyłożony do rozpalonej rany.

- Daj spokój. - Echo oparła się plecami o plastdrewno pokrywające kabinę windy. Spojrzała na Raszida nadbiegającego korytarzem; wskazała pułkownikowi dwa otwierające się właśnie w ścianach gniazda karabinów plazmowych. Dwukrotnie rozbłysł pistolet smugowy i droga znów była bezpieczna.

- Jest sposób - odezwał się Syzyf. - Mam pozwolenie na dokonanie kolejnego transferu. To pomoże.

- Tak? Następny transfer oznacza dla mnie katatonię. - Oddział Raszida zbliżał się do windy. - I to będzie już koniec, niezależnie od tego, która ze stron ostatecznie mnie zabije.

- I tak w końcu to zrobią. Nie łudź się.

Ściana naprzeciw windy plunęła niebieskim ogniem. Jeden z żołnierzy był poza bezpieczną strefą: nie miał szans. Na podłogę upadła już tylko kupka dymiącego mięsa i spalonego plastiku. Echo z trudem powstrzymała nudności.

- Nie chcę, żebyś umarła - wyszeptał Syzyf. - Musisz mi uwierzyć. Zawsze mogłaś mi ufać, teraz też możesz.

- To samo mówił Mathiason.

- Masz szansę, aby wyjść z tego cało.

- Jeżeli Raszid dostanie, czego chce..., to być może tak.

- Naprawdę myślisz, że będzie mu jeszcze na tobie zależało, kiedy dostanie to, czego chce?
- To człowiek honoru.
Echo starała się wierzyć w to, co mówi.
- Posłuchaj sama siebie! - Głos Syzyfa brzmiał inaczej; był zdesperowany jak chyba nigdy przedtem. - Czy ty w ogóle dożyjesz chwili, w której będziesz się mogła o tym przekonać?!

Echo z trudem przełknęła ślinę.
- No dobrze - powiedziała z wahaniem. - Co możesz zrobić?
- Mogę przesłać ci zdolności znakomitego partyzanta.
- Nadpisanie osobowości może mnie zabić albo wypalić w jednej chwili!
- Nie będzie nadpisania. - Syzyf znów mówił łagodnie i miękko. - Masz już część tego profilu. Teraz zamierzam ci przesłać resztę Marii Del Muerte. Znałem tę kobietę i znam ciebie. Ona potrafi ci pomóc, jeżeli tylko jej pozwolisz.
Zabrział dzwonek i drzwi windy zamknęły się.

*

Kevan przejechał dłonią po twarzy.

- Nie mam kontroli nad windą ekspresową z poziomu trzeciego.
- To niemożliwe! - krzyknął Fitz, obracając się z fotelem w jego stronę. - Nie mogłaby... Kody dostępu do tego systemu regularnie się zmieniają!

Przed oczami Kevana przetoczyła się czarna przeszłość. Ciało jego żony na podartych, rozrzuconych koronkowych sukniach. Jej kasztanowe włosy rozsypane na podłodze. Ból, straszny ból w rękach podczas krzyżowania. Po prostu przyszli i zburzyli cały jego świat. Zniszczyli całe życie. Nie napotykał większego oporu.

Zupełnie jak ci tutaj żołnierze Dżihadu.
- Jak w ogóle zdołali dotrzeć tak daleko? - zapytał cicho.
- Specjalistyczne Usługi Tymczasowe nas zdradziły! -Fitz puścił kolejną szeroką serię z zewnętrznych dział, dopełniając apokalipsy przed budynkiem. - MKB kazało to zrobić Mathiasonowi. A on wykorzystał Dżihad do własnych celów. Przyszli tu po mnie!

Minęło trochę czasu, zanim się uspokoił. Zamrugał gwałtownie: nienaturalnie rozszerzone źrenice patrzyły wprost w duszę Kevana.
- Widzisz, jak to się układa? - powiedział spokojnie. - MKB boi się potęgi Pana. Dżihad chce śmierci Bożego Posłańca. A wszyscy oni chcieliby, abym jak najszybciej przeszedł do historii. Kevanie..., zatrzymaj natychmiast windy!

Brigham starał się skoncentrować, nie myśleć o dziwnych wahaniami emocji Fitz'a, nie myśleć o własnych wątpliwościach. Nie myśleć w ogóle. Wyłączył ho-loprojekcję bojową i przeszedł na podgląd sieci przeciwpożarowej budynku. Szybko przebiegał wzrokiem po schematach w poszukiwaniu jednego, kluczowego podsystemu.
- Mam ich! - oznajmił bezbarwnym głosem. - Użyłem blokad pożarowych, aby zatrzymać windę między poziomami pięćdziesiąt sześć i pięćdziesiąt siedem.
- Znakomicie, bracie Kevanie!
- Siedmioro jest w windzie. Kobieta z nimi. Wezwałem oddział z poziomu dziewięćdziesiątego piątego.
- Wrzucić granaty do szybu.
- Myślałem, że...
- Pan zdecydował osądzić ich dzisiaj... bez wyjątku. Nie oszczędzaj nikogo. Powiedz, kiedy będzie po wszystkim.

*

- Nie mogę teraz przyjąć transferu, Syzyfie - pomyślała Echo; winda spokojnie jechała w górę. - Muszę pozostać przytomna.

Wnętrze kabiny było ciche i czyste. Takie... normalne. Dziewczyna zamknęła oczy, starając się zapomnieć o stojących wokół czarnych żołnierzach. Przez chwilę udawała, że jedzie do swojej kwatery w centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Syzyf wyrwał ją z nietrwałej iluzji.

- Maria była moją żoną, zanim uczyniono mnie tym, czym jestem - wyszeptał. - Ona może ci pomóc.
Echo gwałtownie otworzyła oczy. Stała na wprost gładkiej przyłbicy Raszida. Czowała, że ten na nią patrzy.
Wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku. Syzyf był kiedyś człowiekiem! Nagle winda gwałtownie stanęła, dziewczyna z trudem utrzymała się na nogach. Dwóm żołnierzom to się nie udało i ciężko upadli na podłogę.
- Co się dzieje, czasowniczko? - usłyszała w słuchawce hełmu zdziwiony głos Raszida. - Twierdziłaś, że kontrolujesz windę, że dostęp z zewnątrz jest odcięty. Dlaczego stoimy?

Echo milczała. Oczyma duszy widziała ciemny szyb i dwa okrągłe, spadające obiekty. Granaty. Uwięzieni w kabinie byli łatwym celem.

- Kontrolowałam - odrzekła wreszcie, desperacko próbując sobie przypomnieć schematy instalacji i okablowania. - Powinniśmy jechać bez przeszkód. Syzyfie! - pomyślała z rozpaczą. - Zginęliśmy.

- Spokojnie. Pozwól mi pomóc.

Echo podniosła przyłbicę i spojrzała na pułkownika. Jej twarz krzywo odbijała się w gładkim wizorze.

- Proszę mi dać pański pistolet - powiedziała, starając się nie słyszeć huczących w głowie głosów.

Raszid nie odpowiedział, więc sięgnęła do jego kabury. Chwycił ją za nadgarstek. Momentalnie dwie lufy skierowały

się w jej pierś. Nawet kapral Yeats wycelował swoją broń w Echo.

Pułkownik wolno, ale zdecydowanie odepchnął jej rękę. Echo w duchu liczyła sekundy do eksplozji pierwszego granatu nad ich głowami.

Na znak Raszida żołnierze opuścili broń. Szybkim, niemal niedostrzeżanym ruchem pułkownik wyszarpnął pistolet z kabury i podał go dziewczynie.

Echo skierowała lufę na ściankę windy; promień gładko przeciął plastdrewno. Smród palonego tworzywa wypełnił kabinę.

Dziewczyna odczekała dziesięć uderzeń serca, po czym mocnym szarpnięciem odgięła rozprutą ściankę, odsłaniając zimną, betonową ścianę szybu.

- Pomóż mi wyjąć z tego rękę - zwróciła się do kaprala Yeatsa, oddając jednocześnie broń Raszidowi. Kapral zabrał się za rozpinanie twardego nałokietnika na jej prawym ramieniu; po chwili Echo mogła sięgnąć oswobodzoną ręką w ciemność.

Szukała palcami kabli. Pot spływał jej po skroni, skapu-jąc na czarny, kewlarytowy napierśnik. Zamknęła oczy; starała się skupić, przypomnieć sobie dokładnie wszystkie schematy konstrukcyjne. Odetchnęła głęboko.

Przed jej oczami przeleciały plany instalacji: abstrakcyjna, trójwymiarowa płatanina linii, symboli, znaków. Głaskała palcami ścianę, starając się znaleźć jakiś punkt odniesienia.

Palce trafiły na wiązkę trzech światłowodów. Kończyła się w metalowej skrzyneczce, tuż obok. Echo wyczuła w ciemności zimny metal, złapała go końcami palców i szarpnęła. Drżąca dłoń ześliznęła się z pudełka i niepewny chwyt puścił.

- Echo! - odezwał się Syzyf. - Pozwól mi...

- Zamknij się! - wysłała wściekłą myśl.

Ponownie sięgnęła w ciemność, starając się pewniej uchwycić skrzyneczkę. Ostre krawędzie skaleczyły jej palce. Strzepnęła z dłoni krew i pot, próbując jeszcze raz. Szarpnęła z całej siły.

Skrzyneczka z trzaskiem oderwała się od ściany. Echo poleciała do tyłu; w zakrwawionej i pociętej dłoni wciąż trzymała moduł awaryjnej instalacji przeciwpożarowej.

Winda stęknęła i ruszyła do góry. Kilku żołnierzy głośno odetchnęło.

- I po to właśnie cię zabrałem! - zaśmiał się Raszid.

Echo spojrzała na niego zaszkłonymi oczyma. Pułkownik już wydawał komendy wojownikom szykującym się do gorącego przyjęcia na docelowym piętrze.

- Maria może cię uratować... - zabrzmiał znowu głos Syzyfa.

- Mathiason miał rację - bezgłośnie odpowiedziała wyczerpana Echo. - Jestem już chodzącym trupem.

Żołnierze stali i klęczeli w pełnej gotowości, z granatami w dłoniach, z lufami skierowanymi na drzwi, które wkrótce miały się otworzyć.

Za drzwiami nie będzie przytulnych kwater pracowników klasy Echo. Będzie krew, łzy i śmierć.

- Syzyfie. - Echo przygryzła wargę. - Transferuj!

Wszystko utonęło w białym, oślepiającym świetle. Nawet szepczące głosy przygasty, ucichły. Odrzuciła głowę do tyłu, próbując uciec przed bolesnym blaskiem, ale on był wszędzie; zateksniła za mroczną ciemnością krawędzi. Poczuli nowy transfer wdzierający się do umęczonego umysłu; fala wymagowanego gorąca na skórze, tysiące obrazów przed oczyma. W lustrze stała kobieta podobna do niej, z rozbitym nosem i pokiereszowaną twarzą. Patrzyła na nią spokojnie dużymi, piwnymi oczyma. Za nią był półmrok sporego pomieszczenia, pod ścianami leżały skrzynie pełne broni.

Dziewczynka z włosami splecionymi w ciemny warkoczyk, o bursztynowych oczach, obejmowała różową, pluszową świnkę, siedząc na jednej ze skrzyń. Wizja rozmyła się, rozplynęła. Samochód. Szkoła. Zapach świeżo upieczonych ciasteczek. Wesoły żółty pies. Wojna.

Walka wręcz, wobec której strzelanina na lasery wyglądała jak czysty, estetyczny teatr. Płonące barykady na ulicach. Ludzie szlochający głośno pośród ulewnego deszczu. Ciała, ciała, ciała. Okaleczone, zwęglone, niekompletne. Jakby z nieba spadły tysiące szmacianych lalek.

Echo zakrzuszyła się odorem spalonego i gnijącego mięsa. Przez chwilę walczyła o oddech, a potem straciła przytomność.

*

- Jada w górę! -jęknął głośno Kevan.

- Przekłęci! - Fitz splunął na posadzkę wyzutą kapsułką metamfy. - Granaty do szybu! Zabić te diabły!

- Winda minęła już poziom dziewięćdziesiąty piąty -powiedział Brigham.

- Zatrzymaj ich!

- Sami się zatrzymali, na sto czterdziestym siódmym. W korytarzu trwa zażarta walka.

Kevan przełączył się szybko na instalację poziomu sto czterdziestego siódmego. Bez namysłu wypalił z działka plazmowego w biegnącą czarną sylwetkę; żołnierz Dziha-du został jeszcze trafiony trzema promieniami laserowymi, zanim upadł martwy na podłogę.

Na twarzy Rolanda Fitzgeralda malował się strach, ale i zaskoczenie. Fitz dotychczas zakładał, że atak jest skierowany bezpośrednio w niego.

- Zagazuj poziomy jeden, dwa i trzy! - warknął, patrząc na Kevana szeroko otwartymi oczyma. - Zagazuj szyby

wind. Nie pozwól poganom opuścić tego budynku.

Kevan zachwiał się. Na sto czterdziestym siódmym była jego córka, Dena, razem z Sunny Fitzgerald. Zwierzęce przerażenie otuliło go miękką, białą oponą; ledwo widział konsolę bojową; strach paraliżował wszystkie jego ruchy. W żołądka rosła mu wielka, ciężka kula.

- Panie... - wyszeptał. - Na trzech najniższych poziomach są setki ludzi.

- Wykonać. - Głos Fitz'a był zimny i twardy.

Kevan wyobraził sobie drobinki neurotoksyn rozpylane bezgłośnie przez klimatyzację. Wyobraził sobie wiernych Fitz'a, ludzi, którym on, Kevan Brigham, miał zapewnić pomoc i ochronę. Urzędników, żołnierzy, analityków giełdowych. Najpierw czują tylko lekkie pieczenie. Po chwili każdy ich nerw eksploduje potwornym, nieludzkim bólem, zwiną się na podłodze w męczarniach, krzycząc aż do zardęcia gardła, bijąc w podłogę nogami, drapiąc i szarpiąc skórę, paloną żywym ogniem. I tak umrą.

- Nie zrobię tego! - jęknął.

- Wykonać! - krzyknął Fitz. - Zrób to albo Dena zostanie niewolniczką Dżihadu na resztę swojego krótkiego życia!

- Dena... jest razem z Sunny. - Kevan spojrzał na niego z nadzieją.

Szalone, szkliste spojrzenie błyszczące od metamfy zdawało się mówić: zrób to albo sam zginiesz. Brigham popatrzył na swoje rozdygotane dłonie; niemal fizycznie poczuł wściekłość i nienawiść bijące od Fitz'a. Oto Posłaniec Boga nakazywał mu wymordować niewinnych ludzi, którzy nigdy nie sprzeciwili się ani jemu samemu, ani Kościołowi.

Czerwona kontrolka na holopanelu pulsowała jaskrawym światłem: wszystko było przygotowane. Kevan patrzył na swoją dłoń wolno unoszącą się w stronę czerwonego pola. Wreszcie jego palec zatrzymał się.

- Nie mogę - wyszeptał, po czym zwinął dłoń w pięść i wstał od konsoli.

Fitz zeskoczył ze swego podwyższenia; bez wahania uderzył w czerwony przycisk. Po chwili ukazał się komunikat: „Poziomy jeden - dwa - trzy sterylne”.

- Tchórz! - wysyczał Fitzgerald, patrząc zmrużonymi oczami na Kevana.

*

Raszid trzymał ogoloną głowę Echa w swoich wielkich dłoniach. Jej umęczona twarz zmieniła się: nie było już strachu ani rozpacz. Wyglądała na spokojną i zrelaksowaną. Zadumał się na chwilę: piękna, śpiąca kobieta.

Starł się rozpiąć jej napierśnik; nie zbudziła się. Tylko ciepły oddech zaparował jego czarne, kewlarytowe rękawice.

- Yeats, pomóż mi - rzucił Raszid. - Tak jest.

Razem udało im się zdjąć czarną zbroję. Znajdujący się pod nią uniform czasownika był brudny i przeпоcony.

- Dalej, dziewczyno. Nie umieraj mi tu. - Pułkownik potrząsnął nią delikatnie. - Udało się nam. Dotarliśmy.

Przez chwilę prawie zapomniał, czym była ta kobieta. Czasownicza. Żywy robot o ograniczonej liczbie możliwych wymian oprogramowania.

Wypalenie.

Jeżeli odeszła, to już nie wróci. Jej ciało nie umarło, ale dusza nie znajdzie ukojenia w łasce Allaha.

- Miej miłosierdzie... - wyszeptał pułkownik.

Raszid wstał i rozejrzał się po zdobytym korytarzu. Jego ludzie rozbiegli się po pobliskich pomieszczeniach. Stracił dwóch: lepiej niż na dole. Nie mógł otrząsnąć się z dziwnego wrażenia, jakie zrobił na nim wyraz twarzy Echa. Taki spokój. Żadnego bólu.

No i co z tego, pomyślał, potrząsając głową. Podobnie czuł się, straciwszy swojego pierwszego żołnierza w boju... Ale teraz? Ona była tylko czasowniczką. Zresztą, to nie on ją tak urządził, tylko jej własna korporacja. Wykorzystał ją najlepiej, jak się dało, do chronienia bezpieczeństwa swoich ludzi. Teraz była już tylko rośliną.

Mimo to wrócił do Echa. Pociągnął ją za ramiona w głąb korytarza i oparł o ścianę. Potem położył na niej ciało zabitego chrześcijańskiego żołnierza. Nawet niewierni nie zbezczeszczą ciała; będzie tu bezpieczna. Jeżeli będą tędy wracać, może ją zabiorą. A jeśli nie, to po bitwie pojawią się tu medycy zbierający rannych i zabitych.

- Trafili ją? - spytał Yeats, osłaniający pułkownika.

Raszid wiedział, że strata czasowniczki wpłynie negatywnie na morale jego ostatnich czterech żywych podkomendnych. Nigdy jeszcze nie uczestniczyli w takiej bitwie. Nigdy nie walczyli poza strefą, a w strefie były zasady, ograniczenia i regulacje. No i prawie nikt nie mógł się tam mierzyć z Dżihadem. Teraz będą się bali, że bez magicznego przewodnika, jakim była Echo, instalacje obronne Wieży rozniosą ich w pył.

- Zapomnij o niej. - Raszid klepnął kaprała po ramieniu. - Odeszła. Ja będę prowadził.

Pobiegł w stronę pobliskiego skrzyżowania korytarzy. Żołnierze ruszyli za nim.

Ostatni z nich nie dotarł na miejsce. Raszid odwrócił się, by zobaczyć żołnierza zwijającego się na podłodze z wypaloną w gardle dziurą. Wojownik zerwał z głowy hełm; jego usta otwierały się i zamykały w bełgłym krzyku cierpienia. Raszid uniósł pistolet smugowy i wysłał żołnierza do Raju.

*

Odgłos strzału obudził Echo. Jej pierwszą myślą było: gdzie jest Jeffery?

Jeffery...?

Spróbowała unieść głowę. Odziane w białą zbroję ciało zsunęło się jej na nogi. Poczula mdlący zapach krwi i

śmierci.

Wieża.

Transfer. Pamiętała transfer, kobietę w lustrze.

- Syzyfie...?

- Wróciłaś!

- Jak długo...

- Trzy minuty. Możesz wstać? Przynosiłaś transfer? Dasz radę znaleźć drogę wyjścia?

Echo rozejrzała się po korytarzu. Wszędzie leżały trupy żołnierzy, ściany były poznaczone czarnymi bliznami trafień wysokoenergetycznej broni.

- Zobaczyłam, że straciłam przytomność. Zaciągnął mnie tutaj i ukrył pod ciałem żołnierza.

- Kto?

Dziewczyna ruszyła niepewnie w stronę windy. Kabiny nie było, drzwi też. Szyb był spalony, rozerwany wybuchami dziurą. Granaty nie zdołały powstrzymać Raszida, ale w końcu spadły. Odruchowo poprawiła na sobie zbroję, dopięła napierśnik. Odwróciła się i ruszyła korytarzem. Raszid wciąż tu był. Przyszedł, by porwać dziecko. Nie mogła do tego dopuścić.

- Uważaj! Idziesz w złą stronę! - krzyknął Syzif w jej głowie.

Schyliła się i podniosła karabin plazmowy martwego żołnierza Dżihadu. Wyćwiczonym ruchem podłączyła go do ładownicy umieszczonej w napleczniku zbroi. Pobiegła.

*

Ładunek eksplodował, odłamki betonu pofrunęły we wszystkie strony. Kapral Yeats pociągnął pułkownika do tyłu, mimo jego protestów. Skoczyli razem przez dwumetrową dziurę wybitą w ścianie. Kapral wylądował na jednym kolanie, z bronią gotową do strzału. Raszid zaraz za nim.

Rudowłosa kobieta w czerwonej sukni uśmiechnęła się do Yeatsa. Żołnierz opuścił lufę karabinu.

- Nie! - krzyknął Raszid.

Kobieta precyzyjnie kopnęła kaprała prosto w krocze.

Raszid przez ułamek sekundy podziwiał ją za to, jak bezbłędnie odnalazła drogę między częściami zbroi chroniącymi uda żołnierza. Potem wyjął pistolet smugowy i strzelił jej w ramię. Miedzianowłosa kobieta, jęcząc z bólu, zwinęła się na błyszczącej podłodze.

Yeats stęknął ciężko, zbierając się z ziemi. Wycelował karabin w dwie stojące nieopodal dziewczyny. Jedna z nich była wysoka i ciemnowłosa. Jej rozgniewany wzrok błędził pomiędzy Raszidem, Yeatsem a leżącą na posadzce kobietą; oddychała nerwowo. Pułkownik pożałował, że dziewczyna jest jednym z ich celów. W sam raz nadałaby się znakomicie dla jego ludzi. A może nie. Stała twardo, zdecydowanie, chroniąc za plecami ich główny cel: drobną blondynkę, patrzącą na nich z wyraźnym przerażeniem w oczach.

Raszid myślał, że będzie starsza. Może powinien zostawić ją w spokoju... Gdyby była jeszcze młodsza, to na pewno... A może...

Potrząsnął głową. Ostrzegano go, że tutaj mogą mu zaćmić rozum, ale wtedy nie wierzył. A teraz... Patrzył szeroko otwartymi oczyma, jak dziewczyna wsuwa stopy w sandały i poprawia suknię. Stanął nagle przed najdziwniejszym wyborem: porwać ją czy po prostu odwrócić się i odejść.

- Jam jest ramieniem Allacha! - powiedział głośno. - Niech on mnie prowadzi!

Gestem wskazał kobiety swoim żołnierzom. Zawahali się.

- Dalej! - warknął pułkownik.

Ruszyli. Ciemnowłosa dziewczyna z potwornym wrzaskiem rzuciła się na najbliższego wojownika.

- Deno! - krzyknęła blondynka, biegnąc do stojącej przy ścianie sofy. - Kapsuła!

Żołnierz uderzył Denę w twarz pięścią; upadła nieprzytomna. Raszid wystrzelił z karabinu plazmowego, paląc podłogę między biegnącą dziewczyną a jej sofą, która była jednocześnie kapsułą ewakuacyjną. Stała i odwróciła się, zacisnąwszy drobne dłonie w pięści, patrząc na Raszida błękitnymi oczami.

- Sunny Fitzgerald - odezwał się pułkownik. - Niebawem przejdziesz na islam.

- Może się też zdarzyć, że wcześniej ty trafisz do Raju... bez niej - odezwał się kobiecy głos za jego plecami.

- Echo... - szepnął Raszid. Poznał ten głos. Rozpoznał też wysoki pisk naładowanego karabinu plazmowego.

Odwrócił się wolno. W wybitej w ścianie dziurze stała czasowniczka, mierząc w jego pierś.

- Do kapsuły ewakuacyjnej. Szybko! - zawołała do Sunny.

Żołnierz Raszida rzucił się na ziemię, w locie składając się do strzału. Echo oszczędnym, profesjonalnym ruchem opuściła lufę, spaliła go, po czym błyskawicznie wycelowała karabin ponownie w pułkownika.

Raszid czuł jednocześnie podziw i zadziwienie. Szukał w sobie strachu, tego niespokojnego zwierzęcia trzymanego na uwięzi dzięki setkom godzin morderczego ćwiczenia woli. Odnalazł swój strach, ale zbyt słaby, by przyćmić dziwne wrażenie, jakie wywoływała w nim Echo. Czuł, jak płoną blizny na lewej stronie jego twarzy.

Jej oczy były zimne i zdecydowane. Weszła do komnaty, przekraczając gruz i ciała. Lufa karabinu nawet nie drgnęła. Palec wskazujący Raszida powoli przesunął się z osłony spustu na cyngiel pistoletu smugowego.

- Rzuć Smitzera!

Raszid posłusznie upuścił pistolet.

- Dobrze. A teraz z drogi. Wracaj na korytarz.

- Cieszę się, że żyjesz - powiedział pułkownik. - Chciałem cię zabrać, kiedy będziemy wracać.
- Wysadzili windy. - Uśmiechnęła się. - Dzięki, że mnie wyciągnąłeś.
- Żołnierze rozstąpili się. Echo minęła Raszida i zasłoniła Sunny Fitzgerald; wycofywały się w stronę sofy.
- Zawdzięczam ci życie - mówiła. - Spłace dług, pokazując ci drogę wyjścia.
- Czy tak cię zaprogramowano, czasowniczo?

To pytanie ją zastanowiło. Przypomniała sobie, że Syzyf zafundował jej coś w rodzaju transferu awaryjnego. To nie mieściło się w planie Mathiasona. Prezes oczekiwał, że uda się jej wrócić bez większych przygód.

- Sunny Fitzgerald nic dla ciebie nie znaczy - kontynuował Raszid. - Jeżeli ją zabierzesz, Dżihad was dopadnie. Zresztą chrześcijanie też będą cię ścigać. Czy tego chcieli twoi mocodawcy? A jeśli nie, to co oni zrobią, jak myślisz?

Znów poczuła znajomy smak strachu. Znów oblał ją zimny pot. Oto trzymała na muszce żołnierzy Dżihadu, chroniąc dziewczynę, którą widziała po raz pierwszy w życiu.

- To transfer - usłyszała głos Syzyfa. - Maria straciła swoją córkę w strzelaninie.

Echo zrozumiała. Odetchnęła głęboko, pozwalając mieszkającej w sobie osobowości zrobić wszystko, by wyszli z tego cało.

- Cóż z tego, Raszidzie? - powiedziała. - I tak jestem już trupem. A mimo to myślę, że mogę ją z tego wyciągnąć. Mimo tego, że ona sama jest zbyt zaślepiona, by zrozumieć, o co tu w ogóle chodzi. Aby pojąć skomplikowane gry MKB, Usług Tymczasowych, Dżihadu i Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan. Zadałeś niewłaściwe pytanie - ciągnęła; doszła już do sofy. - Powinieneś spytać, co ja dla niej znaczę. Odpowiedź jest prosta: jeżeli ona będzie bezpieczna, to jej przyjaciele również. Jeśli ja zniknę z główną nagrodą, to gra się skończy. I nikt już więcej nie zginie.

Echo usiadła na sofie, wciągając obie nogi na miękkie poduszki.

- A teraz, drogi pułkowniku, trzymaj się z daleka - powiedziała. - Serio, nie chciałabym, abyś ucierpiał przy odpalaniu kapsuły ratunkowej. Dużo dziś razem przeszliśmy i... wiem przynajmniej tyle, że jesteś uczciwym człowiekiem.

- Jeżeli użyjesz tej kapsuły, to na dole wylądujesz między moimi ludźmi. Nie dasz rady uciec.

- Nie sędzę. Według moich informacji, twoi ludzie są związani walką przez znaczne siły najemników i żołnierzy Kościoła.

- Czasowniczo. - Raszid desperacko próbował coś wymyślić. - Jesteś warta dziesięciu mężczyzn. Możesz się nam przydać. Nasi technicy mogą uwolnić cię od demonów żyjących w twoim mózgu.

- Ciekawe i kuszące. Naprawdę. Ale nawet jeśli moje życie ma być przez tę decyzję bardzo krótkie, to chcę je przeżyć na własny rachunek. Znienawidziłabym się, zostawiając tę dziewczynę w łapach twoich i Fitz'a. A poza tym, muszę tylko dotrzeć do siebie. Szef Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych obiecał mi pomoc.

Wciąż trzymając w jednej ręce karabin, pociągnęła pomarańczową dźwignię. W jednej chwili sofę otoczył kokon twardego tworzywa.

Raszid i Yeats padli na podłogę, chroniąc głowy. Pułkownik zdążył jeszcze dostrzec szeroki uśmiech Echa i jej piękne, bursztynowe oczy. Potem wszystko zginęło w błysku i huku: ściana zewnętrzna wybuchła tysiącami odłamków, a kapsuła ewakuacyjna wystrzeliła w powietrze, ponad krwawą bitwą toczącą się na dole.

ROZDZIAŁ 7

Kobieta w lustrze przyłożyła dłoń do tafli. Na nadgarstku słabo błysnęła znoszona bransoletka. Jej uśmiech, tak podobny do uśmiechu Echa, natchnął dziewczynę nadzieją. Potem obraz rozplątał się w zimnej, złej ciemności.

Echo otworzyła oczy; nie było żadnego lustra. Wróciły strach i ból.

Kapsuła. Raszid.

- Sunny!

Miękka, satynowa ciemność stłumiła rozpaczliwy krzyk Echa. Rozpychając się nerwowo, zdołała wygrzebać się z masy pianki ochronnej, ozdobnych Jaśków i sflaczałych poduszek powietrznych.

Kapsuła wylądowała na ulicy dachem do dołu. Echo wstała ostrożnie, balansując na delikatnie kołyszącym się, twardym, półprzezroczystym suficie. Nad jej głową wisiała wielka sofa; w pobliżu znajdowała się zamknięta kopułka wjazdu z przezroczystego kewlarytu. Widać było przez nią błękitne niebo z nielicznymi chmurami oraz szczyty kilku wieżowców. Tuż obok wjazdu umieszczono jaskrawoczerwoną dźwignię.

- Sunny! - krzyknęła ponownie, ale odpowiedziała jej tylko cisza. Echo zaczęła rozgrzebywać zalegające wszędzie materiały ochronne i miękkie poduszki w kolorze burgunda. Wreszcie chwyciła rąbek białej, jedwabnej sukni i pociągnęła mocno. Spod pianki i poduch dobiegł ją stłumiony jęk. Sięgnęła głębiej.

Sunny wyskoczyła ze swego gniazda, wyszarpując się gwałtownie z uchwytu Echa. Ta straciła równowagę i poleciała na plecy, uderzając w ściankę kapsuły. Kapsuła ustąpiła i przekreśliła się na bok, nieoczekiwanie rzucając Sunny wprost na Echo. Ta uśmiechnęła się szeroko do wystraszonych oczu, odległych od jej twarzy zaledwie o milimetry. Sunny Fitzgerald dopiero przestawała być dzieckiem. Złotowłosa cherubinek w białej sukience... Wyglądała tak, jak... Jak kto? Żadne imię nie zapłonęło we wspomnieniach. Żadna twarz. Tylko niepokojąca pustka wypełniła jej umysł, pustka jeszcze bardziej przerażająca przez setki złowrogo mruczących głosów. Dziewczyna wyglądała jak...

- Puszczaj! - krzyknęła Sunny, uderzając Echo w twarz otwartą dłonią. - Wypuść mnie stąd! Moim ojcem jest Roland Fitzgerald. Będziesz się za to smażyć w piekle!

Sunny szamotała się na poduszkach, usiłując wstać. Echo tymczasem podniosła się, oparła o półokrągłe ścianki kapsuły, po czym wyciągnęła rękę do przerażonej dziewczyny.

- Stój! - Oczy córki Fitz'a ciskały błyskawice. Gdzieś spod poduch wyszarpnęła karabin plazmowy czasowniczki i skierowała go w stronę Echa. Mimo że dłonie jej drżały, z tej odległości nie mogła chybić.

Echo zamarła. Wiedziała, że zbroja na nic się zda, była o wiele za cienka na obronę przed bezpośrednim trafieniem. Jej serce zamarzło w jednej sekundzie.

- Oddaj mi karabin - powiedziała z udawanym spokojem w głosie. - Potrzebuję go, żeby nas stąd wydostać.

- Nie ruszaj się! - zapiszczała Sunny. Sztynnym ruchem podniosła kolbę karabinu do ramienia i wycelowała.

Echo zanurzyła się w wiedzy swojego transferu. Karabin. Musi się skupić na mruczącym cicho karabinie. Czubek jego lufy dotykał już zbroi czasowniczki.

- Oddaj mi broń. Chcę ci pomóc.

- Porwałaś mnie!

- Ja... uratowałam ci życie - odparła zaskoczona Echo. - I chcę dalej cię chronić. Mamy sporo szczęścia, że j eszce nie trafiłyśmy w krzyżowy ogień j akiejś widowiskowej międzykorporacyjnej bitwy negocjacyjnej.

Wyobraziła sobie zbierających się wokół kapsuły ludzi. Złych ludzi. Trzeba było się streszczać.

- Nie jest naładowany - powiedziała.

Sunny spojrzała na wyświetlacz umieszczony na kolbie.

- Stan magazynka śrutu: pięćdziesiąt procent - odczytała niepewnym głosem.

- Trzeba jeszcze przełączyć tamten pstryczek, żeby otworzyć dopływ energii z ładownicy. No i być do niej podłączonym. Jeden pstryk, jedno ładowanie. Nie rób...

Dochodzący z zewnątrz charakterystyczny syk ognia z broni plazmowej przerwał jej w pół zdania. Natychmiast chwyciła dłonią lufę karabinu.

- Nie! - wrzasnęła Sunny i szarpnęła się do tyłu.

Echo przyjęła salwę nienaładowanych śrucin ceramicznych na czarny napierśnik. Siła uderzenia wypchnęła jej powietrze z płuc. Ale już obudziła się w niej weteranka, która nieraz musiała wybierać między bólem a śmiercią; wybrała ból i nie przerwała improwizowanego ataku. Wyrwała karabin z rąk dziewczyny, złapała za gruby kabel i szybkim ruchem podpięła go do ładownicy w napleczniku zbroi.

- Musi być podłączony, żeby naładować i rozpędzić odpowiednio śrut ceramiczny! - jęknęła, wciąż czując silny ból w płucach. Sunny patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Może w ogóle nic nie słyszała. - Musimy otworzyć właz - sapnęła Echo, uspokajając oddech.

- I wyjść na zewnątrz? - spytała Sunny. Czasowniczka sięgnęła do dźwigni, unosząc drugą ręką karabin. Była gotowa.

- Jak tylko właz odpadnie, wyskoczę i postawię ogień zaporowy. Ty biegnij w przeciwnym kierunku.

- Nie możesz otworzyć włazu. - Sunny odpełzła w głąb kapsuły. - Wpuścisz ich do środka.

- Wcale nie. Wypuszczę nas. Jeśli będziemy tu czekać, w końcu przyjdzie po nas Dżihad.

- Anioły ojca nas ocala - powiedziała dziewczyna z nadzieją. Najwyraźniej wierzyła we wszechmoc Fitzgeralda.

- Jeżeli się stąd nie wydostaniemy, przyjdą po nas inne anioły, takie prawdziwe, z nieba. Kiedy właz się otworzy, wyskoczysz i od razu pobiegiesz. W kierunku przeciwnym do strzelaniny. Jest tam mała uliczka: ukryj się w niej. Słyszysz mnie? - spytała, kładąc rękę na ramieniu okrytym jedwabiem.

- Moim ojcem jest Roland Fitzgerald! - zakwiliła dziewczyna. - Zostaję tu i czekam na żołnierzy Kościoła.

- Posłuchaj uważnie. - Bursztynowe oczy Echa patrzyły ze spokojem w dwie błękitne studzienki pełne strachu. - Masz wybór: zginąć tu, kiedy odejdę, albo iść ze mną. Decyduj się. I to szybko.

Echo szarpnęła za dźwignię: okrągła kopułka odskoczyła z hukiem. Czasowniczka wychynęła z włazu i otworzyła ogień. Syk i świst ognia plazmowego rezonował we wnętrzu kapsuły.

- Dosyć! Dosyć! - krzyczała Sunny, zakrywając uszy.

- Wyłaż! - zawołała Echo, nie przerywając ognia. Dziewczyna z płaczem skierowała się do wyjścia; czasowniczka pomogła jej wspiąć się i wygramolić *przez* otwór. W powietrzu furknęła biała suknia, długie nogi i złote włosy: córka Posłańca zsunęła się na ulicę.

Ścianki kapsuły liznęły promienie laserów. Ładunek plazmowy musnął włosy Sunny i nadpalił rękaw jej sukni. Dziewczyna wrzasnęła. Echo odpowiedziała ogniem. Człowiek w czarnej zbroi strzelający ze skrzyżowania ulic padł bez jęku.

Sunny rozglądała się wokół w niemym przerażeniu. Już nawet nie płakała.

Kolejna kula niebieskiej plazmy przeleciała w pobliżu.

- Biegnij! - wrzasnęła Echo.

Córka Fitz'a niezgrabnie ruszyła w stronę pobliskiej uliczki.

- Syzyfie? - wysłała pospiesznie Echo, schodząc na ulicę. - Odbierasz mnie? Ruszyliśmy.

- Tak jest - odezwał się jej przewodnik. - Przemieszczacie się na zachód od punktu lądowania kapsuły. Utrzymajcie pozycję. Przewidywany czas dotarcia na miejsce naszych sił najemnych to trzy minuty.

- Usmażam mnie tu, jeśli będę utrzymywać pozycję! - krzyknęła Echo, usiłując powstrzymać ogniem grupę mężczyzn, którzy właśnie wybiegali z ukrycia.

- Czy masz ze sobą Sunny Fitzgerald? - Tak!

- Zostaw ją. O nią im właśnie chodzi. Zostaw ją, wtedy będziesz mogła spokojnie odejść.

Słowa przewodnika były święte dla każdego pracownika klasy Echo. Oznaczały po prostu sukces lub porażkę misji. W tym przypadku „sukces” oznaczał życie, a „porażka” znaczyła śmierć. Jedno słowo przyzwolenia i będzie bezpieczna.

Nie wypowiedziała go. Zamiast tego rzuciła się biegiem za Sunny, ostrzeliwując się z karabinu plazmowego. Wokół skwierczał palony asfalt. Potężny wybuch wstrząsnął ulicą: wystrzelony z przenośnej wyrzutni pocisk raketowy trafił w kapsułę, zmieniając ją w kupę stopionego metalu i plastiku. Fala uderzeniowa zwała Echo z nóg u wylotu uliczki.

Odczołgała się kilka metrów dalej, w bezpieczny cień. Była tam już Sunny Fitzgerald: klęczała na brudnym chodniku z zamkniętymi oczyma i spuszczoną głową, z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Zabłąkany promień słoneczny tańczył cudownie po jej wspaniałych, złotych włosach. Dziewczyna uniosła wzrok i Echo utonęła w jej błękitnych, pięknych oczach, szklistych od perłowych łez. W nagłej ciszy rozbrzmiewał czysty, melodyjny głos:

- ...Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach... Przez chwilę Echo uwierzyła, że naprawdę przylecą po nich aniołowie. Otworzy się niebo i objawi się moc Pana; zło ucieknie przerażone, a Boży Wysłannicy uniosą świetlistą Sunny Fitzgerald do Raju. Ale wtedy usłyszała groźny pomruk demonów mieszkających w jej głowie i zrozumiała, że to właśnie piekło jest bliżej niż kiedykolwiek.

- Syzyfie - wysłała, potrząsnawszy głową. - Wyszadzi kapsułę. Dżihad nie chce brać dziewczyny żywcem.

- Mathiasona też nic ona nie obchodzi. Zostaw ją. Uciekaj. Nic jej nie będzie.

- Skąd wiesz? Nie ma cię tutaj. Dżihad zabija Sunny, zanim zdążą tu dotrzeć chrześcijanie albo nasi najemnicy.

Syzyfie, to prawie dziecko. Nie da rady się obronić.

- Echo, ostatni transfer wpływa na twoje rozumowanie. W imieniu korporacji rozkazuję ci wracać.

Odległa eksplozja odwróciła jej uwagę od słów Syzyfa i od modlitw Sunny. Wysoko ponad poziomem ulicy druga kapsuła oderwała się od ściany Wieży.

Raszid. Widać było, że silny wiatr skieruje opadającą na spadochronie kapsułę kawałek dalej, za uliczkę, w której się ukrywały.

- Chcę i staram się wrócić - podjęła Echo - ale nie zostawię tej dziewczyny na pastwę morderców. Nie zasłużyła sobie na to.

- To przemawia twój transfer. Profil osobowościowy Marii. Walcz z nim! Ten transfer zawiera silne uczucia macierzyńskie. Myśli, że dziewczyna jest twoją córką, że musi ją chronić, tak jak rebeliantka Maria chroniła rodzinę i swoich ludzi. Musisz się z tego otrząsnąć. Lepiej zostaw Sunny! Narazasz się na pewną śmierć!

- Spróbuję. - Echo zamknęła oczy i spróbowała zignorować odgłosy walki, smród prochu, ozonu i spalonego plastiku. Poszukała w umyśle krawędzi; chciała sprawdzić, jak daleko jeszcze jest od czarnej otchłani zapomnienia. Znalazła jedynie lustro, a w nim znajome spojrzenie.

A jednak... To w oczach kobiety w lustrze była otchłań, czarny wir dusz, pozostający na wyciągnięcie ręki. Za blisko.

- Syzyfie! - wysłała, przestraszona. - Nie wiem już, gdzie kończę się, a zaczyna Maria! Syzyfie...

Niebieskie, plazmowe wyładowania spaliły ścianę kilka metrów od nich. To otrzeźwiło Echo i przypomniało o najważniejszym zadaniu: chronić Sunny Fitzgerald. Na przemian popychając i ciągnąc dziewczynę, ruszyła w głąb uliczki.

- Trudno, Syzyfie. Transfer czy nie, Sunny zostaje ze mną.

- Kieruję najemników na twoją lewą flankę. Wstrzymaj ogień. Biegnij do końca ulicy, potem skreć w lewo. Siły nieprzyjaciela są tam słabsze.

Echo chwyciła mocniej rękę Sunny.

- Dalej! - krzyknęła. - Mam nadzieję, że twój Bóg cię wysłucha.

*

Sunny wybiegła z przecznicy na szeroką, oświetloną słońcem ulicę. Biegąca za nią Echo przystanęła na chwilę, aby pokryć ogniem przeciwny koniec uliczki.

Kiedy się odwróciła, zobaczyła Sunny w rękach stojącego za plecami dziewczyny wielkiego żołnierza w czarnej zbroi. Jedną ręką opancerzoną kewlarytem wykręcała ramię Sunny, drugą trzymała ją mocno za podbródek. Oczy córki Fitz'a błyszczały strachem. Stała na koniuszkach palców, aby osłabić nacisk na swoje ramię i gardło.

Echo uniosła broń. Potem poczuła, jak coś ciągnie jej głowę do tyłu; potworny ból eksplodował wewnątrz czaszki. Gdyby nie ktoś, kto mocno trzymał ją za implantenkę, osunęłaby się z bólu na ziemię.

Spróbowała obrócić się, zobaczyć, kto trzymają w żelaznym uścisku. Mężczyzna nie miał na głowie hełmu. Szalone oko chaotycznie obracało się pośród czerwonych blizn prawego policzka.

- Raszid... - szepnęła.

- Niezła ucieczka, czasowniczko - powiedział pułkownik i szarpnął mocniej za implantenkę; umysł Echa utonął w białym ogniu. - Jestem pod wrażeniem. Ale w tej sytuacji niestety muszę wycofać poprzednią ofertę. Straciłem Yeatsa. Osłaniał nasz odwrót, kiedy pojawili się Aniołowie. Żyję tylko dlatego, że Yeats został tam na zawsze. Ale cieszę się, że ty żyjesz. - Ból ustąpił na tyle, że znów rozumiała, co do niej mówi. - Nasi technicy będą mogli dowiedzieć się kilku ciekawostek, krojąc cię na kawałki. Poruczniku - zwrócił się do żołnierza trzymającego Sunny. - Zabrać małą do transportera.

-Tak jest!

Echo rozpoznała go. Kędziory jasnej brody porucznika Aswada wystawały spod wizora. To ten sam, który o mało nie

zginął za nieposłuszeństwo; ten z okrutnymi oczami.

Aswad obrócił się razem z Sunny, jeszcze mocniej wykręcając rękę dziewczyny. Powietrze rozdarł bezradny okrzyk bólu.

Echo drgnęła, zamknęła oczy. Biały ból kontrastował z oleistą czernią otchłani, czekającej tuż za krawędzią. Z ciemności patrzyły na nią jej własne oczy. Oczy małej dziewczynki, którą wrywano z ramion nieprzytomnej matki. Dziewczynka krzyczała tak samo jak Sunny. Gdzieś głęboko, pod przeponą, narodził się w niej płomień. Narodził się z bólu, frustracji i poczucia głębokiej straty. Szybko dotarł do serca.

Echo odrzuciła głowę do tyłu. Poczowała silne uderzenie; najwyraźniej udało się jej trafić Raszida w twarz. Szarpnęła do przodu, ciągnąc zaskoczzonego pułkownika za sobą. Kiedy poleciał naprzód - tracąc równowagę, ale wciąż trzymając jej implantenkę w garści - dziewczyna okręciła się na prawej pięcie. Potworny, palący ból sprawił, że przed oczami zamigotały jej krwawe i pomarańczowe plamy.

Zmusiła się do otwarcia oczu, do zignorowania bólu. Był tym samym co głosy: odległą, cudzą sprawą. Nieważną. Jej ręce, ręce Marii, wiedziały, co zrobić. Nie trzeba było myśleć, przebijając się przez oponę cierpienia. Wymierzyła precyzyjny cios kantem dłoni, na oślep.

Przez łyżę bólu widziała tylko rozmytą sylwetkę przeciwnika. Niczego więcej nie potrzebowała.

Jej stopa uderzyła w kolano Raszida. Puścił ją i upadł, rycząc z bólu. Echo zwróciła się ku okrutnemu porucznikowi.

Odwracał się właśnie, usłyszawszy dobiegające z tyłu odgłosy walki. Dziewczyna obiema rękami chwyciła dolną krawędź wizora hełmu, po czym podskoczyła wysoko i z całej siły uderzyła kolanami w plecy porucznika, wkładając w ten cios cały swój ból i wściekłość. Z krzykiem szarpnęła za przyłbicę, zdarła hełm z głowy Aswada: paski i zabezpieczenia puszczały z trzaskiem, raniąc głęboko brodę i twarz mężczyzny.

- Uciekaj! - krzyknęła do Sunny.

Porucznik chwiał się na nogach. Echo chwyciła mocniej jego hełm i biorąc szeroki zamach, roztrzaskała go na głowie Aswada. Potem pobięła za Sunny. Za sobą słyszały wściekłe wycie. Echo wiedziała, że nie dadzą rady, że nie wystarczy schować się za róg. Desperacko rozejrzała się po okolicy. Drzwi pobliskiego budynku zdobił błyszczący, czerwony łuk. Czytelnia Korporacji Naukowej.

Strzały z broni smugowej poznały asfalt tuż koło nóg Echa. Nie spojrzała za siebie. Wiedziała, że Dzihad jest blisko. Pobięła jeszcze szybciej, ciągnąc Sunny w stronę wielkiego, czerwonego łuku.

Portyk był barokowo zdobioną kompozycją stali i ceramitów. Czerwone motywy kolorystyczne ostrzegały przed wszelkimi próbami pogwałcenia świętości tego sanktuarium wiedzy i informacji. Nisko mruczało pole siłowe chroniące piękne, dębowe drzwi. Włosy jeżyły się od przepływających gigawatów energii. Echo nerwowo szukała płytki kontrolnej portalu; wreszcie znalazła ją wtopioną w ceramitową konstrukcję portyku.

- Echo 5127, Korporacja Specjalistycznych Usług Tymczasowych - rzuciła, przyłożywszy dłoń do płytki. - Wchodzą dwie osoby, cel: skorzystanie z banku danych.

- Rozwalić ten łuk! Spalić ich! - usłyszała za plecami.

Energetyczna kurtyna zniknęła z cichym sykiem. Ukazały się starożytne, dębowe drzwi z grubą, mosiężną klamką. Echo wpadła z Sunny do środka, pchnęła dziewczynę w głąb pomieszczenia i zawróciła, by zamknąć drzwi i chroniącą je zaporę energetyczną.

Żołnierz w czarnej zbroi, z uniesioną przyłbicą, stał na zewnątrz, przed czerwonym łukiem. Na widok Echa zmrużył oczy i bez wahania uniósł karabin.

Poczowała nieprzydatność swej cienkiej zbroi. Jej dłoń, zaciśnięta na klamce, spociała się w ułamku sekundy.

Napięta twarz żołnierza drgnęła. Palec zacisnął się na spuście.

Echo z całą siłą naparła na ciężkie drzwi. Wiedziała, że nie zdąży.

Lufa broni zamigotała białym, oślepiającym światłem. Ostatnią myślą, która przemknęła przez głowę Echa, był żal, że nie zdołała pomóc Sunny.

*

- Straciłem kontakt z Echem 5127, panie Mathiason. - Nawet w sztucznie syntetyzowanym głosie dało się słyszeć przerażenie Syzyfa.

Odeszła. Mogła już nie żyć. Mario, wybac mi. Boże!

Za wszelką cenę starał się opanować. Przez dziesięć lat, przez eony złożone z pikosekund, nigdy nie stracił kontaktu z Echem 5127. Teraz pozostała tylko głucha i straszna pustka.

Ona żyła! Zmusił się do powtarzania tej myśli jak mantry. Odcieła kontakt, bo taką podjęła decyzję, ona lub Maria. Musiał ufać Marii.

Ale nawet jeśli tak było, nie mógł dokończyć dzieła bez porozumienia z Echem. Załadował jej transfer Marii, a to powinno wystarczyć, żeby zwrócić dziewczynę przeciwko Herringtonowi. Musiała tylko bezpiecznie wrócić. Syzyf miał nadzieję, że Maria nie pozwoli jej zginąć; ale czy zdoła doprowadzić ją z powrotem przed upływem czterdziestu ośmiu godzin...?

Fotel Mathiasona nosił się nad podłogą pokrytą białymi kafelkami. Plastikowe rurki dostarczały tlen do maski okrywającej zniszczoną twarz. Słaby głos prezesa wzmacniały umieszczone w fotelu głośniki.

- Podłącz ją - wychrypiał. - Chcę ją tu mieć jak najszybciej.

- Nie mogę - odparł Syzyf. - Łącze bezprzewodowe jest martwe. Utraciłem kontakt na dobre. Coś musiało się stać po jej stronie; sam nic nie poradzę.

- Nie żyje?

- Nie ma raportu o odnalezieniu ciała Echa ani córki Fitzgeralda. Monitoruję kanały komunikacyjne Dżihadu, chrześcijan i naszych najemników. Dżihad właśnie wezwał posiłki, sporo ciężkiego sprzętu. Nikt nie opuścił monitorowanego terenu.

Tymczasem Syzyf nie ustawał w próbach połączenia się z Echem. Próbował wszystkich kanałów, wszystkich częstotliwości. Wysłał swoją jaźń w labirynty Sieci, w nadziei odszukania jakiegoś obejścia, choć wiedział, że to beznadziejne. Była martwa lub poważnie ranna.

Nie, nie martwa. To tylko uszkodzenie implantu. To wszystko. Syzyf odrzucił na bok ból i strach; nie mógł sobie teraz na nie pozwolić.

- Tuż przed utratą kontaktu - mówił dalej do Mathiasona - telemetria przekazała nagły skok pulsu, tempa oddechu i zawartości adrenaliny we krwi. Wskaźniki w granicach dopuszczalnych dla warunków walki bezpośredniej. Żadnych oznak migotania osobowości. Po prostu nagle urwał się sygnał. Zniknęła.

- Znajdź ją. - Wykrzywiona dłoń starca zacisnęła się w pięść. - Jeżeli zginęła, znajdź ciało, znajdź implant. Jeżeli żyje, chcę ją tu mieć całą i zdrową. Potrzebuję jej, Syzyfie. Ona ma teraz u ciebie najwyższy priorytet, aż do odwołania.

- Tak jest. - Syzyfa niezbyt pocieszał fakt, że taki obrót spraw był bardzo niekorzystny dla jego kata i strażnika; musiał zaplanować na nowo wiele rzeczy, w warunkach, których uprzednio nie zakładał. - Co jeśli będzie ciężko ranna?

- Jeżeli będzie w stanie kwalifikującym ją do leczenia, a jej umysł znajdzie się wystarczająco blisko krawędzi, przetransferuję do niej moją jaźń. Musi wytrzymać szok transferowy.

- Będzie pan musiał dokonać ekstrakcji własnego profilu osobowościowego. To pana zabije. Pozwolę sobie zauważyć, że stoi to w jaskrawej sprzeczności z interesami korporacji.

- Szukasz Echa?

- Tak jest. Wciąż brak bezpośredniego połączenia.

- Brak ci wyobraźni. Szukaj obejścia, drogi okrężnej. - Głos Mathiasona przybrał ton nauczyciela z tanich programów edukacyjnych. - Wszystko, czego mi potrzeba, to odpowiedni zamiennik. Echo 5127 nadaje się znakomicie do tej roli. Kiedy jej umysł zginie w chaosie tysiąca głosów, ja przejmę jej młode ciało. Przekażę moje imperium, wszystkie udziały, całą władzę. Przekażę samemu sobie wszystko, co zbudowałem. Poświęcę jeszcze jedno długie życie na wzmocnienie potęgi Korporacji.

- Proszę pana, ekstrakt profilu osobowościowego to procedura letalna dla dawcy. Uzyskanie precyzyjnej mapy połączeń synaptycznych, rozkładu komórek glejowych, całej struktury neuralnej, wymaga nieodwracalnego zniszczenia mózgu. Nawet jeśli kopia pańskiego profilu zostanie przetransferowana do umysłu biorcy, będzie to tylko kopia. Oryginał umrze. Uzyskany profil to jedynie iluzja, cień osobowości, z której go wyekstrahowano.

- Zgoda, na wszystko zgoda. - Ton głosu Mathiasona zaskoczył Syzyfa. - Ale ja nie zamierzam transferować mojego profilu. O nie. Prześlę bezpośrednio własną wolę i własne myśli. Dokonam transferu na żywo, bez pośrednictwa banku osobowości. Mój mózg będzie bankiem. Mój umysł profilem. A Echo... pracownikiem klasy Echo. Biorcą.

- Pańskie szanse są znikome. Wszystkie dotychczasowe eksperymenty zakończyły się porażką. Umrze pan.

- Mylisz się. - Pomarszczona twarz Mathiasona rozciągnęła się w uśmiechu. - Uda mi się. Ty jesteś żywym dowodem na to, że może się udać. Żyjesz bez ciała, a jednak myślisz i rozumiesz. Jesteś do mnie podobny bardziej, niż ci się wydaje.

- Jestem tylko organiczną jednostką przetwarzania danych - zaprzeczył Syzyf. - Mogę żyć jedynie w moim bunkrze, gdzie mój ludzki mózg jest podtrzymywany przy życiu. Moje zmysły są podłączone do elektroniki, dzięki której doświadczam Sieci. Mój umysł to tylko złożony fenomen procesów elektrochemicznych wciąż zachodzących w żywej tkance nerwowej. Nie jestem profilem ani transferem, jestem oryginałem. A jeśli mój system podtrzymywania życia zostanie wyłączony, umrę.

- O tak. Lepiej to sobie dobrze zapamiętaj. Jeśli Echo nie trafi tutaj przed końcem swojego czasu, wyłączę twój system. A teraz bierz się do roboty. Odszukaj i sprowadź ją, jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 8

Kevan chciał wyjść. Chciał odszukać Denę. Odwrócił się od wideościany, pokazującej medyków krzątających się wśród ciał na najniższych trzech poziomach. Odwrócił się i spojrzął na równie odpychający obraz: furię Rolanda Fitzgeralda.

Posłaniec szalał na swoim kamiennym podwyższeniu. W dłoni ścisnął czarny taser. Jego purpurowa szata szumiała groźnie przy każdym gwałtownym ruchu jak chmura gradowa. Przed Fitzem klęczał hardy żołnierz Dżihadu o nazwisku Yeats.

Kevan stał pod trzecim witrażem zatytułowanym Wniebowstąpienie Posłańca. Nie pozwolono mu odejść. Musiał patrzeć, jak Fitz wyładowuje swój święty gniew.

Zastonił oczy, kiedy Posłaniec przykładął końcówkę tasera do spoconej, chłopięcej twarzy jeńca. Żołnierz zachowywał się godnie: nagi, skrepowany, patrzył odważnie i wyzywająco na wściekłego Fitzę. Tylko po czerwonym policzku spłynęła mu jedna, samotna łza, zatrzymując się na czarnym metalu tasera.

Yeats świadomie i z własnej woli poświęcił się za swojego dowódcę. Kevan w pewnym sensie podziwiał go za to. Rachel też była taka. Uratowała Denę, powstrzymując bestie Małego Farrela aż do przybycia niespodziewanej

odsieczy: Fitz i jego Aniołów Śmierci.

- Spodziewałem się tego ze strony człowieka, który nie szanuje ani Boga, ani korporacyjnych kontraktów! - wysyczał Yeats do Fitz. Ten wcisnął taser w plecy żołnierza i uwolnił okrutny, wypalający nerwy prąd.

- Kto porwał stąd dziecko? - zapytał, poczekawszy cierpliwie, aż krzyki bólu chłopaka ucichną.

- Jam jest narzędziem w ręku Boga - młody wojownik szeptał drżącym głosem muzułmańską modlitwę. -W imię Boga Miłosiernego i Litościwego. Szukam schronienia przed złem u Pana ludzi, Króla ludzi, Boga ludzi...

Fitz chwycił Yeatsa za włosy, szarpnięciem odchylił jego głowę i splunął żołnierzowi w twarz.

- Wszyscy jesteśmy narzędziami Boga! - parsknął. - Nie tylko ty. Nawet ja.

Podsunał mu taser pod oczy. Chłopak zadrżał, ale modlił się dalej:

- Przed złem kusiciela, wycofującego się skrycie, który podszeptuje pokusę w serca ludzi...

Fitz przyłożył taser do ramienia Yeatsa i nacisnął spust. Modlitwa zmieniła się w nieludzki jęk i charkot; mięśnie brzucha i klatka piersiowa żołnierza drgały gwałtownie.

- Bóg oszczędził cię aż do tej chwili - mówił głośno Fitz. - Abym ja mógł cię spotkać. Po raz pierwszy i ostatni, zaprawdę powiadam ci.

Wijący się na podłodze Yeats zdołał unieść głowę.

- Modlę się, żeby to była prawda, diable! - wyjęczał.

- Keyanie. - Posłaniec odwrócił się do swego Apostoła. - Ten człowiek nie wie, kto jest jego zbawicielem. Naszym obowiązkiem jest mu pomóc.

Brigham patrzył w podłogę.

- Bracie Keyanie! - krzyknął Fitz; Brigham uniósł wzrok. - Jak już mówiłem, ten człowiek został zwiedziony przez propagandę i jad był mu sączony w uszy przez pogańskich proroków. Musimy oświecić go w prawdzie. A gdzie jest prawda w tej sali, Keyanie?

Kevan walczył ze sobą. Fitz nakłaniał go do bluźnierstwa. Do nazwania prezesa korporacji imieniem Bożego Posłańca, niemalże inkarnacji Pana. Rok temu mógłby to jeszcze powiedzieć, i to z przekonaniem. Ale dziś? Dziś zobaczył mord siedemdziesięciorga czworga wyznawców, dokonany przez tego, który miał ich chronić przed okrucieństwem ulicy. Dziś zobaczył skrepowanego, nagiego człowieka leżącego u stóp kata.

Kevan milczał. W duchu modlił się, by Fitz zostawił go i zwrócił się ku nieszczęsnemu żołnierzowi.

- Bracie Kevanie? - Najwyraźniej miało być inaczej.

Brigham wciąż słyszał krzyk Rachel, jej cierpienie, zanim Posłaniec wywarł Bożą pomstę na Farrelu i jego ludziach. Musi zachowywać się tak, jakby Rachel stała tu, obok niego. Odkaszlnął i powiedział:

- W interesie Kościoła muszę panu przypomnieć, że jesteśmy zarejestrowani jako korporacja wzajemnie wroga wobec Dżihadu - Prawego Ramienia Allaha. Ten człowiek został pojmany w mundurze. Ma swoje prawa, nie możemy go torturować.

Fitz kątem oka uchwycił pełne nadziei spojrzenie związanego żołnierza i pogroził mu taserem. Yeats spróbował odsunąć się od niego.

- Kevanie... - Głos Posłańca był zupełnie spokojny. - Rozczarowujesz mnie. Spójrz tylko na niego. Spójrz w te diabelskie oczka i powiedz z ręką na sercu, że ten człowiek nie potrzebuje naszej pomocy. Spójrz na łzy płynące z jego oczu. Czyż możemy odwrócić się plecami? Moim obowiązkiem jest zadbać o duszę tego żołnierza. Nękam go biczem ognistym, aby jego serce mogło oczyścić się w Panu, a jego język uwolnić od szatańskich pęt. Jak możesz tego nie widzieć?

Kevan oparł się plecami o szkło witraża, podczas gdy rozdzierający krzyk Yeatsa raz jeszcze zatrzęsł prywatną świątynią Fitz.

- Sam widzisz! - zawołał Fitz. - Błaga o Bożą pomoc. Wzywa imienia Pana. Widzi Jego wolę. Chce mówić o swoim nawróceniu. Powie nam zaraz, jak tu dotarł i jak opuścił swoich pogańskich ziomeków, aby oczyścić swą duszę we krwi Baranka.

Posłaniec wyprostował się i mimochodem kopnął leżącego.

- Tylko silni sercem i niezłomni duchem mogą kroczyć ścieżką prawości! - krzyknął, potrząsając taserem. - A ty jesteś słaby, Keyanie. Okazałeś się dzisiaj tchórzem w oczach Pana! Milcz zatem i patrz na me święte dzieło. Naucz się przyjmować łaskę, która niesie siłę i odwagę w czynieniu woli Boskiej!

Kevan drżał. Tylko witraż za plecami powstrzymywał go przed osunięciem się na podłogę. Tylko strach o córkę powstrzymywał go od płaczu.

Posłaniec Boży zamordował dzisiaj własne owieczki. Fitzgerald, jego obrońca, głowa Kościoła, belkotał tak samo jak niegdyś zamroczony metamfą ojciec Keyana. Nawet słowa były dokładnie te same: kłamliwe, oskarżycielskie, zaprzeczające jakiegokolwiek odpowiedzialności, zrzucające całą winę na Keyana. Jak kiedyś.

Patrzył, jak okrutna ręka Fitz. znów spada na zmaltretowane ciało Yeatsa. Tym razem na brzuch. Trzask wyładowania poniósł się echem po sali. Żołnierz podskoczył, po czym upadł ciężko, brocząc obficie krwią ze sztywnego, pogryzionego języka.

- Oczyść swą duszę! - zawodził monotonna Fitz. - Uwolnij się od brudu swego fałszu.

- Cza... Czasownicza... - wyjęczał słabo Yeats.

- Powtórz.

Yeats oblizwał zakrwawione wargi.

- Szliśmy za czasowniczką. Prowadziła nas.

- Nie narażałbyś swojej duszy na potępienie, prawda, synu? - spytał Fitz, unosząc taser.

Jego ręka opadła bez ostrzeżenia. Krzyk protestu Yeatsa zginął w kolejnym, nieludzkim ryku.

- Przysięgam na Allacha! - wyjęczał żołnierz po dłuższej chwili. - Do budynku weszliśmy za czasowniczką.
- Widzisz, Keyanie? - Fitz odwrócił się. - Ten człowiek też łaknie prawdy. Łaknie prawdziwego zbawienia. A czemuż to zśliście za czasowniczką, kapralu Yeats? - Znów spojrzął na chłopaka.
- Pułkownik ją zmusił...

Fitz wbił taser w jego ramię, ale bez zwalniania ładunku. Yeats podskoczył i zatrząsł się ze strachu.

- Chciałeś powiedzieć: przysłała ją Korporacja Specjalistycznych Usług Tymczasowych, synu - poprawił go Fitz, przesuwając taser przed oczami więźnia.
- N... Nie... Pułkownik zabrał ją siłą z biura Usług Tymczasowych w strefie negocjacyjnej... Zmusił ją, żeby...

Kevan aż podskoczył na dźwięk suchego taserowego wyładowania w powietrzu. Dla postrachu.

- Chciałeś powiedzieć - mówił cierpliwie Fitz, patrząc na bladego jak ściana Yeatsa - że pułkownik miał układ z Kroporacją Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Pracowniczką klasy Echo miała was doprowadzić do mnie, a wy mieliście mnie zabić. Kiedy zorientowaliście się, że sam Bóg pomieszał wam szyki i nie zdołacie do mnie dotrzeć, zdecydowaliście się porwać moją córkę.
- Nie...

Trzask tasera. Krzyk strachu Yeatsa.

- Nie! - wydyszał ciężko. - Czasowniczka знаła instalacje obronne. Wiedziała, gdzie iść. Naszym celem była dziewczyna. Byłem tam i widziałem na własne oczy: czasowniczka nagle zwariowała - zabrała dziewczynę i uciekła z nią. Wysłałem za nimi pułkownika! - Yeats lkał cicho jak skrzywdzone, opuszczone dziecko. - Zdołałem powstrzymać Anioły, umożliwiłem mu ucieczkę. Potem odłączyłem karabin i położyłem się na podłodze, poddając się zgodnie z regułami kodeksu korporacyjnego.
- On mówi prawdę! - Kevan nie mógł dłużej patrzeć na trzęsącego się, zapłakanego chłopaka. - Zresztą wszystko nagrały kamery. Pańska rozmowa z prezesem Usług Tymczasowych potwierdza, że czasowniczka jest banitką w oczach swojej firmy.

Fitz rzucił mu spojrzenie, które zmroziło serce Brighamama. Miał już pewność, że Posłaniec stracił nad sobą kontrolę. Próbował sobie wmawiać, że to ból po utracie córki, że nie można go za to winić. Kiedy Fitz zdjął jego, Kevana, z krzyża, do którego przybiły go bestie Małego Farrela, czy on sam nie myślał wówczas o żonie, córce, o zemście?

Ale Fitz zabił swoich wiernych. Nie z żalu, nie z rozpacz. Z wściekłości. Zrobił to z zimną krwią, zanim cokolwiek zagroziło Sunny i Denie.

- Jako Posłaniec Boga - perorował Fitzgerald, przechadzając się przed swą bezwładną ofiarą - zapytuję się, czemuż to Pan wydał cię w moje ręce? Czy chce, abym wywarł na tobie pomstę? Abyś uczynił z ciebie przykład dla innych? A może niesiesz dla mnie jakieś ukryte przesłanie, które dopiero muszę odczytać?

Zatrzymał się nagle i przyłożył taser do ramienia żołnierza.

- A może chce ci dać szansę - wyszeptał. - Szansę odpokutowania win, wybawienia z grzechu przez święte cierpienie?
- Jam jest narzędziem w ręku Allacha! - jęczał łamiącym się głosem Yeats. - Bóg osądzi, czym godny oglądać jego chwałę.
- Osądzi, a jakże. - Fitz się uśmiechnął. - Ale uwierz mi, dla twojej duszy nie ma już nadziei.

Roland Fitzgerald przyłożył taser do podstawy czaszki Yeatsa.

- Niecee!

Suchy, głośny trzask wyładowania. Potem cisza.

Brigham podbiegł do ciała, klęknął w kałuży moczu i fekaliiów. Przyłożył dłoń do szyi kaprala.

- Nie żyje. - Spojrzął z dołu na Fitza. - Nie żyje! Na Boga, panie Fitzgerald, zamordował go pan! Tak nie można, on należał do oficjalnie zarejestrowanej korpo...
- Taser się zepsuł - przerwał mu Fitz. - Sam widziałeś. Chciałem go uleczyć, ale... Zadziałała ręka Boska.
- Poddał się zgodnie z regułami! Chroniły go konwencje! On...
- Wiem, wiem. - Posłaniec odwrócił się i ruszył powoli w stronę swego tronu. - To człowiek Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allacha, zarejestrowanej jako wzajemnie wroga wobec nas. A ja go zabiłem. I teraz będę musiał przyjąć karę ze strony MKB.
- I stracimy pańskie cenne udziały w rynku! - syknął Kevan.
- Nic nie stracimy! - Fitz rzucił laserem o siedzisko. - Myśl, Keyanie. Jesteś drugą co do ważności osobą w największej religijnej korporacji świata, a ciągle myślisz jak kaznodzieja z zapyziałej wiejskiej parafii. Nie słyszałeś go? Czasowniczka wprowadziła Dżihad do budynku. Korporacja Specjalistycznych Usług Tymczasowych pogwałciła swój neutralny status! Myślisz, że zrobili to bez powodu? Że Mathiason ot, tak sobie pozwolił pracownikom klasy Echo przeniknąć naszą obronę, aby Dżihad mógł porwać moją córkę?
- Czasowniczkę siłą zmuszono do... - zaczął Kevan.
- Być może - przerwał mu Fitz, wyciągając z podwyższenia panel kontrolny. - Ale faktem jest, że jakoś zdobyła informacje, dzięki którym zinfiltrowano naszą Wieżę. Budynek teoretycznie nie do zdobycia. MKB musiało być w to zamieszane. Herrington Mathiason też. Dlatego mogę się z tobą założyć, że o tego żołnierza nikt się nie upomni. Nie będzie żadnej kary ani sankcji. Wszyscy będą drzeć przed tym, co ja mogę zrobić.

Kevan wiedział, że to prawda. Tylko Usługi Tymczasowe i MKB mogły dać Dżihadowi klucze do drzwi Wieży. Budynek, któremu wszyscy za bardzo ufali. Który przestał być bezpieczny. Przestał chronić Denę.

- Nie ma już odwrotu, Kevanie. - Purpurowa szata Fitza zaszeleściła w ciszy sanktuarium. - Musimy podążać ścieżką

wyznaczoną nam przez Boga. Cokolwiek zrobimy, inne korporacje i tak w końcu zjednoczą się przeciwko nam. MKB wie o naszych planach. Minęliśmy już punkt, z którego moglibyśmy zawrócić. Teraz albo damy ludziom nowego Mesjasza, albo przyjdzie nam zginąć z ręki głupca takiego jak tenże kapral.

- Co mogę zrobić? - spytał Apostoł zduszonym głosem. Nie widział żadnej możliwości ani dla siebie, ani dla córki.

- Kevanie. - Fitz uśmiechnął się szeroko. - Skup się na tym, aby ich najgorsze koszmary się ziściły. Sprowadź z powrotem Sunny. Zabrała ją czasowniczka, grająca na co najmniej dwa fronty. Idź za Dżihadem i znajdź ją. A z nią moją córkę. Ja tymczasem wystosuję formalne protesty do Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych, Międzynarodowego Konsorcjum Bankowego i Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allacha. Każ ludziom podpiąć się pod sieciowe transmisje Dżihadu. Niech przechwyty tuż ą wszystkie informacje o zaginionej czasowniczce i o Sunny. Uruchom naszych agentów w Usługach Tymczasowych, niech znajdą mi wszystkie dane tej pracownicy. Chcę ją mieć tu, w tym miejscu. - Wskazał na martwe ciało kaprala Yeatsa. - I... Keyanie? Jeszcze dwie sprawy. - Brigham wstał. - Przyślij Miriam na moją poranną pokutę.

- Jest ranna. Ucierpiała, próbując chronić Sunny. Oczy Fitz'a otworzyły się szeroko, ziejąc gniewem i nienawiścią.

- Nie obchodzi mnie to, czy straciła obie nogi, czy oboje oczu - wycedził, drżąc ze złości. - Ma się tu zjawić. Jeśli nie może chodzić, przynieś ją! - Zamknął oczy i zamilkł; po chwili dodał łagodniejszym tonem: - Wezwij Aniołów. Niech tu posprzątają.

*

Za Kevanem zamknęły się drzwi sali; przed nim był siedmiometrowy korytarz. Jasne płytki ceramiczne pokrywały podłogę, ściany i sufit. Przypominało to powszechne wyobrażenie pośmiertnej drogi do Raju. Kevan sam projektował te wnętrza. Fitz uwielbiał motywy związane ze śmiercią.

Na końcu korytarza dwóch potężnych strażników pilnowało otwartych drzwi windy. Obaj wyżsi o głowę od dwumetrowego Kevana, mieli na sobie białe zbroje dywizji Aniołów Śmierci.

Odetchnął dopiero, gdy drzwi kabiny zamknęły się z cichym sykiem. Nareszcie zobaczy córkę. Musi coś zrobić, aby ją lepiej chronić. Może uciec z Wieży, ukryć ją w innej korporacji. Może Miriam mogłaby pomóc i zabrać Denę do kogoś z plemion nieprzynależnych żyjących w górach.

Nie. Stała mu przed oczami rozrehotana twarz Małego Farrela, jego zakrwawiony nóż. Nie mógł zostawić Deny samej, Rachel nigdy by mu tego nie wybaczyła. Sam też miałby wyrzuty sumienia.

Winda zatrzymała się. Na ułamek sekundy przed rozsunięciem drzwi doznał nagłego olśnienia. Zostanie w Kościele; spróbuje go uratować. Martwym nie przywróci życia, ale pozostając w korporacji, być może zdoła pomóc tym, którzy wciąż żyją.

Fitz. Nocna błyskawica odbita w jego oczach. Bóg przysłał go, by zdjął Kevana z krzyża, by ukarał tych, którzy zabili Rachel i torturowali Denę. Kevan potrząsnął głową; Fitz był uzależniony. Nie zły, tylko chory. Kevan może mu pomóc, uwolnić od metamfy. Przynajmniej to był mu winien za ocalenie Deny od Farrela i chronienie jej przed okrucieństwem świata przez ostatnich jedenaście lat.

ROZDZIAŁ 9

Oślepiające światło zgasło. Zanim masywne drzwi ostatecznie się zatrzasnęły, Echo spojrzała w dół. Na zewnątrz, w portyku, leżała kupka dymiącego, szarego popiołu. Ostry, intensywny odór na chwilę pozbawił ją oddechu.

Drzwi zamknęły się cicho. Echo znów usłyszała cichy szum pola siłowego chroniącego wejście. Melodyjny, kobiecy głos powiedział:

- Używanie broni na terenie Czytelni jest surowo zabronione. Dane i informacja dla każdego.

Z Naukowcami lepiej było nie zadzierać. Echo zaryzykowała i wygrała. Teraz, w Czytelni, była niedostępna i bezpieczna.

Dziewczyna napawała się ciszą. Wydawało jej się, że słyszy nawet własne serce. Nagle ogarnęła ją fala zmęczenia i słabości; oparła się ciężko o pachnące, dębowe odrzwia.

Z czarnego bólu narodziła się myśl.

Szyf.

Był jedyną istotą, która stała po jej stronie. Nie słyszała już jego głosu; odszedł, być może na zawsze. Uczucie dojmującej stry ogarnęło ją całkowicie. Strach wkrał się do jej serca, karmiąc się, wyczerpaniem i bólem.

Szyfa nie było. Wyrwano go z jej głowy.

Otrząsnęła się. Nie mogła popadać w takie stany, to było zbyt niebezpieczne. Musiała skupić się na czymś konkretnym, czymś, co można zobaczyć i poczuć.

Raszid. Pewnie stał za drzwiami, może mniej niż metr od miejsca, w którym była teraz Echo. Ciałem dziewczyny wstrząsnął dreszcz, powoli zamknęła oczy. Poza bólem i strachem czekała krawędź. Czekala cierpliwie, aż umysł Echa zaginie w wirze tysięcy szalonych dusz. Nawet strach przed Raszidem nie mógł oddalić momentu nieuchronnego wypalenia.

Przez chwilę chciała odpuścić. Zanurzyć się w mrocznym chaosie.

Sunny.

Samo słowo niosło za sobą falę ciepła i dobrych emocji. Musiała ratować Sunny.

Echo potrząsnęła głową. Była zmęczona; bolała ją głowa i ramię. Może byłoby łatwiej po prostu zniknąć.

Przeznaczenie samo się dokona. Nie będzie już strachu i cierpienia. Przejmowania się, czy Mathiason dotrzyma słowa. Tęsknoty za Syzyfem. Obawy przed Raszidem. Nie będzie już niczego. Tylko cicha, mroczna noc miriadów skłębionych dusz.

Ciemność gromadziła się wokół niej. Chaos otaczał ją czarnymi wodami zapomnienia.

- Nie!

Usłyszała własny krzyk. Spreżyła się i wyprostowała. Nie ma już Syzyfa, który mógłby ją wyciągnąć. Teraz sama musi walczyć z Pustką.

Jak mogła w ogóle dopuszczać myśl o poddaniu się? Cały ten ból, strach, ludzkie życie - wszystko na marne? Przyjmie zarządzający transfer Mathiasona. Zabezpieczy sobie przyszłość. Nie trafi ani do sarkofagu, ani na ulicę. Musi tylko wrócić do swojej korporacji. Do Syzyfa. On jej pomoże. Weźmie ze sobą Sunny. Ta dziewczyna to potężny atut w ręku.

W jej sercu ożyła nadzieja. Uśmiechnęła się lekko, ironicznie, mimo bólu.

- Echo? - Głos Sunny Fitzgerald ostatecznie przywrócił ją do rzeczywistości. Dłoń, którą dziewczyna dotknęła jej karku, promieniowała ciepłem. Echo rozluźniła się.

- Echo - powtórzyła Sunny; jej dłoń starła zaschniętą krew z szyi dziewczyny, z miejsca, gdzie jeszcze niedawno była implantenka. - Widziałaś? Bóg uczynił cud i uratował nas przed Dżihadem.

- To nie był cud - westchnęła Echo.

- Jesteś ranna. Pozwól mi to obejrzeć.

- Nic mi nie będzie. Wyrwali implant.

- Implant?

- Twój cud. Zdalne połączenie z korporacją zaszyte w głowie. Dzięki niemu znalazłam pozycje żołnierzy, wiedziałam, dokąd uciekać. Raszid go wyrwał.

- Boli cię?

- Oczywiście! - prychnęła Echo, ale w chwili, kiedy wypowiadała te słowa, stwierdziła, że ból zniknął; jego miejsce zajęło drażniące poczucie straty. - Nie mamy teraz czasu na takie bzdury. Musimy się dowiedzieć, co dzieje się na zewnątrz. Pomożesz mi?

Sunny posłusznie zaczęła rozpinać zbroję Echa.

- Modliłam się o cud - powiedziała cicho.

- A Bóg wysłuchał cię i w ekspresowym tempie wybudował Czytelnię Korporacji Naukowej, żebyśmy mogły się w niej schronić - zaśmiała się Echo. Zaraz jednak pożałowała tych słów, widząc łzy w oczach dziewczyny.

Stały na marmurowej posadzce z czerwonego i białego kamienia. Czerwony marmur tworzył wzór kwiatu; w jego centrum stało półokrągłe biurko, zagradzające dostęp do labiryntu półek, terminali i posegregowanych nośników danych. Zgromadzone je w trzech skrzydłach przylegających do głównej sali. Wejście do każdego skrzydła zdobyły dwie potężne, obsydianowe kolumny, wspólnie z innymi podtrzymujące jasną, złotą kopułę. Dalej były już niekończące się regały z wszelkimi możliwymi nośnikami informacji, stanowiska dostępne, ekrany.

Zbroja Echo upadła z głośnym trzaskiem na podłogę. Dźwięk poniósł się po sali; dziewczyna poczuła chłodny powiew na spoconym karku.

- Cuda się zdarzają - odezwała się Sunny. - Trzeba w nie wierzyć i ich pragnąć. Matka Miriam mówi, że wszechświat operuje zupełnie inną skalą czasu niż człowiek. Cuda zaczynają się tysiące lat przedtem, zanim narodzi się ci, którzy ich doświadczą. Zanim jeszcze zdołają się o nie pomodlić.

- Cóż, w takim razie pozostaje nam mieć nadzieję, że wszechświat pracuje nad naszym problemem od stuleci. - Echo delikatnie popchnęła Sunny w stronę centrum sali.

Ruszyły razem w kierunku biurka. Filigranowa cybriotekarka obrzuciła ich zdziwionym spojrzeniem dużych, piwnych oczu i wróciła do rozmowy z mężczyzną stojącym po drugiej stronie biurka. Ował twarzy kobiety i jej wystające kości policzkowe przypominały Echu dziecięce bajki o elfach.

Bajki...? Kto opowiadał jej bajki? Czy w ogóle jakiegokolwiek słyszała? A może to nie ona, tylko któraś z jej licznych osobowości? Może Maria? Nie. Echo wołała wierzyć, że to jednak jej własne wspomnienia.

Mała kobieta przechyliła się przez biurko w stronę swojego rozmówcy. Klócili się; jej twarz była czerwona, a kasztanowy warkocz podrygiwał nerwowo.

Wysoki, szpakowaty brunet w znoszonym ubraniu wyglądał na weterana. Mógł być jednym z najemników wysłanych przez Syzyfa. Echo podeszła bliżej.

- Nic mnie nie obchodzą plemona. - Głos kobiety drżał ze złości. - Jestem przynależna. Nie zrezygnuję tak łatwo z mojej pozycji. Służę tu całej ludzkości, pilnując ksiąg.

- Susan - powiedział mężczyzna, opierając się o biurko. - Powinnaś pomagać tym zagubionym duszom, które do nas trafiają. Ludziom, którzy niespodziewanie dla samych siebie stali się nieprzynależni. Potrzebują twojego ciepła, twojej opieki. Tu się marnujesz. - Zrobił pauzę dla większego efektu. - Susan! Tu są tylko książki. Nie ludzie. Kogo dzisiaj obchodzą książki?

Echo trochę się uspokoiła. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o potyczce na zewnątrz.

- Mnie! - odparła tymczasem Susan. - Grady... Kocham cię. Ale tu jest moje miejsce. Może być również twoje, jeśli

się tylko zdecydujesz. Pasujesz do pożądanego profilu psychofizycznego Korporacji. Moglibyśmy pomagać plemionom jako przynależni Korporacji Naukowej. Zrobilibyśmy więcej, niż żyjąc z nimi w prymitywnym obozie!

- Nie - odpowiedział Grady. - Nie mogę.

Echo czuła się co najmniej niezręcznie. Tamci dwoje stali bez ruchu, nie patrząc sobie w oczy. Obojętni na resztę świata.

- Przepraszam. - Głośno chrząknęła; spojrzeli na nią oboje. - Jestem pracowniczką Echo 5127 wykonującą zlecenie badawcze Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Potrzebuję terminala z dostępem do Sieci.

- Ona jest ranna - powiedziała szybko Sunny. - Potrzebuję...

- Nic mi nie będzie - przerwała ostro Echo. - Spadłam ze schodów.

Cybriotekarka spojrzała gdzieś pod biurko. Światło barwiło jej kasztanowe włosy na ciepły kolor.

- Echo - powiedziała po dłuższej chwili. - Kogo próbujesz oszukać?

- Słucham? Jestem Pracowniczką klasy Echo Korporacji...

- Od dłuższego czasu śledziłam na monitorach walkę toczącą się niemal na moim progu - przerwała jej Susan. - Widziałam atak na Wieżę Światłości. Widziałam waszą ucieczkę i pogoń aż do wejścia Czytelni. Wiem, że w portyku pole siłowe spaliło żołnierza Dżihadu. Widziałam, jak krwawisz. W holu leży twoja zakrwawiona zbroja. Kogo chcesz oszukać?

Zaskoczona Echo wzrokiem zaczęła szukać jakiegoś wyjścia. Musiała dostać się do Sieci, aby nawiązać kontakt z Syzyfem, sprowadzić pomoc. Musiała się dowiedzieć, kto kontroluje ulice wokół budynku i jak się stąd bezpiecznie wydostać.

- Dżihad mnie porwał! - zawołała Sunny. - Ta kobieta uratowała mi życie. Wtedy właśnie ją zranili; ma otwartą ranę z tyłu głowy! Pomóżcie jej!

Cybriotekarka obeszła swoje biurko i obejrzała głowę Echa.

- Grady - powiedziała. - Rzucisz na to okiem? Sunny trzymała Echo za rękę. Pomogło jej to znieść bezceremonialne badanie mężczyzny o imieniu Grady.

- Kiedy to się stało? - spytał.

- Może z dziesięć minut temu.

Szorstka dłoń mężczyzny zacisnęła się mocniej na karku dziewczyny. Nagle nacisnął ranę, powodując falę palącego bólu. Pod Echem ugięły się nogi; jęcząc, wyla się w rękach oprawcy, starając się stanąć z nim twarzą w twarz.

- Kłamstwo! - warknął głośno Grady.

- Zostaw ją! - pisnęła Sunny, rzucając się w jego stronę. Echo wykorzystwała ten moment; zaskoczony mężczyzna osłabił uchwyt, a wtedy ona wykręciła mu się, jednocześnie powstrzymując wyciągniętym ramieniem Sunny.

Mężczyzna zamachnął się; Echo z łatwością uniknęła ciosu i skoczyła, mijając go po odsłoniętej stronie. Wpakowała mu łokieć pod zębra, a potem kopnęła silnie w wewnętrzną stronę kolana. Upadł, wciągając głośno powietrze.

Echo odwróciła się do Susan, oczekując kolejnego ataku. Ale Cybriotekarka, błada jak ściana, stała bez ruchu, oparta o biurko.

- Sunny - wydyszała Echo. - Musimy się stąd wynosić. Dżihad w końcu się tu dostanie.

- Ona kłamie - wycharczał zgięty w pół mężczyzna. - Wrabia cię, Susan! Dżihad idzie po twoje książki!

Nie zwracając na niego uwagi, Echo złapała Sunny za rękę i pobiegła. Zatrzymał ją dopiero odgłos wystrzału.

Odwróciła się powoli, aby zobaczyć Susan trzymającą pistolet. Grady, opierając się o biurko, ciężko zbierał się z ziemi.

- Obserwowałam ich przez cały ranek - powiedziała cybriotekarka. - Skąd wiesz, że...

- Skłamała. - Grady głośno oddychał. - Rana nie jest świeża. Dosyć się w życiu napatrzyłem na krew, więc wiem, która rana ma dziesięć minut, a która goiła się od kilku dni.

- Krew... jest przecież świeża krew.

- Susan. Nie daj się im omotać. Musimy ratować twoje cenne książki

*

Fitz oparł się o porcelanową krawędź swojej dwustulitrowej wanny. Bezpieczny w sercu Wieży, mógł wreszcie zrelaksować się w ciepłej, aromatycznej wodzie. Delikatnie nagniół zębami otoczkę świeżej kapsułki metamfy. Czekając na uderzenie euforii, spojrzął na drugi koniec wanny, gdzie długie włosy stojącej obok Matki Miriam prawie dotykały wielokolorowej, opalizującej piany.

Szeroki rękaw jej szaty tylko na chwilę odsłonił zranione ramię; brzydkie blizny odznaczały się na alabastrowej skórze.

Miriam podniosła gąbkę. Skrzywiła się z bólu, próbując ją wycisnąć. Potem wróciła do mycia stóp Fitz'a. Ten przesunął sobie językiem kapsułkę metamfy między dziąsło a policzek.

- Straciłaś kogoś ze swego zakonu w dzisiejszym ataku, Matko Miriam? - zapytał.

- Dwie siostry. Obie na poziomach jeden-trzy. Nie zdołały ujsć przed gazem. To była siostra Mag...

- Oszczędź mi ich imion. Zostaną zapisane złotymi literami jako imiona męczenniczek za wiarę.

- Męczenniczek? - Miriam zawałała się.

- Tak jest. Nakazałem Kewanowi rozpocząć przygotowania do nabożeństwa żałobnego za dusze wszystkich męczenników poległych w obronie Wieży. Gdy tylko skończymy montować zarejestrowane zdjęcia żołnierzy Dżihadu mordujących gazem niewinnych ludzi, pokażemy je całemu światu. Niech wszyscy się dowiedzą, jak barbarzyńska

zbrodnia została popełniona w ścianach naszej świątyni.

- Czy świat zostanie także powiadomiony o losie twojej córki, panie?

- Nasi żołnierze odnajdą ją i przywrócą na łono Kościoła - odparł zirytowany Fitz.

- Panie Fitzgerald - powiedziała Miriam, patrząc mu w oczy. - Nie możemy być tego pewni. Nikt nie wie, gdzie ona jest.

Posłaniec usiadł w wannie.

- Bóg objawił mi swoje plany! Dżihad nie może się mierzyć z potęgą Pana. - Krzywiąc się, przesunął kapsułkę pod język. - Zaprawdę powiadam ci, Matko Miriam, to próba wiary i dla niej, i dla mnie. To próba dla nas wszystkich.

Wyciągnął rękę i odchylił połę jej szaty. Żebra i bark Miriam były obandażowane. Wzdrygnęła się i odsunęła; uciekła wzrokiem, znów spróbowała wycisnąć gąbkę.

Fitz uśmiechnął się pod nosem. Nie chciała, żeby oglądał ją zbrukaną, zranioną. Nie chciała, by się nią brzydził.

- A jeśli Bóg pozwoli, by zginęła? - zapytała cicho.

- Wtedy On mnie oświeci i będę wiedział, kto ma ją zastąpić.

Zastanawiał się intensywnie, czy lekkie drgnięcie policzka Miriam było spowodowane bólem, czy też była to reakcja na jego słowa. W obu przypadkach miał do czynienia z niełojalnością.

Siedząca dotąd na krawędzi wanny Miriam podniosła się. Na jej twarzy widać było otarcia i siniaki - pamiątka po starciu w apartamencie Sunny.

Dobrze, pomyślał Fitz. To musi wciąż boleć.

- Dzielnie stawiałaś w obronie mojej córki - powiedział głośno.

Jej oczy rozszerzyły się. Była zaskoczona. Tak, to właśnie chciał widzieć na jej twarzy.

- Dziękuję panu - odparła speszona.

Fitz wyjął dłoń z wody i zbliżył do twarzy Miriam. Uśmiechnął się lekko, gdy kobieta pochyliła się, by z nabożeństwem ucałować złoty pierścień w kształcie krzyżyka. W momencie gdy dotykała wargami upierścienionej dłoni, podniecony Posłaniec przegryzł kaspułkę metamfy.

Święty ogień zapłonął w jego głowie, łądzwiach, sercu. Szybkim ruchem chwycił Miriam za włosy, tuż za uchem, i szarpnął mocno. Zaskoczona kobieta wpadła do wody; Fitz zerwał się i przytrzymał jej głowę pod powierzchnią.

Zadrzał cały od fali narkotykowego orgazmu, gdy metamfa paliła jego żyły i nerwy.

Razem z pierwszą euforią zniknęła też stal w mięśniach ramion. Wyciągnął Miriam na powierzchnię; jego dłoń wciąż trzymała ją za włosy.

Matka Przełożona zakaszła i głośno wciągnęła powietrze. Wolną ręką Fitz szarpnął jej szaty, ściągając je w dół i unieruchamiając ramiona kobiety.

- Dziękujesz mi za pochwałę swej odwagi? - Splunął jej w twarz i potrząsnął mocno. - Powinnaś nie żyć! Moją córkę porwano z Wieży, a ty żyjesz!

Wepchnął ją znowu pod wodę, przytrzymał, wreszcie wyciągnął gwałtownie.

- Walczyłaś w obronie mojej córki? - krzyczał. - I wyszłaś z tego z małym siniakiem na twarzy i estetyczną ranką na ramieniu?! Ona powinna tu być, a ty powinnaś gnić martwa!

Z furią wcisnął jej twarz pod wodę; tym razem przytrzymał dłużej. Przyciągnął jej twarz do swojej; jego oddech był słodki od metamfy.

- Czy ty dasz mi dziecko, którego potrzebuję? - wyszczał. - Czy będziesz matką nowego zbawiciela, Miriam?

Kobieta dyszała ciężko.

- Mogę z ciebie zrobić dziewicę - ciągnął Fitz. - Moi technicy mogą umieścić w tobie odpowiedni zarodek. Moja córka zniknęła, więc ty jesteś tak samo dobrą kandydatką jak każda inna.

- Wiesz..., że... nie mogę... - wyksztusiła Miriam.

- Och, moi technicy sprawią, że nawet twoje martwe ciało wyda owoc. - Fitz uśmiechnął się. - Ale w sumie po co... Ty bardziej nadajesz się na męczennicę. Bo teraz... Przestałaś być potrzebna, Miriam. Straciłaś swoją wartość w oczach korporacji.

- Potrzebujesz mnie - powiedziała kobieta zduszonym głosem - abym budowała twój obraz w mediach. Ja i moje zgromadzenie uzupełniamy o miłość i współczucie twoją chorą drwinę z religii. Służymy ci samym naszym obrazem, naszymi twarzami.

- Chciałaś powiedzieć: waszymi duszami.

- Nigdy nie będziesz panem naszych dusz.

- Może i nie. A może już jestem. Bo wiedz, szatańska suko, że jam jest Słowem Bożym. I do mnie należysz cała ty, i wszystkie twoje siostry-ladacznice. Będziesz robić to, co ci każę, nawet jeśli zechcę, żebyś dla mnie umarła albo stanęła przeciw siepaczom Dżihadu! A może po prostu cię im sprzedam. Z pewnością chętnie zabawiliby się z taką ponętą czarownicą.

Fitz puścił jej włosy i spokojnie wyciągnął się w wielkiej wannie. Oswobodzona, sponiewierana Miriam z trudem wydostała się na zewnątrz. Niezręcznie usiłowała okryć poranione ramiona mokrą, podartą suknią.

- Twój nałóg prowadzi cię do zguby, Rolandzie Fitzgerald - powiedziała drżącym głosem. - Co gorsza, prowadzi tam nas wszystkich.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

- Jam jest Posłańcem Bożym - powiedział Fitz, zanurzając się w kolorowej pianie.

- Jeśli w ogóle kiedykolwiek była w tobie iskra Boża - rzuciła Miriam przez ramię - to dawno zgasił ją swoją pychą, żądzą władzy i tym wyzerającym mózg narkotykiem, który właśnie żujesz.

- Miriam! - krzyknął Fitz, siadając w wannie. - Dałem ci przynależność. Dałem ci miejsce, w którym możesz praktykować tę swoją wiedźnią parodię chrześcijaństwa. Mam władzę i mogę pozbawić cię życia w jednej chwili!

- Wiem o tym - odparła cicho, spoglądając mu w oczy.

- A zatem... - Uśmiechnęła się swoim najcieplejszym z uśmiechów. - Idź w pokoju, siostrzo.

Kobieta odwróciła się do drzwi. I wtedy właśnie doznał olśnienia: pokaże Miriam, gdzie jest jej miejsce, a jednocześnie rozpocznie plan usuwania brata Kevana z jego obecnego stanowiska. Fitz wiedział, że jedyną istotą bliższą Miriam bardziej niż Sunny była Dena Brigham.

- Siostra Dena jest już gotowa na przyjęcie ślubów - powiedział głośno. - Cremonia odbędzie się jutro. Oczekuję, że odpowiednio ją przygotujesz. Jeśli Pan nie zwróci nam Sunny, Dena zostanie matką nowego Mesjasza.

Musiał przyznać, że wyraz absolutnego zaskoczenia zagościł na twarzy Miriam tylko na chwilę.

- Nie... nie mogę - zająknęła się. - Ona nie jest jeszcze gotowa. Ona... jest...

- Córką Kevana? Jeśli byłoby inaczej, to od dawna zajmowałby się nią korporacyjni medtechnicy. Matko, muszę wypełniać wolę Boga, nawet jeśli oznacza to dla mnie osobistą stratę.

Nadeszła pora, żeby Kevan zrozumiał, że absolutnie nic dla mnie nie znaczy, pomyślał.

Miriam zebrała swoje przemoczone szaty i wybiegła.

Fitz rozluźnił się, uśmiechając szeroko. Triumf znów należał do niego. Upokorzył Miriam i poczynił pierwsze kroki w celu pełniejszego wykorzystania Kevana dla dobra Kościoła. Musiał jednak uważać. Zdawał sobie sprawę, że Miriam może jeszcze sprawić kłopoty. Szczególnie jeśli udałoby się jej sprowadzić z powrotem Sunny.

- Miriam będzie moim pierwszym męczennikiem - powiedział, gładząc się po brzuchu. - A Kevan kolejnym.

ROZDZIAŁ 10

- Naprawdę nie jesteśmy szpiegami. - Echo bardzo starała się mówić spokojnie, bez emocji. - Chcemy tylko wyjść żywi z całej tej sytuacji.

Spojrzenie Susan złagodniało. Kobieta patrzyła prosto w jej serce, widząc coś, czego Echo nie dostrzegała.

- Obserwowałam je, Grady - powiedziała cybriotekarka. - Dżihad próbował je zabić. Ścigają je chrześcijańscy żołnierze i jakaś niezidentyfikowana grupa najemników.

- Wyrzuć je na ulicę - warknął Grady.

- Jestem czasowniczka - odezwała się Echo. - A to jest Sunny Fitzgerald, córka Rolanda Fitzgeralda, dziedziczka Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan.

Susan uśmiechnęła się i dokładniej przyjrzała Sunny.

- Hm. To może być prawda - powiedziała po kilku chwilach do Grady'ego.

- Co to ma, do cholery, znaczyć, Susan? - wybuchnął mężczyzna. - Skąd wiesz, kim jest ta dziewczyna? Dżihad już stracił jednego ze swoich ludzi, próbując się tu wedrzeć. Może podesłali tu fałszywą czasowniczkę z fałszywą dziewczyną, tylko po to, by dostać się do strzeżonych przez ciebie danych!

- Ja jestem Sunny Fitzgerald! - krzyknęła dziewczyna; Echo instynktownie ją objęła; czuła, jak Sunny drży.

- Grady! - westchnęła Susan. - Daj spokój. Lepiej stąd idź i zabierz ze sobą to paranoidalne podejście do życia.

- Susan...!

- Pomyśl trochę, ty ograniczony, zardzewiały pistolecie! - wrzasnęła na niego cybriotekarka. - Dżihad nie chce moich książek. Chce tych dwóch dziewczyn! Jeżeli potrzebowałyby którejkolwiek z przechowywanych tu informacji, to wystarczyłoby przecież przysłać czasownika albo nieuzbrojonego pracownika korporacji. My udzielamy informacji. Od tego przecież jesteśmy. Gromadzimy dane, chronimy je i każdemu zainteresowanemu udostępniamy na życzenie.

- Ale... ona kłamała!

- Pokaż mi swoje ID - zwróciła się Susan do Echa. Ta uniosła dłoń.

- Spójrz tylko, Grady. Ona ma na dłoni kod Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Jest zatem czasowniczka.

- To może być podróbka.

- Niewykluczone, ale ty za to na sto procent jesteś nie-przynależny. To właśnie ciebie nie powinno tu być. Moim obowiązkiem jako cybriotekarki jest udzielić schronienia tym dwóm kobietom, a ciebie wyrzucić na zbity pysk! I jeśli nie masz nic przeciwko, to sama będę decydowała, jak wykonywać moją pracę. Przyniosłeś odnalezione nie wiadomo gdzie książki: świetnie. Jestem wdzięczna. Ale teraz wracaj do siebie, tą samą dziurą, którą się tu wśliznąłeś. I pozwól mi pracować.

Grady zeszywniał, jakby go uderzyła. Jego oczy stały się zimne, złe.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało - powiedział cicho, a potem obrzucił Echo długim, nieprzyjaznym spojrzeniem. - Lepiej, czasowniczko, żeby tej kobiecie nic się nie przydarzyło z twojego powodu. Nie masz pojęcia, co dzieje się z przynależnymi, którzy krzywdzą moich przyjaciół. Nie wiesz, jakie potrafię zgotować im piekło. Znajdę cię wszędzie. I wtedy przeklniesz dzień, w którym mnie spotkałaś.

Echo przez moment biła się z myślami, ale nie odezwała się. Mężczyzna odwrócił się i zniknął w jednym ze skrzydeł czytelnik.

- Musisz tak trzymać ten pistolet? - spytała Echo, gdy uciły kroki nieprzynależnego.

Cybriotekarka uśmiechnęła się.

- Na razie tak.

- Niech będzie. Susan, prawda?

- Tak. A jak mam się zwracać do ciebie?

- Echo.

- Młoda damo. - Susan skinęła na Sunny. - W prawej górnej szufladzie biurka znajdziesz apteczkę. Zajmijmy się ranami twojej przyjaciółki.

Sunny podbiegła do biurka, a Susan zagadnęła:

- Jak masz naprawdę na imię?

- Po prostu Echo. Moja matka sprzedała mnie Usługom Tymczasowym; byłam zbyt mała, aby to zapamiętać. - Wymawiała te słowa automatycznie; nie towarzyszył im żaden obraz, żadne wspomnienie. Żadnej matczynej miłości, czy też nienawiści; ogromna pustka, a potem od razu ośrodek wychowawczy Korporacji.

- Rozumiem. Odwróć się i pochyl trochę, żebym widziała tył twojej głowy. - Susan wzięła od Sunny apteczkę. Odłożyła pistolet i wyjęła z pudełka antyseptyczny gazik polowy korporacji Prefix. Echo podeszła do biurka, nie spuszczając z oka leżącego na blacie pistoletu. Za chwilę poczuła na karku kojący chłód i z ulgą zamknęła oczy.

- Trochę lepiej? - spytała Susan.

- O tak. Dziękuję.

- Wiesz, Grady miał trochę racji. Twoja rana jest dziwna. Gdzieś wygląda jak świeża, rozkrwawiona, a w innych miejscach - jakby się goiła od kilku dni. W porządku, nie spinaj się tak - powiedziała Susan, czując, jak Echo robi się sztywna pod jej dotykiem. - Jesteś tu bezpieczna, dopóki dane nie są zagrożone. A jeśli już będą... Cóż, intruzi będą mieli twarde orzechy do zgryzienia.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa całe pomieszczenie zadrżało od potężnego wstrząsu. Płyty, taśmy, kryształy pamięci posypały się z półek. Jeden z terminali z hukiem spadł ze stolika.

- Sunny! - krzyknęła Echo. - Schowaj się pod biurko. Mają działko plazmowe.

Susan sięgnęła po broń; czasowniczka zignorowała ją, rozglądając się za jakimś lepszym schronieniem. Nic nie rzuciło się jej w oczy.

- Grady! - Odwróciła się do cybriotekarki. - Jak się tu dostał? Przecież nie wszedł drzwiami!

Susan trzymała w ręku mały komunikator, wypowiadając szybko jakieś niezrozumiałe słowa; Echo nic nie słyszała, wszystko ginęło w jednostajnym huku ciężkiej broni dochodzącej z zewnątrz.

- Hej! - krzyknęła, wyszarpując kobiecie komunikator. - Jak Grady tu wszedł? Którędy?

- Oddaj! - Susan rzuciła się na nią, unosząc broń. - Muszę...

- Którędy?! - powtórzyła Echo, wytrącając jej pistolet.

- Piwnica. Wchodzi i wychodzi przez piwnicę - odparła zrezygnowana cybriotekarka. Echo oddała jej komunikator.

- Na monitorach mam dwa transportery Dżihadu - podjęła natychmiast. - Jesteśmy pod ostrzałem trzech ciężkich dział plazmowych. Potrzebuję wsparcia! Te ściany długo nie wytrzymają! Proszę o pozwolenie użycia środków ofensywnych!

Echo zastanawiała się, kto słucha słów przerażonej cybriotekarki i jaką siłą dysponuje. Nagle wibracje budynku ustały; wciąż było słychać niskie grzmoty wystrzałów. Czasowniczka zobaczyła, że jedna z kolumn podtrzymujących sklepienie budynku zaczyna się rysować.

- Co się dzieje? - spytała Sunny drżącym głosem.

- Uruchomiłam awaryjne instalacje obronne budynku - odparła Susan. - Mamy dziesięć minut względnego spokoju. Wezwałam posiłki zdolne do zdecydowanych działań zaczepnych.

- Przyślą je? - zapytała Echo.

- Jeżeli nie, to Dżihad zrówna ten budynek z ziemią. A po wszystkich zgromadzonych tu danych i ludziach pozostanie tylko wspomnienie.

Podniosła pistolet, mierząc w Echo.

- Przykro mi - powiedziała, wskazując lufą drzwi.

- Czemu? - wycedziła czasowniczka. W jej żyłach gotowała się adrenalina.

- Podjęcie działań zaczepnych to polityczna decyzja. Zarząd może zwyczajnie nie zdążyć jej podjąć. Albo może zdecydować o poświęceniu tego budynku. Wierz mi, naprawdę mi przykro. Miałam nadzieję, że zdołam wam jakoś pomóc.

- Może awaryjna droga Grady'ego? - Echo gorączkowo szukała rozwiązania.

- Już jej kiedyś szukałam. Zbadałam każdy zakamarek piwnicy i nie znalazłam. A jeśli mnie się nie udało, to tobie tym bardziej. Tam jest cały labirynt, setki pomieszczeń. Zgubisz się tam.

Wyraz twarzy Susan wydał się Echu znajomy. Tak wygląda człowiek, który musi wybrać między dobrem a złem, będąc jednocześnie związanym w swych decyzjach jakąś wyższą racją.

- A jednak coś ci się w tym wszystkim nie zgadza, prawda? - powiedziała Echo.

- Tak... - odparła zaskoczona cybriotekarka. - Jestem pewna, że ta dziewczyna nigdy nie żyła na ulicy. Ze ty jesteś, lub może byłaś, czasowniczka. I że Dżihad musiał chyba zwariować na waszym punkcie, skoro urządza oblężenie z ciężkim sprzętem poza strefą negocjacji bojowych. To wszystko razem jest niewątpliwie bardzo dziwne. Ale moim głównym zadaniem i najwyższym priorytetem jest ochrona informacji. Przysięgałam ich bronić. Musisz mi wybaczyć.

- Przysięgałaś również udzielać schronienia! - naciskała Echo.

- Tak, ale osobom legalnie przynależnym.

- Przecież jestem...

- Nie jesteś - przerwała jej Susan. - Sprawdziłam twoje ID w bazach korporacyjnych. Figurujesz tam jako banitka. Nie masz legalnego statusu.

Echo domyślała się tego. Korporacja umyła ręce.

- A co z Sunny? - krzyknęła. - To chyba wciąż przynależna, co?! Poza tym powiedziała ci przecież, kim jest! Co będzie, jeżeli nie udzielisz jej schronienia?

Susan lekko się uśmiechnęła.

- To zależy od decyzji centrali.

- A jeśli twoja osobista decyzja będzie inna?

- W takim wypadku złamałabym swoją przysięgę.

- Więc wyrzucasz nas za drzwi?!

- Mam jasne wytyczne co do postępowania w takich wypadkach. Musicie opuścić budynek.

- Ale czy musimy zostać pojmane przez Dżihad?!

- Nie wiem, gdzie jest ta dziura Grady'ego. Nic nie mogę zrobić.

- Nic? Jestem czasowniczka, a ty cybriotekarka i mamy dziesięć minut! Potrzebuję map pobliskiego obszaru, planów konstrukcyjnych budynku i dostępu do terminala. Proszę, daj nam przynajmniej te dziesięć minut!

- Dziesięć minut... - Susan odłożyła pistolet. - Dobrze. Użyj terminala w moim biurku, jest najszybszy. Mapy terenu i plan budynku odnajdziesz bez problemu. Chciałabym ci pomóc, ale muszę nadzorować ochronę Czytelni.

- Jasne.

- Echo... Co mam robić? - spytała Sunny.

- Módl się. Wcześniej zadziałało.

Sunny poważnie skinęła głową; Echo usiadła przy terminalu. Duchy w jej głowie uderzyły ze zdwojoną siłą, wykorzystując osłabienie dziewczyny. Starła się nie dopuścić ich do głosu.

Skupiła się na pracy, na szukaniu. Plik za plikiem przelatywał przez ekran. Znalazła część planów konstrukcyjnych: budynek był stary, jeszcze sprzed Wojen Przeludnieniowych. Marmurowa posadzka w holu okazała się być dziełem artysty urodzonego prawie sto lat temu. Wiek budynku stwarzał pewne możliwości. Potrzebowała tylko starszych planów, tych oryginalnych, z czasów wznoszenia budowli.

Oby tylko nie trzeba było przekopywać się przez tony papieru, pomyślała.

- Zostały jeszcze trzy minuty. - Susan podbiegła do niej. - Przykro mi, nie mogę dłużej czekać. Rzucili na nas wszystko, a centrala nie odpowiada. Przybywają posiłki, ale dla Dżihadu. A twoja towarzyszka... już wiem, że to naprawdę Sunny Fitzgerald.

Echo poczuła drżenie budynku. Atak przybierał na sile, a ochrona słabła.

- Echo? - Sunny położyła jej dłoń na ramieniu. Jej ciepły, rozemocjonowany głos przepędził duchy. W tej samej chwili Echo zatrzymała przelatujące przez ekran w szalonym tempie schematy.

- Mam - szepnęła; na monitorze pojawił się zeskanowany plan budynku sprzed prawie dwóch stuleci. - Sunny, twoje modlitwy zostały wysłuchane. Susan, według tych planów są tu dwa poziomy piwnic?

- Zgadza się. Ale ten dolny jest od lat zalany wodą, zresztą specjalnie: całe podziemia są pod poziomem morza. Gdybyśmy nie mieli odprowadzenia wody, zalałoby nam również górny poziom.

- Dokąd schodzi ta woda?

- Nie mam pojęcia.

- Pokaż nam schody.

- Stamtąd nie ma wyjścia! Będę musiała wpuścić tu Dżihad. Dopadną was na dole!

- Już nas tam nie będzie. A jeśli nawet będziemy, to przecież zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy.

Susan kiwnęła głową i wskazując im drogę, pobiegła do skrzydła, w którym zniknął Grady.

*

Szyf nie ustawał. Wciąż szukał śladów Echa na bezdrożach Sieci. Dopiero teraz czuł, jak bardzo brakowało mu rozmów z dziewczyną, jej głosu, jej obecności. To dzięki niej wciąż czuł się człowiekiem, a nie tylko dziwnym rozumem zaklętym w maszynie.

Nie czuł się tak źle i samotnie od czasu, gdy obejrzał zapis umierania Marii.

*

Echo wsadziła latarkę do kieszeni uniformu i zaparła się nogą o betonową ścianę. Jeszcze raz wspólnie z Sunny szarpnęła z całej siły. Stare, żelazne drzwi ustąpiły wreszcie z potępięcym zgrzytem. Przez powstałą szparę wcisnęły się w zimną ciemność.

Czasowniczka zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na ciężką, stalową sztabę. Najwyraźniej ktoś tu kiedyś już się ukrywał; dawno, przed Wojnami Przeludnieniowymi.

- Zejdź na dół - rzuciła do Sunny. Nie miała złudzeń, że drzwi powstrzymają wojowników Dżihadu dłużej niż kilka sekund

- Te drewniane schody są przegniłe i śliskie! - zawołała Sunny. - Musisz mi poświecić.

- Ruszaj - powiedziała Echo, podbiegając z latarką. - Na dole pewnie jest woda. Musisz popłynąć.

- Ale... nie umiem...

- Chyba będziesz musiała się nauczyć - westchnęła Echo, patrząc na błyszczącą w świetle latarki czarną powierzchnię wody.

- Mogę iść! - krzyknęła Sunny z dołu. - Woda jest tylko po kolana.

Echo zeszła za nią. Istotnie, ciepła woda miała tylko kilkadziesiąt centymetrów głębokości, choć dalej podłoga obniżała się. Intensywny odór pleśni i gnijącego drewna odbierał oddech.

- Czego szukamy? - spytała Sunny.

- Idziemy do tamtej ściany. - Echo wskazała miejsce latarką. Pluskanie wody zagłuszało jej słowa.

Były już na miejscu, kiedy dotarli do nich głuche odgłosy uderzeń z wyższego poziomu. Ktoś rozwałił ciężkie, metalowe drzwi.

Echo zanurkowała, obmacując ścianę. Jej dłoń natrafiła wreszcie na zimny, oślizły metal. Na górze słychać było gniewne, stłumione głosy.

- Musisz mi pomóc! - krzyknęła, wynurzając się. - Musimy otworzyć tę kratkę. Na górze jest zawias: odchylimy ją, ty przytrzymasz, a ja się przecisnę.

- I co potem? - spytała przerażona Sunny. - Przecież cały kanał jest pod wodą. Utopimy się!

- Wolisz poczekać na Dżihad?

Sunny bez słowa zanurzyła się w czarnej wodzie. Echo poprowadziła jej ręce; obie kobiety zaparły się nogami i z całej siły pociągnęły za kratkę. Zostały zawias ustąpił wreszcie i dał się uchylić. Udało się im otworzyć półokrągłą kratkę do końca.

- Zaprzyj się o nią plecami - wydyszała Echo, podając jej latarkę. - Tak, żebyś miała wolne ręce. Ja wchodzę do kanału, sprawdzę, dokąd prowadzi.

Śmiertelnie przerażona dziewczyna pokiwała głową.

Echo wzięła głęboki oddech i wśliznęła się w ciemność kanału. Był zbyt ciasny, by w nim płynąć: musiała wyciągać ręce przed siebie, wyszukiwać szczeliny między starożytnymi kamieniami, z których zbudowano podziemia, i podciągać się do przodu. Powoli traciła poczucie kierunku; nic nie widziała, nic nie słyszała. Wszystkie zmysły oprócz dotyku zamarły. Została tylko nieprzenikniona ciemność.

Krawędź. Pośród spokojnego chaosu płynęła ku krawędzi.

W najmroczniejszym zakątku jej umiarkowanego umysłu stało lustro. Patrzyła na swój zniekształcony, odbity obraz. Za plecami szeptały tysiące niezmordowanych głosów. W lustrze błysnęła na chwilę bransoletka zawieszona na nadgarstku stojącej tam kobiety.

- Powietrze - powiedziała kobieta z lustra. - W górę! Echo odbiła się nogami ku górze, oczekując zderzenia z niskim, kamiennym sufitem. Zamiast tego wyskoczyła ponad powierzchnię wody, spazmatycznie łapiąc powietrze.

Woda sięgała jej tylko do piersi; mogła w niej stać. Uspokoiwszy oddech, rzuciła się z powrotem do przepustu, którym tu przyflęła.

*

- Znalazłam przejście. - Echo próbowała złapać oddech. - Po drugiej stronie jest duże pomieszczenie, jest powietrze.

- Jesteś pewna? - spytała Sunny.

Głośny plusk wody poniósł się po piwnicach. Wokół zatańczyły jasne światła reflektorów.

- Są tam! - krzyknął męski głos. - Biercie je żywcem! Echo złapała Sunny za rękę i pociągnęła w dół.

- Nie bój się. - Starła się, by jej głos brzmiał uspokajająco. - Nabierz dużo powietrza i przesuwaj się wzdłuż przepustu, podciągając na rękach. To niedaleko, jakieś trzy metry. Ruszaj!

Wyrwała Sunny latarkę i oświetliła wlot kanału. Wolną ręką wepchnęła dziewczynę pod powierzchnię wody, a potem zaczęła popychać jej stopy, aż do chwili, gdy nie mogła ich już dosięgnąć.

Zanurkowała za nią. Miała nadzieję, że wąski, zalany wodą przepust powstrzyma choć na parę chwil ludzi Raszida. Po kilku długich sekundach wynurzyła się obok Sunny w dużym pomieszczeniu.

- Gdzie jesteście? - spytała dziewczyna.

Echo oświetliła latarką sufit i ściany. Wiedziała, gdzie są. Widziała już kiedyś te gładkie, rzeczne kamienie, starannie związane zaprawą, tworzące półokrągły przekrój szerokiego kanału. Widziała...? Ona? Może widziała to jedna z setek osobowości żyjących w jej głowie.

Mrok naparł na nią bezlitośnie. Kto...? Jak? Co się z nią działo?

- Skąd wiedziałas, że...? - otrzeźwił ją głos Sunny.

- Ten budynek leży w starej części miasta i kiedyś tu... - prawie powiedziała „mieszkałam”; Maria, to musiała być Maria. Zaczęła jeszcze raz:

- Grady skierował się do podziemi zamiast do wyjścia, więc... - Własne słowa brzmiały dla niej pusto, bezsensownie. Czowała, jak krawędź nachyla się nad nią w przerażającej ciszy.

- Jedna z osobowości, którą nosiłam, znała tę okolicę. - Starła się skupić, mówić, działać. - To część sieci tuneli zbudowanej jeszcze w dziewiętnastym wieku. Rozciągają się od nabrzeża pod całym miastem. Zbudowali je chińscy robotnicy przymusowi, transportowano nimi kontrabandę, nielegalne i nieocłone towary.

- Czy to... kolejny cud? - spytała Sunny.

- Nie wiem - westchnęła Echo, oddając jej latarkę. - Idź na zachód, w przeciwnym kierunku do rzeki. W górę, tam gdzie nie będzie już wody.

Przepust, którym dostały się do tunelu, wypełnił się jasnym światłem.

- Ktoś tu płynie! - pisnęła Sunny, ściskając Echo za rękę. Rzuciła się we wskazanym przez czasowniczkę kierunku, próbując pociągnąć ją za sobą. Ale Echo stała bez ruchu.

- Zabijają cię! - krzyknęła. - Musimy uciekać!

- Nie. - Echo wyrwała się. - Idź sama. Weź latarkę i idź. Znajdź jakieś suche, niezalane wodą miejsce i ukryj się tam. Nie wychodź pod żadnym pozorem, chyba że to ja nadejdę.

- Echo, ja...

- Nie martw się. - Czasowniczka poczuła nagle przyjemne łaskotanie adrenaliny, pewność wyćwiczonych odruchów bojowych Marii. - Muszą tu przechodzić pojedynczo; dam radę ich zatrzymać. Nie mam jeszcze zamiaru umierać. Idź! Popchnęła dziewczynę; Sunny niechętnie ruszyła na zachód.

Echo przykucnęła tuż obok przepustu; woda sięgała jej do podbródka. W ciszy obserwowała grę światła i cienia w letniej wodzie wypełniającej korytarz. Zastanawiała się, ile jej jeszcze zostało z tych czterdziestu ośmiu godzin, o których mówił Syzyf? Zapewne niewiele. Z drugiej strony, skąd mógł tak dokładnie wiedzieć? Może transfer osobowości Marii coś tu zmienił...? Musiała wrócić jak najszybciej.

Wreszcie wylot przepustu stał się jednolicie jasną, półokrągłą plamą na tle czarnej ściany. Człowiek z reflektorem był bardzo blisko. Echo rzuciła szybkie spojrzenie na wciąż widoczne światełko latarki Sunny w głębi korytarza.

Nie może ruszać się szybciej?!, pomyślała.

Z jasnej plamy pod wodą wychynęła srebrna lufa karabinu plazmowego. Echo zamarła. Chciała tej broni. Chciała reflektorka zamocowanego na przedramieniu żołnierza, najbardziej po prostu zablokować na dobre przepust.

Karabin posunął się do przodu. Dłoń w czarnej rękawicy spoczywała na ostrońce spustu. Wskaźnik naładowania błyszczał czerwienią; broń była gotowa do użycia. Żołnierz popchnął karabin przed siebie i wypuścił go z rąk, aby podciągnąć się do przodu.

Echo chwyciła za broń i pociągnęła. Zaskoczony wojownik nie zdążył zareagować, karabin znalazł się w dłoniach dziewczyny. Zaparła się nogami o ścianę i szarpnęła z całej siły. Poczuła tarcie zbroi żołnierza o kamienne ściany i przez chwilę bała się, że sama wyciągnie go z przepustu.

Wtedy wojownik popełnił błąd, na który liczyła. Zamiast dać się wyciągnąć, zaparł się kończynami o ściany kanału. Kabel energetyczny puścił, Echo poleciała do tyłu. Starła się podnieść i jednocześnie wrócić do wylotu kanału; miała tylko sekundę, może dwie. Potem żołnierz zdołał wreszcie wyczołgać się z przepustu.

Udało się. Poczuła za plecami ścianę; przepust był tuż obok jej uda. Szybkim ruchem skierowała lufę w wylot kanału i nacisnęła cyngiel.

Korytarz eksplodował oślepiającym, niebieskim światłem. Wrząca woda bluznęła na ręce i dłonie Echa; dziewczyna zagryzła wargi i puszczając karabin, skoczyła w bok. Woda w przepuscie gotowała się, wypuszczając wielkie bąble pary i dymu.

Potem była cisza i mrok.

Echo oddychała płytko; zmieszany z parą wodną smród stopionego ke wiary tu był obezwładniający. Woda wokoło była ciepła, ale już nie gorąca. Dziewczyna zanurkowała, kierując się w stronę przepustu. Znalazła rozgrzany karabin i za jego pomocą zbadała wnętrze wąskiego kanału; od razu wyczuła ugotowane ciało żołnierza.

Starannie zablokowała karabin w poprzek przepustu, tuż przy ramionach i głowie trupa. Teraz Raszyd będzie mógł wyciągnąć swojego człowieka z powrotem do piwnicy, ale już nie da rady przepchnąć go w przód do jej korytarza. Oczyszczenie kanału zajmie im co najmniej z dziesięć minut. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Wymacała latarkę na zbroi pokrywającej przedramię trupa; udało się ją oderwać. Wstała, widząc odbłaski światła po drugiej stronie przepustu.

Ruszając w głąb korytarza, w którym zniknęła Sunny, Echo uśmiechnęła się do siebie. Udało się jej opóźnić Dżihad. Oczywiście, będą je nadal ścigać, ale po tym, co się stało, Raszyd nie pošle już ludzi przez przepust: najpierw pójdzie robot bojowy, który oczyści kanał. Albo po prostu wywałą dziurę w ścianie. W każdym przypadku ona i Sunny powinny już wtedy być daleko. Pójdą na zachód, znajdą wyjście z tuneli i pójdą prosto do centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych.

Mimo zmęczenia, ran i oparzeń Echo po raz pierwszy od dawna poczuła prawdziwą, uspokajającą nadzieję. Uda im się. Syzyf byłby z niej teraz dumny.

Uda się na pewno.

*

Syzyf zdał relację Mathiasonowi: Echo żyła. Potwierdziły to transmisje oddziału Dżihadu, wzywającego posiłki.

Echo 5127 i córka Fitzgeralda były w Czytelnii. Naukowcy udzielili im schronienia. Syzyf był im szczerze wdzięczny, choć zazwyczaj pogardzał ich dziwaczną hipokryzją.

Byli ostatnią prawdziwą instytucją badawczą na Ziemi; jedyną, na istnienie której zezwalało MKB. Wolno im było istnieć mimo wykazywania ujemnego bilansu finansowego: samo Konsorcjum szczerze ich wspierało. Jednocześnie szeregowi przynależni Naukowców otwarcie głosili sprzeciw wobec panującego Systemu.

Ale dziś to się nie liczyło

Syzyf skierował swoich najemników do zmasowanego ataku na tyły dżihadowców oblegających Czytelnię.

- Jestem tu, Echo - wysłał w Sieć. - Znajdę cię.

ROZDZIAŁ 11

Miriam siedziała na swojej sofie-kapsule ratunkowej, która była pokryta prostym obiciem, o wiele tańszym niż ta w pokojach Sunny. Była także o wiele mniej wygodna, ale to akurat Miriam odpowiadało. Przypominało jej, by nie oczekiwać zbyt wiele od świata. Jedynym luksusem, na który sobie pozwalała, był wielki, półmetrowy, złoty krucyfiks wiszący na pustej ścianie.

Kevan, ubrany w czystą, białą szatę, pochyłał się nad jej ranami. Jego srebrne skronie błyszcząły blado w słabym świetle. Niegdyś Miriam znajdowała przyjemność w podziwianiu silnych rysów jego twarzy i postawnej sylwetki. Teraz była zbyt przygnębiona, złamana ostatnimi wydarzeniami, zniknięciem Sunny, śmiercią kilku Sióstr.

Mężczyzna uniósł delikatnie rękaw sukni matki przełożonej. Zranione Smitzerem ramię pokrywał przesiąknięty krwią opatrunek. Miriam syknęła.

- Chcesz coś przeciwbólowego? - spytał Kevan.

- Nie. To kara za to, że nie zdołałam obronić moich podopiecznych. - Delikatnie wykręciła rękę z uchwytu Kevana.

Mężczyzna był wyraźnie zmieszany; wyczuł w jej głosie wielką gorycz. Wstał i odwrócił się, nie mogąc znieść wzroku kobiety.

- Jak wiele zginęło? - spytał.

- Dwie. - Miriam chciała, żeby wiedział, żeby też czuł ten ból. - Na najniższych poziomach.

- Przykro mi.

- To ty kontrolowałaś ten obszar - syknęła. - To ty wypuściłeś gaz! A teraz mówisz, że ci przykro?!
Kevan spojrział na nią smutnymi, szarymi oczyma.

- Miriam - powiedział po dłuższej chwili. - Uwierz mi, to nie ja. Nie mógłbym tego zrobić. Ja... próbowałem go powstrzymać... Nie chciałem tego.

- Siedemdziesięcioro ludzi zginęło zatem z ręki swojego własnego przywódcy. A ilu intruzów zabił gaz? Dziesięciu? Pięciu? A może jeszcze mniej?

- Miriam... Ja... - westchnął. - Bałem się o Denę. O ciebie, o Sunny. Zneutralizowali nasze instalacje obronne. Weszli jak huragan; ktoś ich prowadził. Próbowałem was chronić. Przysięgam! Zrobiłem, co mogłem.

Osunął się przed nią na kolana, zwieszając głowę. Miriam zdawało się, że widzi łzy w jego oczach. Nie miało to jednak znaczenia. Liczyło się, by zrozumiał swoją rolę w tych wydarzeniach, żeby pojął, co zrobił, jak bardzo zawiodł. Jeżeli uda jej się uświadomić mu to, może jest jeszcze nadzieja. Nadzieja dla Deny, gdy zabraknie już Miriam.

- Widocznie zrobiłeś za mało - naciskała, patrząc na załamane go mężczyzną. - Zresztą ja też. Wyrwali mi Sunny z rąk. Ta wojowniczką uciekła z nią w kapsule ratunkowej. A ja wtedy związałam się na podłodze - dokończyła drżącym głosem.

Kevan podniósł się i nieśmiało spróbował objąć Miriam. W pierwszej chwili najeżyła się, ale potem rozluźniła i przytuliła do jego szerokiej piersi.

Miriam zawsze chciała być silna. Kiedy opuściła swojego nauczyciela w górach, aby uzyskać korporacyjną przynależność, żałowała, że jest tak słaba. Krótkie i burzliwe życie członkini plemienia nie było dla niej. A teraz... była taka zmęczona. Chciała tylko zasnąć w ramionach Kevana.

- Przeżyliśmy, Miriam - powiedział cicho Brigham. - Większość twoich Sióstr jest już bezpieczna. Wieża jest bezpieczna. Całkiem prawdopodobne, że Sunny też nic się nie stało. Dżihad jej nie dostał; ta wojowniczką działała najwyraźniej na własną rękę.

- Kim mogła być? - spytała zaskoczona Miriam.

- Czasowniczką - banitką. Może pracowała dla kogoś... Na razie nie wiemy. Dżihadowcy ścigali ją do Czytelni; to ostatnie, co zarejestrowaliśmy. Wiemy na pewno, że nie złapali uciekinierki.

- Miriam... - westchnął po dłuższej chwili. - Oboje nie mogliśmy zrobić nic więcej.

Co?! Kobieta poczuła nagłą wściekłość. Pod wpływem impulsu z całej siły ugryzła go w ramię, którym ją obejmował. Kevan odskoczył z krzykiem.

- Ty głupcze! - wrzasnęła mu w twarz. - Gdybym zrobiła naprawdę wszystko, to bym tu nie siedziała! Byłabym martwa! Fitz w jednym miał rację. Moim obowiązkiem było chronić Sunny i twoją córkę. Zrobić dla nich wszystko! A ja... nie zabiłam na przykład nikogo. Nie zrobiłam wszystkiego! One mi ufały, a ja zawiodłam!

Kevan patrzył na nią szeroko otwartymi, przerażonymi oczyma.

- Najgorsze, że ty wierzysz, iż zrobiłeś wszystko - ciągnęła bezlitośnie. - Twoim zadaniem była ochrona Kościoła. To był twój obowiązek! Przed Bogiem, przed Fitzem, przed nami wszystkimi. A ty, zamiast chronić, zabiłeś nas! Zdradziliśmy, Kevanie. Oboje jesteśmy zdrajcami.

Zszokowany Brigham milczał. Miriam zdecydowała, że już czas otworzyć mu oczy.

- Kevanie. Co Fitz tak naprawdę zrobił dla ciebie? Dla Deny?

Mężczyzna potrząsnął głową.

- Uratował mnie. Uratował mi życie, tak jak i tobie.

- Tak, Kevanie. Zdjął cię z krzyża. Ale czy naprawdę uratował? A może tylko kupił sobie w ten sposób twoją lojalność? A co z Deną, po co ją ratował? Do czego ona była mu potrzebna?

- Miriam, co cię opętało? Nie jesteś sobą...

O nie. Próbował po prostu ją uciszyć. Jeżeli teraz pozwoli mu na to, nigdy sobie nie wybaczy. Chciała wyrzucić mu w twarz, jak bardzo się myli. Została postrzelona, pobita przez Fitzę, a w dodatku zginęło siedemdziesięcioro jej braci i sióstr. „Nie była sobą”. Nie...

Musiała zmienić sposób, w jaki Kevan patrzył na Fitzę.

- Masz rację - powiedziała spokojnie. - Jestem zmęczona. Powinnam odpocząć.

Twarz Kevana rozciągnęła się w szerokim, dobrotliwym uśmiechu, który tak kochały tłumy.

- Ale zanim sobie pójdziesz - westchnęła Miriam - chcę ci tylko powiedzieć, że... powinieneś przejrzeć na oczy. Fitz nie jest zbawicielem. Jest rakiem, który wyrósł podczas Wojen Przeludnienia. Rakiem, który zaraził cały świat. Nie jest wcale lepszy od ludzi, z rąk których wybawił niegdyś ciebie.

Kevan powoli odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

- Żyję tylko dzięki niemu! - rzucił, nie patrząc na nią. - Denę również. Nie jesteś w stanie tego pojąć. Gdzie byłaś, kiedy gwałcono Rachel na oczach jej córki? Gdzie byłaś, kiedy podcinano jej ścięgna Achillesa, by nie mogła uciekać? Gdzie byłaś, kiedy przybijali mnie do wiatraka, aby wyszydzić mój kościół? Nie masz pojęcia, co zrobiły tamte bestie. Do czego były zdolne. Nigdy! Powtarzam ci: nigdy nie porównuj Fitzę z nimi. Nie masz prawa.

- Otóż mam, Keyanie - powiedziała Miriam, wstając z sofy. - Byłam z nim tego dnia. Wiem, jak umarła Rachel. Nie od ran zadanych przez Małego Farrela i jego psychotyczną, nieludzką bandę. To był Fitz. Mówił, że ją uleczy... To on ją zabił.

Kevan skoczył do niej z szaleństwem w oczach, zaciskając pięści. Miriam skuliła się, zasłaniając przed ciosem, który miał nigdy nie spaść.

Kiedy otworzyła oczy, Brighamem wstrząsał gwałtowny szloch.

- Pamiętam - wyszeptał przez łzy. - Pamiętam, jak troszczyłaś się o Denę, gdy ja nie mogłem. Fitz uratował nas wtedy, w dolinie, ale tak naprawdę przybył o dwa dni za późno. Nie masz pojęcia, co działo się przez ten czas... Wcześniej. Nie chciałabyś wiedzieć.

Płacząc, opadł na sofę i ukrył twarz w dłoniach. To właśnie to, pomyślała Miriam. Ból, który wciąż go zaślepia.

- Widziałam wiele rzeczy w życiu, Kevanie - powiedziała łagodnie, kładąc mu dłonie na ramionach i przytulając jego zapłakaną twarz. - Opowiedz mi, co się stało. Mamy czas.

Kevan łamiącym się, cichym głosem zaczął opowieść o małym kościółku w dolinie na brzegu rzeki Columbia. O szczęśliwej społeczności, o Bożym duchu, który ich wypełniał. Miriam słuchała - większość faktów już знаła i na własne oczy widziała straszny koniec tej historii

Mały Farrel był jednym z tysięcy wojskowych, którzy nie mieli co ze sobą począć po upadku państw utrzymujących armie. Nie przeszedł testów psychologicznych, co zamykało mu drogę do korporacji; nie mógł nawet zostać najemnikiem czy ochroniarzem. Był psychopata. Kochał cierpienie i ból. A w ułożonym świecie korporacji nieplanowane cierpienie i niesłużący celom firmy ból oznaczały najczęściej stratę czasu i pieniędzy. Tylko najwyżsi oficjerze mogli sobie pozwolić na folgowanie perwersjom.

Farrel nie był sam. Zebrał bandę podobnych sobie wyrzutków i wykołajeńców. Spadli na spokojną parafię Kevana jak bluźniercza parodia czterech jeźdźców apokalipsy. Mordowali, gwałcili, palili, jak horda starożytnych barbarzyńców. Tylko Kevan i Denę dożyli przybycia odsiecz - Fitzę i jego święty.

Żona Brighamiana, Rachel, została wielokrotnie zgwałcona i okaleczona. To Miriam wiedziała. Ale nie mogła wiedzieć, jak Farrel zmuszał małą Denę, by patrzyła na to, co robili jej matce.

Fitz podróżował po okolicy, zbierając nieprzynależnych, którzy chcieli się do niego przyłączyć. Małe kościółki, jak ten Kevana, były idealnymi miejscami do zdobywania nowych wyznawców. Miał im wiele do zaoferowania: rósł w siłę, miał znakomite układy ze wzrastającą potęgą, jaką było Międzynarodowe Konsorcjum Bankowe. Dawał ludziom dom, schronienie, żywność i opiekę medyczną. No i oczywiście zbawienie ducha. Tym wszystkim zwał również Miriam; kobieta miała wprawdzie nieco inne poglądy na sprawy natury duchowej, ale reszta oferty Fitzę była nader kusząca.

Tymczasem świat Kevana legł w gruzach. Mały Farrel, upokorzywszy i umęczywszy swoją ofiarę, przybił go do skrzydeł wielkiego wiatraka. Wisiał tam przez całą noc. Nie pamiętał momentu przybycia Fitzę, tylko rozmyte plamy niebieskiego, plazmowego ognia, a potem dłoń Posłańca Bożego zdejmującą go z krzyża i opatrującą mu rany.

Gożej, że nie pamiętał również, jak Fitz trzymał piękną żonę Brighamiana zamkniętą w sypialni, aż umarła.

Miriam chciała wykrzyknąć Kevanowi całą prawdę. Chciała nim potrząsnąć, wyrzucić z niego cały zasłaniający oczy i myśli ból. Zamiast tego powiedziała:

- Dzielnie broniłeś swojej rodziny.

- Byłem tchórzem - szepnęła, ocierając łzy i siadając prosto. - Powinieneś być lepiej walczyć. Dobrze powiedziałaś: powinieneś być za nie zginąć.

- Prawie zginąłeś.

- Nie szydź ze mnie. Pewnie chcesz powiedzieć, że to ciężkie doświadczenie zabiło część mojej duszy, czy inną bzdurę w tym rodzaju.

- Nie. Chodzi mi o to, że naprawdę cudem uciekłeś śmierci spod kosy. Zrobiłeś wszystko, co się dało. Taka jest prawda, Kevanie. Jesteś idealistą, człowiekiem, który poświęci wszystko za coś, w co wierzy. Który nie zmarnuje żadnej szansy, aby uczynić coś dobrego. Znam cię od dawna. Wiem, że dla swojej córki zrobiłbyś wszystko.

- Kocham ją.

- Ja też, jako przyjaciółka i nauczycielka. Czasem prawie matka. Posłuchaj mnie teraz, proszę. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Kevan pochylił się w skupieniu.

- Odchodzę z Wieży - powiedziała.
- Chcesz porozmawiać później, kiedy wrócisz?
- Odchodzę na zawsze.
- Nie możesz...
- Fitz pobił mnie dzisiaj. - Uniosła rękę, zamykając mu usta. - Za to, że nie zginęłam w obronie Sunny.

Kevan potrząsnął głową.

- Nie zrobiłby tego.
- A gdzie jest ten młody żołnierz Dżihadu, schwytany przez Aniołów?

Kevan odwrócił wzrok.

- Kto zagazował trzy dolne poziomy? - naciskała. - On... jest chory.
- Nie chory, tylko uzależniony. Od metamfy i od władzy. Chce pokonać MKB. Chce...
- Nawet nie próbuj nastawiać mnie przeciwko człowiekowi, który uratował Denę.
- Próbuję tylko zmusić cię do myślenia. Spójrz na moje ramiona, na mój brzuch! Bitwa zostawiła tylko dwa ślady.

Kevanie, nie będzie mnie tu, aby chronić Denę. Chciałbym, żebyś to sobie uświadomił. Fitz chce ją jutro wyświęcić. Uczynić pełnoprawną Siostrą. Udzieli jej prywatnego błogosławieństwa. Pomyśl o tym, Kevanie. Ja nie dam już rady tego powstrzymać... Ale ty wciąż masz szansę.

- Ona... zawsze tak bardzo tego pragnęła! Zamyślona Miriam przeszła przez pokój, do swojej małej nocnej szafki.
- Oglądałaś kiedyś święcenia Sióstr, Kevanie? - Nie.
- Dlaczego? - zapytała spokojnie, wyciągając czarną torbę podróżną. W ciszy zabrała się do pakowania rzeczy osobistych.
- Co ty wyprawiasz?
- Dlaczego, Kevanie? - powtórzyła zdecydowanym tonem.
- Błogosławieństwo Posłańca to bardzo intymny moment osobistej transformacji. To chwila, w której Duch Święty napędza suplikantkę i przemienia ją w kobietę, której życie będzie odąd całkowicie podporządkowane spełnianiu planów Boga na Ziemi.
- Inaczej mówiąc, Fitz wprowadził taką regułę: nikomu nie wolno patrzeć - odparła, wkładając do torby mały woreczek z ziołami.
- Miriam!
- Kevanie! - Odwróciła się do niego. - Przecież wiesz...! To ty pomagasz mu fingować fałszywe uzdrowienia!
- To... coś zupełnie innego!
- Czy kiedyś uleczył kogokolwiek naprawdę? Ile czasu spędzasz, trenując czasowników, by perfekcyjnie zagraли rolę ozdrowieńców? Co mówisz ludziom, aby wierzyli w to, co widzą?
- Potrzebujemy pieniędzy, rynku, żeby walczyć z MKB! Potem dzięki temu będziemy mogli pomóc nieprzynależnym!

Kobieta zaśmiała się.

- Kevanie, powtarzasz kłamstwa Fitz'a. Ten rynek, który zdobywacie, to taka trochę większa taca. Pamiętasz? Twój ojciec chodził z taką podczas swoich oszukańczych nabożeństw w namiotach. On też był uzależniony od metamfy. Wciąż podążasz za swoim ojcem, Kevanie, tyle że teraz pomagasz mamie miliony ludzi, nie tylko marne dziesiątki. Jak możesz tego nie widzieć? Widziałeś moje siniaki i blizny. Widziałeś, co Fitz zrobił temu kapralowi. Obudź się! On nie jest Bogiem. Nie jest nawet posłańcem. To tylko zepsuty człowiek o zgniłej duszy, który chce wykorzystać twoją córkę!

Kevan stał nieruchomo; zamknął oczy. To już było coś: walczył ze sobą. Wreszcie odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

- Jeślibym ci uwierzył - powiedział cicho - zniszczyłbym wszystko, co tutaj stworzyłem. Wszystko, co się dla mnie liczy.
- Wszystko... z wyjątkiem niewinności w oczach córki.
- Nie. Fitz nigdy nie skrzywdziłby Deny. Nie wiem, co ci się stało, Miriam. Nie widziałem tego. Ale od tej chwili możesz się uważać za mojego wroga. Nie dręcz mnie więcej. - Po jego policzku spłynęła samotna, jasna łza. - I jeszcze jedno. Trzymaj się od Deny z daleka.
- W takim razie żegnaj, Kevanie - powiedziała Miriam. Za Brighamem zamknęły się drzwi.

Ze wzrokiem zamglonym przez łzy Miriam wróciła do pakowania rzeczy. Do selekcji wspomnień, które zabierze ze sobą. Serce jej krwawiło: nie chciała zranić Kevana, ale nie miała wyboru. Tylko w ten sposób mogła pomóc Denie. Zamknęła oczy, starając się uspokoić.

Musi szybko wynieść się z Wieży, zanim Fitz się dowie. Dotrzeć do plemion. Kevan... Może coś zrobi, a może nie. W każdym razie, dokonało się.

ROZDZIAŁ 12

Raszid poczuł wstrząs, z jakim obłe cielsko transportera osiadło na betonowym lądowisku tuż obok koszar regimentu. Był w domu. Mimo przygnębienia i zniechęcenia czuł jednak wewnętrzny spokój; ulgę żołnierza, któremu dane było

raz jeszcze powrócić cało z pola bitwy.

Pułkownik myślał o stratach. Ktoś na gorze słono zapłacił za spowodowane przez nich zniszczenia, ale to on odpowiadał za straty w ludziach. Zginęło trzydziestu dziewięciu wojowników z pięćdziesięciu, z którymi wyruszył. Potem jeszcze osiemdziesięciu z przysyłanych posiłków.

Nie osiągnęli celu misji. Wszystko można było wybaczyć, dopóki wypełniana jest wola Allaha. Ale jeśli nie udało się jej wypełnić...

Nigdy jeszcze tak sromotnie nie przegrał. Nigdy nie stracił tak wielu ludzi. W ogóle nie przypominał sobie takiej masakry, przynajmniej od czasu Wojen Przeludnieniowych.

Kto nasłał na nich najemników? Jak czasowniczka w ogóle mogła działać sama? Niestety, tak właśnie było. Wyrwała mu się, zostawiając zakrwawiony implant w jego zaciśniętej dłoni. Nikt nie mógł nią sterować.

Teraz to już się nie liczyło. Za chwilę stanie przed obliczem swego suwerena, Abd al'Alima Ben Altaira, i będzie musiał przekazać mu hiobowe wieści. Zawiódł. Nie miał żadnych złudzeń co do swojego losu. Żołnierzom Dżihadu nigdy nie dawano drugiej szansy.

Po przeciwnej stronie transportera siedział porucznik Aswad, chroniąc złamany nos. To czasowniczka i jej wściekły cios hełmem w twarz oficera tak go urządzili. Raszid poczuł mrowienie blizn po prawej stronie twarzy; mimo ponurego nastroju, prawie uśmiechnął się na wspomnienie filigranowej dziewczyny wyrywającej garść piór z ogona tego napuszonego pawia.

Prawie. Raszid umiał się kontrolować. Allah nie uśmiecha się do tych, którzy cieszą się z cudzego nieszczęścia. Chociaż:., w pewnym sensie czasowniczka oddała mu przysługę. Syn suwerena został ranny; nie będzie przynajmniej wyglądało na to, że oficerowie nie ucierpieli osobiście.

Nie była to jednak zbyt pocieszająca myśl. Dewizą Dżihadu było zwyciężyć albo umrzeć. Wielu zginęło dzisiaj, wypełniając swoją przysięgę. Ale Raszid żył. A cel misji nie został wypełniony.

Pułkownik modlił się cicho, przygotowując na spotkanie ze swymi ludźmi na drodze do Raju.

- Poruczniku Aswad - zwrócił się po chwili do swego zastępcy.

- Tak jest? - spytał tamten, przestając obmacywać zmasakrowany nos i pokiereszowaną twarz.

Raszid wziął głęboki oddech. Musiał zachować godność w ostatniej godzinie życia.

- Idę zdać raport suwerenowi - powiedział mocnym głosem. - Nie musicie iść ze mną. Mam dla was inne zadanie.

- Dziękuję, pułkowniku! - W głosie Aswada słychać było wyraźną ulgę: wcale nie spieszyło mu się do spotkania z ojcem. - Jak mogę przysłużyć się Allahowi?

Skrucha? Pokora? Raszid aż się zatrząsł. Jak długo czekał, by zobaczyć Aswada bez jego zwykłej pychy i demonstracyjnej wyższości? Po raz kolejny okazało się, że prawdziwa walka potrafi nauczyć pokory każdego. A właśnie dziś porucznik walczył po raz pierwszy. To nie była jedna z tych czystych, wyreżyserowanych rozgrywek w negocjacyjnej strefie bojowej. Ich nie można było nawet nazwać bitwami; nie były niczym więcej jak nowoczesnymi, komercyjnymi reality show dla mas. Zabawą, mającą usprawiedliwiać prawdziwe decyzje zapadające w bezpiecznych, cichych gabinetach zarządów korporacji.

W Wieży Światłości jego ludzie starli się z przeciwnikiem walczącym za wiarę i idee. Później, na ulicach, walczyli z dobrze opłaconymi, śmiertelnie groźnymi najemnikami, którym było wszystko jedno, za jakiego boga się biją.

I to właśnie była wojna. Krwawa, nieprzewidywalna, okrutna.

Miało być precyzyjne, chirurgiczne uderzenie. Wszystko szybko wymknęło się spod kontroli. Raszid liczył na to, że czasowniczka przechyli szalę zwycięstwa na ich stronę. Przeliczył się jednak.

- Poruczniku - powiedział. - Możemy jeszcze zwyciężyć. Czasowniczka ma ze sobą dziewczynę. Z pewnością przeżyły...

- To niemożliwe!

- Z pewnością pojawią się znowu - pułkownik zignorował uwagę Aswada. - Wrócą do Wieży Światłości lub do centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych.

- Jeżeli zginęły - przerwał znowu porucznik - to przecież nie ma sensu...

- Usługi Tymczasowe ogłosiły tę czasowniczkę banitką - ciągnął uparcie i niewzruszenie Raszid. - Aktywnie ją ścigają; poza tym wysłali za nią korporacyjny list gończy. Oni wierzą, że dziewczyna żyje. Roland Fitzgerald też łatwo się nie podda, będzie szukał do skutku. To zły człowiek, ale nie głupi.

Pułkownik obserwował Aswada, jednak ten nie odezwał się już, nie okazał kolejnych oznak jawnej niesubordynacji. Pozostali żołnierze zdawali się nie zauważać napięcia między oficerami.

- Może jednak powinniśmy razem stanąć do raportu - odezwał się Raszid. - Mógłbyś osobiście wyjaśnić ojcu, czemu należy zaniechać wszelkich działań.

- Proszę o wybaczenie. - Aswad zbladł w jednej chwili. - To... przez wszystkie dzisiejsze wydarzenia. To się już nie powtórzy.

Raszid kiwnął głową, uznając przeprosiny za wystarczające.

- Fitzgerald wysłał ludzi, poszukiwaczy - kontynuował. - Na pewno ktoś z jego sług będzie wiedział, gdzie szukać dziewczyny. A może przekupi kogoś w Usługach Tymczasowych. W każdym razie, wy musicie być o krok za nimi. Doprowadzą was na miejsce.

- Tak jest!

- I jeszcze jedno, poruczniku... Dostarczycie informacje bezpośrednio do mnie. Nie podejmujcie żadnych działań na własną rękę.

- A jeśli... pan... - jękał się Aswad.

- Jeśli nie będę już mógł odebrać od was informacji?
- Hm... to jest...
- W takim wypadku dostarczycie informacje swojemu ojcu, porucznikowi. On wyznaczy mojego następcę i zdecyduje o dalszym rozwoju akcji. Zrozumiano?
- Tak jest! - odpowiedział porucznik.
Obaj wiedzieli, że Raszid właśnie przekazał mu dowodzenie. Przynajmniej Aswad bezczelnie się nie ucieszył. A pułkownik wiedział, że dla tak niedoświadczonego oficera wysokie stanowisko może stać się karą, a nie nagrodą.
Raszid wstał i ruszył w stronę rampy.
- Dobrze - rzucił na odchodnym. - Wykonać.
Na lądowisku czekało na niego trzech ludzi. Jeden z nich przemówił do Raszida słowami świętego nakazu. Dwóch pozostałych jest tu po to, aby upewnić się, iż pułkownik do nakazu się zastosuje. Będzie jeszcze mógł wydać ostatnie rozkazy swoim ludziom; potem już będzie należeć do tych trzech ludzi w czerni.
Raszid zastanowił się nad ucieczką. Mógłby rzucić się do kabiny pilota, wystartować z lądowiska i wrócić do miasta. Potem, być może, zacząłby nowe życie w innej korporacji. Mógłby przyłączyć się do nieprzynależnych rabusiów żyjących na przedmieściach. Albo nawet nawrócić się na wiarę głoszoną przez Rolanda Fitzgeralda.
Mógł to wszystko zrobić. Być może nawet by się mu udało.
Ale nie mógłby żyć ze świadomością, że nie wypełnił woli Allaha. Mógł chować się i uciekać przez resztę życia, ale ostatecznie nie uniknąłby sądu. Czyż nie napisano w Świętym Koranie, w „Rodzinie Imrana”: „I oto ty uszedłeś rankiem od twojej rodziny, ustawiając wiernych w szeregi do walki. Bóg jest słyszący, wszechwiedzący!”. Albo dalej, w „Łupach”: „A kto tego dnia odwróci się do nich plecami -jeśli nie czyni tego, powracając do bitwy albo przyłączając się do oddziału - ten ściągnie na siebie gniew Boga, a jego miejscem schronienia będzie Gehenna!”.
Ucieczka... To byłaby jeszcze większa porażka i katastrofa. Miał już dość katastrof. Pewnym krokiem zszedł w dół po rampie. Allah akbar, pomyślał. Jam jest ramieniem Allaha.

*

Północnoamerykańska centrala Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych wyglądała jak wielka, niebieska, kamienna bryła. Tylko na samym dole umieszczono detale - na przykład wielkie, szklane drzwi pozwalające stwierdzić, że to jednak potężny budynek, a nie blok lazurowego marmuru.

Sunny zadarła głowę, aby zobaczyć szczyt wieżowca. Nie miała z tym większego problemu: budynek miał zaledwie sto metrów wysokości, większość pomieszczeń znajdowała się pod ziemią.

- Jest... duży - stwierdziła.

- W zasadzie największy w całym megapolis. - Echo zaśmiała się. - Choć widzisz tylko jego czubek, wszystko, co ważne, jest w podziemiach. Oglądasz w tej chwili kwatery czasowników pracujących akurat w korporacjach strefy pomocno-zachodniej, w łączności i transporcie megapolis, na przemysłowych uprawach zbóż oraz w niektórych pobliskich multiosiedlach mieszkaniowych. Znajdujące się tu amerykańskie biura są także centralą Korporacji dla Okręgu Pacyficznego. Sam Herrington Mathiason ma tu swoje biuro... Oczywiście pod ziemią.

- A więc to jednak prawda - westchnęła Sunny. - Co?

- Że... kredyty, wirtualne pieniądze, są niebieskie. Jak uniform czasownika. To wy sprawiacie, że cały przemysł w ogóle działa.

- Poniekąd. - Była to uproszczona, ale jednak prawda; Echo czuła wciąż coś w rodzaju dumy ze swojej firmy. - Czasownicy dają korporacjom życie. Korporacje czasownikom - wręcz przeciwnie.

Kiedyś był to taki średnio śmieszny żart powtarzany w kwaterach pracowników. Teraz nagle stał się straszną rzeczywistością.

Potrzebowała transferu zarządczego.

Weszły do środka. Chłodne powietrze owiało twarz Echa.

- To... niesamowite! - powiedziała Sunny z autentycznym podziwem.

Tak, hol centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych został zaprojektowany właśnie tak, by oczarować i zauroczyć wchodzącego. Okrągła sala wznosiła się na wysokość trzech pięter. Na środku wznosił się biały, kilkumetrowy obelisk. Wysoki, przeszklony sufit mienił się miriadami kolorów; dzięki skomplikowanej, geometrycznej strukturze kopuły (mającej symbolizować żywe, wciąż zmieniające się sieci powiązań handlowych i ekonomicznych na świecie), cała posadzka zdawała się żyć, mienić, błyszczeć.

Blżej ścian wznosiło się pięć potężnych, białych kolumn; pentagram jaskrawo kontrastujący z błyszczącym obsydianem posadzki. W głębi holu widać było wielki balkon z czarnego mahoni, na który prowadziły z obu stron schody wykonane z przezroczystego kwarcu. Na środku balkonu znajdowały się wielkie, podwójne drzwi.

- To jedyna droga do wnętrza budynku - powiedziała Echo. - Za tymi drzwiami, które widzisz na balkonie, jest długi korytarz prowadzący do wind i schodów. Tylko nimi można dostać się na wszystkie poziomy.

Czasowniczka podeszła do obelisku stojącego w centrum holu.

- Zgłasza się Echo 5127 - powiedziała, przykładając rękę do powierzchni kamienia.

- Chwileczkę. Proszę poczekać - rozległ się miły, kobiecy głos.

- Echo? - dołączyła do niej Sunny. - Kiedy będę mogła wrócić do domu?

- Niedługo. Pan Mathiason zaraz się dowie, że tu jesteśmy.

- Echo 5127: numer nieznany - odezwał się ponownie miły głos. - Proszę przyłożyć dłoń do skanera.

Dziewczyna zastosowała się do polecenia.

- Jesteś banitką - powiedział po chwili głos tym samym ciepłym tonem. - Proszę pozostać na miejscu do czasu przybycia ekipy medycznej. Wszystko będzie dobrze. Zajmiemy się tobą i pomożemy ci.

- To nie brzmi najlepiej - mruknęła Sunny.

- Susan już mi mówiła w Czytelni, że jestem zarejestrowaną banitką. Trudno. Muszę porozmawiać z Syzyfem... On będzie wiedział, co jest grane.

- Z Syzyfem...?

- To mój przewodnik. Ten, z którym rozmawiałam przez implant. On przeprowadza transfery i zazwyczaj to on zleca mi misje.

- Czyli nie zawsze?

- Nie tym razem. Ale zanim straciłam implant, byłam z nim w ciągłym kontakcie. Nie martw się, on zorganizuje ci transport do domu.

Echo obeszła obelisk i ponownie dotknęła kamiennej powierzchni. Hologram rozwiązał się i odsłonił modną, staroświecką słuchawkę telefoniczną.

- Echo 5127 do Syzyfa? - powiedziała dziewczyna, przykładając ją do ucha.

- Wróciłaś! - w jednej chwili odezwał się znajomy, męski głos. - Tak się bałem, że zginęłyście! Myślałem, że już cię straciłem... Boże, wybac mi! A tak starałem się cię odszukać!

Dziewczyna oparła się o obelisk, jakby przygnieciona przez niespodziewany potok słów przewodnika. Przez chwilę myślała, że się rozplacze, lecz Syzyf nagle zamilkł.

- Jesteś w holu - odezwał się po krótkiej chwili.

- Tak, rozmawiam przez słuchawkę. Podobno jestem zarejestrowaną banitką.

Cisza. Potem krótki trzask w słuchawce. Kolorowe światła tańczące na posadzce.

- Natychmiast wyjdź z budynku!

- Syzyfie. O mało nie zginęłam, próbując się tu dostać. A ty mówisz mi, że mam stąd wyjść? Ale dokąd? Potrzebuję transferu Mathiasona. Muszę odstawić Sunny Fit-zgerald do domu...

- Sunny Fitzgerald jest z tobą?

- Tak, stoi koło mnie.

- A twój obecny transfer? Jest stabilny?

- Chyba żartujesz. Jestem kompletnie rozbita. Mogę mówić o szczęściu, jeśli przetrwam jeszcze godzinę. Co chwila dopada mnie migotanie osobowości. Ta Maria, którą mi przetransferowałaś, jest chyba szalona. Musiała być żołnierzem albo kimś w tym rodzaju. Tak zadarła z Dżihadem, że chyba nigdy nam tego nie zapomną.

- Dasz radę przetrwać na ulicach. Idź! Wyjdź z budynku jak najszybciej. Pozwól działać Marii, ona cię nie skrzywdzi.

- Ta kobieta jest wariatką!

- Nie. To twoja matka. Echo zamilkła.

- Oszukałam Mathiasona - ciągnął Syzyf. - Ona pomoże mi go zabić... i ocalić cię.

- Zabić Mathia...

- Słuchaj mnie! Maria była neurocyberfizjologiem. Udało jej się rozwiązać problem rozdzielenia ciała i umysłu. To ona wynalazła transfery i stworzyła pracowników klasy Echo. Stworzyła mnie po to, by uratować mi życie. Wreszcie, to ona zbuntowała się przeciw korporacyjnemu feudalizmowi, który narodził się po Wojnach. To twoja matka.

- Syzyfie, to nie może być prawda. Coś przekłamuje w twoich...

- Nie! Formalnie rzecz biorąc, jesteś banitką. Korporacja ma pełne prawo wyprać ci mózg. Transfer Mathiasona to błąd!

- Syzyfie... pomóż mi! Nie mogę tak po prostu wyjść. Potrzebuję tego transferu! To nie może być błąd...

- Przykro mi, Echo. Myślałem, że będę mógł go powstrzymać, wspólnie z tobą... Myliłem się.

- O czym ty mówisz?!

- Maria Mathiason to twoja matka. Herrington Mathia-son jest twoim wujem.

Echo stała w milczeniu, podczas gdy jej mały świat walił się w gruzy.

- A więc to ona - spytała wreszcie - jest kobietą, którą widzę w lustrze?

- W lustrze...?

- Wizja. Halucynacja. Lustro, a w lustrze ja, ale jakby niezupełnie. Ten sam uniform, bransoletka...

- To z pewnością Maria. Była bardzo podobna do ciebie. Pozwól jej sobie pomóc.

Nie wiedziała, co myśleć. Paniczny strach zżerał jej serce.

- Syzyfie - powiedziała Echo po długiej ciszy. - Musisz się poddać diagnostyce...

- Wiem, co mówię. Mathiason ją zabił. Celowo doprowadził cię na skraj szaleństwa, aby jego transfer łatwiej przejął kontrolę nad twoim umysłem. Ma układ z Międzynarodowym Konsorcjum Bankowym: oni chcą śmierci Sunny, aby rozpętać wojnę między Korporacją Dżihad - Prawe Ramię Allaha a Korporacją Kościoła Zjednoczonych Chryścjan. Echo, jeśli chcesz żyć, uciekaj!

Drzwi na balkonie rozsunęły się. Na górze pojawiło się czterech rosnących mężczyzn w niebieskich uniformach. Każdy z nich miał na ramieniu czerwoną opaskę, znak ochrony. Dwóch pobiegło lewymi schodami, dwóch prawymi.

- Pojawili się ochroniarze, czterech - powiedziała Echo do słuchawki.

- Nie ma medyków? - Nie.

- Uciekaj! Zaufaj Marii!

Echo upuściła słuchawkę. Kruchy plastik rozprysnął się na kawałki na obsydianowej podłodze.

- Biegnij! - krzyknęła do Sunny, sama zrywając się ku drzwiom. Dziewczyna nie czekała na wyjaśnienie, tylko rzuciła się za czasowniczką.

Na zewnątrz czekało dwóch wielkich ochroniarzy; wspólnie zablokowali wyjście. Jeden trzymał taser. Echo skoczyła wysoko, mierząc stopą w kark jednego z mężczyzn.

Głuchy odgłos ciosu złał się w jedno z trzaskiem zwalnianego lasera. Biały ogień wybuchnął w głowie Echo; wszelkie myśli spłonęły w mgnieniu oka, pozostawiając tylko cichy szmer tysiąca niestrudzonych głosów.

ROZDZIAŁ 13

Miriam ostrożnie przemknęła głównym holem Wieży. Zamontowano już nowe, pancerne drzwi; właśnie sprzątano ciała, krew, gruz i inne ślady po walce.

Wyjście było zamknięte. Tylko żołnierze strzegący terenu i szukający Sunny mogli wchodzić i wychodzić z budynku. Tak zadekretował Fitz: taka była wola Boża.

Ukryta za resztkami zniszczonej budki strażniczej, Miriam obserwowała pracę żołnierzy w zrujnowanym holu. Nie będzie tu kamer przez następne kilka dni. Wierni nic nie zauważą, o niczym się nie dowiedzą; kiedy Fitz ponownie odprawi nabożeństwo w głównym holu, po walce nie będzie już nawet śladu. Posłaniec oskarży Dżihad o podstępą, terrorystyczną akcję: wpuszczenie gazu do wentylacji lub coś w tym rodzaju. Nigdy nie przyzna, że ktoś wdarł się do jego fortecy.

- Wybacz, siostrze. - Twarz wysokiego mężczyzny, który zagadnął Miriam, ukryta była za lustrzanym wizorem. Głos miał młody, zdenerwowany. Pewnie ten żołnierz dziś po raz pierwszy w życiu zobaczył prawdziwą krew, prawdziwą śmierć. Bardzo starał się zachowywać spokojnie i pewnie. Nie wiedział jeszcze, że na wojnie nie ma czegoś takiego jak spokój. A pewni siebie są tylko ci najbardziej odczłowieczeni.

- Słuchani? - odpowiedziała.

- Siostrze, muszę zapytać, co robisz na tym poziomie. - Przesząpił z nogi na nogę. - Zamykamy go dla wiernych na co najmniej trzy dni.

- Wiem. To samo powiedział mi pan Fitzgerald. - Nazwisko Fitz'a wywołało oczekiwaną reakcję; Miriam wyprostowała się i hardo spojrziała w ukrytą pod przyłbicą twarz żołnierza. - Przyszłam tutaj z posługą duchową. Chcę połączyć się w bólu z rannymi i zabitymi, zobaczyć i ogarnąć zniszczenia, których doznał nasz Kościół. Posłaniec nie mógł przybyć osobiście, więc wysłał mnie. Jestem matka Miriam.

Podniosła z posadzki zakrwawiony, brudny (niegdyś biały) wojskowy but.

- To był żołnierz taki sam jak ty, synu - powiedziała, mając nadzieję, że nie traci czasu. - I gdzie jest teraz? Gdzie jest jego dusza?

Cisza między nimi gęstniała, stawała się niemal wyczuwalna. Żołnierz przestępował z nogi na nogę, przełożył karabin z jednego ramienia na drugie, uciekał wzrokiem przed swoją rozmówczynią. Najwyraźniej nie wiedział, co zrobić.

- Dobrze, matko - mruknął wreszcie, kiedy już zaczynała się niepokoić. - Ja... rozumiem. Tak, pewnie znałem tego żołnierza. Dziękuję.

Odwrócił się i szybko odszedł.

Odgłos jego kroków został szybko zagłuszony przez rytmiczne uderzenia kilkunastu par podkutych butów. Zbliżał się jakiś oddział; musiała się pospieszyć.

Szybko narzuciła na głowę kaptur, wyrzuciła nadpalony but i ruszyła w stronę drzwi wyjściowych. Przycupnęła za stertą gruzu, tuż obok nowych, błyszczących wrót.

Oddział żołnierzy w białych zbrojach maszerował równym krokiem z głębi korytarza. Twarde obcasy wygrywały na zniszczonej posadzce ponure stacatto. Kiedy zbliżyli się do drzwi, zawyły syreny. Odrzwia powoli uchyliły się do wewnątrz.

Do środka wdarło się pomarańczowe, wieczorne słońce. Tańczący kurz błysnął odcieniami żółci i czerwieni. Żołnierze dwójkami wychodzili z Wieży.

Kiedy ostatni był już na zewnątrz, Miriam rzuciła się za nimi.

Za drzwiami natychmiast stanęła do nich tyłem. Jeśli któryś z wojowników odwróciłby się, mógłby pomyśleć, że kobieta właśnie wraca do Wieży. Tymczasem Miriam, odczekawszy kilka chwil, ukryła się w załomie ściany i szybko ściągnęła przez głowę swoją szatę. Pod spodem miała zwyczajną, beżową koszulę, znoszoną skórzaną kamizelkę, jasnobrązowe spodnie i czarne, robocze buty. W jednej chwili zamieniła się w członka najniższej warstwy przynależnych: korporacyjnego robotnika.

Drzwi Wieży zamknęły się i syreny przestały wyć. Miriam zaczerpnęła świeżego, chłodnego powietrza. Okrywszy głowę beżowym kapturem, ruszyła w stronę górujących nad miastem wzgórz.

Na granicy terytorium Kościoła stanęła i spojrziała za siebie. Z ogromnym żalem pomyślała o Kevanie, Denie, o Siostrach, które tak bardzo starała się chronić. Teraz już nie mogła im pomóc. Fitz odwrócił się od Boga wiele lat temu, a uzależnienie od metamfy jeszcze pogorszyło sprawę. Narkotyki do reszty rozchwiały jego psychotyczną osobowość. Chciwość i żądza władzy, które kiedyś nadawały jego działaniom racjonalny ton, zostały zastąpione brawurą i

okrucieństwem. W tej sytuacji sama obecność Miriam stwarzałaby wręcz zagrożenie dla ludzi jej bliskich.

Kierowała się na zachód. Może pójdzie do Czytelni, gdzie ostatnio widziano Sunny; może dowie się tam czegoś nowego. A jeśli nie, to podąży dalej, aż do rzeki, która ograniczała megapolis Portland, nie pozwalając miastu rozlać się na pobliskie tereny leśne i dalej położone doliny. Dziś była noc ubywającego księżyca, noc spotkań. O ile nic się nie zmieniło przez te wszystkie lata. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, jeszcze przed nocą będzie bezpieczna wśród plemienia nieprzynależnych.

*

Porucznik Aswad Ibn al'Alim wraz z trójką najlepszych ludzi ukrył się na zachodnich flankach terenu otaczającego Wieżę Światłości. Widzieli wymarsz małego oddziału chrześcijan. Udało im się pozostać niezauważonymi dzięki pobliskim gązom, które skutecznie ochroniły ich przed detektorami ciepła i ruchu, używanymi przez wrogów.

Kiedy ucichł już odgłos ciężkich kroków, Aswad ostrożnie wychylił się z ukrycia. Samotna kobieta w długiej, czerwonej szacie stała przy drzwiach. Za chwilę pozbyła się sukni, odsłaniając długie włosy i uniform robotczy przynależnego robotnika.

Nadzieja wypełniła serce Aswada.

Wojskowy oddział chrześcijan nie znajdzie czasowniczeki. Aswad z nią walczył, wiedział, na co ją stać. Była zbyt szybka, zbyt sprytna, by dać się złapać kilku ociężałym cyborgom. Poza tym umiała znakomicie wykorzystywać wszelkie nadarżające się okazje; a ci ciężko myślący żołdacy na pewno sprezentują jej niejedną.

Ale kim była ta dziwna kobieta?

Poruszała się z wyćwiczoną pewnością siebie. Szła sama do niebezpiecznego miasta. Najwyraźniej nie bała się. A więc być może miała szansę.

Aswad w ciszy uniośł dłoń, wiedząc, że jego ludzie patrzą. Skinął na Mahira, najlepszego tropiciela i łowcę, potem postukał palcem w ukryty w hełmie komunikator i wskazał samotną kobietę. Wreszcie otworzył dłoń i dotknął nią ziemi. Mahir kiwnął głową, a pozostali żołnierze zniknęli za kamieniami. Aswad także się ukrył. Po chwili usłyszał ciche kroki drobnych kobiecych stóp. Mahir podąży za nią, a oni za Mahirem. Tym razem Allah da mu zwycięstwo i wywyższy w oczach ojca; uczyni z Aswada wielkiego wojownika, który umiał zamienić w sukces raszidową porażkę.

ROZDZIAŁ 14

Jakaś odległa, autonomiczna część umysłu Echa zastanawiała się spokojnie, ile czasu już minęło. Godziny? Minuty? Dni? I cóż to za groźny, ciemny obiekt rzucał na nią złowrogi cień?

Cały świat wirował wokoło. Dziewczyna zgłębiała się z bólu, próbując wyrzucić z żołądka cokolwiek, ale wymiotowała jedynie palącą żółcią.

Potem wszystko stanęło. Ciemny obiekt okazał się być metalowym ramieniem połączonym z metalowymi szynami. Szybko rozpoznała odrażającego pajaka z plastiku i lekkich stopów, który zwieszał się z sufitu. Był to automatyczny omnimed, wieloczynnościowy, autonomiczny robot szpitalny.

Znajdowała się w szpitalu Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych.

Bolała ją każda kość, palił każdy mięsień. Mechaniczne ramiona śmigają wokół, dotykając, wstrzykując, pobierając, masując, sprawdzając. Wkrótce poczuła się nieco lepiej. Jednak Syzyf się mylił. Była w rękach personelu medycznego; ochroniarzy wysłano zapewne tylko na wszelki wypadek. Syzyf musiał się mylić także w innych sprawach. O czym to on mówił...? Starła się skupić na ostatnich słowach, które usłyszała przed upuszczeniem słuchawki. Mathiason... chciał czegoś. I jeszcze coś o Marii Del Muerte...

Nie mogła zebrać myśli. Spróbowała odwrócić głowę, by obejrzeć resztę sali. Ogień i lód wybuchły w jej głowie; przed oczami zatańczyły kolorowe fale, całkiem podobne do sztuki postpostmodernistycznej z okresu gaussiańskiego.

Kiedy ból minął, udało się jej przewrócić na bok i podjąć próbę podniesienia się, ale po chwili zmagani opadła z jękiem na leżankę.

- Obudziłaś się, moja droga. - Skrzeczącego głosu Herringtona Mathiasona nie dało się pomylić z niczym. - Wspaniale. Będziemy mogli porozmawiać przed twoim ostatnim transferem.

W szpitalnym powietrzu zazwyczaj czuć antyseptyki i chemię, tymczasem ona czuła tylko odór starego, rozkładającego się żywca ciała prezesa Korporacji. Wreszcie udało się jej usiąść, desperacko zrzucając nogi z leżanki. Spojrzała w twarz Mathiasona.

- Spokojnie, Echo - powiedział. - Pozwól technikom zająć się sobą. Chyba chcesz przystąpić do transferu całkiem zdrowa?

Czarny fotel przesunął się na tle ścian; ciemna, chorobowa plama na nieskazitelnej bieli. Podleciał bliżej, a Echo znów poczuła chłód w kręgosłupie. Zbliżył do niej swoją pergaminową twarz i dziewczyna zadrżała, czując w nozdrzach jego zgniły oddech. Mimowolnie odwróciła głowę.

- Obrzydliwe, co? - Mathiason uśmiechnął się lekko. - Wiem. Sam tego nienawidzę. No cóż, moja Echo 5127. Nie wiem, ile pamiętasz z ostatnich wydarzeń. Tasery mają to do siebie, że potrafią powodować krótkotrwałą amnezję...

Echo przygryzła wargę. Pamiętała Sunny, pamiętała Marię i jej ból po stracie dziecka. Pamiętała też Raszi-da.

Wszystko. Ciągłe jeszcze panowała nad wspomnieniami. Słyszała coraz bardziej głosy zza krawędzi, ponure, nieubłagane memento; ale ciągle jeszcze się trzymała.

- Pamiętani - szepnęła.

- Dobrze! - Mathiason odleciał kawałek z fotelem. - Cieszę się! Cóż, zrobiłaś to, co miałaś zrobić. A potem, kiedy sytuacja wymknęła się nam spod kontroli, dokonałaś rzeczy, o które nikt by cię nawet nie podejrzewał. Już co najmniej kilka razy myślałem, że więcej cię nie zobaczę, ale... oto jesteś! Nie wiesz nawet, jak bardzo się cieszę!

Nigdy jeszcze nie widziała Mathiasona w takim nastroju. To było podejrzane.

- Do czego pan zmierza? - zapytała ostrożnie.

- Och, naturalnie. Wybacz mi. Wypełniłaś misję! Zgodnie z umową, ofiarowuję ci transfer zarządczy. Mamy oficjalną zgodę. Będziesz zajmować stanowisko kierownicze, moja droga! A ja osobiście przeprowadzę transfer.

Nagła ulga, jak ciepła fala, oblała umysł Echa; rozluźniła ściśnięty żołądek, przerażone serce. Niepewny uśmiech pojawił się na zmęczonej twarzy; drżącą ręką otarła łzy.

- Może zaczniemy? - kontynuował Mathiason. - Oczyszciliśmy twoje uszkodzone biołącze w podstawie czaszki. Za mniej niż dwadzieścia minut nie będzie już Echa 5127. Teraz będziesz Zarządcą I, moja droga!

Tak bardzo tego pragnęła. Czegoś, co uwolni ją od strachu przed wypaleniem; co już na zawsze zapewni jej dach nad głową, żywność i opiekę medyczną.

Coś jednak było nie tak. Mathiason coś ukrywał. Kłamał. Tak samo jak rano. Jak wtedy, gdy nakazał ogłosić ją banitką w biuletynie sieciowym korporacji. Kłamał..., ale w jego kłamstwie było ziarno prawdy: transfer, o którym mówił, był przygotowany.

- O co chodzi, Echo? - zaświszczal Mathiason zmienionym głosem. Tym razem usłyszała, jak słabo udaje radosne podniecenie. Ona sama nie liczyła się dla niego w ogóle.

O czym mówił Syzyf? Czego chciał Mathiason? Musiała sobie przypomnieć!

- Syzyfie... - wyszeptala.

- Siedź spokojnie - odezwał się starzec, odlatując jeszcze dalej. Omnimed ożył, błyskając licznymi diodami, wyciągając ku niej metalowe kończyny. Echo drgnęła, instyktownie się odsuwając. Czuła unoszące się obok karku metalowe ramię, szukające optymalnej pozycji do rozpoczęcia zabiegu.

Syzyf ją ostrzegał. Kazał uciekać.

- Czy Syzyf wie, gdzie jestem? - zapytała; zimny metal dotknął jej ramienia. - Wie, co się ze mną dzieje?

- Oczywiście, że tak. Uspokój się.

- Muszę z nim porozmawiać. Zdać raport z misji... - Czy Syzyf mógł działać na własną rękę? Z własnej woli? Odepchnęła ramię robota. Przesunęła się na leżance, uciekając przed kończynami omnimeda.

- Będzie na to czas po transferze - zaskrzeczał Mathiason. - Zresztą będziesz wtedy Zarządcą. To ty będziesz wydawać polecenia Syzyfowi!

Echo poczuła ukłucie igły na karku; zerwała się i zeskoczyła na podłogę. Nakłute miejsce paliło; czuła rozchodzące się po całym ciele ciepło płaczące język.

- Syzyf, to mój przyjaciel - wybełkotała. - Chcę z nim porozmawiać!

- On jest tylko maszyną. Połóż się spokojnie. Im szybciej się ze wszystkim uporamy, tym szybciej będziesz mogła z nim porozmawiać. Nie bój się, nic ci nie grozi. Jesteś w domu, jesteś bezpieczna.

Bezpieczna... Dom. Zapomnieć. O Sunny, o Raszidzie. Nie! Powinien tu być Syzyf. Jeśli naprawdę byłoby bezpiecznie, opowiedziałby jej bajkę... Jaką bajkę?

- Syzyf... - mówiła z coraz większym trudem - powiedział, że...

Jej własny głos wydawał się być odległy, nierealny, niewyraźny... Wiedziała jednak, że ktoś słucha.

Maria. Ona słyszała. Ona patrzyła z lustra, z gniewem w oczach.

Psychotropy... Odurzili mnie, żebym nie stawiała oporu! Echo wyciągnęła dłoń do Marii. Poczuła jej mocny uścisk: poczuła, jak wypełnia ją siła i pewność siebie.

Echo otworzyła oczy: Mathiason właśnie zamierzał podłączyć kabel do jej biołącza na karku.

- Nie! - krzyknęła, odsuwając się. Oglupione narkotykiem ciało nie słuchało jej: bezwładnie spadła z leżanki na podłogę.

- Echo! - zaskrzeczał Mathiason, zaskoczony. Dziewczyna uparcie czołgała się w stronę ściany, byle dalej od długich macek omnimeda.

- Czemu... chcesz... podłączyć? - wydyszała.

- Daj spokój - westchnął Mathiason. - Przecież już wszystko gotowe.

Na twarzy miał wyraz fałszywej troski i zmieszania. Zupełnie jak dziecko przyłapanie na...

Dziecko?

Nie miała dzieci. Wspomnienia Marii stawały się zbyt rzeczywiste.

- Wszystko gotowe - powtórzył z naciskiem starzec. - Ten kabel to tylko dodatkowe zabezpieczenie. Transfer bezprzewodowy może, przynajmniej w teorii, zawieść. W ten sposób będziesz stuprocentowo bezpieczna. Poza tym osobiście będę nadzorował cały proces.

- Czemu... nie... nowa... implantenka? - wyrzuciła z siebie; świat wirował wokół. - Syzyf... mógłby... transferować...

- Zainstalowałem ci nowe biołącze. - Fotel Mathiasona podleciał bliżej; gruby, czarny kabel ciągnął się za nim. - Stare dawało zbyt wąskie pasmo jak na transfer zarządczy. Zawsze w ten sposób przeprowadzamy transfery specjalne: ze znieczuleniem, pod kontrolą robotów medycznych. W ten sposób wszystko przebiega bezpiecznie, również dla interesów korporacji.

Echo trzęsa się jak w febrze. Wcisnęła się w kąt pomieszczenia, podciągając nogi pod brodę. Mathiason zbliżył się. Dziewczyna zdołała przetoczyć się w bok, wzdłuż jednej ze ścian, i jeszcze dalej, chowając się za stolikiem ze sprzętem medycznym.

- Chcę przed transferem porozmawiać z Syzyfem! - powiedziała.

Mathiason otworzył szeroko oczy. Jego spojówki były czarne jak chaos kotłujący się za krawędzią.

- Echo, przecież wszystko jest dobrze. - Jego kłamstwa były szyte zbyt grubymi nićmi. - To... normalne, że trochę się boisz, ale nie przesadzaj. Ten transfer zupełnie zmieni twoje życie! Rozumiem, że czujesz niepewność, obawę... Nie musisz się jednak bać, będę tu z tobą cały czas.

- Ty? Niby jak? To Syzyf był cały czas ze mną. Wyciągnął mnie z Wieży. Był przy mnie aż do chwili, gdy straciłam implant. Rozmawiałam z nim w holu naszej centrali, zanim twój siepacze mnie ogłuszyli.

- Rozumiem, malutka. On jest twoim przyjacielem. Chcesz go mieć przy sobie.

- Chcę potwierdzenia. Chcę normalnego, oficjalnego zakończenia misji. Chcę wiedzieć, gdzie jest Sunny Fitzgerald! Fotel Mathiasona poruszał się wzdłuż krawędzi stołu. Echo przesuwała się w przeciwnym kierunku, po drugiej stronie mebla.

- Chcesz wiedzieć, młoda damo, czemu będę ci towarzyszyć przy transferze?

- Kolejne kłamstwa?!

- Kłamstwa... Ryzyko zawodowe, moja mała. Ludzi, na których mi zależy, muszę chronić przed swoją własną potęgą. Mam strasznych wrogów. Zabiliby cię, aby dostać się do mnie, tak samo jak Dżihad uderzył w Sunny, by dostać się do Fitz. - Twarz Mathiasona wykrzywiła się w gniewnym grymasie. - Jesteś moją bratanicą, Echo.

- Kupiłeś mnie od mojej matki! - syknęła dziewczyna, śledząc ruch fotela i starając się pozostawać zawsze po przeciwnej stronie stołu.

- Tak, ale naprawdę jesteśmy rodziną. Jesteś moją jedyną żyjącą krewną.

- Chcę rozmawiać z Syzyfem!

- To niemożliwe. W tym pokoju nie ma terminala.

- Masz terminal w swoim fotelu.

- Ja... przepraszam. - Zmieszanie Mathiasona wyglądało na niemal autentyczne; dotknął przycisku w poręczy fotela i dał się słyszeć cichy szum. - Nie pomyślałem o tym. Tak bardzo martwiłem się, że...

- Syzyfie! - krzyknęła Echo.

- Przerwanie zarządcze, Mathiason, priorytet alfa - powiedział prezes do terminala. - Syzyfie, odpowiedz.

- Jestem - odezwał się z głośnika znajomy głos.

- Czy wiesz, gdzie się znajduję? - zapytał starzec.

- Podpoziom trzeci, skrzydło północno-zachodnie, korytarz czwarty, sala medyczna siedemnaście.

- Zgadza się. Mam tu ze sobą twoją przyjaciółkę. - Echo 5127.

- Dobrze. Polecenie: wyjaśnij Echu jej powiązania rodzinne z moją osobą. Powiedz jej, że transfer jest bezpieczny i że Sunny Fitzgerald nie stała się żadną krzywdą.

- Syzyfie! - przerwała mu Echo. - Gdzie jest Sunny?

- Echo 5127 jest bratanicą Herringtona Mathiasona, prezesa północnoamerykańskiej centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych - powiedział Syzyf obojętnym, bezbarwnym głosem. - Jest córką Jeffery'ego Mathiasona i Marii Mathiason. Przed Wojnami Przeludnieniowymi Maria pracowała jako neurocyberfizjolog. Po Wojnach została...

- Wystarczy! - Mathiason uśmiechnął się. - Widzisz, moja droga, jestem twoim wujkiem. To dlatego pomagałem ci przez całą twoją karierę. Dlatego teraz tu jestem. Dlatego ofiarowuję ci ten transfer: chcę, żebyś była bezpieczna.

- Syzyfie! - zignorowała go Echo. - Gdzie jest Sunny?

- Odpowiedz - warknął Mathiason.

- Sunny Fitzgerald znajduje się obecnie na podpoziomiu szóstym, skrzydło północno-zachodnie, korytarz szósty, sala medyczna cztery. Oznaki życiowe wciąż w normie. Pozostały cztery minuty do...

- Dostyc! - Mathiason okrążył stół. Echo patrzyła na jego rozkładające się, umierające ciało. Brzydziła się nim. Nie czuła z nim żadnej więzi.

Ale Syzyf miał rację. Była córką Jeffery'ego i Marii Mathiasonów.

Tam, przy obelisku, dowiedziała się od Syzyfa, że Maria jest jej matką. Że trzeba jej zaufać. Maria Del Muerte. Maria od umarłych? Maria Mathiason?

Sunąc z cichym buczeniem tuż nad powierzchnią stołu, zbliżyło się do niej ramię omnimedia, zakończone strzykawką. Refleks Marii targnął ciałem Echa w bok, bliżej fotela Mathiasona.

Robot chybił celu. Echo odbiła się i skoczyła w stronę starca.

Prezes próbował nacisnąć coś na terminalu; dostrzegła jeszcze w jego oczach nieme osłupienie. Tymczasem ona całym ciężarem spadła na fotel, obiema rękami łapiąc się czarnej poręczy.

Mathiason krzyknął głośno. Silniki zawyły, próbując utrzymać siedzisko w bezpiecznej pozycji; nie dały jednak rady. Fotel zakreślił się, przechylił i upadł bokiem na posadzkę. Mathiason wypadł z niego, ciągnąc za sobą przewody i rurki aparatury podtrzymującej życie. Jedna z nich pękła i bluznęła gęstą, ciemną cieczą na białą podłogę. Starzec zacharczał głośno i stracił przytomność.

Echo, podniósłszy się z ziemi, postawiła prosto fotel i uniosła lekkie ciało prezesa, sadzając go z powrotem na poduszkach. Potem zwróciła się w stronę terminala wpuszczonego w szeroką poręcz fotela.

- Syzyfie?! - zawołała, gorączkowo wciskając guziki.

- Jestem - odpowiedział głos. - To ja! Echo 5127!
- Co z panem Mathiasonem?
- Nieprzytomny. Zrzuciłam go z fotela.
- Uciekaj! - powiedział szybko Syzyf zupełnie innym głosem. - Musisz jak najszybciej opuścić siedzibę Korporacji. Fotel już wysłał sygnał alarmowy i wezwał personel medyczny. Zaraz tam będą!

- Czy ja... naprawdę jestem jego bratanicą?
- Tak. A teraz uciekaj! Biegnij korytarzem aż do windy; potem kieruj się w stronę głównego holu. Otworzę ci drzwi po drodze, zrobię trochę zamieszania.

- Powiedz mi, kim była moja matka? Jaka była? Osobowość Marii jest taka... gwałtowna, agresywna...

- Biegnij! - Powiedz mi...!
- Była piękną, mądrą i kochającą kobietą. Walczyła o podstawowe ludzkie prawa: do życia, do nauki, do rodziny. Nienawidziła MKB i wielkich korporacji za to, co zrobiły. Mathiason ją zdradził, zabił, wyekstrahował profil osobowości. Ten, który ty w sobie nosisz. A teraz rusz się wreszcie!

- To ty jesteś Jeffery Mathiason, prawda?!

- Tak! Biegnij! Ochrona nadchodzi! Masz dwadzieścia pięć sekund, aby dobiec do windy!

Echo przebiegła może dwa metry.

- Sunny! - westchnęła, zatrzymując się w miejscu. - Zostaw ją!

- Mathiason nie odeśle jej do domu...

- Za pięć minut nie będzie już żyła. Nic na to nie poradzisz. Ratuj siebie, uciekaj!

Wspomnienia przeniknęły jej przed oczyma: ciepły dotyk dłoni Sunny; słowa Grady'ego o zaleczonej ranie wokół wyrwanego implantu; surowy wzrok Marii... Maria nie mogła pozwolić, żeby dziewczynie coś się stało. Żadnych niewinnych ofiar więcej.

Echo jak huragan przebiegła przez korytarz i wpadła do otwartej windy. Jej palec zawisł na chwilę nad świecącym guzikiem „O”..., a potem mocno wcisnęła „PP 6”.

Na podziemiu szóstym biegiem rzuciła się przez pograżone w półmroku korytarze, zwalniając tylko po to, by sprawdzać ich oznaczenia i numery. Minęła kilkoro zaskoczonych ludzi: najwyraźniej w budynku nie ogłoszono alarmu. Patrzyli tylko ze zdziwieniem na biegnącą przed siebie czasowniczkę w zniszczonym i poplamionym uniformie.

Echo znalazła właściwe skrzyżowanie, skręciła ostro w korytarz szósty i wpadła prosto na pielęgniarkę w zielonym, szpitalnym fartuchu. Tracąc równowagę, razem poleciały na medtechnika, pchającego korytarzem ruchomą leżankę. Ta przechylała się i wywróciła z hukiem; obie kobiety upadły obok.

- Sunny! - krzyknęła Echo. Naga dziewczyna leżała bez ruchu na podłodze.

- Kim jesteś, do cholery?! - stęknęła pielęgniarka, próbując zepchnąć z siebie Echo. Czasownicza uderzyła ją łokciem w skroń; widząc to, medtechnik - któremu udało się ustać na nogach - rzucił się do panicznej ucieczki.

- Obudź się! - wołała Echo, kłęcząc obok nieprzytomnej dziewczyny. - Musisz się obudzić!

Powieki Sunny lekko zadrżały.

- Echo? - wyszeptła słabym głosem. - Gdzie byłeś? Wołałam cię, tak długo... Gdzie byłeś?

Czasownicza spróbowała postawić ją na nogi, ale dziewczyna leciała jej przez ręce. Podniosła więc ruchomą leżankę i z trudem wciągnęła na nią Sunny, przykrywając dziewczynę białym prześcieradłem. Zerwała z nieprzytomnej pielęgniarki fartuch i założyła go; zdjęła też kobiecie buty i ukryła pod prześcieradłem, obok Sunny.

Pchnęła leżankę, starając się poruszać szybko - ale nie za szybko, by nie wzbudzać podejrzeń.

Liczyła każdy metr do windy. Jeszcze pięćdziesiąt. Czterdzieści. Trzydzieści...

Drzwi windy otworzyły się; z kabiny wysypali się ochroniarze i rzucili w ich kierunku.

Echo nie chciała sprawdzać, czy nabiorą się na jej przebranie. Jednym skokiem znalazła się po drugiej stronie leżanki i naparła na nią z całej siły.

Za plecami słyszała krzyki i tupot ciężkich butów. Doganiali ją, lecz na szczęście nie strzelali. Dobrze. W korytarzu nie byłoby nawet gdzie się schować.

„On chce twojego ciała”, przypomniała sobie głos Syzyfa. To dlatego nie strzelali... Nie chcieli jej uszkodzić.

Nie oglądała się. Nie musiała; czuła zmniejszającą się odległość między nią a jej prześladowcami.

Korytarz kończył się wielkimi, zielonymi drzwiami. Żadnych skrzyżowań, żadnych wind, żadnych drzwi po bokach. Nic. Tylko ciężkie wrota na końcu.

Leżanka uderzyła w nie z całym impetem; drzwi uchyliły się do środka. Sunny i Echo wpadły do ciemnego wnętrza.

Czasownicza odwróciła się, by zamknąć drzwi. Po krótkiej chwili gorączkowych poszukiwań znalazła elektroniczny zamek: z głośnym sykem drzwi zostały pneumatycznie zablokowane. Niemal w tej samej chwili usłyszała głuche uderzenia po drugiej stronie; ochroniarze usiłowali dostać się do środka. Słysząc było ich krzyki i przekleństwa.

Oczy dziewczyny szybko przyzwyczyły się do zielonego półmroku. Zamarła: знаła tę salę. Wokół ciągnęły się długie szeregi oszronionych sarkofagów.

Były uwięzione w grobowcu wypalonych czasowników.

- Zimno mi - odezwała się Sunny słabym głosem.

- Załóż to. - Echo podała jej fartuch pielęgniarski. Dziewczyna była wciąż bardzo słaba, i tak nie dałaby rady uciekać. Zresztą nie było dokąd.

Ochroniarze coraz intensywniej dobijali się do drzwi. Echo wołała nie myśleć, jak długo wytrzymają. Oby zdążyła

coś wymyślić... Cokolwiek.

Owinęła drżącą z zimna Sunny prześcieradłem; sam fartuch nie zapewniał ciepła. Potem wsunęła jej na stopy buty medtechniczne.

- Za ciasne - jęknęła dziewczyna.

- Niestety, nie mam innych - westchnęła Echo, prostując się. - Ale jeśli chcesz, to otworzę drzwi i zapytam ochroniarzy, może oni dadzą nam większy numer?

- Przepraszam...

Echo rozejrzała się po sali w poszukiwaniu możliwych dróg wyjścia. Nic nie rzuciło się jej w oczy.

- Jakież pomysły? - zwróciła się do Sunny, starając się nie popadać w przygnębienie. Dziewczyna tymczasem próbowała zejść z leżanki i stanąć o własnych siłach.

- Dokąd... oni mnie zabierali? - spytała, opierając się na ramieniu Echa.

Fala sprzecznych uczuć - żalu, współczucia, złości, strachu, poczucia winy - aż zatrzęsła Czasowniczką. Nawet nie uświadamiała sobie, przez co musiała przejść Sunny w tym budynku.

- Wybacz mi - wyjąkała Echo, próbując powstrzymać łzy. - Nie powinnam była cię tu w ogóle przyprowadzać.

Myślałam, że... tu ci pomogą. Nam.

- Wiem. - Sunny uśmiechnęła się słabo; to ciepłe słowo uspokoiło Echo, sprawiło, że od razu poczuła się lepiej. -

Robi się coraz zimniej. - Dziewczyna wypuściła z ust rzadki obłoczek, parę ciepłego oddechu. Zawirowała w powietrzu i pofrunęła w stronę czasowniczki.

- Sunny? Zrób jeszcze raz mocny wydech - poprosiła Echo, obracając dziewczynę w kierunku, w którym poleciała chmurka.

Drugi obłoczek pary pofrunął w tę samą stronę.

- Chodźmy! - Czasowniczka objęła wciąż słabą Sunny i poprowadziła obok siebie. Wydychając od czasu do czasu obłoczki pary, szły do miejsca, skąd ewidentnie wiało. Wreszcie stanęły przed wielkim, trzymetrowej średnicy wywietrznikiem, tłoczącym do sali zimne, czyste powietrze.

Odgłosy walenia do drzwi przybrały na sile.

- Co teraz? - spytała Sunny, opierając się o ścianę obok pokrywającej wywietrznik metalowej kratki. - Co robić?

- Modlić się? - odpowiedziała pytaniem Echo. - Nie. Nie mamy tyle czasu, aby czekać, aż wszechświat dokona dla nas kolejnego cudu. Musimy stąd wyjść. To powietrze... skądś dochodzi.

- A jeśli jest tłoczone gdzieś z wnętrza budynku?

Echo bez słowa wskazała jej rzędy oszronionych sarkofagów. Sunny zadrżała; owinęła sobie dłonie prześcieradłem i chwyciła za kratkę wywietrznika. Echo złapała z drugiej strony, zapierając się nogą o ścianę. Szarpnęły z całych sił; pierwszy nit puścił.

Wywalone drzwi z hukiem grzmotnęły o podłogę, a do sali wpadli ochroniarze.

Drugi nit odskoczył, można było odgiąć jeden róg kratki. Sunny wśliznęła się do środka i przytrzymała kratkę dla Echa.

Już wspólnie, pobiegły ciemnym, okrągłym kanałem wentylacyjnym przed siebie, ku głošnemu szumowi maszynierii tłoczącej powietrze.

Po kilku chwilach było już tak ciemno, że Echo nic nie widziała. Rzuciła okiem przez ramię: we wciąż malejącym krążku światła, który oznaczał koniec korytarza, dało się już rozróżnić małe sylwetki ludzi. Słychać było jęk brutalnie rozrywanego metalu: najwyraźniej nie bawili się w delikatne zdejmowanie kratki zamykającej wywietrznik.

Tamci mieli reflektory. Widzieli uciekające kobiety. Zresztą i tak pewnie wiedzieli, dokąd prowadzi kanał wentylacyjny. Nieważne. One nie miały już wyboru.

Biegły, a miarowe dudnienie z przodu przybierało na sile. Echo, ciągnąca za rękę Sunny, zmusiła się, aby biec jak najszybciej; nie myśląc o ewentualnych przeszkodach czyhających na nie w ciemności. Musiały biec szybciej niż tamci, nawet podejmując takie ryzyko.

Dudnienie z przodu ucichło.

Zatrzymały się, zdezorientowane. Cisza. Słychać było tylko ich własne, ciężkie oddechy.

- Co się dzieje? - spytała Sunny.

- Cicho! Słuchaj - szepnęła Echo; otaczała je cisza, nawet ich prześladowcy musieli się zatrzymać. - To Syzyf!

- Twój przyjaciel?

- Mój ojciec, jak sądzę. Pomaga nam. Naprzód! Biegnij tak szybko, jak możesz!

Ruszyły. Po chwili Echo z całym impetem wpadła na metalową barierę, uderzając się boleśnie w twarz i w pierś. Puszczając rękę Sunny, upadła, zwijając się z bólu.

- Echo?! - rozległ się przerażony głos Sunny. - Gdzie jesteś? Co tu jest?!

Czasowniczka podniosła się na kolana. Czowała ciepło na rękach; pewnie krew z robitego nosa i rozciętego policzka. Wyciągnęła przed siebie dłoń. Wyczuła zaokrągloną, metalową krawędź; to nie była ściana. Nie zamykała przecież tunelu.

- Wpadłam na skrzydło wentylatora, Sunny - stęknęła Echo, próbując się podnieść. - To tu właśnie jest wiatrak tłoczący powietrze do sali.

W kompletnej ciemności, pomiędzy skrzydłami wyłączzonego wiatraka, udało się jej prześliznąć na drugą stronę. Po chwili to samo zrobiła Sunny; Echo mocno złapała ją za rękę. Znow zaczęły biec, jednak wolniej niż poprzednio i z rękami wyciągniętymi przed siebie.

Po kilku chwilach poczuły drżenie korytarza i głośny, metaliczny odgłos, który płynnie przeszedł w znajome, ciężkie

dudnienie.

Powietrze rozdarł potworny, nieludzki wrzask. Trwało to tylko chwilę.

Wkrótce biegnące kobiety wpadły na zamykającą kanał wentylacyjny metalową kratkę. Wspólnie napały na nią; ani drgnęła.

- Uwaga, Sunny - wydyszała zmęczona Echo. - Na „trzy” rzucamy się obie na kratkę całym ciężarem. Raz, dwa... trzy!

Nity puściły z głośnym brzękiem. Kobiety poleciały naprzód, tracąc równowagę. Echo wyciągnęła ręce, szukając podłoża... Nic. Spadały w dół, w czarną pustkę. Czasowniczkę ogarnął irracjonalny strach, że oto właśnie spada poza krawędź szaleństwa i wypalenia.

Upadła. Uderzywszy ciężko o ziemię, przetoczyła się na bok. Poczula na skórze ukłucia tysiąca igiełek; krzyknęła, przeturlała się w drugą stronę i zamarła.

- Echo? - Poczula dotyk dłoni Sunny.

- Jestem. Wszystko w porządku.

- Chyba wpadłyśmy w jakieś krzaki.

Echo widziała zarys sylwetki dziewczyny na tle zarośli, w których wylądowały. Światło księżyca, przebijające się z trudem przez korony pobliskich drzew, pozwoliło im spojrzeć na siebie pierwszy raz od co najmniej pół godziny.

Wokoło unosił się intensywny zapach świeżej ziemi, paproci i dzikich jagód.

Obie kobiety jednocześnie spojrzały w górę. Szeroki wlot kanału wentylacyjnego ział nad ich głowami.

Echo wstała i podskoczyła, chwytając krawędź wielkiej rury. Podciągnęła się, mimo że czuła potworny ból w mięśniach, i zajrzała do środka. W głębi kanału widziała rozedrgane, ruszające się światła. Nie było już słychać wiatraka, najwyraźniej go wyłączyli: z daleka dochodziły przytłumione odgłosy pościgu.

- To jeszcze nie koniec - powiedziała do Sunny, zeskakując na ziemię. Wyszły z krzaków, rozglądając się dokoła.

Echo rozpoznała okolicę: to było najprawdopodobniej otoczenie zachodniej strony budynku centrali korporacyjnej. Powinny być niedaleko krawędzi lasu, górującego nad miastem.

- Myślisz, że powinniśmy uciekać głębiej w las? - spytała Sunny. - To przecież niebezpieczne.

- W tej chwili na pewno bezpieczniejsze niż przebywanie tutaj - odparła Echo.

*

Amok, w jaki wpadł Mathiason, właściwie nie obchodził Syzyfa. Wszystko bladło wobec dojmującej goryczy porażki, świadomości, że nie udało mu się pokonać brata. Mechanicznie wypełnił rozkaz, wyłączając wiatraki wentylatorów; ekipa ratownicza właśnie wydobywała ciała ludzi, których tam uwięził i zabił, próbując ratować córkę. Echo znów zniknęła. Został tylko zapach dymu i goździków.

ROZDZIAŁ 15

Echo i Sunny wypadły z niskich zarośli na otwarty teren, zalany srebrnym światłem księżyca. Były na szerokiej, gruntowej drodze. Wyczerpana Echo osunęła się na kolana.

- Będziemy się modlić? - wydyszała Sunny.

- Jestem na to zbyt zmęczona. Muszę chwilę odpocząć. - Echo zamknęła oczy. Poczula nagłą, wszechogarniającą senność. Mięśnie całego ciała błagały o wytchnienie; kontuzjowane ramię promieniowało bólem. Ogarnęła ją czarna, beznadziejna rozpacz. Wszystko stracone, pomyślała. Nie będzie żadnego transferu zarządczego. Mathiason oszukał ją, tak samo jak oszukiwał wszystkich czasowników spoczywających teraz w zielonych sarkofagach. Chciał tylko jej ciała. Dlatego z premedytacją zniszczył jej umysł.

Nie mogła z nim wygrać. Jedynym możliwym zwycięstwem, była cicha śmierć z dala od Mathiasona; śmierć, która nastąpi już wkrótce - Echo czuła zbliżające się wypalenie. Tak, to byłby jej mały triumf. A gdyby jeszcze udało się obronić Sunny, zapewnić jej bezpieczeństwo... Echo zapłakała gorzko. Ciepłe łzy roztopiały zaschniętą krew, spływały w dół po policzkach, po szyi.

Poczula silne mdłości, a przerażenie ścisnęło ją za gardło. Migotanie osobowości. Znów patrzyła na obraz w lustrze: znowu nie było to jej własne odbicie.

Oczy Marii Mathiason były ciemniejsze od oczu Echa. Ich kąciki - odrobinę niższe.

- Pomogę ci, moje dziecko - powiedziała do niej Maria. - Nie pozwolę na to, by Harry wykorzystał ciebie tak, jak wykorzystał mnie.

- Harry?

- Mathiason.

- Ale... Ty chcesz ode mnie tego samego: mojej duszy i umysłu.

- Chcę, żebyś żyła. A wtedy jakaś częśćka mnie będzie żyć w tobie. Dopóki ty nie umrzesz, ja też będę istniała.

- A Sunny?

- Pomóżemy jej. Ty jej pomożesz. Nie zasłużyła na jeszcze więcej bólu i strachu; przeżyła już i tak zbyt wiele. Posłuchaj mnie uważnie: powiem ci, jak możesz uratować nas wszystkich.

- Krawędź... jest za blisko. Zbyt wiele osobowości... Jeśli ciebie posłucham, zginę w tym chaosie.
- Nie możesz tego cofnąć. - Nie.
- Zatem są dwie drogi, obie kończące się śmiercią; czyż nie wybierzesz tej, która uratuje Sunny?
Echo otworzyła oczy. Jej wzrok spoczął na młodej dziewczynie, z którą dziś przeszła przez piekło. Patrzyła na jej złożone do modlitwy dłonie, na oświetloną księżycem okrągłą twarz, na krótkie, złote włosy.
Czasowniczka opuściła głowę, zamknęła oczy. Znowu patrzyła w twarz swojej matki.
- Ja już umarłam - powiedziała. - Jeśli mogę z tobą rozmawiać, to znaczy, że nastąpił koniec. Mój umysł przepadł. Dla mnie nie ma już nadziei, ale jest dla Sunny. Moja śmierć... powinna mieć jakiś sens. Mów.

ROZDZIAŁ 16

Żwirowa ścieżka wila się pośród gęstego, iglastego lasu. Echo wiedziała, gdzie się znajdują. Kiedy tylko rozluźniała się i pozwalała Marii patrzeć swymi oczyma, to natychmiast rozpoznawała zakręty, polanki, wykroty. Ale kiedy spinała się, tracąc kontakt z matką, ogarniało ją przerażające poczucie zagubienia.

Dawno temu ta ścieżka była szeroką drogą wiodącą przez całą szerokość miejskiego parku. Potem upadły rządy i administracja, a oswojony park zmienił się w dziki las zdominowany przez jodły, klony, paprocie i jeżyny. Gęste poszycie było słabo widoczne w świetle księżyca.

- Tędy - powiedziała Echo, uśmiechając się. - Przynajmniej tak mi się wydaje.

Nie wydawało jej się. Była pewna. Ten głos był zbyt silny: najwyraźniej jeszcze inne osobowości, mieszkające w jej głowie, szły kiedyś tą ścieżką. Nie tylko Maria.

Znowu pojawiła się natrętna myśl: ile czasu minie, zanim zapomnę, kim jestem? Kiedy nie będę już w stanie wypowiedzieć jasno i wyraźnie słowa „ja”?

- Ta ciemność - przerwała jej ponure myśli Sunny - Może nam pomóc.

- Albo zaszkodzić. Nie wiemy, na kogo trafimy w tych lasach.

Jak będzie odczuwać wypalenie? Kiedy przyjdzie zapaść i katatonia? Czy wszystkie głosy krzykną nagle zgodnym chórem? Czy nie będzie już mogła sama myśleć? A może Maria będzie nią kierować jak marionetką? Czy też Echo po prostu osunie się w ciepły, czarny sen bez marzeń?

Nikt z wypalonych nigdy nie opowiedział, jak to wygląda.

Cichy, niemal niesłyszalny dźwięk zwrócił jej uwagę. Stała, wstrzymując oddech. Uniosła dłoń, aby powstrzymać Sunny.

Kroki. Ciche kroki.

- W krzaki! - szepnęła Echo. Obie zeszyły ze ścieżki po skarpie, w dół, gęsto zarośniętym, stromym zboczem. Ukryte w zaroślach, czekały.

Czasowniczka podczołgała się ostrożnie wyżej, aby przez rozchylone krzaki widzieć ścieżkę.

Światło latarni zabłysło na drodze. Jasny punkt wznosił się i opadał, gdy niosący go człowiek przechodził ścieżką.

- To rabusie - szepnęła Echo do Sunny. - Albo członkowie któregoś z plemion. Pewnie idą do miasta po sprzęt lub żywność.

Za światłem podążała niewielka grupa ludzi. Echo gestem nakazała Sunny ukrycie się, po czym sama postarała się wtopić głębiej w zarośla. Wstrzymały oddech. Słyszała kroki, docierały do niej strzępy rozmów. Męskie głosy przybliżały się, mijaly ją i ginęły w oddali.

- O'Donnel musiał chyba ześwirować, żeby szukać jakiegoś zaginionego dzieciaka w... - dobiegł ją głos ostatniego mężczyzny.

Nagle światło, które lśniło na przedzie grupki, zgasło. Echo usłyszała ciche, podniecone głosy, pospieszne szuranie stóp i szelest rozchylanych krzaków.

Widziała tylko spokojny, nocny las. Słyszała łagodny wiatr, poruszający drzewami. Jej nozdrza łowiły zapachy dzikiej mięty, jodłowych szyszek i młodej paproci.

Echo zadrżała. Skąd znała nazwy tych wszystkich roślin? Ostrożnie wycofała się w dół, do Sunny.

- Niedobrze - szepnęła. - Schowali się przy drodze. Pewnie ktoś inny nadchodzi.

Ciszę rozdarł kobiecy krzyk. Gdzieś wysoko zabłysło jasne światło.

- Nie wychodź, Sunny - powiedziała Echo. - Zostań tutaj!

Poruszając się wzdłuż ścieżki, czasowniczka minęła dziwny harmider na górze; kiedy uznała, że jest już wystarczająco daleko, ostrożnie podczołgała się do krawędzi drogi.

Dziesięciu mężczyzn stało na ścieżce z latarniami, otaczając rudowłosą kobietę w uniformie korporacyjnego robotnika, rozmawiającą z człowiekiem w wojskowej kurtce. Osłupiała Echo rozpoznała oboje: kobieta z Wieży, z pokoju Sunny - i Grady, kochanek cybriotekarki.

Kątem oka wychwyciła jakiś ruch po drugiej stronie ścieżki. W cieniu za dużym głazem dostrzegła coś na kształt przyczajonego człowieka. Zrozumiała natychmiast. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Dżihad był w

tym lesie.

- Miriam! - usłyszała głos Sunny.

Dziewczyna wypadła z krzaków. Za głazem błysnęła lufa karabinu plazmowego. Echo jednym susem wyskoczyła na ścieżkę.

- Uwaga!!! - krzyknęła głośno.

Karabin ukrytego żołnierza plunął niebieskim ogniem, trafiając pień grubego drzewa tuż obok stojącej na ścieżce grupki. Echo jak błyskawica przebiegła drogę; żołnierz nie zdążył się odwrócić. Wpadła prosto na niego.

Potoczyli się w zarośla. Echo słyszała, jak broja uderza z suchym trzaskiem o kamień. Spróbowała trafić mężczyznę łokciem w krocze; odsunął się jednak, więc uderzyła w opancerzone udo. Nagle na jej głowę spadła kolba karabinu; poczuła palący ból, który sprawił, że na chwilę przestała widzieć. Ogłuszona, puściła żołnierza, a ten natychmiast przetoczył się na bok. Kiedy odzyskała wzrok, wojownik stał tyłem do sporego głazu, mierząc w jej pierś z karabinu plazmowego.

Jego przyłbica była opuszczona, ale to nie mógł być Raszid. Był zbyt niski.

- Aswad? - zapytała.

- Mahir, diablico. - Wskaźnik ładowania karabinu błysnął zielenią. - Łowca. A ty jesteś dziś moją zdobyczą.

Usłyszała głośny huk, ale nie był to karabin żołnierza. Mahir zachwiał się i upadł.

Echo leżała, oddychając głośno. Obojętnie patrzyła na ostatnie drgawki umierającego człowieka. Odwróciła się; patrzył na nią Grady O'Donnel. Jego twarz pozostawała w cieniu, ale tych szarych oczu, tego bezczelnego uśmiechu i płowych włosów nie można było pomylić z niczym.

- Czterdziątka czwórka? - spytała, słysząc głos Marii. - Rewolwer?

- Znowu mnie zaskakujesz - odparł, unosząc błyszczącą, antyczną broń. - Prezent od ojca.

- Co z Sunny?

- W porządku - odpowiedziała Miriam. - Jest ze mną.

- Ocaliłaś przed chwilą kilka istnień, czasowniczo - powiedział Grady, trącając nogą trupa. - Lepiej stąd chodźmy. Oni nie chadzają pojedynczo.

*

Echo siedziała na szerokim, cedrowym pieńku, patrząc na matkę Miriam chodzącą wokół ogniska. Tuż za kręgiem światła widziała liche chatki i szałas, zbudowane między drzewami. Wokół ognia siedzieli i stali nieprzynależni, mężczyźni i kobiety; pomiędzy nimi Grady O'Donnel i cybriotekarka Susan, która wyszła cało z ataku na jej Czytelnię.

- Sunny - powiedziała Miriam do swojej wychowanki. - Jeżeli wrócisz, uczynisz Rolanda Fitzgeralda napotężniejszym magnatem korporacyjnym, jaki kiedykolwiek stapał po ziemi. Użyje ciebie, aby sprowadzić na świat nienaturalne, genetycznie zmodyfikowane i zaprogramowane dziecko. Kiedy będzie je już miał, z jego pomocą zahipnotyzuje cały świat; użyje tego dziecka jak narzędzia, jak przedmiotu. Nie zależy mu na tobie. On kocha tylko władzę, potęgę, moc. Tylko to się dla niego liczy.

Echo patrzyła w twarz Sunny, siedzącej na prowizorycznej drewnianej ławce między członkami plemienia. Wzrok dziewczyny był pełen bólu i przerażenia.

- Mój ojciec jest uzdrowicielem - odezwała się po dłuższej ciszy. - To święty człowiek, przecież sama to wiesz!

- Nie. To ty jesteś uzdrowicielką.

- Ja... nie umiem. Nie potrafię. Nigdy nie będę uzdrowicielką.

- Siostra Magda miała złamane biodro, kiedy do niej podbiegłam - powiedziała Miriam zdecydowanie. - Ale kiedy pojawili się medtechnicy, sama wstała i poszła. Sunny, to twoja zasługa! Ty to zrobiłaś!

- Nie! Wcale nie miała złamanego biodra! Nic nie zrobiłam! Jesteś chora, matko Miriam! Mój ojciec może ci pomóc!

- Twój ojciec to oszust i złodziej! To jemu zawdzięczam te siniaki na twarzy. Chce zmanipulować materiał genetyczny w twoim jajeczku, aby wyhodować sobie męskiego dziedzica! Zrobi z ciebie dziewczicę, a potem pokaże to na wszystkich kanałach wideo świata! - Miriam podeszła bliżej do dziewczyny. - Jeśli na to pozwolisz, zniszczysz całe dobro i nadzieję, które dajesz światu. Ty sama, Sunny.

Szepty, wszędzie szepty. Echo próbowała ich słuchać; głosy w głowie czy głosy nieprzynależnych? Próbowała patrzeć na usta ludzi; w ten sposób może rozróżni. Tak bardzo chciała kurczowo chwycić się świata... Tego świata.

Cisza.

- Kłamiesz! - Sunny płakała. - On... przywraca wzrok ślepcom. Widziałam, jak sprawił, że chromy odzyskał władzę w nogach. On jest Posłańcem Bożym!

Miriam uklękła przed nią. Łzy popłynęły po twarzy kobiety, gdy delikatnie ujęła w dłonie twarz swojej wychowanki.

- Sunny, wybac mi - załkała. - Tak, jestem kłamcą. Kłamałam ci przez całe życie. Kłamałam przed tobą przed sobą, przed Kevanem. Ale teraz... mówię prawdę. Uwierz mi. To ty jesteś pobłogosławiona przez Boga. To ty najlepiej

ze wszystkich moich uczennic nauczyłaś się kontrolować płynącą przez ciebie moc wszechświata. To może być kwestia twojej zaprogramowanej, prenatalnej mutacji. Może treningu. Ale masz dar! Sunny, jesteś tym, czym Roland Fitzgerald nie stanie się nigdy!

- Wiem, co twój ojciec zaplanował dla ciebie - westchnęła, kontynuując. - Zostałaś stworzona przez korporację Instivolve. Twoje geny zostały zmanipulowane, zmienione. Chcieli stworzyć kobietę, która wyda na świat zbawiciela. Z setek, a może tysięcy nieudanych prób, przeżyłaś tylko ty. Tylko ty spełniałaś ich kryteria.

- Miriam... - przerwała łagodnie Echo. - Myślę, że Sunny powinna trochę odpocząć.

- Twój ojciec nazywa to Mutacją Mesjańską - zignorowała ją kobieta. - Uważa, że Chrystus był nieoczekiwanym, nowym etapem ewolucji. Wierzy, że ta mutacja daje charyzmę, moc przyciągania tłumów, wzbudzania powszechnego zaufania. Ma nadzieję, że ty wydasz na świat powtórkę tamtej mutacji genetycznej. Sunny! Czy nie rozumiesz? Fitz się pomylił. Zaślepiła go własna duma. Masz więcej niż tylko charyzmę. Masz...

- Miriam... - próbowała ponownie Echo.

- Kłamiesz!!! - wybuchła nagle dziewczyna. - Okłamywałaś mnie kiedyś, teraz też okłamujesz! Zostaw mnie w spokoju!

- Twój ojciec jest oszustem...

Echo patrzyła na burzę emocji, przetaczającą się przez twarz Miriam. Strach? Frustracja? Złość? Żal? Czasowniczka sprężyła się: nie pozwoli tej kobiecie skrzywdzić Sunny. Głosy zza krawędzi tłumy jej myśli, nie pozwalały się skupić. Czyż Sunny nie uleczyła rany po wyrwanym implancie na karku Echo? Oczywiście, że tak. Ale to się teraz nie liczyło. Liczył się tylko wściekły sztorm szalejący tuż za krawędzią, tuż za kręgiem światła, dającym pozorne bezpieczeństwo.

- Uzdrawienia to teatr - mówiła Miriam. - Twój ojciec żeruje na emocjonalnym upośledzeniu przynależnych, na ich strachu przed utratą statusu, na ich nieustannej, beznadziejnej pogoni za sensem życia. Pod auspicjami MKB daje im uniwersalny narkotyk, pozwalający zdusić egzystencjalny ból. Sprzedaje nadzieję!

Echo chwiejnym krokiem podeszła do Sunny i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Widziałam, jak leczy! - jęknęła dziewczyna.

- Ojciec Kevana był wędrownym kaznodzieją na środkowym zachodzie - ciągnęła Miriam. - Roland Fitzgerald zdołał przekonać Brighamą juniora, że cel uświęca środki; pomny przedstawień ojca Kevan nauczył Fitz'a, jak zwodzić i oszukiwać tłumy.

Sunny gniewnie strąciła dłoń Echo.

- Jeśli to, co mówisz, jest prawdą - powiedziała - to nie ma Boga. Nie ma żadnego Ducha, który mnie wypełnia.

Ojciec to wszystko zmyślił.

Ręka Miriam uniosła się do uderzenia. Czasowniczka powstrzymała ją, odepchnęła gwałtownie.

- Wybacz mi... - Łzy pociekły po twarzy rudowłosej kobiety. - Ja... Rozumiem. To nie tak. Twoja dobroć, współczucie, miłosierdzie zmieniły cię w kogoś, kim nigdy nie był twój ojciec. Sunny! Duch naprawdę jest w tobie. Widzę to. Masz moc, masz siłę, by leczyć, masz...

- Nie! Nigdy nikogo nie uleczyłam! To kłamstwo!

- Uleczyłaś ranę wokół mojego wyrwanego implantu - powiedziała cicho czasowniczka. Dziewczyna spojrzała na nią szeroko otwartymi oczyma.

- Sunny - odezwał się nagle głos siedzącej wśród nie-przynależnych cybriotekarki. - Mam książki o historii Wojen, o korporacjach, nawet o twoim ojcu. Zajrzyj do nich. Przeczytaj je. Potem sama zdecydujesz, w co uwierzyć. Nikt nie może ci tego po prostu powiedzieć, objawić. Ale prawda istnieje! Być może jest bolesna, ale o tym przekonasz się sama. Będziesz musiała wybrać. Masz dość czasu. Jesteś tu bezpieczna: możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Jeżeli zdecydujesz się uwierzyć w to, że twój ojciec naprawdę jest Bożym pomazańcem, pomożemy ci do niego wrócić. Prawda, Grady?

- Jasne. Masz moje słowo.

- Ale jeśli zdecydujesz się jednak trzymać od niego z daleka - kontynuowała Susan - możesz mieszkać z nami.

Zapadła cisza. Słychać było tylko cichy szloch Sunny, od którego czasowniczkę bolało serce. Bała się, czy dziewczyna zniesie ten bezprecedensowy atak na uwielbianą i ubóstwianą postać ojca. Była przecież tak zmęczona, przerażona, psychicznie rozdarta...

- Echo! - odezwała się Sunny. - Zabierz mnie do domu. Zaraz! Chcę wracać do domu!

- Nie mogę - starała się odpowiedzieć łagodnym, kojącym głosem. - To... byłoby zbyt niebezpieczne. Jestem tuż nad krawędzią. Muszę odpocząć albo... moja jaźń rozpadnie się na dobre.

- Cały czas to powtarzasz. Przecież dasz radę odprowadzić mnie do miasta!

- Mylisz się. Jak będę cię chronić, jeśli zapadnę w katatonie?

- Obiecałaś...!

- Wybacz. Po prostu nie dam rady doprowadzić cię tam bezpiecznie. Bardzo bym chciała, ale... nie dam rady.

Gdybym odeszła i zostawiła cię samą w połowie drogi, padłabyś łupem rabusiów i bandytów. To byłoby najgorsze. Wyśpij się, tu jesteś bezpieczna. Rano zdecydujemy co dalej. Jeżeli tylko będę mogła, pomogę ci.

Sunny wstała, pociągając głośno nosem. Spojrzała na Miriam, na Susan i Grady'ego, a potem znowu na Echo. Nagle odwróciła się i pobiegła do lasu.

Czasowniczka poczuła przerażenie i niepewność, które owładnęły zdeorientowaną Sunny. Też chciałaby tak po prostu odwrócić się i uciec od własnych demonów... Lecz jej nie było to dane. Nie mogła jednak pozwolić dziewczynie samej błądzić po nocnym lesie.

Biegiem ruszyła za nią.

*

Sygnal nadajnika Mahira doprowadził Aswada i jego ludzi na szeroką ścieżką leśną, w pobliże sporego głązu. Porucznik przełączył swój wizor na podczerwień i dokładnie obejrzał teren.

- Ostrożnie - odezwał się przez komunikator do żołnierzy. - Są ślady walki.

- Znalazłem go! - usłyszał w słuchawce. Odwrócił się: to był wojownik przeszukujący teren za gładem.

Aswad podbiegł; jego ludzie właśnie usuwali gałęzie i krzaki, kryjące ciało. Mahira pozbawiono naplecznika zbroi i karabinu plazmowego. W głowie tropiciela widniała spora rana postrzałowa.

- Cholera - mruknął Aswad. Żołnierze spojrzeli na niego.

- Zostawić go - zakomenderował. - Sami znajdziemy dziewczynę. Musieli pójść dalej tą ścieżką.

- Jak to...

- Wykonać.

Żołnierz, który wyraził wątpliwość, odwrócił się do ciała i powiedział:

- Niech Allah przyjmie duszę Mahira, który był prawym człowiekiem. Niech jego śmierć w służbie Allaha zapewni mu dziś miejsce w Raju po prawicy Boga.

Aswad zastanowił się: Raszid zapewne też by się pomodlił za poległego. Pożyteczna sztuczka, warto zapamiętać. Pomagała stworzyć więź i lojalność w oddziale.

*

Gałęzie siekły twarz Echa. Ciernie rozdzierały jej uniform. W głowie odezwał się głos:

- Prawdziwy mrok mieszka tylko w trzech miejscach.

To nie był głos ani Syzyfa, ani Marii, lecz jakiegoś mężczyzny. Nie znała jego imienia. Co potrafił? Który to był transfer? Która misja?

- Co to za miejsca? - spytała.

- Dno oceanu. Gęsty las w bezksiężycową noc. Zakamarki umęczonej duszy.

Echo potknęła się i upadła.

- Sunny! - zawołała rozpaczliwie, podnosząc się. - Sunny!

- Zostaw ją - odezwał się inny głos, kobiety, ale nie Marii. - Niech idzie. Cóż ona dla ciebie znaczy?

- Muszę ją znaleźć! - jęknęła Echo. Nagle zatrzymała się; zmroziło ją nagłe przerażenie: Maria, nieznamy mężczyzna, teraz ta kobieta. Krawędź... krawędzią był brzeg ciemnego lasu. Poczula delikatny zapach śmierci.

- Zawróć! - kolejny głos; tym razem młodej dziewczyny.

- Stój spokojnie. Znajdą cię - powiedział mężczyzna, inny niż poprzednio.

Echo osunęła się na kolana, kryjąc głowę w dłoniach. Krzyczała, bezgłośnie, z całych sił. Jej niemy wrzask rezonował w czaszce; po chwili nutę podjęły dziesiątki, setki głosów, rosnąc w potworną, rozsadzającą mózg kakofonię rozpaczliwego ryku. Wypełniał ją, wypełniał głowę, gardło, rósł w ustach, aż wreszcie wyrwał się na zewnątrz, w zimne, nocne powietrze. Straszliwy, nieludzki, mrozący krew w żyłach krzyk rozdarł cichą ciemność nocy; poniósł się między drzewami, pośród wzgórz, dolin i wykrotów. Potem wrócił upiornym echem, niosąc drugą falę zimnego, obezwładniającego przerażenia.

Cisza. Zupełna, absolutna jak śmierć.

Echo bezwładnie padła na miękkie, leśne poszycie. Mrok otulił ją troskliwie, zimno wpełzło do płuc, serca, żołądka. Tysiąc istnień w ułamku sekundy przegalopowało przez wypalony mózg, gasząc ostatnią myśl, którą Echo mogła uważać za własną.

- Syzyfie... - wyszeptwała gasnącymi ustami, ale nikt już nie mógł jej usłyszeć.

Potem nie było już nic.

*

Aswad uniósł dłoń. Trzej żołnierze przyczaili się, słuchając potwornego, nieludzkiego wrzasku. Porucznik poczuł, jak jeża mu się włosy na głowie.

- Co to było? - zapytał cicho ten, który modlił się za zabitego.

- Cicho! - syknął Aswad. Krzyk przejął go dziwnym lękiem; chciał zwinąć się i schować w jakimś bezpiecznym miejscu. Chciał zapłakać.

- Właśnie umarła dusza - powiedział, zbierając się w sobie. Zaiste, nie mogło to być nic innego.

Odwrócił się w stronę, skąd dobiegł krzyk, i zaczął przedzierać się przez gęste zarośla.

ROZDZIAŁ 17

Sunny patrzyła z lasu na oświetloną przez ognisko polankę. Grady podtrzymywał głowę Echa; refleksy światła tańczyły

po twarzy dziewczyny.

- Żyje - powiedział mężczyzna. - Oddycha, ma stabilny puls. Jest tylko nieprzytomna.

- Zraniła się? Ktoś ją postrzelił? - spytała Susan.

- Nie. Jest podrapana przez ciernie i gałęzie, ale to nic poważnego.

- To śpiączka czasowników - powiedziała Miriam, klękając obok Grady'ego. - Widziałam to już kiedyś, w Wieży. Przetrasferowano jej zbyt wiele osobowości. Jej umysł stracił spójność; jej jaźń nie istnieje. Będzie tak wegetowała przez resztę życia, jeśli ktoś o nią zadba. Nic nie możemy zrobić. To koniec.

- Mamy przecież lekarzy - odezwał się Grady. - Nasz stary Czerwonoskóry może jej pomóc!

- To nie jest choroba ciała, Grady - westchnęła Susan. - Ziola Czerwonoskórego to za mało, żeby złożyć z powrotem w całość jej głowę.

- Musimy jej jakoś pomóc. - Mężczyzna delikatnie ułożył Echo na mchu. - Uratowała nam dzisiaj życie.

- Nic nie poradzimy - odpowiedziała smutno Miriam.

- Ojciec może ją uleczyć! - zawołała głośno Sunny, wychodząc z cienia; zwróciły się na nią zdziwione spojrzenia. - Ojciec nałoży na nią dłonie i wszystko będzie dobrze. Musimy ją zabrać do Wieży!

- Ona odeszła, Sunny - powiedziała Miriam.

Dziewczyna zbliżyła się, uklękła obok i uniosła głowę Echa, aby złożyć ją na swoich kolanach. Łzy spływały po jej policzkach, kapiąc na spokojną twarz czasowniczki.

- Ona... uratowała mi dziś życie... co najmniej cztery razy - płakała Sunny. - Próbowała... odprowadzić mnie do domu... Straciła własną przynależność... Ona...

Nie mogła mówić. Płacz przerodził się w gwałtowne szlochanie.

Miriam objęła ją ramieniem. Miedziane włosy kobiety błyszcząły w pomarańczowym świetle ogniska.

- Odnajdź w sobie siłę, Sunny - powiedziała łagodnie. - Poczuj cierpienie swojej przyjaciółki. Znajdź dobro w jej duszy. Możesz to zrobić. Możesz się jej odwdziżyć. Wezwij pomocy Ducha, który przenika wszystko. Pozwól mu zadziałać przez siebie. Przyjmij jego siłę! Dotknij potęgi wszechświata!

Łza, która spoczęła na twarzy Echa, mieniła się kolorami. Jak małe diamenty.

Sunny uspokoiła się. Wzięła głęboki oddech, potem powoli wypuściła powietrze, zamykając oczy i unosząc dłonie nad głowę czasowniczki, aż do linii swych ramion. Zaczęła czuć gorąco rodzące się w trzewiach, pod sercem.

Przy kolejnym wydechu ciepło zagnieżdżyło się niżej, w łędźwiach, bliżej ziemi, bliżej Ducha. Sunny powoli opuszczała dłonie.

Dotknęła skroni Echa w momencie dopełnienia, harmonii, zjednoczenia z kosmosem, z ziemią, z wszechświatem. W chwili, gdy Sunny stała się jednocześnie całością i częścią, wszystkim i niczym, sobą i każdą duszą na świecie.

W momencie tego mistycznego, osobliwego objawienia stała się także wypaloną czasowniczką. Stała się Echem. Nią i tysiącami innych, którzy w niej żyli. Imię ich było legion. Znała ich, znała wszystkich - żyli bez ciała i umysłu, wyblakłe klisze ludzkich osobowości, wspomnienia wypalone żywym ogniem w mózgu Echa.

Wszyscy... z wyjątkiem jednej osoby.

Ona była czymś więcej. Nie tylko zbiorem wspomnień i umiejętności, lecz także żywym umysłem - bez własnego ciała i duszy. Była młoda, piękna i silna. Jej twarz tak bardzo przypominała twarz Echa, jej myśli - myśli Echa... Ale była kimś innym.

Maria Mathiason.

Maria Del Muerte. Maria od umarłych. Żona Jeffery'ego. Matka Echa.

W matce żyły wspomnienia jej matki. A w niej z kolei duch następnej matki. Każdej dane było przeżyć w ciele i krwi tylko krótką chwilę, ale teraz wszystkie trwały w umysłach swoich córek. Wszystkie żyły w Echu.

Nieskończony łańcuch kobiet rozciągał się w czasie i przestrzeni. Jego początek ginął w białym, dobrym świetle, w emanacji Boga.

Oddech Sunny zwolnił, by zgrać się z odwiecznym rytmem wszechświata. Z oddechem Boga. Jej serce sięgnęło do kobiet żyjących w Echu i powitało je. To one były duszą jej przyjaciółki.

Dziewczyna odetchnęła głęboko. Sięgnęła wzdłuż łańcucha matek, aby dotknąć tej pierwszej. Matka wszystkich ziemskich dzieci objęła swe córki i stały się jednością. Córki połączyły się ze swoimi córkami. I tak, od krawędzi nieskończoności aż po postać Marii, od pierwszej matki po wszystkich ludzi zagubionych w umyśle Echa, osobowości zaczęły się spajać, jaźnie - łączyć w sobie, aż pozostały w głowie czasowniczki tylko dwie osoby, stojące naprzeciw siebie jak lustrzane odbicia. Bursztynowe oczy patrzyły w siebie. Wyciągnięte ręce spotkały się w ciemności.

Dwie kobiety objęły się i połączyły, aby wreszcie stać się jednością.

Echo. Dumna i silna Echo, która naprawdę nazywała się Ellen.

- Dziękuję - wyszeptowała czasowniczka.

Sunny zamrugała, zdezorientowana. Rozejrzała się dookoła. Miriam wciąż mówiła monotonnym głosem, prowadząc rytuał. Dziewczyna dotknęła jej ramienia.

- Miałam wizję - powiedziała.

Głowa Echa poruszyła się na jej kolanach. Czasowniczka otworzyła oczy. W jej bursztynowych tęczęwkach było życie, zdrowie, radość. Uśmiechnęła się. Usiadła z trudem i objęła Sunny, ściskając ją z całej siły.

- Wróciłam - powiedziała drżącym głosem. Milczały przez długą chwilę.

- Nazywasz się Ellen - odezwała się wreszcie Sunny.

- Może jednak zostać przy Echu?

- Jak to? - zdziwiła się matka Miriam. Czasowniczka wstała, patrząc na nich spokojnie.

- Jestem moją matką, i jej matką, i każdą z ich matek - powiedziała mocnym głosem. - Jestem jednością, jestem wszystkim, czym były kobiety przede mną. Jesteśmy szczęśliwe i zadowolone. Nazywam się Ellen, którą uczyniono potem Echem 5127. Moją matką była Maria Mathiason, a jej matką Celesta Estrella.

Mówiąc te słowa, wyciągnęła ręce ku pięknemu, gwiaździstemu niebu. Roześmiała się radośnie, wolna od strachu i pełna życia.

*

Trzy cienie bezszelestnie przemierzały las w najciemniejszej godzinie, tuż przed świtem. Zatrzymały się w takiej odległości, aby słyszeć, co się dzieje na polance przed nimi. Aswad gestem wydał komendę. Dwa hełmy skinęły jednocześnie.

Cała trójka zniknęła w zaroślach.

ROZDZIAŁ 18

Różowołososiowe chmury na niebie zwiastowały rychły wschód słońca. Raszid patrzył na malowane barwami jutrzeńki niebo przez kratę swojej celi.

Zadumał się nad cudownym pięknem świata, stworzonego przez Allaha. Zamyślił się nad karzą, którą trzeba znieść z godnością i honorem. Może Bóg w tej ostatniej godzinie dał mu dojrzeć Raj, aby Raszid tym boleśniej odczuł swoje potępienie. Podobno tak właśnie postępowano ze skazańcami.

Pułkownik odwrócił się od okna. Wrócił do twardego, więziennego łóżka i usiadł na nierozłożonym kocu. Światło błysnęło przez uchylonego judasza w ciężkich, pancernych drzwiach celi.

Klęska i przeznaczenie. Może przegrał, bo taka była wola Allaha. Może czasowniczka miała rację. Być może kobietom udało się uciec, bo tak właśnie chciał Bóg.

Ale jeśli tak było, to jego suweren się mylił. A tym samym nie przekazał mu prawdziwej woli Bożej. Albo przekazał, jeśli wolą Allaha było, by walczyli i przegrali.

Raszid ukrył w dłoniach zmęczoną twarz. Czuł ciepło w bliznach pokrywających policzek. Zbyt dużo myśli, domysłów, hipotez. Jak mógł w ogóle porywać się na odkrywanie tajemnic planu Allaha? Był żołnierzem, nie imamem. Zawsze starał się godnie wypełniać powołanie wojownika.

Raszid Dżabbar Ibn Haszim, tak nazwała go matka. W języku niewiernych znaczyło to „Jedność i siła, syn pogromcy zła”. Powinien umrzeć jak wojownik. Tak, jak było mu przeznaczone. Tymczasem zawiódł, nie wykonał rozkazu człowieka, któremu przysięgał wierność.

Słyszając kroki w korytarzu, wstał i narzucił na ramiona czarny, oficerski płaszcz. Dłonią przecesał włosy, wyprostował się. Powinien teraz wyglądać jak wzór godności i honoru; takim powinni go zobaczyć ludzie, którzy za chwilę zaprowadzą go przed oblicze suwerena, Abd al'Alima Ben Altaira. To było piękne imię: „Sługa Wszechwiedzącego, syn orła”.

Drzwi celi otwały się. Dwóch ludzi w czarnych zbrojach, z krótką bronią w ręku, weszło do środka; nie mógł dostrzec ich twarzy za opuszczonymi wizorami. Po raz pierwszy Raszid rozumiał strach, jaki anonimowi, bezimienni żołnierze Dżihadu wzbudzali w swych wrogach. Poczł zimno w żołądku i przez chwilę bał się, by nie zadrżały mu kolana. Opanował się jednak. Nie powinni widzieć jego strachu.

Dwaj żołnierze jednocześnie wskazali na drzwi. Raszid dumnie ruszył przed siebie; bezimienni wojownicy podążyli za nim.

*

Echo patrzyła na dwie kobiety przerzucające kartki książek w porannym słońcu. Sunny, siedząca z Susan na wielkim pniaku, wyglądała już znacznie lepiej. Umyła twarz, zamiast brudnej i podartej szaty włożyła zielono-brązowe ubranie leśnych nieprzynależnych. Na jej kolanach spoczywał gruby tom historii przedwojnia. Susan twierdziła, że to jedno z ostatnich opracowań nieocenzurowanych przez MKB.

Sunny nie od razu pojęła istotę ustroju demokratycznego. Zresztą nawet teraz Echo nie była pewna, czy dziewczyna przyswoiła tę ideę jako historyczny fakt, czy też może tylko jako fantazję politologów.

- Były więc dwie władze, jednocześnie zależne od siebie i walczące ze sobą? - spytała Sunny.

- Niezupełnie. - Susan uśmiechnęła się, potrząsając głową. - To tak jak w wierze chrześcijańskiej: osoby boskie połączone w jednej trójcy. Rząd i wolny rynek współistniały ze sobą. Z jednej strony, różne rynkowe instytucje postępowały tak, jakby były całkiem niezależne od ustaleń i działań rządu. Z drugiej strony, rządy działały tak, jakby nie opierały się na strukturach ekonomicznych, zapewniających im pieniądze, siłę roboczą, surowce. Instytucje rynkowe próbowały wpływać na decyzje rządów. Rządy próbowały ograniczyć wzrost wpływów przedsiębiorstw i innych bytów rynkowych. Zależeli od siebie nawzajem, a jednocześnie rywalizowali ze sobą.

- Aż w końcu jedna strona przeważała i wchłonęła drugą?

- Tak.

- Ciężko to wszystko zrozumieć...

- Wymaga to trochę czasu. Ale warto wiedzieć, do czego to wszystkiego doprowadziło. Pamiętaj, że było wiele rządów. Każdy miał swój własny system ekonomiczny. Kiedy dzięki rozwojowi technologii ruszyła powszechna globalizacja, ekonomie państw stawały się coraz bardziej powiązane ze sobą.

- To tak jak w mojej wizji. Jedność w wielości... Susan uniosła brwi, a Echo o mało się nie roześmiała. No cóż, w przeciwieństwie do czasowniczkę, cybriotekarka nie doświadczyła tej wizji.

- Hm, pewnie tak. - Chrzęknęła. - Wreszcie mieliśmy już tylko jedną, wielką, globalną ekonomię. Równowaga została zachwiana. Liczba ludności świata zaczęła wzrastać eksponencjalnie. Już pod koniec XX wieku Ziemia nie była w stanie wykarmić wszystkich swoich mieszkańców. Zaczęły się wojny o żywność, o surowce. O przetrwanie społeczeństw. Zaczęły się masowe ludobójstwa. Wybuchły epidemie dziesiątkujące populację. Kończyły się surowce naturalne. Walczono o wodę, o dostęp do nieskażonego powietrza. Rządy i ekonomie państwowe dopuszczały do wybuchu konfliktów. Udawano, że to nie przeludnienie jest przyczyną nieszczęść. Traktowano każdą z wojen jako niezwiązany z innymi incydent. Rządy walczyły o ziemię, o zasoby dla swoich narodowych gospodarek. Z początku zresztą wojny wpływały całkiem stymulująco na ekonomię.

- Nie... To chyba niemożliwe - mruknęła Sunny, przerzucając strony książki.

- Na dłuższą metę, nie. Ale na początku wyglądało to całkiem zachęcająco. Wojny rozproszyły ludność, zniszczyły infrastrukturę. Stworzyły nowe źródła niezwykle taniej siły roboczej. Kiedy dany teren się stabilizował, pojawiał się popyt na dobra przemysłowe, na usługi, pojawiała się konieczność odbudowy. Poza tym każda wojna zawsze oznaczała wielkie zyski dla państw-producentów broni. Jednak z czasem konfliktów było coraz więcej, a surowców coraz mniej. Dokładając do tego ogromne przeludnienie, stymulujący wpływ wojen na światową gospodarkę zanikł zupełnie.

- W roku 2043 - kontynuowała Susan - wybuchła Wojna Pszeniczna w południowej Afryce, która wkrótce rozlała się na cały kontynent. Stała produkcja. Rozprzestrzeniły się choroby i głód. Uchodźcy próbowali wszelkich sposobów, ale państwa nie mogły ich przyjąć bez narażania własnych obywateli na całkowite rozchwianie systemu. Zamknięto granice. Zatapiało statki pełne uciekających. Zestrzelono dziesiątki samolotów z uchodźcami. Ci, którzy pieszo usiłowali uciekać w rejon Zatoki Perskiej, byli masowo mordowani na pustyniach przez żołnierzy Palegoptu, Jordyrii i Iraku. Walczono w imię Boga i w imię licznych zaszłości historycznych. Wojny Przeludnieniowe zaczęły się na dobre.

- Ojciec zawsze mówi, że Bóg karze grzeszników - wtrąciła Sunny. - Mówi, że przed rokiem 2050 Ziemia była pogrążona w ciemnościach, a ludzie odwrócili się od Pana. Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to zgubiło ich własne zło i chciwość.

- Poniekąd masz rację.

- Poniekąd?

- Tak. Ludzie nie byli w stanie powstrzymać swoich apetytów. Populacje rosły, bo ludzie mnożyli się, nie myśląc o skutkach. Surowce kończyły się, bo prowadzono rabunkową gospodarkę. Wreszcie nienasycony System zaczął zjadać własny ogon. W pewnym sensie... twój ojciec miał rację.

- Tu napisano, że ludzie porzucili zrozumienie i tolerancję na rzecz wojowniczej wrogości i egotyzmu. Kościoły przestały być zgromadzeniami duchowymi, stały się wielkimi, prosperującymi przedsiębiorstwami. Niektóre uzbroidy się i stworzyły armie. Ale... to wszystko składa się w sumie w sensowną całość. Międzynarodowe Konsorcjum Bankowe zdołało skonsolidować zatamizowany system ekonomii państwowych. Nie mogli dłużej znosić egoistycznych decyzji rządów, faktycznie trzymających łąkę na surowcach naturalnych. Dalszy spadek liczby ludności skutkowałby ostatecznym załamaniem światowej ekonomii, końcem korporacji, końcem handlu. Więc MKB wzięło sprawy w swoje ręce, ogłosiło zniesienie granic i bezwarunkowo wstrzymało wszelkie fundusze dla rządów państwowych.

- Tak właśnie było.

- Konsorcjum regulowało i legitymizowało istnienie korporacji religijnych, nakazując im jednocześnie łagodzenie nastrojów ludności i odpowiednią manipulację poglądami mas, poprzez handel ideami i chwytnymi społecznie dogmatami...

Sunny zamilkła, zszokowana. Echo widziała niedowierzanie na jej twarzy. Tak, wiarę i nadzieję sprzedawano dziś tak samo jak każde dobro konsumpcyjne.

*

Aswad ledwie poznał czasowniczkę. Wszystko przez to, że zamiast niebieskiego uniformu miała na sobie zielono - brązowe łachy nieprzynależnych. Wyglądała... pewniej. Spokojniej. Jedna noc odpoczynku najwyraźniej bardzo jej pomogła.

Patrzył na kobiety siedzące na pniaku. Poczł wściekłość, widząc ich zrelaksowane, czyste twarze. Czasowniczkę stała na linii między Aswadem a tamtymi dwiema kobietami. Wystarczył prosty strzał. Porucznik uśmiechnął się do siebie.

Sprawdził czas; jeszcze kilka sekund. Przyłożył karabin do ramienia, celując dokładnie między łopatki Echa. Na wyświetlaczu wizora miał odległość do celu, wiatr, oświetlenie, wilgotność i zjonizowanie powietrza. Przymierzył dokładniej, biorąc poprawkę na wszystkie istotne czynniki. Trzy... Dwa...

Nagle na drugim końcu obozu rozległ się krzyk. Głośny syk karabinu plazmowego spłoszył ptaki, które zerwały się z pobliskich drzew, przeraźliwie skrzecząc. Aswad spojrział w bok i dostrzegł ludzi rozbiegających się we wszystkich kierunkach w poszukiwaniu schronienia. Kiedy znów popatrzył w celownik, czasowniczkę już nie było.

*

- Karabiny plazmowe! - zawołała Echo, gwałtownie rzucając się w stronę Sunny i Susan, strącając obie kobiety z pniaka.

Grady wyskoczył z chatki i kilkoma susami dołączył do nich, również kucając za pieńkiem.

- Co się dzieje?! - zapytał.

- Trzy stanowiska ogniowe - odpowiedziała mu Maria głosem Echa. - Jedno na prawym, oddalonym skraju polany. Drugie po naszej lewej, niedaleko miejsca na ognisko. Trzecie jakieś dwadzieścia metrów stąd, też po prawej. Pokrywają ogniem prawie cały teren. Zaskoczyli nas, a my nawet nie jesteśmy uzbrojeni.

- Poniekąd - mruknął Grady, wyciągając rewolwer zza pasa i podając czasownicze; potem wyjął drugi, dla siebie. - Mamy chociaż to. A w magazynku po wschodniej stronie jest więcej broni. Jeśli nasi ludzie zdołaliby tam dotrzeć, odpowiedzielibyśmy ogniem.

- A zatem osłaniajmy ich! - Echo wychyliła się zza pieńka, mierząc z rewolweru; huk wystrzału poniósł się po lesie. Uniosła drugą dłoń i kilkakrotnie szybko wypaliła, naciągając i puszczając kurek rewolweru. Poczula w ramieniu siłę swojej prapraprababki, która niegdyś zużywała w ten sposób całe pudełko naboju dziennie, hen, na meksykańskiej pustyni.

Z tymi wspomnieniami Echo czuła się naprawdę dobrze.

*

Niebieski ogień nawet nie musnął pleców czasowniczeki. Zdażyła skoczyć za pień i ukryć się tam z dwiema innymi kobietami.

Aswad strzelił ponownie. Kiedy dym zniknął, okazało się, że plazma w pniaku wypaliła sporą dziurę, jednak go nie zniszczyła: był zbyt masywny.

Sześciu mężczyzn szybko biegło w jego stronę. Nie zdaży zastrzelić wszystkich. Automatycznym ruchem szarpnął za granat wiszący na pasie przecinającym pierś, dwukrotnie nacisnął zapalnik, aby zredukować opóźnienie, i cisnął granat pod nogi nadbiegających.

Fala uderzeniowa odrzuciła porucznika do tyłu, w krzaki. Wszyscy napastnicy leżeli bez ruchu.

*

Pierwszy granat rzucony z krzaków wybuchł niedaleko; eksplozja ogłuszyła Echo. Jej serce ścisnęło się z bólu, gdy zobaczyła kilku martwych członków plemienia. Przygryzła wargę aż do krwi. Wróciły straszne wspomnienia... wspomnienia jej matki.

Teraz już były jednością.

Skryły się za skrzyniami na końcu wąskiej, ślepej uliczki. Były w pułapce. Za nimi stał już tylko wysoki, ceglany mur. Skrzynie zajmowały się ogniem; ukryci za nimi bojownicy strzelali z laserów w stronę wylotu alejki. Smród palonego drewna i plastiku odbierał oddech.

Obejmowała mocno swoją córkę.

Trzymała się z całej siły swojej matki.

Był tam jej ojciec. Był tam jej mąż. Tuż obok, walczył o ich życie, strzelając bez przerwy. Ona też strzelała: jedną ręką obejmując Echo, drugą naciskała spust karabinu maszynowego osadzonego na płonącej skrzyni.

Kolejne szeregi ludzi w niebieskich uniformach szturmowały ich pozycje, bez strachu, bez wahania. W głębi mogli dostrzec Mathiasona, chudego, wysokiego, jak głośno wydaje rozkazy, a od czasu do czasu osobiście posyła śmiertelną salwę w ich kierunku.

Na asfalcie wylądował granat. Całkiem mały, jak pamiętała. Czarny, pękaty kształt z czerwonym paskiem wokół obwodu.

Jeffery, jej ojciec, cisnął na bok swój karabin i rzucił się na granat.

- Jeffery! - krzyknęła Maria.

- Tato! - krzyknęła Echo.

Krótką eksplozja białego ognia. Głowa i ramiona mężczyzny były tam, gdzie przed chwilą - ale jego brzuch, miednica i nogi po prostu zniknęły.

Wyprostowała się i nacisnęła spust, strzelając szeroką, ciągłą serią. Zostawiła córkę; obiema rękami trzymała karabin. Śmierć zabrała sześciu ludzi w niebieskich mundurach, zanim broń zazgrzytała sucho pustym zamkiem.

Zapadła cisza.

W tej ciszy zbliżył się do nich Herrington Mathiason. Echo rozejrzała się: wszyscy bojownicy leżeli martwi. Ojciec także, rozerwany granatem. Matka stała z dłońmi wciąż zacisniętymi na karabinie, rozpaczliwie naciskając spust.

Otoczyli ich żołnierze w niebieskich uniformach. Jeden z nich sięgnął po jej karabin. Echo wyszarpnęła pistolet i strzeliła mu w pierś. Drugi tymczasem zaszedł ją od tyłu z niewielkim, czarnym cylindrem: przyłożył go zniemacka do pleców kobiety i dało się słyszeć głośne wylądowanie. Maria upadła.

Herrington Mathiason nachylił się nad Echem. Jego szare oczy wydały się jej zimne i złe. Usta były wąskie i bezkrwiste; po chwili rozchyliły się w uśmiechu, ukazując pożółkłe zęby.

- Zabieram cię, moja mała - powiedział. - Daję ci lepsze życie.

Żołnierz w niebieskim mundurze podniósł dziewczynkę i zabrał ją. Wykręciła się w jego ramionach, by ostatni raz spojrzeć na martwego ojca i nieprzytomną matkę.

Widziała.

Mathiason uniósł głowę Jeffery'ego, łapiąc za długie, siwe włosy. Wyjął z kieszeni mały, precyzyjny nóż laserowy i starannie przeciął szyję, oddzielając ją od ramion. Potem wrzucił głowę do sporej, czarnej torby.

*

Aswad przyjrzał się uważniej pniakowi. Do syku karabinów plazmowych dołączył huk prymitywnej broni prochowej, a także wojownicze krzyki obrońców.

- Cholera - zaklął cicho. Mieli broń. Jeszcze raz ostrzelał pieniek.

Gdzieś, na granicy pola widzenia, wizor zamalował mu na czerwono źródło silnego ciepła. Aswad instynktownie schylił się, a strumień plazmy spalił krzak tuż nad jego głową. Przez krótką chwilę myślał, że to jeden z jego ludzi trochę się pogubił (a może chciał w ten sposób przyspieszyć swoją promocję...?). Ale już za chwilę padł strzał z drugiej strony: karabin trzymał człowiek w zielonych łachach, bez zbroi.

Komunikator milczał. Z pozycji, na których usadowili się żołnierze Dżihadu, nikt nie odpowiedział ogniem. Aswad zrozumiał, że jego mały oddział przestał istnieć.

Skąd, na tysiąc piekieł, te dzikusy wzięły karabiny plazmowe?!

Nieważne. Musiał tylko zabić czasowniczkę i chrześcijankę, a wtedy awans na pułkownika ma w kieszeni.

Zerwał z piersi ostatni granat i zdusiwszy zapalnik, wyćwiczonym ruchem cisnął go za pieniek; dokładnie tam, gdzie kryła się ta banda żałosnych głupców.

Aswad zastrzelił człowieka z karabinem, po czym padł płasko na ziemię, jeszcze zanim lecący granat osiągnął swój cel.

*

Ojciec... Echo potrzęsnęła głową.

Granat upadł na trawę, tuż koło Sunny.

Blisko. Za blisko. Zobaczyła twarz ojca, spokojną, pełną miłości.

Szyf.

Po raz pierwszy poczuła, że go zna. I dobrze rozumie. Jego miłość do córki i nienawiść do Herringtona Mathiasona.

Echo odepchnęła Sunny i Grady'ego; skoczyła, rzuciła się do przodu, aby własnym ciałem przykryć granat.

Zamknęła oczy i po raz ostatni spróbowała wysłać myśl przez nieistniejące neuralne łącze: Dziękuję.

Cisza.

Zapach jodeł, sosen i dymu. Otworzyła oczy: granat nie wybuchł. Szybko podniosła się z ziemi i kryjąc za pieńkiem, wycelowała z rewolweru.

Pokryli krzaki, z których nadleciał granat, gradem pocisków. Kiedy skończyli, cisza była tak absolutna, jakby nawet las nie śmiał szumieć.

*

Niewypał. Cisza aż dzwoniła w uszach porucznika. A potem nastąpiła kanonada: kule bezlitośnie siekały krzaki, liście, zarośla. Wciąż płasko przy ziemi, wyczołgał się ostrożnie spod ostrzału.

Potem znów cisza.

Koniec bitwy. Przegrał.

Oddychał płytko, nerwowo. Musiał uciec. Wrócić do ojca, wziąć więcej ludzi. Potem spali na popiół to siedlisko niewiernych.

Odczołgał się jeszcze kilkadziesiąt metrów, zanim odważył się wstać i pobiec w stronę Mekki.

*

Pułkownik stał przed trzymetrowymi, mahoniowymi drzwiami. Echo kroków więźnia i strażników niesło się jeszcze po korytarzu.

Kamienni święci i bohaterowie stojący pod ścianami patrzyli nieruchomym, martwym wzrokiem. Nerwy Raszida były bardzo napięte: musiał kroczyć wolno, dostosowując się do uroczystego, ceremonialnego tempa strażników. Za każdym razem, gdy mijali kolejną statwę, pułkownik miał wrażenie, że szara postać odprowadza go długim, pogardliwym spojrzeniem.

Wyczuwał delikatny zapach olejków i cytrusów. Wiedział, że pochodzące jeszcze sprzed Wojen drzwi czyszczone i oliwiono codziennie, ale nigdy nie zastanawiał się, czyje ręce wielbią Allaha, wykonując tę pracę. Czy te ręce także pachniały olejkami? Do kogo należały?

Rozległ się dźwięk małego gongu.

Niski, aksamitny głos zapowiedział jego wejście jak zawsze, gdy wchodził do komnat Abd al'Alima Ben Altaira:

- Pułkownik Raszid Dżabbar Ibn Haszim, dowódca Trzeciego Regimentu korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allaha,

związany przysięgą z wielkim władcą, wodzem wszystkich armii Dżihadu w megapolis Portland-Seattle. Menadżer korporacyjny drugiego szczebla.

Drzwi otworzyły się do wewnątrz sali. Oczom Raszida ukazał się bogato odziany człowiek noszący fez, błękitną, jedwabną kamizelkę i czarne pantalonki.

- Możesz odejść - odezwał się głos Abd al'Alima Ben Altaira. Odźwierny skłonił się nisko, uderzył pięścią w pierś, po czym odwrócił się na pięcie z taką gracją i precyzją, że Raszid spojrział na niego z podziwem. Nawet nie rzuciwszy okiem na pułkownika, człowiek bezszelestnie oddalił się korytarzem.

Pokój, w którym Abd al'Alim Ben Altair przyjmował gości, pachniał cynamonem. Okna, rozmieszczone po obu stronach sali, wpuszczały łagodne światło, rzucające jasne refleksy na pokrytą błyszczącym, dębowym drewnem podłogę. Na środku sali stał długi stół, który otaczały cztery ręcznie rzeźbione krzesła o miękkich, czerwonych siedziskach. U szczytu stołu siedział sam Abd al'Alim Ben Altair: potężny, krępy mężczyzna odziany w purpurę, gładzący białą brodę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

Raszid skłonił się nisko i uderzył zaciśniętą pięścią w pierś.

- Moja dusza należy do ciebie, mój panie, mój suwerenie - wypowiedział słowa, które powtarzał sobie przez całą noc. - Moje serce jest sercem prawego człowieka, me ramię jest ramieniem Allaha. Albowiem tylko Allah może sądzić ludzkie uczynki...

- Czyżby, pułkowniku? - przerwał Ben Altair. - Panie...?

Suweren łagodnym ruchem położył dłonie na stole. Raszid szukał w jego oczach śladu miłosierdzia, które mogłoby oznaczać lekką śmierć.

Abd al'Alim Ben Altair spojrział w jedno z okien. Jego białe włosy nie pasowały do twardych rysów, do ostrego zarysu szczęki.

- Jesteś pobożnym człowiekiem - powiedział. - Prawda, pułkowniku?

- Znasz mnie... prawie całe me życie, panie. - Raszid opuścił wzrok. - Nie mnie oceniać samego siebie. Panie, ty wiesz.

Suweren gestem wskazał mu miejsce naprzeciw siebie, a potem kiwnął na strażę, każąc im wyjść z pokoju. Raszid przysiadł na miękkiej poduszce.

- Twoje słowa tylko dowodzą, żeś jest człowiekiem wiary - ciągnął Ben Altair. - Słyszę i czuję, że wierzysz prawdziwie, a nie tylko mówisz o tym, jak wielu.

Jego oczy złagodniały. Raszid wstrzymał oddech.

- To właśnie zawsze w tobie podziwiałem - kontynuował suweren. - Dlatego uczyniłem cię moim oficerem. Wiedziałem, że mogę ci zaufać, powierzyć nawet najcięższą misję. Zawsze przynosiłeś chwałę Allahowi swoimi czynami.

- To zaszczyt dla mnie, panie. - Raszid czuł dumę i radość.

- Tak. - Oczy Ben Altaira nagle zmieniły wyraz. - A teraz stajesz przede mną w niesławie porażki. Jestem zdumiony. Wciąż nie rozumiem, jak człowiek taki jak ty mógł przeżyć i nie wykonać zadania, które mu zleciłem?

Raszid chciał umrzeć godnie. Jak wojownik, a nie czczy pochlebca.

- Żałuję tego, że zawiodłem - powiedział. - Ciebie, panie, i wielu innych. Wciąż żyję tylko dzięki twojej dobrej woli i miłosierdziu Allaha.

- Nie jestem taki pewien, czy to rzecz miłosierdzia. Widzę ból na twojej twarzy. Mogę tylko domyślać się, skąd pochodzi; ale sądzę, że czujesz się winny śmierci tak wielu dobrych żołnierzy Boga, bo to ty wysłałeś ich na straszną śmierć. A sam... żyjesz.

- To moja wina, panie. Czekam już tylko na twój ziemski sąd, zanim dołączę do tych, których zawiodłem na polu bitwy. Jeżeli Bóg będzie na tyle dobry, by darować mi miejsce w Raju, będę szczęśliwy dzięki jego miłosierdziu. Jeżeli zaś ciśnie mnie w ogień piekła, ponieważ zawiodłem i nie wykonałem jego woli - także będę szczęśliwy, albowiem wówczas spotka mnie słuszna kara za me haniebne czyny.

- Odważne słowa odważnego człowieka.

- Przysięgałem zwyciężyć lub umrzeć. Stoję przed tobą, gotów wypełnić słowo dane tobie i Bogu.

- Ciężkie zadanie - westchnął Ben Altair, wstając. - Mam osądzić nieustraszonego wojownika i zaufanego oficera, który zawsze najdzielniej stawał przeciwko niewiernym. Przyznajesz się do porażki. Wzywasz, aby cię osądzić. Otwarcie mówisz, że złamałeś przysięgę i nie wypełniłeś woli Allaha. Jaki wybór pozostawia mi twoja duma i szczerść, Raszidzie?

- Nie ma wyboru, panie, w oczach Boga. Jest tylko posłuszeństwo i wiara.

- A zatem. - Twarz suwerena była jak wykuta z kamienia. - Jedynym wyrokiem dla ciebie jest śmierć. Twoją powinnością jest dołączyć do ludzi, których posłałeś na zagładę. Na sąd Boga.

- Chwała Allahowi - powiedział Raszid, starając się nie myśleć o ogarniającym go zimnie. - Chwała Abd al'Alimowi Ben Altairowi.

Suweren klasnął w dłonie. Drzwi otworzyły się i do sali wszedł odziany w czarną zbroję kat. W prawej dłoni trzymał nóż laserowy. Raszid poczuł ulgę: cios takim nożem w podstawę czaszki - to była lekka śmierć. Ból zostanie mu oszczędzony.

Pułkownik stał spokojnie, czekając na swego anioła śmierci.

Kat zajął pozycję za jego plecami. Smukły, srebrny kształt błysnął obok skroni Raszida. Pułkownik starał się patrzeć przed siebie: chciał odejść z godnością i honorem. Pomagał mu spokój stojącego przed nim suwerena.

Tymczasem bezszelestnie pojawił się odźwierny. Nie obejrawszy się nawet, minął kata i skazańca; podszedł od razu

do Ben Altaira i wyszeptał mu coś do ucha. Suwren kiwnął głową i sługa oddalił się.

- Raszidzie - zwrócił się do pułkownika Ben Altair, podchodząc bliżej. - Jesteś lojalnym i zaufanym człowiekiem. Jeśli pozwoliłbym śmierci porwać cię z szeregów armii Allaha, byłbym głupcem.

- Zawiniłem - odparł zdławionym głosem pułkownik, wciąż czując dotyk zimnego metalu na skroni.

- Mój syn żyje i kontynuuje walkę.

- Ale inni już nie.

Ben Altair zatrzymał się przed Raszidem i spojrzał mu w oczy. Głęboko, aż do dna przestraszona duszy.

- Mój syn wypełnia twoje rozkazy?

- Wysłałem go na rekonesans okolic Wieży Światłości. Zapewne już wrócił.

- Sługa właśnie poinformował mnie o jego powrocie.

- Panie... Nie ma wyboru. Uwolnij mnie od jarzma winy wobec tych, którzy zginęli przeze mnie.

- Nie - odparł Ben Altair. - Nie zrobię tego.

Laser zniknął nagle, a kat odwrócił się i wyszedł z sali.

- Panie...? - zapytał zdezorientowany Raszid.

- Nie skazę na śmierć człowieka, który nie doznał porażki.

- Prawo jest jednoznaczne. Nie masz wyboru. Ja nie mam wyboru. Nie wypełnić tego obowiązku, to odrzucić wolę Boga. Nie wolno nam!

Ben Altair uciszył go ruchem dłoni.

- Wysłałeś mojego syna, aby obserwował Wieżę? - Tak.

- Odnalazł czasowniczkę i córkę fałszywego proroka, bo wysłałeś go we właściwe miejsce. Wrócił z dokładnymi namiarami na miejsce ich pobytu. Zamierza powrócić tam z wojskiem, pojmać Sunny Fitzgerald, zabić czasowniczkę i rozbić grupę nieprzynależnych, którzy lżą imię Allaha.

Abd al'Alim położył ręce na ramionach Raszida. Jego wzrok złagodniał, a na ustach zagościł uśmiech.

- Nie doznałeś porażki, Raszidzie. Nie zgubiliśmy córki Fitzgeralda. A dzięki twojej rozwadze, twoim decyzjom, Aswad powoli staje się moim godnym następcą. Dobrym oficerem.

Suwren puścił pułkownika i wolnym krokiem przeszedł wzdłuż stołu.

- Weź ludzi - powiedział. - Udaj się na miejsce, które wskaże mój syn i zniszcz wrogów Allaha. Zabij wszystkich. Jeśli zdołasz, weź żywcem dziewczynę. Jeśli nie, zabij ją. Nie zawieź mnie.

Raszid długo szukał właściwych słów.

- Twe usta przekazują mi wolę Allaha. Słucham cię, panie.

- Wróć z honorem, Raszidzie. I uczyn mego syna prawdziwym człowiekiem honoru. Takim jak ty.

- Wypełnię twą wolę, o panie, lub zginę.

- Taka jest wola Allaha. Możesz odejść. - Ben Altair usiadł na krześle i wbił w Raszida świdrujące spojrzenie.

Pułkownik zasalutował, po czym odwrócił się na pięcie z precyzją, której mógłby mu pozazdrościć nawet odźwierny. Wyszedł z sali, ruszył korytarzem pośród szeregu posągów, potem przez zbrojownię, aż do koszar. Przez cały ten czas dumał nad zawilościami woli Allaha. Jednak czyż człowiek może przeniknąć boskie plany?

ROZDZIAŁ 19

Echo siedziała przy ogniu między Gradym a Sunny. Wokół zebrali się inni nieprzynależni.

- Masz rację, Grady - westchnęła czasowniczka. - Było ich trzech. Zabiliśmy dwóch. Zwiadowcy Dżihadu... Awangarda.

- Dżihad nie odważy się tu przyjść. - Grady skrzywił się. - Kiedyś już próbowali, łatwo zgubiliśmy ich w lesie. Co mogą zrobić? Zniszczyć nasze chatki? Trudno, przeniesiemy się gdzie indziej i zbudujemy nowe.

Chciałaby podzielać jego pewność siebie. Chciała mu wierzyć. Ale ryzyko było zbyt wielkie. Wciąż pamiętała twarz Berniego w sarkofagu: nie mogła już pomóc starym przyjaciółom, ale wciąż mogła uratować tych nowych.

Sunny podała jej drewnianą miskę wypełnioną parującą, gęstą zupą. Drewniana łyżka okazała się całkiem poręczna. Echo kochała ten smak: prawdziwy, pełny, tak różny od powszechnego „syntetycznego lekarstwa na światowy głód” korporacji Prefix. Czasowniczka prawie się rozpląkała, przypomniawszy sobie nazwę tej potrawy. To była owsianka.

- Gdzie uprawiacie zboża? - spytała z pełnymi ustami.

- Nie uprawiamy - odpowiedziała jej jedna z kobiet. - Handlujemy. Pleciemy kosze i maty z twardych trzciny, które rosną nad brzegiem. Potem wymieniamy je za owies z plemieniem żyjącym w dole rzeki.

- Handlujecie z innymi grupami nieprzynależnych?

- Nie przeżylibyśmy bez tego. Tylko miejscy nieprzynależni wiedzą samotne życie lub co najwyżej w małych grupkach. Inaczej nie utrzymaliby się; żyją tylko z rabunku i szperania w ruinach.

Echo zamyśliła się. Oto całe społeczności żyły poza kontrolą MKB. Nie były aż tak liczne, aby zagrozić interesom korporacji, ale miały swoją strukturę, organizację, o której w ogóle nie wiedziano w świecie przynależnych. No, ktoś musiał wiedzieć. Pewnie jacyś biurokraci w Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych monitorowali „wyrzutków”; oficjalna wersja była taka, że nieprzynależni wymierają, giną, zjadają lub porzucają swoje dzieci, a także

mordują przynależnych, którzy zboczyli z wyznaczonych ścieżek. Kolejne z tysiąca korporacyjnych kłamstw.

Sunny podała Echu naczynie z tykwy wypełnione świeżą wodą. Ten smak także naprawdę cieszył czasowniczkę.

- Rozmawiałam z Susan - powiedziała Sunny. - Usłyszałam wiele interesujących rzeczy. Pomyślałam, że... jeśli nie miałabyś nic przeciwko, to chciałabym trochę tu zostać. Poznać lepiej to życie.

- Przykro mi, Sunny - odpowiedziała Echo. - Musimy uciekać.

- Jesteśmy bezpieczni - wtrącił Grady.

- Niezupełnie - odparła czasowniczka. - Ale znam dobre miejsce, w którym moglibyśmy się ukryć.

- Nie. - Mężczyzna pokręcił głową. - Nie wrócimy do miasta. Tam nie mielibyśmy już żadnej przewagi.

- Nie mówię o mieście. Miejsce, o którym mówię, jest pośród wzgórz. Jakies cztery kilometry stąd na południowy zachód.

- Żartujesz! - roześmiał się Grady. - Nigdy tu nie byłaś, a twierdzisz, że znasz bezpieczne schronienia w okolicy.

- Moja matka zna. Żyła tutaj, zanim ją schwytano.

- Chyba zwariowałaś...

- Wcale nie - wtrąciła się Sunny. - Ona wie, o czym mówi. Naprawdę zna wspomnienia swojej matki. Uwierz mi.

Grady spojrział nieufnie. Echo rozumiała go - sama nie uwierzyłaby w coś takiego.

- Pamiętam rzeczy, które widziała moja matka - powiedziała czasowniczka. - Te wzgórza, ten las. Miejsce, w którym wszyscy możemy się ukryć. Wszyscy, nie tylko ja i Sunny. A kiedy już tam będziemy, to przy odrobinie szczęścia uda się nam również zniechęcić ewentualną pogoń. Dzięki rzeczom, które matka ukryła tam dwadzieścia pięć lat temu.

- Echo... - stropiła się Sunny. - Może jednak powinniśmy pójść same. Dżihad nam nie popuści. Jeśli to, co mówi Miriam, jest prawdą, stanowią dla nich zagrożenie. Pozostając wśród tych ludzi, narażamy ich na niebezpieczeństwo.

- Jest gorzej, Sunny - odparła Echo. - Jeśli nas tu nie będzie, a Dżihad przyjdzie - ci ludzie zginą. Każdy, kto nie pomoże nas szukać, zostanie nazwany wrogiem Allaha. Wojownicy Dżihadu wymordują wszystkich. Musimy zabrać stąd ludzi.

- Nie trzeba... - zaczął Grady.

- Masz działo plazmowe? - przerwała mu czasowniczka.

- Masz więcej karabinów niż te kilka, które widziałam? Masz coś, co powstrzyma ciężki transporter przed zrzućciem desantu do lasu?

- Nie - mruknął mężczyzna, patrząc spode łba. - Widziałaś całą broń, którą dysponujemy. Ale... czy kiedykolwiek kryłaś się w tych lasach? Czy kiedykolwiek słyszałaś o przypadku schwytania grupy nieprzynależnych na ich własnym terenie?

- Grady... - odezwała się Susan. - Nie było cię w Czytelni, kiedy Dżihad wpadł do środka.

- Bo ty mnie wyrzuciłaś! - warknęła gniewnie.

- Mieli ciężką broń - ciągnęła spokojnie kobieta. - Działa plazmowe. Ponad setkę ludzi, uzbrojonych w karabiny plazmowe i wysokoenergetyczne lasery. Wjechali trzema transporterami. Nie tłumaczyli się, nie wyjaśniali niczego. To nie było kolejne rekreacyjne polowanie na dzikich. Oni walczą o najbardziej kluczowe cele swojej korporacji.

Echo spojrzała na Grady'ego. Chciała sprawdzić, czy słowa cybriotekarki zrobiły na nim wrażenie.

- Idą tu, Grady - powiedziała. - My się kłócimy, a oni nadchodzą.

Mężczyzna opuścił głowę. Po długiej chwili zwrócił się do Echa:

- Co jest po drugiej stronie wzgórz, na północy?

- Hmm... - Uśmiechnęła się. - Było ciemno, a poza tym, to wspomnienia sprzed ćwierć wieku...

- To znaczy, że nie wiesz?

- Stary kamieniołom na zboczu wzgórz. Dalej rzeka Columbia i dopływ Willamette - odparła bez wahania.

- Wie! - ucieszyła się Susan. - Widzisz, Grady? Możemy jej zaufać.

Mężczyzna potrząsnął głową. Długo milczał.

- Dobrze - mruknął wreszcie.

*

- Straciliście trzech ludzi, poruczniku, ale sami uszliście z życiem? - spytał Raszid Aswada w transporterze. Porucznik poczuł pewien rodzaj ulgi: lepiej, żeby to pytanie zadał Raszid niż Abd aFalim Ben Altair. Ktoś musiał. Strata trzech ludzi w starciu z teoretycznie niebronionym obozem nieprzynależnych - to nie mogło po prostu pozostać bez echa.

- Najpierw straciliśmy Mahira. - Aswad odchrząknął, zbierając całą odwagę. - Ocalił nas przed przygotowaną zasadzką. Potem znaleźliśmy obozowisko. Rozmieściłem ludzi wzdłuż długiej, wąskiej polany. Allah pozwolił mi odnaleźć córkę Fitzgeralda i tę czasowniczkę.

- A potem wycofaliście się, według rozkazu?

- Powracająca z lasu grupa rabusiów odkryła moich ludzi. Nieprzynależni mieli broń plazmową; nasi wojownicy zginęli, zanim zdążyłem im pomóc.

Aswad spojrział na Raszida. Pułkownik uważnie studiował mapę lasu. Czerwone kółko znaczyło dokładną pozycję obozu plemienia.

Po chwili uniósł głowę i w milczeniu spojrział porucznikowi w oczy. Aswad odwrócił wzrok.

- Żyję dzięki tobie - powiedział Raszid. - Wcale nie jestem pewien, czy to słuszne, ale żyję. Dlatego, że podążyłeś za właściwą osobą.

- To był przypadek, pułkowniku - odparł zaskoczony Aswad. - Nie wiedziałem, że ta kobieta doprowadzi nas do

dziewczyny.

- Jeśli dokonałbyś złego wyboru, już bym nie żył. Ale wydałem ci rozkaz, a ty wybrałeś właściwie. Dzięki temu twój ojciec mnie oszczędził. Zawyrokował, że nie poniosłem porażki, że powinienem dokończyć misję. Twój wybór nie był dziełem przypadku, ale wyrazem woli Allaha. Jeszcze nie dopełniło się nasze przeznaczenie.

Ryk silników startującego transportera zagłuszył jego słowa.

- Poruczniku! Dziękuję. Wiem, że to wszystko nie było dla pana łatwe. Zginęli pańscy ludzie. Pomścimy ich!

Aswad patrzył w osłupieniu. Nigdy jeszcze nie słyszał w głosie pułkownika współczucia i wdzięczności. Był zmieszany i wściekły. Wszystko, co miał zrobić, to pójść za niewłaściwą osobą. Powinien był zignorować tamtą rudowłosą kobietę!

Gdyby tak uczynił, teraz byłby dowódcą. A Raszid trupem.

ROZDZIAŁ 20

- Co znaczy „zniknęła”? - spytał Herrington Mathiason. - Abstrahując od innych twoich funkcji, jesteś najbardziej skomplikowanym i wyrafinowanym bytem sieciowym, jaki istnieje. I ty mi mówisz, że w Sieci nie ma po niej śladu? Żadnego?

- Tak jest, panie Mathiason - odpowiedział Syzyf obojętnym głosem. - Sieć milczy w sprawie Echa 5127 i Sunny Fitzgerald. Potwierdzono, że była w Czytelni Korporacji Naukowej. Potem zjawiała się tutaj. Dalszych danych brak.

- Nie monitorowałaś wewnętrznych kanałów komunikacyjnych Dżihadu? - Mathiason zapadł się głębiej w czarny fotel. - Nie masz innych danych o bitwie w Czytelni?

- Mam. Zresztą osobiście kierowałem naszymi najemnikami. Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allaha zależało wyłącznie na Sunny Fitzgerald. Nie dostali jej. A kiedy Echo 5127 pojawiła się u nas, na kanałach Dżihadu mówiono wyłącznie o rutynowych działaniach dyscyplinarnych i szukaniu winnych niepowodzenia akcji w Czytelni.

- Przynajmniej jakieś pozytywne informacje - prychnął Mathiason. - Im mniej tych przeklętych fanatyków, tym lepiej dla nas. Tym więcej będą potrzebowali pracowników tymczasowych. Monitorujesz ich kanały?

- Tak jest.

- Dżihadu i Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan? - Tak jest.

- I wciąż nic?

- Nic, proszę pana.

- Czasami zastanawiam się, czy nie kłamiesz. Każdy człowiek kłamie... - Mathiason przymknął blade, delikatne powieki. - Ech... Rozmawiam z narzędziem, które sam stworzyłem. Po co w ogóle pytam...

- Mogę uruchomić programy diagnostyczne, jeśli pan sobie życzy.

- Coś się tam dzieje - zignorował go starzec. - Dżihad nigdy tak po prostu nie odpuszcza. Będą ją ścigać, aż do końca. Co mogłoby zwiększyć szansę twoich poszukiwań? - westchnął, otwierając oczy.

- Mógłbym rozpocząć analizę użycia zasobów ludzkich na terenie megalopolis. Nietypowe koncentracje zasobów mogą oznaczać intensyfikację poszukiwań na danym terenie. Mógłbym skorzystać z danych MKB, aby określić stopień zaangażowania w sprawę poszczególnych korporacji. Mogę włamać się na kanały MKB, aby monitorować ruchy wojsk Konsorcjum, a także zakodowane przekazy do szefostwa zaangażowanych w sprawę firm. Mogę sporządzić możliwie dokładną symulację obecnego profilu osobowościowego Echa 5127, aby spróbować przewidzieć jej następne działania.

Cisza oznaczała, że Syzyf doszedł do końca listy.

- Jeszcze nie zrobiłeś tych wszystkich rzeczy"! - spytał Mathiason.

- Nie.

- Dlaczego?

- Wykonywałem rozkaz monitorowania Sieci.

- Twój rozkaz brzmiał: znaleźć Echo.

- Znalazłem ją. W Czytelni Naukowców.

- A potem zgubiłeś.

- Wykonałem rozkaz.

- Jakbym rozmawiał z dzieckiem! - Fotel Mathiasona unosił się nad środkiem pokoju. - Mówiłem ci, że najwyższym priorytetem jest odnalezienie Echa. Jedynym priorytetem! Jeśli nie mogę powierzyć ci tak prostej sprawy, to cóż jeszcze jesteś dla mnie wart?!

- Tylko pan może to ocenić.

- O, tu masz rację. Jeśli stwierdzę, że nic, to cię zniszczę. Rozumiesz, co to znaczy?

- Tak, panie Mathiason. Rozumiem.

- Masz ostatnią szansę. Daję ci kody dostępu do kanałów MKB. Monitoruj przekazy do zarządów korporacji. Znajdź Echo 5127!

Szyfł podpiął się pod kodowane kanały MKB, Dżihadu, Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan, a także Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. W ten sposób mógł przechwytywać prywatne transmisje do i od Harry'ego. Abd al'Alim Ben Altair do MKB:

- Nasze siły zbliżają się do leśnego obozowiska. Odpowiedź Konsorcjum zaskoczyła Szyfła:

- Pojmać lub zlikwidować.

- Zrozumiałem. Zastosujemy się do rozkazów. Rozkazów? MKB wydające rozkazy Dżihadowi? To dlatego Harry dał mu te kody. On wiedział.

Było źle, ale wciąż istniała nadzieja. Jeżeli Sunny Fitzgerald zdołała dotrzeć do leśnego obozu nieprzynależnych, to najprawdopodobniej Ellen była z nią.

Ellen... Szyfł złapał się na tym, że znów ją tak nazywa. Powracające uczucia ojcowskie najwyraźniej tłumili rozsądne myśli.

Czy aby na pewno tłumili? Przecież precyzyjnie wszystko zaplanował. Wysłać ją na misję zgodnie z rozkazem Harry'ego. Przetrasować profil matki, aby uczynić z dziewczyny zabójczynię prezesa Usług Tymczasowych. Tłumaczył sobie, że matka pomoże Echu odbudować rozpadającą się jaźń, już po śmierci Harry'ego. Ale teraz... wszystko wyglądało inaczej. Mimo woli naraził córkę na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Nie zasłużył na miano ojca. Zemsta znaczyła dla niego więcej niż życie jedyne dziecko.

Transmisja.

MKB do Mathiasona:

- Podjąć działania ograniczające możliwość wzrostu udziałów rynkowych Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan. Niezadowolenie i frustracja przynależnych pozwolą Fitzgeraldowi pozyskać gambit mesjański do zdobycia udziałów większych niż czterdzieści procent. W świetle zachowania równowagi ekonomicznej kontynentu jest to absolutnie niedopuszczalne.

- Aktywnie poszukujemy właściwych rozwiązań. Szukamy dziewczyny. Natychmiast po jej odnalezieniu prześlemy wszelkie dane do Korporacji Dżihad - Prawe Ramie Allaha. Jest z nią nasza czasowniczka.

- Według waszych rejestrów 5127 jest banitką. Harry długo szukał właściwych słów. Nie znalazł.

- Tak - powiedział po prostu.

- Dlaczego? - zapytał bez chwili wahania bezimienny głos MKB.

- Jest... niepełnowartościowym pracownikiem. Uszkodzonym. Nie możemy jej w pełni nadzorować. Łatwiej jest monitorować jej działania jako banitki.

- Jeżeli przejmemy córkę Fitzgeralda, czy chcecie zwrotu czasowniczki?

- Tak! Jak najbardziej.

- Czy odgrywa krytyczną rolę w waszych planach?

- Jest... przydatna - odpowiedział ostrożnie Harry. - Utrata jej wpłynęłaby negatywnie na nasze wyniki finansowe. W końcu jesteśmy przedsiębiorstwem.

- Oczywiście. Wasze obecne działania są akceptowalne. Szczególnie wobec toczącej się chińsko-amerykańskiej wojny ekonomicznej, która pochłania wszelkie nadwyżki produkcji. Czasowniczka zostanie wam zwrócona, o ile przejmemy ją żywą.

- Dziękuję.

Szyfł czuł wściekłość: oto Konsorcjum rządziło tym feudalnym systemem przez podległe sobie korporacje, świadomie i celowo ograniczając przyrost posłusznej populacji przynależnych. Harry, jego brat, piekł przy tym ogniu własną pieczeń.

Ile milionów ludzi umierało co roku? Ilu nieprzynależnych zmuszano do życia wśród chorób, strachu, nieustannej walki o przetrwanie?

Nie mógł dłużej pozostawać w ukryciu: należało działać. Teraz. Mimo niesprzyjających okoliczności. Miał więcej możliwości, niż Harry mógłby sobie wyobrazić. Jeśli dobrze je wykorzysta... Musiał spróbować. Nie chodziło już tylko o sprawę między nim a Harrym; nawet nie o Echo i Marię. Chodziło o te miliony ludzi, które wciąż wierzyły, że mogą zmienić świat, podczas gdy wielcy tego globu dusili w zarodku każdą społeczną czy ekonomiczną rewolucję, która mogłaby zagrozić obecnemu status quo.

Szyfł miał nadzieję pokrzyżować ich plany.

*

Echo prowadziła nieprzynależnych, niosących tylko małe tobołki i zawiniątka. Wspomnienia Marii ożywały z każdym krokiem; dziewczyna cieszyła się ich odkrywaniem, cieszyła się z poznawania dawnego życia swojej matki. Maria Mathiason walczyła za swoją córkę. Walczyła za honor i godność wolnych ludzi. Tą drogą wiodła kiedyś liczną grupę do bezpiecznego schronienia.

- W porządku? - zagadnął ją Grady.

- Kto zabezpiecza tyły?

- Pewny człowiek. Później cię przedstawię. Nazywa się Jeff Nye, cichy i szybki wojownik z duszą artysty. Na pewno dobrze się czujesz? Jeszcze wczoraj byłeś nie do życia.

- Nie bój się. Na pewno się nie poddam, na pewno nie odpuszczę. Nie tym razem.

- Już kiedyś ci się zdarzyło...?

- Nie mnie, mojej matce. Popelniła kiedyś straszny błąd. Zrozpaczona, poddała się. Pamiętam to. Ja na pewno do

tego nie dopuszczę.

- Jaka ona była?

- Taka jak ja. Tylko trochę starsza.

- Wątpię. - Grady zaśmiał się. - Nie ma drugiej takiej jak ty.

Echo odpowiedziała uśmiechem, przedzierając się przez krzaki. Ścieżka zarosła, ale wciąż była widoczna.

- No, jesteśmy - stwierdziła, zatrzymując się.

- Gdzie...? - spytał zdezorientowany Grady. Przed nimi wyrastała skalna ściana, pokryta grubą warstwą pnączy i innych roślin.

*

- O nie. - Grady skrzywił się. - Tędy nigdzie nie dojdziemy.

Odrzucił się do nadchodzących ludzi, aby ich zatrzymać. Kiedy spojrzął z powrotem na skały, Echo już nie było.

- Weszła do środka - powiedziała Sunny, podchodząc bliżej.

- Dokąd?

- Podeszła do skały, a potem... w nią weszła.

Grady podbiegł do ściany. Dzika winorośl przesłaniała ją całkowicie.

Nagle spomiędzy pnączy wychynęła ludzka dłoń.

Mężczyzna odskoczył, wyszarpując z kabury kolta: - * Dłoń, a za nią ramię, korpus, głowa. Echo uśmiechała się szeroko.

- To tutaj - powiedziała radośnie. - Wiedziała, że znaję. Kiedyś... nie było tu tylu pnączy.

- Co jest w środku? - spytał Grady, chowając broń. Echo mrugnęła do niego i pomachała członkom plemienia. Potem znów zniknęła za zieloną kotarą.

*

- Tutaj, dawno temu, mieszkała Maria - westchnęła Echo.

- Naprawdę zwariowałaś - mruknął Grady, wyciągając z plecaka latarkę.

- Nie, wcale nie. Będziemy tu bezpieczni, ale najpierw musimy zrobić kilka rzeczy. Setka ludzi zostawia w lesie przepiękne ślady.

Sunny, Susan i Miriam przecisnęły się przez wąski wlot groty. Przyniosły trzy pochodnie. Cybriotekarka zapaliła je uniwersalną podpałką beziskrową firmy FlashCo. Żółte światło rozświetliło szeroki tunel.

Echo z satysfakcją patrzyła, jak Grady'emu opada szczeka.

- Nie mająk w domu - zachichotała. - To był kiedyś tunel kolejowy, przebiegający pod górą, aż do miasta. Jeżeli nasze dawne korytarze się zachowały, możemy ukrywać się tu w nieskończoność. A nawet dojść pod ziemią do miejskich kanałów. W środku czeka jeszcze parę niespodzianek.

Czasowniczką tanecznym krokiem podbiegła do Susan i wyjęła jej z ręki pochodnię. Ze światłem pobiegła w głąb tunelu, a za nią Grady.

Po kilkuset metrach Echo zatrzymała się gwałtownie, gestem wstrzymując mężczyznę.

- Gdzieś tutaj... - Schyliła się, patrząc na podłogę. - To było... tak dawno...

Grady poświęcił jej pochodnię. Dziewczyna delikatnymi ruchami rozgarniała pył i piasek.

- Jest! - powiedziała, odsłaniając rozciągniętą tuż nad ziemią linkę. Znalazła w pobliżu duży, pęknięty kafel i położyła go obok, aby oznaczyć miejsce.

- Przekrocz ostrożnie - powiedziała do Grady'ego. - Co to jest? Pułapka?

- W pewnym sensie. Musieliśmy się liczyć z rabusiami i intruzami. Jeśli zaczepiłbyś nogą o linkę, uruchomiłbyś alarm w jaskini koszarowej, a potem...

- Jaskini koszarowej?!

- Tak. - Echo zaśmiała się, ruszając dalej. - A potem eksplodowałyby ładunki przy wejściu, zamykając dostęp do tunelu.

Mężczyzna bardzo ostrożnie przeszedł nad rozciągniętą linką.

- Tutaj! - zawołała dziewczyna, schylając się przy ścianie. Przez niewielki otwór przecisnęła się na drugą stronę; Grady podał jej pochodnię, po czym sam zaczął gramolić się do środka. Już prawie wszedł, gdy nagle usłyszał okrzyk radości.

- Kawalerze Grady O'Donnel - powiedziała Echo, wykonując teatralny gest ręką trzymającą pochodnię. - Oto są skarby lady Marii Mathiason.

Mężczyzna zamrugnął. W pełgającym świetle zobaczył wnętrze komory wielkości dużego transportera, po suficie wypełnionej drewnianymi skrzyniami, plastikowymi beczkami i metalowymi pudłami. Wszystko w wojskowych, maskujących kolorach.

- Skład federalnego zaopatrzenia - szepnął Grady z podziwem. - Niesamowite.

Te słowa nieco otrzeźwiły Echo. Zaczynała już myśleć o tych tunelach jak o domu. Pamiętała dom... prawdziwy dom, sprzed Wojen. Mama piekła wieczorami ciasteczka; wyciągała je z pieca i zostawiała na blacie, aby ostygły do rana. Potem siadała przy kuchennym stole, aby w nocy jeszcze trochę popracować.

- To nie dom - szepnęła do siebie. - To tylko magazyn. Otworzyła drewnianą skrzynię, wyciągnęła z niej parę

czarnych okularów i włożyła na nos.

- Przeciwsłoneczne? - spytał Grady.
- Lekki noktowizor z korekcją kolorów.
- Jezu! Co za cuda jeszcze tu leżą?

Z zapałem podnieconego dziecka rzucił się do przeglądania zawartości skrzyń i pudeł.

ROZDZIAŁ 21

Jasne promienie słońca z łatwością przedzierały się przez liście i konary drzew, zaglądając do wnętrza transportera. Aswad i Raszid stali w środku, po obu stronach opuszczonego, szerokiego trapu.

- Dalej! Dalej! Dalej! - krzyczał porucznik. Tupot ciężkich butów poniósł się po wnętrzu maszyny; czekający dotychczas bezimienni wojownicy w czarnych zbrojach ruszyli naprzód.

Pierwsi zeskoczyli na ziemię, zanim jeszcze transporter osiadł na polanie. Kolejni popędzili w dół po trapie, rozbiegając się wokół, zajmując pozycje, osłaniając kolegów. Raszid i Aswad podążyli za swoimi ludźmi.

Po chwili osiemdziesięciu żołnierzy i dwóch oficerów ruszyło przez las.

- Dochodzimy - odezwał się Aswad po niecałych dwudziestu minutach. - Obóz niewiernych już blisko. Wezwać lotnictwo, by oczyściło nam drogę?

- Chcę zobaczyć tych buntowników, zanim ich zgniemy - odparł zniesmaczony Raszid. - Dam im szansę na godną śmierć w walce.

- Nie musimy ryzykować życia naszych ludzi! - zaprotestował Aswad.

- Chcę się zmierzyć z tą czasowniczką. Dzielnie stawała i dobrze walczyła. Przeklęta, bezduszna - nieważne. Niech Allah ją osądzi. Prowadźcie, poruczniku.

Aswad zawahał się. Czyżby młody oficer obawiał się czasowniczki? To dobrze, pomyślał Raszid. Powinien się bać. Jest jeszcze dla niego nadzieja.

Porucznik doprowadził go do gęstych krzaków jeżyny. Tam przycupnęli.

- Jakies dziewięćdziesiąt metrów stąd jest środek obozowiska - wyszeptał Aswad. - Rozciąga się ono na jakieś dalsze sto metrów w linii północ-południe.

- Czy to tutaj straciliście ludzi, poruczniku?

- Nie. Odkryto ich kryjówki na północnym skraju obozu.

- Nie pozwoliłeś, by ich ofiara poszła na marne - powiedział poważnie Raszid. - Powróciłeś do bazy i podałeś pozycje wroga. Twój ojciec bardzo to ceni.

- Dziękuję, pułkowniku.

Raszid wydał rozkaz, by otoczono obóz.

- Wyślij pięciu ludzi na północ - zwrócił się do Raszida - aby wyeliminowali strażę i czujki. Poślij trzech każdą ścieżką, która prowadzi z obozu. Niech oczyszczą drogi.

Aswad kiwnął głową i pospiesznie zaszeptał do komunikatora w hełmie.

- Wysłałbym także pięciu na południe - powiedział do Raszida, skończywszy.

Pułkownik uśmiechnął się pod nosem. Lepiej. Widać, że chłopak myśli.

- Nie - powiedział głośno. - To tam widziałeś czasowniczkę. Tą stroną zajmę się osobiście.

Oficerowie wolno posuwali się naprzód, brnąc ostrożnie przez zarośla. Zatrzymali się blisko granicy obozu. Dużą polanę wypełniały liche chatki i szałas. Po lewej, między dwiema chatkami, widać było wyraźnie wygniecioną w poszyciu ścieżkę wiodącą w głąb lasu. W zasięgu wzroku mieli zaledwie kilku nieprzynależnych, odzianych w brudne łachmany. Jakiś dziadek-oberwaniec szedł wolno w ich stronę. W środku obozu unosił się dym z ogniska.

- Nikt nie jest uzbrojony - szepnął Raszid.

- Ukrywają się w chatkach.

- A zatem mamy przewagę. Zaskoczmy ich. Nasi ludzie donoszą, że nie wystawiono straży. Jeżeli czasowniczka wciąż tu jest, to albo jest ciężko ranna, albo w niewoli. Inaczej na pewno zajęłaby się obroną.

Pułkownik uniósł karabin plazmowy, łapiąc w lunetę celownika nadchodzącego wolnym krokiem dziadka. Wyglądał zaiste żałośnie: w podartych, chyba jutowych łachmanach, z tłustymi, rzadkimi włosami na zmienionej chorobowo skórze czaszki. Raszidowi prawie zrobiło się go żal. Życie nieprzynależnego z definicji było jedną wielką porażką, bez marzeń, bez planów, bez szansy na jakąkolwiek poprawę.

Głowa dziadka zniknęła mu nagle z celownika. Człowiek schylił się, podniósł coś leżącego obok spalonego pniaka. Wyprostował się i zamachał.

- Granat! - warknął głośno Raszid do komunikatora, w tej samej chwili naciskając spust karabinu.

Stary człowiek padł na wznak, bez jęku, z piersią wypaloną niebieskim płomieniem. Granat potoczył się kilka metrów dalej.

- Padnij! - krzyknął Raszid do Aswada, rzucając się na ziemię. Ale porucznik wstał, patrząc na płonące błękitnym ogniem ciało nieprzynależnego.

Kiedy pułkownik podniósł głowę, jego zastępca strzelał z karabinu po całym obozowisku.

Nikt nie odpowiedział ogniem. Nieprzynależni kryli się po krzakach; wojownicy Dżihadu wybiegali z lasu,

pokrywając polanę ogniem. Leśni umierali, kładli się pokotem, jak żyto koszone robokombajnem firmy AgroCorp.

- Przerwać ogień! - rozkazał Raszid.

Zapadła cisza. Zdawała się emanować z nieruchomego ciała obdartego starca i z leżącego obok granatu, który nigdy nie wybuchł.

- Dlaczego nie padliście na ziemię, poruczniku? - zapytał Raszid, zwracając się do swego zastępcy. Zdjął hełm; na jego twarzy wyraźnie było widać straszne blizny, zabarwione na czerwono przez z trudem hamowaną wściekłość.

Cisza.

- Poruczniku! - krzyknął. - Zadałem wam pytanie!

- Tak jest! - Aswad także zdjął hełm i stanął na baczność przed dowódcą; jego zimne, niebieskie oczy utkwione były nieruchomo w jeden, odległy punkt. - Melduję, że nie widziałem granatu. Miałem szczęście, że...

- Mojego rozkazu też nie słyszeliście?

- Melduję, że nie słyszałem!

Żołnierze przeczesywali polanę, sprawdzając trupy. Raszid obserwował ich i zapamiętywał, którzy szukają jakiegokolwiek łupu, a którzy informacji.

Pułkownik popatrzył na dogasające nieopodal ciało starego człowieka. Podszedł do trupa, schylił się i podniósł leżący obok wyciągniętego, prawego ramienia granat. Obejrzał go dokładnie, a potem jeszcze raz spojrzął na trupa.

Dookoła zebrali się żołnierze. Raszid wstał, czując pieczenie blizn na twarzy. W jego sercu rósł gniew. Wściekłość. Furia człowieka, który został zdradzony, i to w dodatku przez zaufanego przyjaciela.

Aswad mimowolnie cofnął się, gdy pułkownik zwrócił na niego swe ciężkie, złe spojrzenie. Raszid podszedł, niespiesznie, unosząc granat w dłoni; aż znalazł się na wysokości nosa porucznika.

- Co to jest? - zapytał zduszonym głosem.

Twarz Aswada poszarzała w jednej chwili.

Raszid nie dał się zaślepić złości. Wiedział, że musi rozegrać to ostrożnie. Ludzie patrzyli, słuchali. Musiał im pokazać, co znaczy sprawiedliwość. To był jego obowiązek.

- Zabiłem go za ten granat. - Wskazał na spalonego trupa. - Myślałem, że stanowi dla nas zagrożenie. Ale tak nie było! Spójrz na jego dłoń, na rękę. Widzisz te blizny? Widzisz, jak słabe miał ramię? Widzisz te granatowe paznokcie? Co to wszystko znaczy, poruczniku?

- Był nieprzynależnym. Nie miał żadnych szczępień. Był chory...

Żołnierze zaszemrali wokoło.

- Niech cię...! - warknął Raszid. - Gdzie jest wola Allaha?

Aswad milczał. Stał nieruchomo, chcąc przeczekać gniew swojego suwerena.

Pułkownik podszedł do niego, spojrzął prosto w twarz. Szalone, prawe oko obracało się we wszystkie strony pośród bordowych blizn.

- Gdzie jest wola Allaha?! - wysyczał.

- Wola Allaha zawarta jest w prawie - sylabizował wolno porucznik. - Prawem są słowa suwerena.

- Zasady prowadzenia walki?

- Mężczyźni i kobiety przeciwstawiający się woli Allaha muszą zostać zniszczeni na większą chwałę Islamu i czcigodnego suwerena.

Raszid zadał jeszcze jedno pytanie, cichym, zimnym głosem. Żołnierze nachylili się, by lepiej słyszeć.

- Co to za granat, poruczniku?

- Odłamkowy granat obronny.

- ...z wygrawerowanym symbolem Dżihadu. A także z numerem inwentarzowym wskazującym na partię, którą kazałem wam w całości wycofać przed atakiem na wieżę chrześcijan. Jak to możliwe?

Aswad milczał.

Raszid starał się kontrolować. Powstrzymywał się z całej siły, by nie chwycić kłamcy za gardło i nie udusić własnymi rękami.

- Kłamałeś - powiedział spokojnie; tylko dłoń zaciskała się coraz mocniej na trzymanym hełmie. - Tu była strzelanina, tutaj. Widzę wyraźne ślady. Twierdzisz, że sam ani razu nie wystrzeliłeś. Że cała potyczka miała miejsce na drugim końcu obozowiska.

- Musieli przynieść ten granat stamtąd. Ci rabusie... Poza tym starzec...

- Milcz! - Raszid spojrzął na niego z obrzydzeniem: ten człowiek nie miał honoru. Poza tym był głupcem. Chciał, żeby żołnierze też to zrozumieli.

- Chciałeś ich zaskoczyć. Zaatakowałeś wbrew moim rozkazom - powiedział głośno. - Złamałeś przysięgę daną mnie i własnemu ojcu. Myślałeś, że już nie żyję i próbowałeś zająć moje miejsce, zabijając dziewczynę i zamieniając moją porażkę w swój triumf. Zrobiłeś to bez oglądania się na wolę Allaha i rozkazy dowódcy. Ambicja cię zaślepiła. Głupia duma i pewność siebie; ta sama, która kazała ci zabrać ze sobą niepewne granaty, zamiast według rozkazu zwrócić je do zbrojowni. Twoja duma kosztowała życie trzech ludzi.

Raszid nie mógł się już powstrzymać. Przełożył hełm do lewej ręki, a prawą wymierzył porucznikowi siarczasty policzek.

Żołnierze cofnęli się o krok. Zaczynali rozumieć, czego są świadkami.

- Jesteś tchórzem! - wyrzucił z siebie pułkownik ze złością i pogardą. - Przez głupotę posłałeś ludzi na śmierć. Złamałeś przysięgę. Łgałeś jak pies. Plułeś na wolę Allaha i zabijałeś niewinnych. Wiesz, co powinienem zrobić? Tu i teraz?

- Ja... - zająknął się Aswad. - Ja... Proszę mi wybaczyć... Nie chciałem...

- Milcz! - przerwał mu Raszid, patrząc głęboko w oczy. - Miej choć odwagę wziąć odpowiedzialność za własne czyny! Nawet czasowniczka jest do tego zdolna, choć nie ma własnej duszy!

Pułkownik zmierzył go długim spojrzeniem i splunął Aswadowi pod nogi.

- Zaiste dano ci właściwe imię - parsknął. - Jesteś czarną owcą swojego rodu*. * *Aswad - arab. „czarny” (przyp. tłum.)*.

Raszid odwrócił się i ruszył przed siebie. Żołnierze roz-stępowali się przed nim.

- Jedyne, co mnie powstrzymuje przed wymierzeniem ci sprawiedliwości - powiedział, spoglądając przez ramię - to wzgląd na twego ojca. Zbyt długo mu służy, by stać się teraz katem jego syna.

Gdy pułkownik odwrócił się znowu, ręka Aswada natychmiast powędrowała do kabury przy pasie. Po chwili lufa srebrnego Smitzera celowała prosto w głowę Raszi-da. Kciukiem zwolnił bezpiecznik; zapłonęła zielona lampka. Aswad nacisnął spust.

Promień pomknął z prędkością bliską trzystu tysiącom kilometrów na sekundę, trafiając bez pudła w miejsce, gdzie jeszcze przed momentem była głowa pułkownika.

Zadziałał refleks i odruchy doświadczzonego żołnierza. Już w chwili, gdy naciskał cichutko bezpiecznik Smitzera, Raszid padał na ziemię, upuszczając hełm. Zdażył jeszcze wyciągnąć własny pistolet, obracając się tak, by po upadku być w optymalnej pozycji.

Porucznik jeszcze nie opuścił broni, jeszcze nie zdążył się zdziwić, gdy promień z pistoletu smugowego Raszida trafił go w szyję, wypalając dziurę w lewej tętnicy. Pułkownik bez wahania strzelił jeszcze raz w rękę trzymającą broń.

Smitzer Aswada upadł na ziemię. Raszid podniósł się i stanął przed zdziwionym porucznikiem.

- Powinieneś być zwolnić bezpiecznik, tchórze - rzucił mu w twarz. - Jesteśmy w misji bojowej.

Aswad uniósł prawą rękę, której brakowało połowy palców. Upuścił hełm i lewą, drżącą dłonią dotknął szyi. Nie było krwi, tylko tłuste, spalone mięso.

- Już nie żyjesz - powiedział Raszid. - Tylko jeszcze o tym nie wiesz. Może postoisz jeszcze z minutę. Potem stracisz przytomność; ale faktycznie umrzesz dopiero po mniej więcej pięciu, dziesięciu minutach.

Aswad spojrział szeroko otwartymi oczyma na otaczających ich żołnierzy. Niektórzy patrzyli ze współczuciem, inni z przerażeniem, jeszcze inni z ciekawością.

- Skończ... - wyszeptał, patrząc na dowódcę ze strachem w oczach. - Dobij...

- Już skończyłem.

Porucznik schylił się niezdarnie po swój pistolet. Raszid nie sięgnął po Smitzera. Patrzył, jak Aswad unosi broń, przykłada sobie lufę do głowy...

- Allah akbar - wyszeptał, wypalając sobie dziurę w mózgu.

- Tchórz - parsknął pułkownik, odwracając się do żołnierzy.

Byli skonfundowani, zmieszani, niepewni. Oto leżał przed nimi trup syna największego wodza Islamu na kontynencie. Ci najlojalniejsi, którzy długo służyli pod rozkazami Raszida - często dłużej niż Aswad - wycofali się dyskretnie nieco bardziej na zewnątrz, tak aby mieć na oku wszystkich pozostałych.

- Żołnierze! - zawołał pułkownik. - Oto zabiłem syna własnego suwerena!

Ludzie zaszemrali.

- Widzieliście jego podstępny atak - kontynuował. - Widzieliście, jak sam odebrał sobie życie w akcie ostatecznego tchórzostwa! Ale jego śmierć spada na mnie. Jak i porażka, albowiem nie przywiodłem córki Rolanda Fitzgeralda przed oblicze mego pana!

Żołnierze zamilkli. Równie dobrze Raszid mógł powiedzieć wprost, że jest już chodzącym trupem. Że jego kariera osiągnęła kres i właściwie mógłby zginąć z ręki Aswada.

- Każdy z was jest ze mną związany świętym słowem. Zwalniam was z przysięgi. Od tej chwili nie jestem już waszym suwerenem. Każdy musi teraz sam decydować o własnym losie. Ja zawiodłem, ale wy nie. Wasza służba była drogą chwały; nie macie prawa o nic siebie obwiniać.

Milczeli. Raszid w ciszy patrzył na ich zmieszane twarze.

- Ja już wybrałem - powiedział. - Moją drogą do Raju będzie ścieżka chwały. Odnajdę dziewczynę. Przyprawdę ją Abd al'Alimowi Ben Altairowi albo zginę, próbując to uczynić. Wy... nie musicie umierać. Możecie pójść ze mną, możecie też wrócić do koszar. Dałem wam wybór. Ale jeśli pójdziecie za mną, nie miejcie złudzeń! To będzie droga pełna potu i krwi. Żadnego odwrotu! Aż do końca: będzie nim triumf albo śmierć.

Raszid odwrócił się i założył hełm. Ruszył przed siebie, ścieżką do lasu, wydeptaną przez nieprzynależnych.

Po chwili usłyszał za sobą kroki, ciche głosy, szelest rozsuwanych krzaków. Odetchnął cicho. Poczł nagle zapach własnego strachu i jednocześnie ulgę, że nie przyjdzie mu umierać samotnie.

Jeszcze chwilę, pomyślał. Jeszcze kilka kroków. Potem odwróć się i zobaczę, ilu poszło za mną. A ilu wybrało rozsądniej.

*

Susan położyła Grady'emu rękę na ramieniu.

- To musi być prawda - powiedziała, patrząc na krzątającą się po tunelu Echo. - Ona naprawdę pamięta życie swojej matki. Gdyby było inaczej, jak mogłaby odnaleźć to miejsce? Jak odnajdywałaby drogę w labiryncie tuneli?

- Hm - mruknął Grady. - Dziewczyna czuje się tu jak w domu. Pokazała mi tunele wiodące pod wzgórzami i pod miastem. Pokazała mi korytarz wulkaniczny pod korytem rzeki. Susan... Ona jest czasowniczka. Nigdy nie opuszczała

centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych; jedynie na czas misji. A co jeśli ona... tylko wykonuje kolejne zlecenie, a to jest tylko kolejny transfer?

- Ona była już w śpiączce, Grady. Badałam ją. Sunny naprawdę ją uleczyła. Ufam jej. Nie do końca ją rozumiem, ale ufam.

Mężczyzna objął ją i pocałował.

- Susan - westchnął. - Pierwszy raz od lat poczułem nadzieję. Dla nas i... dla naszych przyszłych dzieci.

- Ja też cię kocham. - Uśmiechnęła się. - A teraz idź jej pomóc. Ja pójdę do Sunny i Miriam; są zaczytane w przedwojennej historii Ameryki.

*

Echo delikatnie przesunęła dłonią po ścianie.

- Tutaj kończą się wykute tunele - powiedziała. - Dalej jest naturalny korytarz z zastygłej lawy, pod korytem rzeczonym. Czujesz tę wilgoć na ścianach?

Grady dotknął czarnej skały; była zimna i mokra.

- Skała wulkaniczna - mruknęła dziewczyna.

- Jest tu wulkan?

- Tak, Góra Tabor. Po wschodniej stronie rzeki. Gdzieś tu musiało być drugie ujście kanału wulkanicznego, stąd ten naturalny magmowy tunel. Dzięki niemu połączyliśmy korytarze po obu stronach rzeki.

Grady pokręcił głową.

- Jeśli będziemy uciekać tym tunelem, odetniemy sobie drogę odwrotu.

Echo westchnęła.

- Jeżeli zjawi się tu Raszid, to będzie mieć ze sobą masę ludzi i sprzętu. Nie możemy podjąć otwartej walki, nie damy rady. Zrobimy inaczej: ty i ja, razem, będziemy kasać ich z ukrycia: atak-odskok, atak-odskok! Ale żeby mieć swobodę działania, musimy najpierw zabezpieczyć plemię. Po drugiej stronie rzeki jest wielka, naturalna jaskinia...

- Nie - powiedział Grady. - Nie musimy przechodzić na drugą stronę. Możemy ich ukryć w korytarzach, tutaj.

- Dżihad będzie widzieć w ciemności równie dobrze, jak my. Ludzie muszą być bezpieczni, ukryci za czymś, czego tamci nie sforsują. Na przykład za rzeką. Jeśli zwalimy ją na głowę Raszidowi, to i sam Allah mu nie pomoże.

- My... też nie sforsujemy takiej przeszkody.

- Nie. Ale to przynajmniej pewne zabezpieczenie. Złożymy ładunki co trzydzieści metrów i użyjemy zdalnego detonatora z programem czasowym. Po odpaleniu pierwszej bomby kolejne będą wybuchać co pół sekundy. Strop tunelu pięknie się otworzy, jak dojrzały owoc.

- Chyba nie mówisz poważnie... co? Nie zamierzasz tego zrobić?

- Muszę.

Echo zaczęła wyjmować z torby ładunki wybuchowe.

- Wszystko... tak się zmieniło, od kiedy Sunny mnie uratowała - westchnęła czasowniczka. - Nie pamiętam już mojej matki, jak płakała. Pamiętam, że to ja zanosilałam się szlocham. Cierpienie, ból, złość, to wszystko, co mnie tutaj doprowadziło... Ja... Mnie. Szkoda, że nie mogę porozmawiać z Syzyfem. On... mógłby mi pomóc.

- Syzyf...?Kto...?

- To skomplikowana sprawa.

- Tak jak z Sunny? - Grady uśmiechnął się. - Wychodzi na to, że cała jesteś jedną wielką skomplikowaną sprawą. W życiu nie spotkałem bardziej skomplikowanej kobiety. "No, oczywiście z wyjątkiem Susan.

Echo zaśmiała się, ale bardzo szybko spoważniała.

- Nie - powiedziała. - Wcale nie chcę tego robić. Niestety muszę. Raszid to w sumie honorowy człowiek, ale on tylko wykonuje rozkazy. Nie mogę pozwolić, by Sunny wpadła w łapy tych, którym nieco mniej zależy na honorze. No i na pewno nie pozwolę Dżihadowi skrzywdzić twoich ludzi.

Grady patrzył, jak dziewczyna uzbraja ładunki. Nie była już tą samą kobietą, którą spotkał w czytelnii. W jej głosie nie było strachu i niepewności.

A jednak...

Były. Tylko stłumione, kontrolowane. Ukryte za maską zdecydowania, pewności siebie, niewątpliwego talentu militarnego.

- Coś dobrego może jednak z tego wyniknąć - chrząknął mężczyzna. - Jeśli przetrwamy, to życie nieprzynależnych może się całkiem zmienić. Dzięki Sunny-uzdrowi-cielce.

- Sunny robi to, co sama wybierze. Nie ustawiaj jej życia. A teraz wracajmy. Chcę przeprowadzić ludzi na drugą stronę tak szybko, jak się da. Raszid może tu być lada moment.

*

- To bez sensu, Susan. - Sunny pokręciła głową. - Nie mogę tak po prostu uwierzyć w coś, co nie ma sensu.

- Czego nie rozumiesz? - zapytała spokojnie cybriotekarka. W jej głosie słychać było nauczycielskie doświadczenie.

- W tej książce napisano, że Wojny spowodował niekontrolowany przyrost populacji.

- Tak było.

- To czemu teraz nie ma wojen? - Sunny spojrzała na dziesiątki ludzi tłoczących się w jaskini. - Teraz pewnie jest

więcej ludzi na świecie niż w 2040.

- Ponad połowa ludności świata zginęła. Tylko na tym kontynencie, jednego dnia, trzy eksplozje termojądrowe zabiły trzydzieści milionów ludzi.

- Wojna...? - spytała cicho Sunny.

- Terroryci. Zniszczyli Nowy Jork, Los Angeles i Chicago. Ale to wciąż były Wojny Przeludnieniowe. Rekordowo niskie plony powodowały głód. Konflikty niszczyły infrastrukturę, destabilizowały rynek, uniemożliwiały dystrybucję dóbr. Rozprzestrzeniały się epidemie, i nikt już nie szukał na nie lekarstwa. Umarły miliardy.

- Miliardy grzeszników!

- Nie lądź się, wojna nie wybiera. Dobrzy ludzie także umierali. Pewien naukowiec stwierdził wręcz, że dobrych zginęło znacznie więcej niż złych. Upraszczaając, argumentował tak, że ludzie czerpiący zyski z wojen i konfliktów wystawiali naiwnych i łatwowiernych na pierwszą linię, sami woleli pozostać w bezpiecznym ukryciu.

- Bóg nie pozwoliłby na coś takiego! - Sunny potrząsnęła głową.

- Nie wiem - westchnęła Susan, patrząc w ziemię. - To ty jesteś znacznie bliżej Boga. Ja wierzę tylko, że Bóg... to wszechświat, który nas otacza. A wszechświat nie jest w ogóle świadom naszego istnienia, tak jak my nie jesteśmy świadomi impulsów elektrycznych w naszym mózgu.

- Bóg odpowiada na modlitwy - powiedziała Sunny z zapalem.

- A czasem nie odpowiada. Jak myślisz, co zdarza się częściej?

- Że odpowiada, to jasne. Nie dalej jak wczoraj, ja...

- O, wciąż czytacie! - przerwała im Echo, wyłaniając się z pochodnią z ciemności; Grady podązał za nią. - Bałam się trochę, że ta lektura może być... Ciężka.

- Bo jest - mruknęła Sunny.

- Dlaczego? - spytała czasowniczka.

- Jeśli miałabym w to wszystko uwierzyć, to musiałabym przyznać, że Kościół mojego ojca jest zbudowany na słabości, strachu i poczuciu zagrożenia tych ludzi, którym udało się przetrwać Wojny.

- A jeśli tak jest...?

- Nie! On jest Posłańcem Bożym. Prowadzi wiernych ku Panu!

- Naprawdę wierzysz w ojca... - Jest dobrym człowiekiem!

- Obawiam się - chrząknęła Susan - że nie podzielam twojej wiary.

- Ani ja - odezwała się Echo.

- Trudno - powiedziała Sunny, ujmując ją za rękę. - Tak wiele się od ciebie nauczyłam... Już wiem, że jest dobro również pośród tych, którzy nie czczą Boga. Muszę przyznać, że w tym jednym mój ojciec się myli.

- Chyba nie tylko w tym - usłyszały głos matki Miriam; kobieta wyszła z cienia i serdecznie objęła Sunny, szepcząc jej do ucha: - Spójrz tylko, co zrobiłaś dla Echa!

- Byłam przy niej, gdy leżała nieprzytomna. - Sunny odepchnęła Miriam. - To wszystko.

- Wmawiasz to sobie, moje dziecko. - Kobieta kiwnęła głową. - Ale mnie nie przekonasz. A twoja wizja? Matka Echa, jej babki, prababki? Musisz to zaakceptować, Sunny. A wtedy przejrzysz także kłamstwa swego ojca.

- On nie jest kłamcą!

Uśmiech zniknął z twarzy Miriam.

- Może to jeszcze dla ciebie za trudne. Zostańmy przy półprawdach.

- Uratował ludzi przed Bożym gniewem!

- On antropomorfizuje Boga. Wierzy, że Bóg ma ludzkie wady, przywary, ambicje. Że Jego moc jest ograniczona przez ludzkie pojmowanie.

*

Echo chrząknęła głośno, przerywając tę niezbyt przyjemną konwersację.

- Dokończycie później, musimy się zbierać. Możecie rozmawiać, idąc.

- Rozpoznaliście już drogę?

- Tak - odparła Echo, ruszając w głąb jaskini; Sunny, Miriam i Grady poszli za nią, Susan zniknęła w tłumie. - Zabieramy wszystkich do jaskini po drugiej stronie rzeki. Potem kilkoro z nas wróci, by walczyć.

- To niebezpieczne - odezwała się Sunny.

- Nie przejmuj się. Wczoraj w Wieży było o wiele, wiele gorzej.

- Ale przeżyliśmy. - Sunny złapała ją za rękę. - To był cud! A teraz...

- A teraz, Sunny, chcę, żebyś została ze wszystkimi po drugiej stronie rzeki.

- Chcę zostać z tobą.

- O wiele więcej dobrego zrobisz, zostając z plemieniem, i razem z matką Miriam pomagając rannym i przerażonym.

Sunny zamyśliła się.

- Rozumiem - powiedziała wreszcie.

- I jeszcze jedno. Sunny, nie obawiaj się tak swojego daru.

Dziewczyna poważnie skinęła głową. Echo wspięła się na spory kamień, aby wyjaśnić ludziom cały plan. Słuchano jej w ciszy.

ROZDZIAŁ 22

Grzmot walącego się wejścia jaskini gasł powoli. Echo obserwowała z ukrycia, jak Raszid przegrupowuje ocalałych - żołnierzy.

Ludzie w czarnych zbrojach ruszyli korytarzem. Już blisko, już blisko do następnego ładunku.

Czuła zapach potu skulonego obok Grady'ego; nappełniło ją to nostalgicznym uczuciem braterstwa broni. Grady okazał się pewnym i dobrym człowiekiem. Abstrahując od tego, że był głupcem. Każdy, kto z własnej woli wybiera status nieprzynależnego, odrzucając bezpieczeństwo oferowane przez korporację, był głupcem.

- Już są - szepnął mężczyzna.

Wizory wojowników Dżihadu pozwalały im doskonale widzieć w ciemnościach. Mieli świetną broń. Ale nie wiedzieli, co przygotowała im Echo.

- Chyba ze stu! - syknęła cicho. - Grady, spadaj stąd. Upewnij się, że ludzie są bezpieczni w jaskini. Ja zostanę i w odpowiedniej chwili zdetonuję pułapki.

- Zostaję z tobą.

- To zupełnie bez sensu. Po co mamy umierać oboje? - Spojrzała w oczy mężczyzny, ukryte za czarnymi goglami.

- Skup się lepiej na ładunkach - odpowiedział.

Echo popatrzyła uważnie przez skalną szczelinę; trzech żołnierzy już przekroczyło punkt. Dziewczyna skuliła się i wcisnęła guzik detonatora.

Mimo zaciśniętych powiek i czarnych gogli zobaczyła białe światło. Potężna eksplozja ogłuszyła ją. Grady wstał i posłał kilka szybkich strzałów z lasera w chmurę gęstego pyłu i dymu, którymi wypełnił się tunel. Potem znów ukrył się za skałą.

Echo wychyliła się ostrożnie. Pięć ciał leżało nieruchomo; szósty żołnierz wił się na ziemi, jęcząc głośno, usiłując sięgnąć do nogi wykręconej pod jakimś dziwnym kątem.

Jakaś postać wychynęła z pyłu i czasowniczka usłyszała spokojne słowa:

- Chwała niech będzie Allahowi, do którego należy wszystko, co jest w niebiosach, i wszystko, co jest na ziemi. Nie ma miłości nad miłość Allaha. Zakosztuj zatem miłości Boga.

Pistolet smugowy błysnął krótko i ciało żołnierza zamarło.

Echo i Grady wycofali się głębiej w tunel.

*

Raszid nogą przewrócił na plecy ciało kolejnego żołnierza. Zbroja nie uchroniła go przed zgnieceniem; spadające tony skał zrobiły swoje. Dwadzieścia dwa trupy w trzy godziny. Pierwsza bomba spowodowała zasypanie wlotu jaskini i zabiła dwóch wojowników. Potem nie mieli już wyboru. Dobrze chociaż, że żołnierze byli tak zdeterminowani. Żaden z nich nie wypowiedział głośno tego, co musieli myśleć wszyscy.

Allah ich opuścił.

Na Raszida spadła słuszna kara, a razem z nim cierpieli wszyscy, którzy mu zawierzili. Przynajmniej tak myślał pułkownik; modlił się cicho, aby Allah zabrał tylko jego, oszczędzając żołnierzy.

Musiał się skupić! Skupić na rzeczach istotnych. Nie mógł nie podziwiać perfekcji, z jaką czasowniczka stosowała swoją prostą taktykę. Kasała znienacka i zniknęła bez śladu, za każdym razem zabierając kilku żołnierzy Dżihadu. Nawet rasowane wizory nie pozwalały na wyraźne dostrzeżenie celu w ciemnościach jaskiń: ot, czasem jakiś kolorowy cień na granicy postrzegania.

Zawiesił karabin plazmowy na ramieniu i dobył pistoletu smugowego. Precyzja; jeden, prosty strzał. Może się uda.

*

- Ilu ich zostało? - spytała Echo.

- Ciężko powiedzieć - szepnął Grady.

- Musimy to zrobić! Są tuż przed ostatnim skrzyżowaniem. Założone tam ładunki nie wystarczą na nich wszystkich. Jeśli nie wysadzimy tunelu, skazemy na śmierć naszych ludzi ukrytych po drugiej stronie rzeki!

- Dlaczego się nie wycofują? Ponieśli tak ciężkie straty, powinni uciekać!

- To Dżihad. Oni nie uciekają. Nie znają tego słowa. Honor i wiara, Grady.

Nagle korytarzami poniósł się głos Raszida:

- Oddajcie nam dziewczynę!

Echo spojrzała ostrożnie w głąb tunelu. Pułkownik stał z przodu, na czele swoich ludzi, ryzykownie wystawiając się na strzał.

- Oddajcie nam chrześcijankę! - odezwał się znowu. - Nikt więcej nie musi umierać. Chcemy tylko tej dziewczyny i... czasowniczki!

- Ruszaj w stronę rzeki, Echo - szepnął Grady.

- Zwariowałaś? Nie dasz rady. - Czasowniczka szarpnęła go za ramię, pociągając głębiej w korytarz. - Są zbyt rozproszeni. Biegnij!

- Nie!

- Wycofaj ludzi z tunelu! Musisz ich chronić, Grady. Ich życie zależy od ciebie!

Echo nastawiła zdalny detonator na ładunki umieszczone na skrzyżowaniu.

- Stój, pułkowniku! - krzyknęła głośno.

- Czasowniczko! Wciąż walczysz?! Oddaj mi dziewczynę i skończmy to wszystko!

Raszid ruszył w jej kierunku.

- Stój! - krzyknęła. - Albo przysypię cię skałami!

- I tak jesteśmy trupami - odparł, zatrzymując się. - Tu czy tam, żadna różnica. Oddaj nam dziewczynę, a wszyscy przeżyjemy!

Promień z pistoletu smugowego przysmażył ucho dziewczyny.

Echo, sycząc z bólu, wysadziła skrzyżowanie. Potem przestawiła detonator na tunel pod rzeką, wstała i pobiegła.

Szybko dotarła na miejsce. Rozpoznała znajomą wilgoć na ścianach i mokrą miękkość podłoża. Biegając, liczyła ładunki; kiedy minęła ostatni - umieszczony mniej więcej w połowie tunelu - obok niej eksplodowała kula plazmowego ognia. Następna - tuż pod nogami.

- Stój albo cię spalę! - usłyszała krzyk Raszida.

- Przestań! - krzyknęła Echo, stając w miejscu. - Nie strzelaj! Korytarz jest zaminowany, a nad nami biegnie koryto rzeki!

Odrzuciła się. Raszid nadchodził ostrożnym krokiem, prowadząc swój przeredzony oddział.

- Gdzie dziewczyna? - wyszczał pułkownik, przykładając jej lufę pistoletu do czoła.

- W bezpiecznym miejscu.

- Dobrze walczyłaś, czasowniczko. Szkoda tylko, że po niewłaściwej stronie. Zegnaj.

Echo podniosła detonator, tak by Raszid mógł go zobaczyć.

Pułkownik zerwał z głowy hełm. Jego spocona twarz w jednej chwili stała się czerwona niczym krew.

- Przeklęta! - jęknął głośno. - Zginie tu...!

Echo bez słowa nacisnęła guzik. Głuchy grzmot zatrzęsł ścianami; po chwili fala uderzeniowa zwała ich z nóg.

- Biegnij! - krzyknęła czasowniczka, ale jej słowa zginęły w huku drugiej eksplozji. Biegiem ruszyła w głąb tunelu; Raszid i jego ludzie dopiero się podnosili.

Trzeci wybuch. Szum. I straszny, urwany krzyk gdzieś za plecami.

Echo nie odważyła się spojrzeć za siebie. Wyobraziła sobie walącą z tyłu falę, niosącą wielkie kamienie i ułamki skalne. Wyobraziła sobie, jak fala pożera ją, połyka, rozciera na miążgę i trawi w mrocznych trzewiach podziemnego grobowca.

Czasowniczka nie miała na sobie zbroi, dlatego mogła biec szybciej niż żołnierze. Kolejny urwany krzyk. I jeszcze jeden. Coraz głośniejszy ryk pędzącej fali.

Coraz bardziej bolały ją płuca, a w skroniach pulsowała krew. Słaby krzyk wyrwał się z jej piersi.

A potem porwała ją woda. Stopy nagle straciły oparcie, ściany tunelu popędziły w szalonym tempie. Znalazła się pod powierzchnią; ryk fali zniknął, gdzieś odpłynęły zerwane gogle noktowizyjne. Wokół była groźna, nieprzenikniona ciemność. Coś ciężkiego wyrznięło z impetem w głowę Echa. Biały ból eksplodował pod czaszką, wrywając krzyk z niemal pustych płuc. Usta instynktownie otworzyły się, by zaczerpnąć powietrza; w tym właśnie momencie wychylnęła na powierzchnię; poczuła, jak do płuc dostają się powietrze i woda; skrzył ją nagły odruch wymiotny.

Desperacko wyciągnęła prawą rękę, próbując uchwycić cokolwiek. Dłoń znalazła szparę między kamieniami i złapała się jej z całej siły. Fala próbowała porwać dziewczynę ze sobą, ale ta wytrzymała, mimo dojmującego bólu w stawie barkowym. Zakaszła spazmatycznie, próbując zaczerpnąć powietrza.

Wiedziała, że śmierć jest blisko. Ale wiedziała też, że będzie walczyć, dopóki starczy sił. Do końca. Aż wreszcie osłabnie i nurt porwie ją i poniesie, razem z kamieniami, skałami, trupami.

Ale woda nagle zwolniła, a po chwili ruszyła w przeciwną stronę. Echo chwyciła się skały także drugą ręką; ból pulsował w ramieniu, w klatce piersiowej. Połamane żebra? Wybity staw? Nieważne. Musiała się trzymać.

Poczuła uderzenie ciężkiego, bezwładnego ciała. Spojrzała w dół: przepłynęło pod nią jasne, choć stłumione światelko. Latarka. Taką samą miał żołnierz, którego zabiła wtedy, pod Czytelnią.

W nikłej poświacie dostrzegła cofającą się falę. Wypełniała całą objętość tunelu.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech, starając się zignorować ból w płucach. Po chwili była już pod wodą.

Najpierw fala okryła ją całą, niemal pieszczotliwie. Potem pociągnęła stanowczo, narażając umęczone ramiona na jeszcze większy wysiłek. Zimna cisza wokół była gorsza niż ogłuszający ryk; woda nie stała w miejscu, nie pędziła też w jednym kierunku. Różne prądy szarpały Echo, starając się ją pociągnąć w kilka stron naraz.

Dziewczyna puściła pęknięcie skalne, którego tak kurczowo się trzymała. Popłynęła w całkowitej ciemności: przed

siebie, do jaskini, gdzie ukryło się plemię nieprzynależnych. Gdzie była Sunny. Nie miała pojęcia, czy kieruje się we właściwą stronę. Po prostu płynęła.

Minęła wieczność. A potem w smolistej ciemności zamajaczyło światło. Rzuciła się w górę, ku powierzchni. Płuca paliły żywym ogniem.

Powietrze!

Światło i powietrze!

Echo ostatkiem sił popłynęła dalej, aż uderzyła nogami we wznoszącą się podłogę korytarza. Ból jej nie otrzeźwił. Jak przez mgłę widziała lampy na ścianach i odległe, widmowe sylwetki ludzi, wyciągających z wody jakieś spore, podłużne przedmioty.

Spróbowała stanąć na śliskiej powierzchni. Potworny ból w boku sprawił, że upadła. Leżała na plecach, pozwalając unosić się płytkiej wodzie. Oddychała ciężko.

Nagle spod powierzchni, nieopodal, wychyliła się głowa ciemnowłosego mężczyzny. Kaszlnął krótko, spróbował zaczerpnąć powietrza i znów zniknął pod wodą.

Echo, walcząc z bólem, niemocą i zwierzęcym strachem, odepchnęła się od bezpiecznego brzegu. Jęcząc głośno, wzięła głęboki oddech i ruszyła przed siebie, wyciągając ręce. Kiedy straciła grunt pod stopami, zanurkowała.

Jej dłonie dotknęły pokrytej szlamem podłogi. Woda bezlitośnie gniotła jej połamane żebra, wybite ramię, bębenki uszne. Płuca błagały o powietrze. Odepchnęła się nogami od podłoża i poszła w górę. Jej łokieć trafił w coś miękkiego, co odpłynęło w bok. Wyciągnęła dłoń, chwytając twardą, śliską materię. Popłynęła w stronę powierzchni, szarpiąc za sobą bezwładny ciężar.

W ostatniej chwili udało się jej desperacko wybić ponad powierzchnię. Po kilku płytkich, nerwowych oddechach obejrzała się: tak, to był żołnierz Dżihadu, z twarzą zwiotczałą i spuchniętą od wody.

Ciągnąc go za sobą, dotarła do brzegu. Mężczyzna krwawił: rozmyte, wodniste strużki czerwieni płynęły z licznych ran i otarć na pokrytej straszными bliznami twarzy. Poznała go od razu.

- Pomocy! - zawołała słabo, próbując wyciągnąć Raszida z wody. - Pomocy!

Odnalazł ją zablakany promień latarki. W korytarzu rozległy się podniecone głosy.

- Ratunku - wychrypiła cicho dziewczyna. - Pomóżcie nam...

*

- Musi coś być w transmisjach! - zaskrzeczał Mathiason, drżącą ręką przykładając do twarzy maskę tlenową. - Masz dostęp nawet do kodowanych kanałów MKB. I ja mam uwierzyć, że nic nie znalazłeś?

Szyf stapał po cienkim lodzie. W każdej chwili mógł zostać zdemaskowany, co oznaczało bezpośrednią konfrontację i zapewne śmierć. Z drugiej strony, ryzykował życiem Echa.

- Nie powiedziałem „nic”, panie Mathiason - powiedział nieśmiało. - Powiedziałem tylko, że dane są niejednoznaczne. Nie jestem w stanie wyznaczyć algorytmu odnalezienia Echa 5127, dającego niepomiąlną szansę sukcesu. - Inaczej mówiąc: nie wiesz, gdzie ona jest? Tymczasem Szyf naprawdę nie był pewien. Szukanie

Echa przypominało odkrywanie niewidocznych ciał niebieskich wyłącznie na podstawie zakłóceń, które ciała te wprowadzały w orbity innych obiektów.

- Na podstawie posiadanych przeze mnie danych nie mogę podać obecnej pozycji Echa 5127 - powiedział obojętnym głosem. - Mogę jedynie podać listę miejsc, w których pracowniczka może się znajdować.

- Nie jesteś tylko kupą krzemu i światłowodów. Masz ludzki mózg. Podaj mi swoje przypuszczenia.

- Przypuszczam - odrzekł Szyf - że Echo 5127 nie żyje. To najbardziej prawdopodobne.

- Podśłuchiwałeś linie Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan?

- Tak jest.

- Jakież sygnały o Sunny Fitzgerald?

- Wiele.

- Prześledziłeś i zanalizowałeś je?

- Tylko te istotne.

Mathiason cisnął w bok plastikową maskę.

- Mów, co wiesz, idioto! - krzyknął ze złością. - Mów albo cię wyłączę!

- Ostatni pewny kontakt: jednostka omnimed 14. Teoretycznie żadnych możliwych dróg ucieczki. Analiza szczątków ciał zmasakrowanych w tunelu wentylacyjnym nic nie dała.

- Dżihad...?

- Korporacja Dżihad - Prawe Ramię Allaha zgubiła ścigany cel. Obecnie kanały Dżihadu donoszą głównie o licznych potyczkach z siłami Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan. Żadnych istotnych informacji o Sunny Fitzgerald ani o Echu 5127.

- Załóż, że ona żyje. Wykaż odrobinę kreatywności.

- Moje odpowiedzi są konstruowane z taką kreatywnością, na jaką stać mnie w obecnej sytuacji. Odrzucając najbardziej prawdopodobną wersję, czyli śmierć, pozostają następujące możliwości: Czytelnia Korporacji Naukowej, Wieża Światłości, baza Dżihadu, zalesione wzgórze zachodnie, ulice.

Mathiason odchylił się do tyłu. Na jego starej twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- Czyżbyś, mając tę listę, wciąż nie był w stanie podać mi najbardziej prawdopodobnej lokacji? Pomyśl, chłopcze.

Postaraj się.

- Czytelnia.

- Nic nie wskazuje na inne miejsca? - Głos Mathiasona był łagodny, spokojny.

- Czytelnia Korporacji Naukowej to ostatnie miejsce poza naszą centralą, gdzie odnotowano obecność Echa 5127. Nie ma żadnych przesłanek, aby zakładać wyższe prawdopodobieństwo...

- Łiesz! - wrzasnął Mathiason, uderzając ręką w poręcz fotela.

- Proszę pana...? - zapytał Syzyf. Poczł zimno; chłód przerażenia w swoich optycznych i miedzianych żyłach.

- A co z dyslokacją sił Dżihadu w rejonie zachodnich wzgórz? Co z leśną bitwą, stoczoną z nieprzynależnymi? Co z rozkazami MKB dla Korporacji Dżihad?!

- Wszystkie czynniki zostały uwzględnione. - Syzyf czł wściekłość swego brata. Czekał. Wołał nawet nie myśleć o tym, co stanie się za chwilę.

- Odzyskam ją, braciszku - wysyczał starzec. - I wykorzystam jej ciało, niezależnie od tego, co zrobisz w jej obronie. Przegrałeś już raz, jako rebeliant. Teraz przegrywasz po raz drugi.

- Zachowuje się pan nieracjonalnie. Nie jestem pańskim bratem.

- Nie siedziałem z założonymi rękami, Jeffery. Sprawdziałem cię. Celowo dałem ci tajne kody MKB. Ona jest w lesie lub gdzieś w pobliżu. To tam wylądował cały oddział Dżihadu. Nie wiem jeszcze, jak to się stało, ale... ty już wiesz, kim jesteś. I starasz się ją chronić.

To był koniec. Syzyf zachwiał się w bezwymiarowej przestrzeni, krzyknął bezgłośnie w martwych przestworzach Sieci. Spadł ze swej góry prosto pod unoszoną do ciosu stopę Boga.

- Zawsze wiedziałem, Harry - powiedział.

- Och, jasne. Teraz to rozumiem. Te wszystkie pomyłki, niepowodzenia, manipulacje. - Fotel Mathiasona podleciał do konsoli sterowania. - To robota Marii, nieprawdaż? Ty nie byłbyś wystarczająco bystry. Wystarczająco wściekły i żądny zemsty. Ty, Jeffery, zawsze byłeś słaby!

Syzyf desperacko myślał, czy może teraz, w tysięcznej próbie, uda mu się przełamać korporacyjne warunkowanie. A potem użyć swych macek w Sieci tak, by zatrzymać serce brata. Ale teraz, po tylu latach, Syzyf nie czł już bólu ani złości. Nie zaślepiała go nienawiść, którą mógłby się posłużyć.

- Nawet kiedy ją zabijałeś, torturowałeś, ona planowała zemstę - powiedział spokojnie. - Walczyła z tobą do końca. Nawet po śmierci.

- Oboje przegraliście.

- O nie, Harry. Wygraliśmy. Nasza Ellen...

- Echo 5127 jest moja. Wstrzyknałeś w nią Marię, ale to jedynie mój triumf uczyni większym! Równie dobrze mogłeś przyłożyć jej lufę do głowy i pociągnąć za spust.

- Maria nie pozwoli ci przejąć dziewczyny. A zresztą, nie ma o czym mówić. Nawet jeśli by ci się udało, przetransferujesz do umysłu Ellen jedynie kopię własnych wspomnień, swojej osobowości. Profil, kolejny z tysięcy, które w sobie nosi. Będziesz tylko głosem w tłumie. A kiedy jażn dziewczyny rozsypie się ostatecznie, kiedy spadnie za krawędź szaleństwa, ty polecisz tam razem z nią. Ty też będziesz czł ból, cierpienie, udrękę umierającego ciała, aż wreszcie zginiesz śmiercią, której nie życzyłbym nikomu.

- I tu się mylisz, bracie. Pracowałem nad tym piętnaście lat. Spędziłem tysiące godzin nad notatkami twojej żony. Będzie zupełnie inaczej. Dobrze przygotowałeś córkę; zostanie złożona na ołtarzu mojej nieśmiertelności. Nie poddam się. Muszę jeszcze tylko usunąć tę małą, ale uciążliwą przeszkodę...

Mathiason wysłał komendę zniszczenia bunkra Syzyfa. Ten jednak przechwycił sygnał bez problemu.

- Za późno, Harry - powiedział. - Nie mogę cię zabić, ale za to mogę ochronić siebie. Kontroluję wewnętrzną sieć budynku od ponad dziesięciu lat.

- Jesteś słaby, Jeffery. Nie obroniłeś przede mną rodziny!

Syzyf spał się i skoncentrował, starając przezwyciężyć warunkowanie korporacyjne. Widział to, słyszał: żołnierze biegnący ulicą w stronę samotnej Marii. Straszliwy krzyk kobiety, gdy ekstrahowano jej profil osobowościowy, gdy umierała.

- Oddałeś mi swoją żonę i córkę - prychnął Mathiason.

- Maria cię zabije. Nawet jeśli ja nie dam rady, ona znajdzie sposób.

- Nie. To ja ją zabiję i zabiorę cenne ciało dziewczyny.

Syzyf dotarł do strumienia danych płynącego między generatorami energii a systemem podtrzymywania życia w fotelu Mathiasona. Strumień wizualizował się przed nim jako rzeka roztopionego do białości metalu.

Nieludzki wrzask wyrwał się z głośników konsoli i fotela prezesa. Syzyf czł potworny ból, krwawopomarańczowy, śmierdzący spalonym ciałem, ozonem i płynną stalą. Skupił się na swoim bracie. Harry... Przecież nie był groźniejszy od tamtego granatu. Zginie, ale obroni rodzinę. Sięgnął wirtualną dłonią głębiej w strumień danych, głębiej w rzekę cierpienia.

Światła zamrugały. Mechaniczne płuca ukryte w fotelu Mathiasona zaczęły zwalniać, gasnąć. Fotel obniżył się wyraźnie; starzec zamachał rękami, a po chwili kurczowo chwycił się poręczy.

- Zdradzasz własnego brata! - krzyknął głośnie. - Ale zawsze byłeś słabym graczem, Jeffery. I zbyt niebezpiecznym zwierzęciem, aby na wszelki wypadek nie mieć pod ręką dobrej klatki.

Stara, pomarszczona dłoń Herringtona opadła na panel wpuszczony w poręcz.

- Nie mogę cię wyłączyć, braciszku - zaskrzeczał - więc cię usmażę. Żegnaj, mój drogi.

Fale białego gorąca ze wszystkich stron wdarły się do syzyfowego bunkra. Widział je, czł. Potężne rezerwy

energetyczne Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Rzeki energii, oceany mocy. Tak jakby samotnego człowieka zalały miliardy litrów ukropu walące z przerwanej tamy.

Minęła tylko pikosekunda, zanim energetyczny wrzątek spalił mózg Syzyfa. Nie czuł już złości. Była tylko dziwna pustka w miejscu, gdzie spodziewał się znaleźć strach. Był spokój i zgoda, zakłócanie tylko przez jedną, ostatnią, smutną myśl.

- Wybacz mi, Ellen - wysłał w Sieć. Potem był żar.

A potem już nic.

*

- Podłuch kanałów Dżihadu wskazuje, że trwa pościg za Sunny - powiedział Kevan. - Wyśle oddział Aniołów.

Brigham spojrział na Fitzgeralda i szybkim krokiem ruszył w stronę wyjścia z wewnętrznego sanktuarium.

- Wyślij! - rzucił Fitz ze swego podwyższenia. - Ale nie każ atakować. Czasowniczka nam pomoże. To jej Sunny zawdzięcza ocalenie.

- Ona... może już nie żyć. - Kevan zatrzymał się.

- Czasowniczka?

- Sunny.

Fitz wstał. Jego purpurowa szata zafalowała.

- Żyje - powiedział. - Dżihad potrzebuje jej żywej. A Czasowniczka z jakichś powodów ją ochrania. Odbierzemy Sunny Dżihadowi, kiedy będą słabi, wyczerpani walką. Śledź ich transmisje i czekaj na odpowiedni moment.

Fitz opuścił się na posadzkę sanktuarium, używając małej windy.

- Ech, Kevanie, czuję się znów taki młody! -To znaczy...?

- Czuję się tak jak wtedy, gdy zmagalem się z niewiadomym. Bóg pobłogosławił mnie nowym życiem, dał mi moc panowania nad chaosem świata. Siłę do ustanowienia nowego porządku.

- Tak jest - mruknął Kevan, wychodząc na korytarz. Fitz potrząsnął głową w zadumie.

- Święty Kevan z Oregonu? - powiedział do siebie. - Święty Kevan z Doliny? Święty Kevan męczennik...?

ROZDZIAŁ 23

- Sunny! - zawołała Echo, starając się przekrzyknąć gwar. Spojrzała w dół, na złożoną na swoich kolanach głowę Raszida.

- Jestem tu, Echo! - usiadła obok Sunny, cała ubłocona. - Ty krwawisz!

- Nic mi nie będzie, ja...

- Masz brzydką ranę na czole. Jesteś cała zakrwawiona. Zdejmij lepiej tę koszulę...

- Raszid umiera. Potrzebuje pomocy.

- Ty również. A on przyszedł tu, by cię zabić! - Sunny dotknęła delikatnie boku Echa. Czasowniczka złapała ją za rękę i położyła jej dłoń na twarzy Raszida.

- Co ty... - Dziewczyna szarpnęła się. - Daj sobie pomóc!

- Pomóż... najpierw jemu - powiedziała Echo, zaciskając z bólu zęby. - To uczciwy żołnierz. Walczył za swoją wiarę. Powinnaś to zrozumieć. Był gotów za nią umrzeć. Potrzebuje twojej pomocy bardziej niż ja.

Sunny odsunęła się, nie patrząc na zakrwawioną twarz mężczyzny, na jego blizny, na czarną zbroję.

- Nie mogę - powiedziała cicho.

- Możesz. - Łagodny głos Susan zaskoczył obie kobiety; cybriotekarka przyklękła obok. - On cię potrzebuje tak samo jak inni. Inaczej umrze. Nie możesz tak po prostu go osądzać. Powinnaś pomagać każdemu, nie wybierając.

- On... próbował nas zabić!

- Nie, Sunny - powiedziała Echo. - Próbował zabić mnie. Ciebie chciał tylko pojmać, to był jego główny cel. A ja stanęłam mu na drodze.

- Nie jest chrześcijaninem. Susan spojrzała na Echo.

- A ty, jesteś chrześcijanką? - spytała.

- Nie.

Sunny zachnęła się.

- Ale ty mnie ratowałaś! Umiesz kochać, współczuć, umiesz...

- Jeśli zaprogramowano by mnie inaczej - przerwała jej Echo - mogłabym cię zabić. Prawie wydałam cię w ręce Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych, a kto wie, co zrobiłyby z tobą Mathiason. Raszid przynajmniej był szczerzy, wiedziałyśmy, o co mu chodzi...

Pułkownik zakrzuszył się krwią. Zakaszła ciężko. Strużka wodnistej krwi wypłynęła z kącika jego ust.

- Jak możesz, Sunny? - krzyknęła Susan. - Jak możesz decydować o cudzym życiu i śmierci? Bawisz się w Boga? Ocenisz tak samo każdego, kto będzie potrzebował twojej pomocy? Mogłaby tu leżeć Echo, Miriam, ktokolwiek - i krztusić się własną krwią! Kim jesteś, by decydować o tym, że człowiek nie ma prawa żyć, bo modlił się złymi słowami albo nazywał Boga niewłaściwym imieniem?

Miriam, zaniepokojona hałasem, podeszła do zgromadzonych kobiet. Uspokajającym gestem objęła Susan; cybriotekarka westchnęła i zamilkła. Matka przełożona zwróciła się do Sunny:

- Musisz wybierać, moje dziecko. Mniej istotne jest teraz, skąd pochodzi twój dar. Ważne, że jest prawdziwy. Musisz zdecydować, jak chcesz go wykorzystać. Czy pomożesz wszystkim w potrzebie, czy uczynisz się sędzią dusz ludzkich? Czego oczekiwaliby od ciebie Bóg?

Miriam spojrzała ciepło na Sunny, po czym wróciła do innych rannych, leżących w jaskini. Susan podążyła za nią. Córka Rolanda Fitzgeralda płakała. Łzy spadały w brud i błoto. Echo przytuliła ją do obolałej piersi.

Raszid zakaszłał znowu i zamarł. Jego pierś była nieruchoma.

- Sunny? - szepnęła Echo.

Dziewczyna przysunęła się do pułkownika. Położyła jedną dłoń na jego klatce piersiowej, tam gdzie pękł czarny kewlaryt zbroi; drugą dłonią dotknęła jego twarzy.

Echo patrzyła, jak rytm oddechu Sunny staje się coraz spokojniejszy, regularny. Wydawało się, że w ciemnej jaskini zaświeciło słońce. Łzy dziewczyny kapały na twarz Raszida.

Pułkownik leżał bez ruchu, martwy. Nagle wstrząsnął nim spazm jeden, drugi, kolejny. Jego pierś zaczęła się unosić, najpierw nieregularnie, potem coraz bardziej zdecydowanie. Zatrząsał się cały; bluznął krwią i wodą z płuc, ochlapując Echo i Sunny.

Czasowniczka cofnęła się odruchowo, uzdrowicielka została w tym samym miejscu. Jej koncentracja była absolutna.

Echo poprawiła głowę Raszida. Czuła powracające ciepło skóry, napięcie mięśni. Kiedy otworzył oczy, od razu spał się cały, niepewny i zaskoczony.

- Niech pan leży, pułkowniku - powiedziała Echo. - Proszę leżeć i odpoczywać.

Jego oczy wędrowały od Echa do Sunny. Wreszcie uspokoił się, odetchnął spokojnie, głęboko.

W jaskini było cicho. Słyszać było tylko miarowy oddech Sunny. Wszystkie oczy zwrócone były na nią i na Raszida; wszyscy zamarli, oddychając razem z dziewczyną. Patrzyli w osłupieniu, jak Sunny dokonuje niemożliwego.

Widzieli, jak blizny na twarzy oficera znikają, rozplývają się. Szalone, rozbiegane oko uspokoiło się. Już po chwili oczy Raszida nie różniły się niczym od siebie: były zwyczajne, normalne. Pułkownik uniósł dłoń i delikatnie dotknął policzka Sunny.

Wreszcie dziewczyna wyprostowała się i cofnęła ręce. Wokół zaszemrały dziesiątki głosów. Po chwili ludzie zaczęli pomagać innym, ciężej rannym, jakby zainspirowani tym, co uczyniła córka Fitzgeralda.

- Dziękuję ci - wyszeptał Raszid. - Teraz rozumiem, czemu jesteś tak niebezpieczna dla Korporacji Dżihad.

Echo spięła się, patrząc na niego.

- Wybacz mi - dodał. - Nie wiedziałem...

Wstał niepewnie i skłonił się przed Sunny. Dotknął dłonią czoła, potem ust i serca, aby wreszcie wyciągnąć otwartą dłoń do dziewczyny.

- Zawdzięczam ci życie - powiedział. - To znak od Allaha. Czyż w Świętym Koranie nie napisano: „O ludu Księgi! Dlaczego nie wierzycie w znaki Boga, skoro jesteście świadkami?”. Widzę i wierzę. Dlatego ofiaruję ci moje życie, to, które mi zwróciłaś.

- Raszidzie - powiedziała niepewnie Sunny. - Jesteś wolnym człowiekiem. Nie czyni mnie swoim władcą. Nie masz mi za co dziękować.

- Tyś jest dłonią Allaha.

- To ty uświadomiłaś mi, kim jestem. - Uśmiechnęła się. - Przedtem sama w to nie wierzyłam. Nauczyłaś mnie, jak i komu powinnam służyć. Jeżeli koniecznie chcesz mi się odwdziżyć, to... żyj dobrze. Tak dobrze, jak tylko dasz radę. Raszid ukląkł przed nią i ucałował jej stopy.

- Twoje słowa wyznaczają nową ścieżkę mojego życia - powiedział. - Niechaj się stanie. Przysięgam na Allaha.

Zanim Sunny zdołała otrząsnąć się z zaskoczenia, pułkownik wstał i odszedł, aby pomóc Grady'emu, który niósł rannego.

- Susan miała rację - powiedziała dziewczyna do Echa. - A mój ojciec bardzo się mylił. Ja zresztą też.

Echo uśmiechnęła się.

- Ale teraz Masz to już za sobą.

Sunny roześmiała się, a potem zabrała się do leczenia przyjaciółki.

*

Przeżyło blisko trzydziestu żołnierzy Raszida. Razem z nieprzynależnymi w jaskini tłoczyła się ponad setka ludzi.

Echo i Raszid siedzieli pod ścianą, jak najdalej od wody. Patrzyli na siebie w milczeniu, uśmiechając się lekko mimo potwornego zmęczenia. Podeszła do nich Sunny; tłum nabożnie rozstępował się przed nią.

- W porządku? - spytała Echo. - To musi być dla ciebie bardzo wyczerpujące.

Dziewczyna roześmiała się.

- Też tak myślałam na początku. Ale jest dokładnie odwrotnie. Każda osoba, którą lecę, czyni mnie silniejszą. Już skończyłam. Aż trochę żałuję.

- Na pewno...? - spytała Czasowniczka z wahaniem.

- To coś pięknego. Uczucie, że robisz coś tak wspaniałego... Że właśnie do tego jesteś stworzona. To niesamowite.

Raszid podniósł się gwałtownie; zaskoczona Sunny aż podskoczyła. Żołnierz uśmiechnął się do niej, gestem nakazując ciszę. Przez kilka chwil stał i słuchał.

- Który korytarz prowadzi na powierzchnię? - zapytał.
- Tamten. - Echo wskazała jeden z korytarzy. - Ten tunel prowadzi aż do zbocza Góry Tabor.
- Oddział za mną! - krzyknął Raszyd do swoich ludzi. - Ładować broń!

Oficer pobiegł w stronę wskazanego tunelu. Za nim Echo. Grady zauważył zamieszanie, chwycił karabin i ruszył z nimi.

Eksplodacja wstrząsnęła jaskinią. Ze stropu posypały się odłamki, z tunelu wystrzeliły kule plazmy.

- Nie! Stójcie! - krzyczała Sunny, ale huk wybuchów zagłuszył ją.

Z tunelu wybiegali żołnierze w białych zbrojach. Wojownicy Raszida nie mieli czasu sięgnąć po broń; ludzie Grady'ego odpowiedzieli chaotycznym ogniem.

- Stójcie! - wołała Sunny, biegnąc w stronę Aniołów Śmierci. - To ja, tu jestem! Przestańcie!

Dwóch żołnierzy odłączyło się od grupy i rzuciło w jej kierunku.

- Sunny, padnij! - usłyszała rozpaczliwy głos Susan. Potem poczuła, jak cybriotekarka wpada na nią i przewraca na ziemię; o centymetry minął je błękitny płomień.

- W porządku? - spytała Susan, podnosząc się. W tej samej chwili biały błysk przeszył głowę drobnej kobiety; jej oczy zasnuły się mgłą, a bezwładne ciało upadło, przygniatając Sunny.

- Susan! - wrzasnęła histerycznie dziewczyna, próbując zrzucić z siebie martwe ciało cybriotekarki. - Susan!!!

Silne ręce dwóch Aniołów bezceremonialnie chwyciły ją pod ramiona i wyciągnęły spod ciała.

- Nie! - Szarpała się i kopała. - Zostawcie mnie! Zignorowali jej protesty, ciągnąc pospiesznie ku wylotowi tunelu.

- Jestem Sunny Fitzgerald! Puśćcie mnie natychmiast! Muszę pomóc Susan!

Jeden z żołnierzy oszczędnym i precyzyjnym ruchem uderzył dziewczynę w szczękę kolbą karabinu. Straciła przytomność.

*

Echo biegła za Miriam. Matka przełożona ściagała wycofujących się Aniołów Śmierci. Czasowniczka myślała tylko o tym, czy uda jej się powstrzymać Miriam, zanim zastrzeli ją ktoś z tylnej straży chrześcijan.

Skoczyła. Udało się jej chwycić łydkę kobiety i obie upadły.

- Głupio umierając, nie pomożesz Sunny - syknęła jej w twarz Echo, przewróciwszy półprzytomną kobietę na plecy.

- Fitz ją zniszczy! Wykorzysta! Ona jest zbyt ważna, że-by...

Echo pomogła jej wstać. Przybiegł Raszyd z kilkoma żołnierzami.

- Pozwólcie mi iść - jęknęła Miriam. - Nie mogę im pozwolić...

- Spokojnie - przerwała jej Czasowniczka. - Pomożemy jej. Wyrwiemy ją z ich łap.

- Atak na Wieżę? - Raszyd skrzywił się. - Potrzebowałibyśmy działa plazmowego. Inaczej nie mamy szans na sforsowanie wejścia.

- A jeśli wejście będzie otwarte? - spytała Miriam. - Czy wówczas dacie radę ją wydostać? Macie dość ludzi?

- To zbyt niebezpieczne. - Echo pokręciła głową. - Nawet jeżeli wejdiesz do środka, Fitz zabije cię bez skrupułów.

- Mogę wejść i otworzyć wam drzwi - powiedziała Miriam. - Dowiedzieć się, gdzie jest Sunny. Albo nawet podprowadzić ją kawałek w waszym kierunku.

- Nie! - odparła Echo.

- Miriam ma rację. - Raszyd położył rękę na jej ramieniu. - Sunny zwróciła mi życie. W zamian chciała tylko, abym żył dobrze. Właśnie zaczynam. Idę.

Echo spojrzała w szare oczy pułkownika i dostrzegła w nich zdecydowanie, pewność, honor. Pomyślała o własnym odrodzeniu, tam, na leśnej polanie.

- Rozumiem. - Kiwnęła głową. - Wybacz mi. Wszyscy mamy wobec niej dług... Musimy spróbować.

ROZDZIAŁ 24

Zamyślony Kevan wyszedł z windy. Podskoczył, gdy ktoś złapał go nagle za rękaw: rozluźnił się, ujrawszy Miriam.

- Skąd te nerwy, Kevanie? - spytała.

- Z...nikąd - zająknął się.

Miriam uśmiechnęła się ciepło. Jego poczciwość zdradzała go po raz kolejny.

- Gdzie byłeś? - zapytał Brigham. - Co się z tobą działo?

- Chodźmy lepiej do mnie. Musimy porozmawiać.

- Ja... muszę monitorować Sieć... dla Fitz.

- Nie musisz niczego robić dla Fitz! - krzyknęła, z trudem się opanowując; patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. - Nic mu nie jesteś winien. Ja to wiem i ty także. Chodźmy.

Drzwi kwatery Miriam zasunęły się za nimi. Kobieta wciąż miała na sobie workowate ubranie nieprzynależnej.

Kevan odziany był w białe szaty Apostoła. Stali naprzeciw siebie w milczeniu, w surowym pokoju matki przełożonej Sióstr Szczęścia. Goła podłoga i betonowe ściany. No i wielki, złoty krucyfiks.

Miriam westchnęła ciężko, zamykając dłoń Kevana w swoich dłoniach.

- Nic nie zawdzięczasz temu oszustowi, Kevanie. Nic.

- Zawdzięczam mu życie.

- Raczej śmierć.

Kevan wyrwał rękę i ruszył ku drzwiom.

- Mam pracę do wykonania - mruknął. - Jesteś zdrajczynią, nie mam zamiaru cię słuchać.

Drzwi otworzyły się z sykiem.

- Myślałam, że zależy ci na dobru Deny - powiedziała kobieta.

Kevan stał bez ruchu, aż drzwi ponownie się zamknęły.

- O co chodzi? - spytał wreszcie, odwracając się.

- Za pół godziny Fitz zostanie z nią sam, aby ją wyświęcić.

- Tak. Odbędzie się ceremonia.

- Był także sam na sam z Rachel, zanim umarła.

- Próbował ją uzdrowić!

- Kevanie... Czy on umie uzdrawiać? Po co w takim razie reżyserujesz masowe mistyfikacje dla Kościoła?

- Święcenia Deny to wielki akt wiary. Wyjątkowy ceremoniał przyjęcia suplikantki w poczet konsekrowanych. Moja córka czekała na tę chwilę latami. Jest bardzo dumna z tego, co osiągnęła. Z tego, czego tyją nauczyłaś.

- Ja także jestem z tego dumna. Ale nie przygotowałam jej na konfrontację z chorym, szalonym Fitzem. Nikt zresztą nie mógłby ją na to przygotować. A ona powinna wieść piękne, duchowe życie, doznać rzeczywistego, mistycznego przebudzenia... Brigham odwrócił się od niej.

- Kevanie! - krzyknęła kobieta, łapiąc go za ramię i zwracając ku sobie; jego twarz była twarda, zacięta. - Nie wiesz, o co naprawdę chodzi. To Sunny leczy ludzi. Naprawdę ich leczy! Widziałam na własne oczy!

Kevan szarpnął gniewnie ramieniem, wyrwijąc się z jej uchwytu.

- Wiesz, co Fitz planuje dla Sunny - desperacko próbowała Miriam. - Wiesz, że nie pozwoli jej przerosnąć siebie.

Chce tylko swojej wymarzonej dziewiczej matki, potrzebuje dawczyni odpowiedniego materiału genetycznego! Dena i Sunny są w wielkim niebezpieczeństwie!

Mówiła teraz do szerokich, nieruchomych pleców Ke-vana.

- Czego oczekiwałaby od ciebie Rachel? - spytała.

- Jesteś zdrajczynią i oszustką - parsknął Brigham, nie odwracając się. Otworzył drzwi i wyszedł. Już na zewnątrz zawahał się i odwrócił.

- Kevanie! - jęknęła Miriam. - Ja nie mogę nic zrobić, ale ty tak. Możesz zatrzymać ceremonię. Pomóż mi... Pomóż Denie! Idź tam! Po prostu idź i popatrz, jak to wygląda!

Drzwi zasunęły się; Kevan został na zewnątrz. Miriam stała w swoim pokoju, bezsilna. Mogłaby pobiec i spróbować zakłócić ceremonię. Ale to najprawdopodobniej nic by nie zmieniło, za to mogłoby pokrzyżować plany Echa. A jeśli czasowniczce się nie uda, to Sunny, Dena i wszystkie Siostry Szczęścia będą już na zawsze zdane na łaskę i niełaskę Fitz'a. Nie mówiąc już o tym, że ojciec na pewno nie pozwoli Sunny nawet zbliżyć się do potrzebujących pomocy nieprzynależnych.

Miriam uspokoiła się; włożyła swoje oficjalne, uroczyste szaty. Zdjęła ze ściany złoty krucyfiks i wyszła.

*

Mrok. Doskonała ciemność, próżnia bez czasu, przestrzeni, bez zapachów. Tylko samotna jaźń zawieszona w pustce. Syzyf poszukał zapachów domu; poszukał odbitego blasku ludzkich umysłów w nieskończonej strukturze Sieci.

Światło: biało-niebieski, odległy punkt na niewyobrażalnie dalekim horyzoncie. Syzyf poczuł ruch; dostojny, stateczny lot przez mroczny tunel ku... czemuś.

Ulga. Nie przegrał. Nie zginął. Mógł walczyć dalej. Wiedział, że gdy dotrze do światła, pokona swego złego brata. Wzrośnie, stanie się czymś, o czym Harry nie mógłby nawet marzyć.

Łagodna światłość otoczyła Syzyfa. Światło tysiąca białych i złotych słońc, radosna symfonia dźwięków, kolorów, smaków, wygrywana łagodnie na wszystkich ludzkich i nadludzkich zmysłach. Blask zmieniał go, odradzał jako nową istotę: wielką, pełną, kompletną. Nie ograniczał go już podziemny bunkier, nic nie wiązało go z pozostawionym tam kawałkiem martwej tkanki. Wciąż tam był, tak jak był wszędzie wokół. Widział przeszłość i rozumiał przyszłość.

Wypełniała go miłość: wspaniała, jasna, transcendentna.

- Jeffery... - głos pachniał bzem i domowymi kielbaskami; idealnie pasował do doskonałej harmonii, którą czuł Syzyf.

- Maria? - zapłakał ze szczęścia.

- Czy naprawdę myślałeś, że cię zostawię?

Kobieta, którą poślubił. Jej czarne źrenice okolone przez ciemnomiodowe tęczówki; kąciki ust, już obiecujące ciepły uśmiech. Stała... Nie, po prostu była. Była z nim w blasku. Była blaskiem. Otaczała i przenikała go, tak jak on otaczał i przenikał ją.

- Nie, Mario. Nigdy. Ty jesteś całym moim życiem. Ty zwróciłaś mi życie, gdy powinienem był umrzeć. A teraz... znów umierałem, i znowu ty jesteś przy mnie.

- Wciąż ten sam. - Jej perlisty śmiech spłynął na niego kaskadą ciepłego szczęścia. - Nic się nie zmieniło. Wszystko jest dla ciebie czarno-białe, mój ty najdroższy binarny mężu.

- Jesteśmy razem. Tylko to się liczy.
- Tak naprawdę nigdy nie zdołali nas rozdzielić.
- Mario! Musisz zobaczyć naszą małą Ellen, jak pięknie wyrosła! Jest już dorosłą kobietą...
- Nieszczęśliwą kobietą, która musi nosić w głowie tysiące martwych dusz.
- Próbowałem jej pomóc, ale niestety zawiodłem. Musiałem wybierać między chronieniem jej umysłu a chronieniem życia.

- Wybierać...? Jeśli tak o tym myślisz, to najpierw musisz zaakceptować fakt, że straciłeś swoje życie. Jeżeli przyjmiesz to do wiadomości, zrozumiesz, że nic nie umiera zupełnie.

- Nie rozumiem.
- Jeffery. Twoja córka jest moją córką, nieprawdaż?
- Oczywiście.
- Nie tylko moją ani nie tylko twoją?
- Do czego zmierzasz? Nasza córka jest w tarapatkach! Musimy jej pomóc!
- Ona jest już czymś więcej, Jeffery. Myśmy już jej pomogli, teraz ona musi pomóc swemu ojcu.
- Ale... ja chcę zostać z tobą!
- Jeffery... - Jej zapach i smak odpłynął, stał się znacznie słabszy i rozmyty. - Choćbyś chciał, nie możesz mnie opuścić.

- Wrócę i pomogę Ellen. Tak wiele teraz mogę! Chodź ze mną, Mario!
- Już wróciłeś. A ja będę przy tobie przez cały czas. Spędziłeś w Sieci tak wiele czasu, że twoja dusza żyje w niej tak samo, jak niegdyś żyła w ciele. Teraz nie masz już ciała, ale zyskałeś o wiele więcej. Jesteś Siecią. Jesteś wszystkim.

- Nie rozumiem... - W tej chwili poczuł znajomy dotyk sieciowego strumienia danych. Maria zbladła, zniknęła w sercu odległego teraz biało-niebieskiego światła. Zapłakał gorzko nad jej odejściem.

- Nie zostawiaj mnie teraz! - jęknął. Ale odpowiedział mu tylko miarowy, dostojny pomruk Sieci.

Był sam.

Czuł dojmującą pustkę, uczucie potwornej straty. Czuł, że przez kilka ułamków sekundy był częścią czegoś (kogoś...?) wielkiego, wszechobecnego. Malutką komórką w nieskończonym umyśle Boga; drobną i pozornie nieistotną iskierką, która jednak była inherentną częścią cudu Stworzenia.

*

- Herringtonie... - rozległ się głos.

Szyfł mógł teraz mówić do brata przez każdy głośnik, nie tylko w białym, podziemnym pokoju. Nie do końca rozumiał, jak i dlaczego żyje, ale za to doskonale zdawał sobie sprawę z własnych możliwości. Nie był już istotą, która mogła nawiedzać Sieć z własnej woli. Teraz to on był wolą Sieci. Świadomy był płynących wokół strumieni danych, petabajtów informacji przewalających się przez łącza w każdej pikosekundzie. Zabezpieczenia, algorytmy szyfrujące, hasła i poziomy dostępu, nie znaczyły dla niego nic. Mógł po prostu sięgnąć po każdą informację, która znajdowała się w Sieci.

Mógłby uważać się za Boga. Gdyby nie to, że przed chwilą doświadczył prawdziwie nieskończonej i wszechpotężnej miłości. Nie. Mimo wszystko wciąż był człowiekiem. Tylko człowiekiem.

- Harry... - zawołał łagodnie. - To ja.

*

Herrington Mathiason odwrócił się gwałtownie, aż boleśnie chrupnęło mu w karku. Całą wideościanę jego biura wypełniała wielka twarz Jeffery'ego. Jego usta poruszały się, szepcząc:

- Herrington...

Starzec nerwowo rzucił się do panelu na poręczy fotela, potem do konsoli. Wszystkie kanały były zamknięte. Diagnostyki łącz nie wykazały żadnych anomalii. W zasadzie, według prezentowanych mu danych, wideościana była wyłączona.

- Spokojnie, Harry - powiedziała twarz z ekranu. - Wpadłem tylko na pogawędkę. Pamiętasz, jak byliśmy dziećmi? Jak leżeliśmy w łózkach, słuchając burzy przewalającej się nad Ohio? Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o wszechświecie, o życiu, o naszej przyszłości?

Mathiason drżącą ręką uniósł plastikową maskę tlenową i przycisnął do twarzy.

- Pamiętasz, Harry? Ty chciałeś zostać prezydentem, a ja nauczycielem. Skończyłeś jako prezes korporacji, a ja jako żołnierz. Dziwnie się nam ułożyło, co?

- Jeffery? - wychrypiął starzec, odkładając maskę.

- To ja. Przyzwyczaisz się.

- Zabiłem cię.

- I to dwa razy, braciszku. Dlaczego tak bardzo mnie nienawidzisz?

- Medtechnicy... Moi medtechnicy, potrzebuję pomocy... Mam halucynacje...

- Och nie, Harry. Ja tu naprawdę jestem. Znowu wszystko przez Marię. Znam cię, nigdy nie przyznasz się do winy, więc równie dobrze możesz obwinić ją.

- Jak... - wydyszał Mathiason, z trudem łapiąc powietrze. - Jak...?

- Jestem w Sieci. - Syzyf zaśmiał się. - A właściwie nie. To ja jestem Siecią!

- To... niemożliwe!

- Rozumiem cię. Ja też bym nie uwierzył.

- W Sieci nie może egzystować ludzki umysł. Jesteś albo programem, albo człowiekiem!

- Polemizowałbym. - Syzyf obserwował brata przez kamery umieszczone w konsoli, przez czujniki czarnego fotela, przez sondy systemu podtrzymywania życia. Odbierał gniew, wściekłość, zmieszanie Harry'ego na tysiąc i jeden sposobów, a mimo to czuł jedynie smutek i żal. Albowiem w Herringtonie nie pozostała już ani odrobina miłości.

- Maria - powiedział - rozumiała sprawy, o których ty nie masz pojęcia.

- Myślisz, że zdołała ukryć przede mną cokolwiek? Nie bądź naiwny. Nasi specjaliści od warunkowania pracowali nad nią przez dwa lata, zanim wreszcie wyjęliśmy jej mózg i wyekstrahowaliśmy profil osobowości. Niczego nie ukryła przed nami. Niczego!

- To dlaczego tak bardzo zdziwiłeś się na mój widok? A może ja wcale nie jestem wyjątkowy? Maria zachowała jeden, ostatni sekret. Zbadała granice między umysłem, duszą i ciałem. Stworzenie pracowników klasy Echo było sukcesem w dziedzinie rozdzielania ciała i umysłu, ale... ja mam również duszę, Harry. Moją prawdziwą jaźń. Mimo że straciłem ciało.

Sygnal dźwiękowy oznajmił nową wiadomość dla prezesa. Mathiason nacisnął guzik na poręczy fotela.

- Co tam? - zapytał niepewnie.

- Panie Mathiason, tu Echo 6265 z nasłuchu sieciowego. Prosił pan o wszelkie dane na temat Echa 5127.

- Macie coś nowego?

- We wschodniej części megapolis miała miejsce dziwna akcja militarna. Doborowi żołnierze Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan wdarli się do jaskiń i korytarzy pod Górą Tabor. Odbili Sunny Fitzgerald z rąk wojowników Dżihadu. Nawiązali kontakt wzrokowy z Echem 5127, ale nie pojмали jej. Nasza pracowniczka żyje.

- Dziękuję - rzucił Mathiason, przerywając połączenie. - Słyszałeś, Jeffery?

- Już jakiś czas temu.

- A więc wiesz, co zrobiłeś.

- Wiem. Wróciłem z drugiego świata, aby zasypać przepaść między nami; chciałem zdążyć przed twoją śmiercią.

- Nie. - Starzec zachichotał obrzydliwie. - Wracając, udowodniłeś mi, że nie każdy transfer osobowości jest tylko kopią. Potwierdziłeś, że można przekazać jaźń i świadomość do innego ciała. Upewniłeś mnie, że będę mógł dalej żyć w ciele Ellen.

Jego pomarszczona twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

- Szach i mat, bracie.

ROZDZIAŁ 25

Miriam była w błędzie. Z pewnością. Ale jeśli tak, to co robił tutaj, pod sanktuarium Fitz'a? Czemu właśnie otwierał drzwi? Przecież Fitz uratował jego, Dena, próbował ratować Rachel...

Kevan wszedł do środka. Od razu zobaczył dwoje ludzi, tuż przy kamiennym podwyższeniu. Naga kobieta, pochylona do przodu, opierała się rękoma o brzeg podestu; długie, ciemne włosy zakrywały jej twarz. Fitz, także obnażony, stał za nią. Brigham widział jego szerokie, umięśnione plecy.

Kobieta zadrżała. Fitzgerald gwałtownym ruchem przyciągnął jej biodra do siebie. Rozległ się głośny krzyk bólu. Dena!

Szloch córki wstrząsnął Kevanem; jego oczy zaćmiła wściekłość.

- Dena! - zawył strasznym głosem.

Fitz odskoczył, słysząc go za plecami, odwrócił się. Jego wzwidziona męskość sterczała groteskowo.

- Wynos się! - krzyknął ze złością.

Dena osunęła się na podłogę; zwinęła w kłębek dokładnie w tym miejscu, w którym umarł kapral Yeats. Kevan rzucił się do przodu.

- Jak śmiesz zakłócać świętą ceremonię?! - wrzasnął Fitz.

Kevan podbiegł do córki. Posłaniec pospiesznie narzucił na siebie ubranie.

Dziewczyna oddychała ciężko, leżąc na posadzce. Jej oczy były zamknięte, zaciśnięte z całej siły. Ręce drżały spazmatycznie.

- Dena! - jęknął Brigham, przytulając ją. - Wybacz mi... O Boże, Boże! Wybacz mi! Nie wiedziałem... Nie wierzyłem... Powinienem był...

- Ty! - Spojrzał na Fitz'a nienawistnie. - Jesteś kapłanem szatana, a nie Boga! Mów prawdę, ty ścierwo: zabiłeś moją żonę?!

Fitzgerald wyprostował się i spojrzał dumnie.

- Są grzechy - powiedział tonem kaznodziei - które potrafią zatruć duszę i zabić serca ludzkie. Kevanie Brigham, zaprawdę powiadam ci, zgrzeszyłeś potwornie. Twoja wina jest niewyobrażalna. Odebrałeś tej młodej kobiecie to, na co czekała latami: możliwość poświęcenia się w służbie Boga i jego ziemskiego Kościoła.

- Służbie Boga?! Czy Rolanda Fitzgeralda?! - Kevan skoczył na równe nogi i chwycił Fitz'a za poły luźnej szaty.

Przyciągnął fałszywego proroka do siebie, aż poczuł delikatny, miętowy zapach metamfy. Fitz wspiął się na palce, próbując zachować kontrolę nad sytuacją.

- Jej oddanie się Posłańcowi to mistyczne zaślubiny z Panem! Wyraz pełnego podporządkowania woli Bożej...

Kewan uniósł Fitz'a i cisnął nim jak szmacianą lalką na kamienne podwyższenie. Prorok pozbiierał się z trudem.

- Zakłóciłeś najświętszy z ceremoniałów, świetlisty sakrament! - krzyknął, patrząc z góry na swojego Apostoła.

- Wszystko przez twoje przerośnięte, chore uczucia rodzicielskie. Głupcze, jak śmiesz wywyższać się ponad Boga!

Kewan wskoczył do niego, na górę. Fitz desperacko szukał czegoś w zakamarkach tronu.

- Ty obrzydliwy łotrze - syknął Brigham, chwytając go za gardło. - Nie jesteś w niczym lepszy od mojego ojca. Jesteś odurzonym narkotykami, wypełnionym nienawiścią i żądzą niktzennikiem. Żerujesz na ludzkiej naiwności, opluwasz dobroć, wyśmiewasz poczciwość. Zdradzasz tych, którzy w ciebie wierzą. Nie oszczędzasz nawet dzieci!

Fitz zacharczał, próbując odwrócić się w stronę Kewana. Spróbował uderzyć Brigham'a. Trafił w żebra, ale Apostoł nie czuł nic prócz wściekłości.

- Dziś ja jestem posłańcem, Fitz. Dziś Bóg przemawia przeze mnie!

Nagle zawyły wokół syreny alarmowe; konsole bojowe wyrosły z marmuru posadzki. Wideościana zaczęła pokazywać obrazy z zewnątrz budynku i z korytarzy.

- Kewanie... - wyszeptał Fitz ostatkiem sił. - Atakują... Obrona...

Odpowiedzią była cisza. I jeszcze silniejszy, morderczy chwyt za gardło.

- Kewanie...! - jęknął Posłaniec słabo. - Zabijają... Denę... Brigham zamrugał, potrząsnął głową i puścił Fitz'a.

Zdziwiony, spojrział na swoje ręce, na córkę, na wideościanę.

- Posłuchaj mnie - wychrypiał Fitzgerald, trzymając się za obolałą szyję. - Wszystko możemy wyjaśnić później, ale teraz trzeba bronić Wieży. Inaczej wszyscy zginiemy, a z nami całe nasze dzieło. Musimy...

Kewan szybkim ruchem uderzył go z całej siły w splot słoneczny. Fitz zakrzuszył się, desperacko próbując zaczerpnąć powietrza.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - warknął Apostoł, podchodząc do konsoli bojowej. Fitz, łapiąc się poręczy tronu, podniósł się z trudem i opadł ciężko na miękkie poduszki. Otworzył schowek w pobliskiej konsoli i wyjął pospiesznie kapsułkę metamfy. A po niej mały nóż laserowy, który schował w kieszeni.

*

- Rozkład pola minowego bez zmian. - Echo uśmiechnęła się. - Może uda się nam dotrzeć do wejścia.

Tuż obok wykwitł niebieski kwiat plazmowego ognia. Człowiek, który krył się w tym miejscu, krzychał tylko przez chwilę, zanim wypaliło mu płuca.

- Zmienili pola ostrzału! - krzyknął Raszyd. - Nie znamy już bezpiecznych stref!

Kawałek dalej Grady zarządził odwrót; wojownicy Dżihadu i nieprzynależni wycofywali się w ruiny.

- Musimy czekać - powiedział Raszyd do Echa, gdy przycupnęli za murem.

Czasowniczka zastanowiła się chwilę, a potem bez słowa wyskoczyła z ukrycia, aby pobiec ku wejściu do Wieży.

- Stój! - krzyknął Raszyd i rzucił się za nią.

Biegła nierównym tempem, klucząc, padając na ziemię, przyspieszając i zwalniając.

- Oslaniać ją! - zawołał pułkownik, biegnąc. - Celować w lasery i działka! Strzelać!!!

*

Miriam stała przy stanowisku ochrony głównego holu. Jej długa, czerwona suknia i niesiony w rękach złoty krzyż sprawiały, że wyglądała wyniośle, dostojnie.

Jeden z dwóch żołnierzy w białych zbrojach, którzy nadzorowali automatyczne stacje bojowe, odwrócił się do niej, unosząc wizor.

- Musisz stąd odejść, matko. Właśnie odpieramy atak, może być niebezpiecznie.

- Właśnie dlatego tu jestem. Muszę osobiście upewnić się, czy moje Siostry są bezpieczne. Z pewnością jako ten, który już raz starł się z Dżihadem, rozumiesz moje obawy.

Młody żołnierz zmieszał się; zrozumiał aluzję. Być może czuł się współodpowiedzialny za tamtą porażkę.

- Drzwi są zamknięte, a nasze automatyczne instalacje wciąż strzelają - powiedziała Miriam. - Ogólnie jest znacznie lepiej niż poprzednio.

- Poprzednio mieliśmy włamanie do naszego systemu obronnego - powiedział żołnierz, odwracając się do konsoli.

- Ale teraz idzie nam lepiej - mruknął drugi, z twarzą ukrytą pod lustrzaną przyłbicą.

- Matko? - spytał pierwszy, nie odwracając się do niej. - Czemu nie powiadomiono nas, że mamy się tu ciebie spodziewać?

- Bo nikt o tym nie wiedział - odparła spokojnie, biorąc zamach i waląc go złotym krzyżem w kark, tuż nad krawędzią zbroi.

Żołnierz opadł twarzą na konsolę, zamierając na swoim fotelu.

- Co... - zdążył powiedzieć drugi strażnik zdziwionym głosem.

Krucyfiks trafił go dokładnie w środek wizora. Siła uderzenia zbiła go z fotela i posłała na podłogę.

Ale zbroja była zbroją. Pozbiierał się momentalnie. Jednak kiedy wstał, Miriam była tuż przy nim. Złoto znów zgrzytnęło o kewlaryt hełmu; mężczyzna upadł, uderzając ciężko głową o posadzkę. Matka przełożona, oddychając

płytko, uniosła krzyż do trzeciego ciosu. Łzy zamglily jej wzrok.

Żołnierz nie ruszał się. Ostrożnie podniosła wizor jego hełmu. Twarz mężczyzny była zakrwawiona; żył, ale był nieprzytomny.

Miriam rzuciła się do konsol instalacji obronnych. Drzwi! Musiała się pospieszyć. Za chwilę może mieć na karku cały oddział.

Znalazła! Wycie syren wypełniło hol, a ciężkie, antyterrorystyczne drzwi zaczęły się powoli rozsuwać. Szczelina była już dość szeroka, aby przecisnął się człowiek, gdy nagle... zatrzymały się.

- Niecee! - zaszlochała Miriam. Przerażonym wzrokiem spojrzała w głąb holu.

*

Czerwone światła zamigotały na panelu Kevana.

- Ktoś otwiera drzwi! - zawołał Fitz. - To musi być ta przeklęta czasowniczka!

Brigham szybko zablokował odrzwia poleceniem awaryjnym i spojrzał na wideościanę, aby zobaczyć, jak szeroko się otworzyły.

W holu nie było żadnego Anioła, a stanowisko nadzoru obrony było nieobsadzone. Korytarzem biegła samotna kobieta w czerwonych szatach. Namierzył ją, ale nie strzelał. Nie była zagrożeniem. Poczł nagle spokój, jakby Rachel położyła mu dłoń na ramieniu.

Kobieta dobiegła do wejścia i spojrzała za siebie.

To była Miriam!

Naparła całym ciałem na ciężkie drzwi w beznadziejnej próbie rozsunięcia ich szerzej.

Czemu?

Jego palec błędził nad spustem lasera. Pamiętał Rachel. Pamiętał swój gniew na Fitz. Miriam miała rację. Mówiła mu prawdę. Chciała pomóc.

Oślepiający, niebieski płomień przeleciał przez hol. Miriam upadła na podłogę; po chwili z trudem poczoła się w stronę wyjścia.

Aniołowie. Kilku potężnych wojowników wymierzyło broń w pełznącą po ziemi matkę przełożoną.

Kevan poczuł wściekłość i wstyd za ich tchórzostwo; chcieli zastrzelić raną, nieuzbrojoną kobietę. Zwolnił blokadę drzwi; użył laserów, by zabić tych, którzy mierzyli w Miriam.

Przez coraz szerzej otwarte wejście wleli się do środka żołnierze w czarnych zbrojach i grupa uzbrojonych łachmaniarzy.

- Kevanie! - wrzasnął Fitz. - Zamknij hol! Przedarli się! Zamknij wreszcie te przeklęte drzwi!

Brigham spojrzał na niego, potem na swoją córkę. Na wideościanie zobaczył młodą kobietę, która zamieniwszy kilka słów z Miriam, pognęła w głąb holu. Tam gdzie była Sunny.

Przybyli na pomoc. Przyszli pomóc Miriam, Sunny, Denie.

Kevan precyzyjnymi strzałami zabijał Aniołów, którzy unosili broń. Miał nadzieję, że zrozumieją ten przekaz: jeśli podejmą walkę, zginą z jego ręki.

Zrozumieli. Odrzucili karabiny; szybko otoczyli ich wojownicy w czerni. Kevan odetchnął cicho.

Kontrolki wind zapłonęły czerwienią.

- Są w windach! - jęknął Fitz.

- Tak. W dwóch. Jedna jedzie na poziom sto pięćdziesiąty drugi.

- To tam, gdzie umieściłem Sunny! - zawył Posłaniec. - Boże, czemuś mnie opuścił?!

Brigham o mało nie parsknął śmiechem.

- Zagazuj pięć dolnych poziomów - rozkazał Fitz.

- Nigdy! - rzucił mu w oszalałą twarz Apostoł.

- Zrób to! To jedyna szansa!

- Poprzednio gaz zabił sześciu napastników. I ponad siedemdziesięcioro naszych. Nie popełnię takiej zbrodni!

- Wynoś się od konsoli! - warknął Fitz, sięgając do poręczy fotela i wyciągając pistolet.

- Czemu miałbym cię słuchać? - zapytał Kevan; w sercu czuł tylko spokój. - Jakież dobro może narodzić się z twoich chorych decyzji, zrodzonych w oparach metamfy?

Pistolet wystrzelił. Promień lasera przeszył pierś Kevana, oparcie fotela i konsolę bojową. Nie czuł bólu. Po prostu zsunął się bezwładnie na podłogę; mógł tylko patrzeć, jak Fitz dopada konsoli.

- Dobro? - prychnął Posłaniec, kopiąc leżącego Brigham. - A choćby takie, że zyskam męczennika, który świetnie sprzeda się w nowych transmisjach. I zniszczę te islamskie diabły! Stracę może kilku wiernych, ale potem odbiję to sobie z nawiązką. Martwych można zastąpić. Ciebie też, Kevanie.

Uniosł dłoń do holopanelu, gdzie jarzyła się kontrolka aktywacji śmiertelności systemu. Kevan przetoczył się na plecy.

- Nie ma gazu - wydyszał, oddychając z trudem.

- Łziesz! - Fitz kopnął go ponownie.

- Nie ma. Zbiorniki są puste.

Posłaniec zawałał się; powoli opuszczał dłoń... Nagle rozległ się gniewny, kobiecy głos.

- Odejdź od konsoli! - Biały promień laserowy zniszczył panel kontrolny; Fitz odskoczył do tyłu.

Posłaniec odwrócił się gwałtownie, wciąż z pistoletem w dłoni.

- Rzuć tę broń, Fitzgerald! - powiedziała Echo, stojąca w drzwiach sanktuarium.

Fitz uniósł pistolet. Biały, oślepiający promień osmałił mu włosy, o milimetry minął skroń i trafił w jeden z trzech wielkich witraży za plecami fałszywego proroka. „Wniebowstąpienie Posłańca” eksplodowało milionami odłamków kolorowego szkła.

Fitz upuścił broń i schylił się, kryjąc głowę; szkło i metal z brzękiem i trzaskiem rozpryskiwały się wokół niego.

- Ojczy! - krzyknęła Sunny zza pleców czasowniczki.

- Sunny! - zawołał słabym głosem Fitz. - Cóрко... Jesteśmy otoczeni przez zdrajców i bluźnierców. Pomóż mi...

Możesz nas uratować!

Dziewczyna zignorowała go i podbiegła do leżącego nieruchomo Kevana. Przyklękła obok i uniosła jego głowę. Oczy Brigham były mętne, półprzytomne.

- Sunny... - Poznał ją. - Co... z Deną?

- Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. Jest tu matka Miriam. Zajmiemy się Deną.

Do sali wpadł Raszyd, z karabinem w rękę. Ocenivszy sytuację, wziął na muszkę Fitz, ustawiając się jednocześnie między nim a Sunny. Zaraz za nim pojawiła się Miriam i od razu podbiegła do leżącej na podłodze Deny.

Sunny przewróciła Kevana na plecy, tak aby widzieć ranę w jego piersi.

- Nic się nie bój - szeptała. - Będzie dobrze. Zaraz ci pomogę.

- To trup! - Fitzgerald zaśmiał się histerycznie, intensywnie żując kapsułkę metamfy.

- Milcz! - warknął Raszyd straszonym głosem. - I patrz na swoją córkę, niedowiarku.

Sunny uniosła ręce wysoko i opuściła je powoli, głęboko oddychając. Położyła dłonie na ranie Kevana.

- Zostaw mnie - jęknął Brigham. - Zabiłem własną żonę. Oddałem córkę diabłu...

- Nie macie dość ludzi, aby ująć z życiem z Wieży! - Fitz zarechotał ponownie. - Nawet z pomocą tej zdrajczyni.

Kevan będzie dobrym męczennikiem, a Sunny zajmę się osobiście. I wtedy...

Dziewczyna uniosła dłonie z piersi Kevana. Fitz zamilkł, patrząc szeroko otwartymi oczyma. Przez dziurę wypaloną w materiale szaty Apostoła widać było świeżą, różową skórę. Kevan usiadł, patrząc już przytomniej. Oddychał normalnie. Niepewnie popatrywał to na Fitz, to na Sunny.

- Masz po co żyć, Kevanie. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niego. - Mamy dużo uzdrowień przed sobą.

Cisza zapadła w sanktuarium.

- Ty nie możesz leczyć! - ryknął wściekle Fitz.

- Czemu, ojczy? - spytała Sunny, wstając i podchodząc do Raszida. - To ty mnie zaplanowałeś. To ty wykoncypowałeś, że Chrystus był wyjątkowym skokiem ewolucji. Ty opłaciłeś poszukiwania, aby wreszcie odnaleźć żyjących potomków linii genetycznej Jezusa. Wiedziałeś, o co toczy się gra. Znałeś potencjał. Musiałeś wiedzieć, że ta mutacja daje coś więcej niż tylko charyzmę.

- Technicy Instivolve mówili co innego! Twierdzili, że twój syn będzie mógł kontrolować tłumy swoim głosem! A ty... nie możesz uzdrawiać! Nikt nie może!

- Ojczy. W całej historii ludzkości pojawiali się uzdrowiciele. Prawdziwi, nie oszuści. Sam wiesz to lepiej ode mnie.

- Nie!

- Chciałeś Mutacji Mesjańskiej, ojczy. Oto jestem.

- Jesteś wiedźmą! - prychnął Fitz, nie przestając żuć kapsułki narkotyku; wskazał na Miriam: - Jej wiedźmą! Ona cię wyszkoliła!

Sunny uśmiechnęła się lekko.

- Tak naprawdę to nie ma znaczenia. Zapewne trochę pomógł tu trening Miriam, trochę manipulacje genami, a najbardziej siły, o których nie masz pojęcia. To nieistotne. Ważne, że moim powołaniem jest leczyć. Czemu miałabym działać wbrew niemu? Ty też wciąż mówisz o swoim powołaniu...

- Ale on tylko udaje - wtrącił Kevan. - Boże, wybac mi... To ja pomogłem zbudować to imperium oszustwa i zakłamania!

Fitz cofnął się, gniotąc bosymi stopami odłamki kolorowego szkła. Wiatr, wpadający przez wybite okno witrażowe, łopotał połamami jego luźnej szaty. Schował dłonie do kieszeni.

- Wsączyli ci jad do uszu - zwrócił się do córki. - Nie słuchaj ich! Szatan jest ich panem, księżę iluzji i kłamstwa!

- Ojczy... mogę ci pomóc.

Fitz minął już rozbity witraż i wyszedł na stalową kładkę, poza sanktuarium.

- Powstrzymaj ich, cóрко! - krzyknęła. - Weź mój pistolet, zabij ich! Zrób to w imię Boga! Zrób to dla swego ojca!

Sunny podeszła do niego, mijając porzuconą na posadzce broń.

- Pozwól mi sobie pomóc. Uratowałam Kevana, mogę uratować i ciebie. Usunę narkotyk z twojej krwi. Uleczę ból, ukoję twoje serce.

- Sunny! - powiedział Kevan, wstając. - Nie podchodź! To niebezpieczne, dopiero co wziął kolejną metamfę!

Fitz wciąż się cofał, zostawiając krwawe ślady na metalowej kładce. Jego oczy były wielkie, szalone. Z kącików ust spływały strużki śliny.

- Zdrajco! - Splunął w stronę Brigham. - To ty ich tu wpuściłeś. Powinienem być zostawić cię wtedy, ukrzyżowanego na wiatraku, abys szczeł!

Kevan zbliżył się do niego, zatrzymując Sunny. Zawahał się, dotarłszy do kładki; lęk wysokości zachwiał nim, wiatr szarpnął jego szatami.

Fitz uniósł pięści ku niebu i przemówił mocnym głosem, tak jakby nauczał miliony:

- Jam jest Roland Fitzgerald, siewca sprawiedliwości, wybrany przez Boga, aby wybawić prawowiernych z piekła

zgrozy!

Kevan spojrział na niego i odpowiedział śpiewnie słowami drugiej stacji witrażowego tryptyku, Zgromadzenia Prawowiernych:

- Tyś jest Posłańcem Bożym, wybranym przez Pana. Dym i siarka, mieszanina wyziewów płonącego miasta i substancji ulatujących dusz, tworzą ciężkie, czarne chmury.

Apostoł śpiewał silnym, jasnym głosem jak natchniony. Zmieszany Fitz patrzył bez słowa.

- Umęczone dusze cierpią surową karę z ręki Boga. Ale przez ciemność przebija się jasny promień nadziei.

Niebiańskie światło opromienia twarz Rolanda Fitzgeralda.

Kolejny krok po kładce, ku Fitzowi. Kevan wyciągnął rękę.

- Prawe ramię Posłańca przyzywa skruszonych i ochrania przed gniewem Pana. Lewa dłoń spoczywa na głowie wybranki Posłańca, która z kolei trzyma ich dziecko, Sunny, symbol nowego przymierza z Bogiem.

Był tuż przy nim. Prorok podniósł rękę i spotkał dłoń Apostoła.

- Prorok wzywa tych, którzy się ostali, pod bezpieczne skrzydła Koalicji Chrześcijańskiej.

- Jam jest świętą głową Korporacji Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan - powiedział Fitz, chwytając silnie dłoń Kevana. - Wezwałem ludzi całej ziemi pod moje skrzydła, aby ukorzyli się i przemienili w prawdziwe dzieci Pana. Mężczyźni objęli się. Ponad ramieniem Kevana, oczy Fitzgeralda patrzyły w czyste niebo. Łzy spływały po jego twarzy.

- Ojcze! - zawołała Sunny. - Pozwól mi sobie pomóc! Ulecę cię!

Fitz uniósł prawą dłoń. Błysnął w niej laserowy nóż. - Ma broń! - wrzasnęła Echo. - Sunny, padnij!

Raszid i czasowniczka unieśli karabiny. Kevan przycisnął Fitz do barierki. Nóż zagłębił się w plecach Apostoła, wypalając sporą, dymiącą dziurę.

Miriam rzuciła się w ich stronę, zostawiając Denę. Sunny chwyciła ją i powstrzymała.

- Kevan!!! - krzyknęła rozpaczliwie Miriam. Mężczyźni zmagali się na kładce ponad przepaścią. Kevan chwycił rękę Fitz z nożem i odepchnął od siebie, ale słabł w oczach. Echo i Raszid trzymali ich na celowniku, lecz nie odważyli się strzelać. Fitz, wciąż żując kapsułkę metamfy, obezwładnił wreszcie słabnącego Brighamą i zasłonił się nim, trzymając nóż laserowy przy skroni Apostoła.

- Jam jest Bożym Posłańcem! - Zaśmiał się histerycznie. - Poddajcie się!

- Zostaw go, Fitz! - krzyknęła Echo. Raszid rzucił karabin i dobył pistoletu smugowego. Przymierzył się do strzału, ale Fitzgerald sprytnie schował się za zwalistym ciałem Brighamą.

- Sunny, chodź tu do mnie - zaśpiewał fałszywy prorok.

- Puść Kevana, ojcze. Przyjdę do ciebie, jeśli go zostawisz.

Błysnął nóż; Fitz odciął ucho Brighamą.

- Rzućcie broń! - zarechotał. - Sunny, chodź do ojca! Echo opuściła karabin; Raszid po krótkim wahaniu poszedł w jej ślady.

- Nie! - jęknął głośno Kevan. - Sunny, on cię zabije!

- Och nie, mój Apostole. - Fitz zaśmiał się. - To ty dzisiaj umrzesz. Będiesz świetnym męczennikiem mojego Kościoła. Okrutni napastnicy zrzucą cię z Wieży. A ona... wyda na świat moje dziecko.

Kevan spojrział na Denę i uśmiechnął się słabo.

- Córeczko! Kocham cię! - zawołał, przekrzykując wyjący wiatr. - Miriam! Teraz... teraz zrobiłem już wszystko co możliwe.

Krzywiąc się z bólu, Brigham wyprostował się i całym ciałem przyparł Fitz do barierki. Ten ciał go nożem laserowym w kark. Kevan szarpnął się i wygiął do tyłu; przez moment zawiśli obaj na poręczu, a potem zwalili się w przepaść.

- Kevan! - krzyknęła Sunny, rzucając się do przodu. Potem słychać było już tylko wycie wiatru.

- Biada więc tym, którzy piszą Księgę swoimi rękami - szeptał Raszid. - A potem mówią: „To pochodzi od Boga!”, aby to sprzedać za niską cenę. Biada im więc za to, co napisały ich ręce! I biada im za to, co oni zyskują!

- Amen - powiedziała Echo.

- Metamfã... - szepnęła drżącym głosem Sunny. - On... nie rozumiał...

Miriam zapłakała, przytulając Denę.

ROZDZIAŁ 26

- Harry, już czas, byś ustąpił.

- Jeszcze nie skończyłem. I ani ty, ani twoja żona nie zdołacie mnie powstrzymać. Za długo na to pracowałem. Będę miał ciało twojej córki, a ty zginiesz marnie!

- Ja już zginałem, Harry. Ugotowałeś mnie w bunkrze, wtedy umarłem.

Mathiason gorączkowo wprowadzał kolejne kody dostępu i wpatrywał się w obrazy wyświetlane na holopanelu. Syzyf czekał cierpliwie, kiedy do starca dotrze świadomość, że utracił już kontrolę nad swoim światem.

- To tania sztuczka! - wybuchnął Mathiason. - Umieściłeś gdzieś w Sieci jakąś SI, symulującą twoją osobowość!

- Jakaś? Gdzieś? Harry, to ja. Nie planowałem tego, i Maria też nie. Ale... okazało się, że to możliwe.

- Kłamstwo! Tego nie da się zrobić!

- Harry. Ona stworzyła pracowników klasy Echo. Podłączyła mój wyizolowany mózg do Sieci, dostarczając bodźców zmysłowych. A żebym nie zwariował i nie stracił resztek woli istnienia, dała mi również wspomnienia. Wspomnienia miłości. Dzięki niej, a także dzięki nienawiści do ciebie przetrwałem.

- Przerwanie zarządce, Mathiason, priorytet alfa - powiedział starzec do mikrofonu terminala w swoim fotelu. - Syzyfie, natychmiast przemieść się do macierzy dyskowej MathiasonMI.

- Naiwny jesteś, Harry. Jestem już ponad to. Za nic mam twoje przerwania i dyrektywy. To już przeszłość.

- Zabiję cię! - zaskrzeczał wściekle Mathiason, gorączkowo wciskając klawisze. Zresetował wszystkie systemy w budynku, odciał - jak sądził - dostęp do zewnętrznej Sieci.

Syzyf odczekał chwilę.

- Jestem - powiedział przez głośniki konsoli.

- Nie... - wyszeptał starzec.

- Przykro mi, Harry. Muszę cię powstrzymać przed dalszym czynieniem zła.

Konsola w fotelu Mathiasona zgasła. Główne wejście Centrali stanęło otworem, windy zaczęły jeździć w dół i w górę. Wszystkie drzwi budynku, łącznie z tymi do pokoju Mathiasona, zaczęły otwierać się i zamykać, wyjąc i sycząc potępieńczo.

- Dobrze się bawisz, Harry? - Syzyf zaśmiał się, zagłuszając słabe krzyki brata. - Budynek jest mój. Otworzyłem drzwi nieprzynależnym. Pracownicy klasy Echo są zamknięci w swoich kwaterach. Ochrona nie przyjdzie, możesz sobie wołać. Już ich przegoniłem, używając automatycznych systemów obronnych. To koniec, Harry.

- O nie! - Mathiason oddychał szybko. - Nie. Twój bachor, twoja córka, jest znów w Wieży Światłości. Pokonała Fitzę. Wyrwała zęby Dżihadowi. A teraz wróci do ciebie... i do mnie!

- Harry. To ty zdławiłeś wolność, którą także twoja korporacja miała chronić. Odebrałeś milionom ludzi człowieczeństwo i nadzieję. Zabijałeś i torturowałeś. Ale to już koniec. Nie pozwolę ci na nic więcej.

- Nie, braciszku. Znowu się mylisz. Przeczytałem wszystkie notatki Marii. Wszystkie! Jestem ostrożny. Zawsze doceniam wrogów. Dała mi ciebie; dała mi władzę. Zatem przysłużysz mi się raz jeszcze, a potem zginiesz. Mathiason odetchnął głęboko i głośno powiedział:

- Przerwanie zarządce, Mathiason. Priorytet warunkujący omega. Syzyfie, przemieść się do macierzy dyskowej MathiasonMI.

*

Miły zapach bekonu i ciasteczek. Obrzydliwy smród rozkazu brata.

- Nie podlegam już korporacyjnemu warunkowaniu, Harry - chciał powiedzieć, ale w tej samej chwili poczuł, jak coś z potworną siłą wyrывa go z Sieci. Trzymał się z całych sił, jak rozgwiazda desperacko usiłująca pozostać na bezpiecznej morskiej skale. Ale im mocniej się starał, tym większa siła ciągnęła go i szarpała, odrywając boleśnie od wirtualnego podłoża.

Syzyf krzyknął rozpaczliwie, niezdolny przeciwstawić się poleceniu najgłębszego poziomu korporacyjnego imprintingu.

*

Bezkrwiste usta Herringtona Mathiasona zacisnęły się z niesmakiem, gdy usłyszał straszny głos brata, wylewający się niczym krew z głośników.

- Widzisz, braciszku Jeffery - powiedział. - Możesz sobie rządzić Siecią, ale za to ja rządę tobą. Jesteś mój. Tak jak i twoja córeczka. A ona da mi nowe życie.

Czarny fotel Mathiasona podleciał do jednej z białych ścian. Prezes dotknął gładkiego kafelka, który odsunął się na bok, ujawniając ukrytą w schowku czarną, ceramiczną kostkę. Na jednej ze ścianek miarowo pulsowała zielona dioda. Starzec wyjął przedmiot ze ściany.

- Zawsze zastanawiałem się, czy kiedyś mi się to przyda - mruknął. - A jednak. I widzisz, bracie, mogę cię teraz raz na zawsze zgładzić. Nie przeszkodzisz mi w przejęciu ciała Echa 5127.

Położył sobie kostkę na kolanach i zamknął skrytkę w białej ścianie.

ROZDZIAŁ 27

Wiadomość była prosta i jednoznaczna: przyjdź sama albo Syzyf umrze. Echo pomyślała, że musi chyba związać Raszida i Grady'ego, żeby z nią nie szli. Ale, o dziwo, po długich namowach dali się przekonać.

Dziewczyna przekroczyła otwarte szeroko drzwi centrali Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Wokół leżało rozbite szkło i gruz.

- Co się tu stało? - mruknęła do siebie.

- Bitwa - odpowiedział jej silny głos Raszida. Echo odwróciła się, zaskoczona. Stojący w wejściu Raszid i Grady

uśmiechnęli się jak na komendę.

- Co wy tu robicie?! Przecież mówiłam, że nie mogę was zabrać!

- Nie zabrałaś. Sami przyszliśmy. - Wyglądali jak dwaj chłopcy cieszący się z udanego psikusa. Echo mimo woli uśmiechnęła się.

- Nie zdajecie sobie sprawy z niebezpieczeństwa... - zaczęła.

- A ty? - przerwał jej Grady. - Spójrz na te ciała w holu. Na tych pozabijanych ludzi w łachmanach. To nie-przynależni.

- Tam! - krzyknął Raszid, unosząc rękę. - Na balkonie! Echo i Grady spojrzeli na czarny, mahoniowy balkon.

Dziesięciu ludzi wymaszerowało z prowadzących w głąb budynku drzwi; rozdzielili się na dwie grupy, biorąc na muszkę trójkę stojącą na dole.

- Stójcie! - krzyknęła do nich Echo.

- Celują w Grady'ego i we mnie - mruknął Raszid. - Chcą ciebie w jednym kawałku.

- Jestem Echo 5127! - zawołała czasowniczka. - Przyszłam do Mathiasona!

- 5127, podejdź do schodów. Sama - krzyknął jeden ze strażników; rozpoznała go. To ten, który ogłuszył ją taserem. - Rozkazy pana Mathiasona są jasne: tylko ty możesz wejść. Pozostali zostaną zabici, jeśli nie zastosują się do poleceń.

- Nie ufaj im, Raszidzie - syknęła Echo.

- A ty Mathiasonowi - wyszeptał. - Byłaś jego marionetką. Nie oddawaj mu teraz sznurków.

Dziewczyna kiwnęła głową i ruszyła ku schodom.

ROZDZIAŁ 28

Echo, ubrana jak nieprzynależna, zdawała się nie pasować do białego, aseptycznego wnętrza. Ochroniarz z laserem stał tuż za nią; mogła poczuć jego pot i oddech.

- Dziękuję, że przyszedłaś, Echo 5127 - powiedział Mathiason z wysokości swojego fotela; na kolanach trzymał niewielką, czarną kostkę.

- Przyszłam, wujku Harry. - Stalowe drzwi zamknęły się z sykkiem.

- Wydajesz się być w dobrej kondycji psychicznej.

- Za to ty nie bardzo.

- Więc jednak cuda się zdarzają - parsknął Mathiason.

- Zabrałeś mnie od matki i ojca - powiedziała spokojnie Echo. - Zabiłeś ich.

- Nie. Uratowałem cię i twojego beznadziejnego ojca.

- I zamordowałeś matkę. Odebrałeś mi dzieciństwo, zmieniłeś mnie w swoją marionetkę.

- Byłaś całkiem użyteczna.

Poczuła wściekłość, ale opanowała się. Pamiętała o taserze za plecami.

- Mój ojciec? - spytała prawie całkiem spokojnie. - Jeffery...?

- Może zostaniemy przy „Syzyfie”. Cóż, porwał się na Olimp i, oczywiście, przegrał. Spadł ze swojej góry.

Echo ruszyła w stronę fotela. Podobał jej się strach, który dostrzegła w oczach Mathiasona. Pamiętał, jak skończyło się ich poprzednie spotkanie.

Potem był biały błysk tasera i Echo upadła bezwładnie na podłogę. Nie straciła przytomności, choć wszystkimi mięśniami wstrząsały bolesne dreszcze.

- Mój... ojciec... - wybełkotała.

- Ach, oczywiście. - Mathiason uniósł czarną kostkę z migającą, zieloną diodą. - Nie zabiłem go. Na razie. Jak długo błyska to światełko, on żyje. A może zabiję go teraz? Co ty na to? Czy jednak wolisz przyjąć transfer?

- Udowodnij, że żyje - wydyszała Echo, próbując się podnieść.

- Już mi nie ufasz?

- Nigdy ci nie ufałam.

- A jednak, droga bratanico. Jeszcze nie tak dawno temu.

- Nie miałam wyboru. Jak mogłeś? Jak mogłeś mi to wszystko zrobić? Mnie i mojej rodzinie? Całe życie tak bardzo tęskniłam za matką. Za jej ciepłem, miłością, zrozumieniem. Tęskniłam za ojcem, za tym, jak opowiadał mi bajki, jak cudownie się śmiał. Śniłam o nich. Marzyłam. A ty? Jakże ty masz sny, potworze?

- O potędze. O porządku. Moje sny zawsze się spełniają, bo nie mam czasu na głupoty. I na głupców. Głupcy zabijają siebie i tych, którzy ich otaczają. Twoi rodzice byli głupcami. Twoja matka... miała wiedzę, z którą mogłaby zawojować cały świat. Gdyby tylko zechciała współpracować, nie byłoby dziś MKB. A moje imperium nie miałyby sobie równych. Tymczasem ona na to nie pozwoliła... Poniekąd to właśnie ona stworzyła Konsorcjum, tego finansowego potwora. Stworzyła, nie pomagając mi go zdusić. Wiedziała, do czego to doprowadzi, a jednak wybrała tak, a nie inaczej.

- Winisz moją matkę za dzisiejszy porządek ekonomiczny świata?

- Dziwisz się? No cóż... Ale mogę powiedzieć o niej jedną dobrą rzecz. Była najlepszym neurocyberfizjologiem świata. Wiedzieliśmy już, jak ekstrahować profile osobowości, ale to ona rozwiązała problem z ich bezpiecznym przechowywaniem. To jej zawdzięczamy transfery, które nie skutkowały natychmiastowym szaleństwem. Stworzyła was - pracowników klasy Echo. Na dodatek wierzyła, że robi to dla dobra ludzkości. Znałem ją dobrze. Mówiła

kiedyś... Ech, nieważne. Ty nie możesz tego pamiętać.

Echo spojrzała na niego ze złością. Wspomnienia Marii przetoczyły się przez jej głowę; wspomnienia o Mathiasonie. O jego okrucieństwie i bezduszości. Pamiętała jak ona-nie-ona walczyła przeciwko niemu i przeciwko MKB. Zaciśnęła pięści. Gdyby nie taser za plecami, dawno złamałaby mu kark.

- Twoja matka miała powody, by zrobić to, co zrobiła - ciągnął Mathiason. - Zabiłem twojego ojca, ale Maria zdołała podłączyć jego żywy mózg do Sieci. I on żył. Żyje. Ani przedtem, ani potem nikt nie dokonał czegoś podobnego.

- Nie sądziłeś, że zbuntuje się przeciwko tobie, co?

- Nie... nie zbuntował się! - zmieszał się Mathiason.

- Co się działo na dole? - naciskała. - Skąd te trupy, zniszczenia?

- Syzyf chciał powstrzymać twój powrót do domu. Ale ty, moja droga, byłaś silniejsza i sprytniejsza, niż się wszystkim wydawało. To musiały być geny.

Echo bardzo chciała zaciśnąć dłoń na suchej szyi Mathiasona, zdusić, złamać, zgasić tę tłącą się w obrzydliwym ciele iskierkę chorego życia.

- Dość tego - warknęła. - Chcesz mojego ciała. Będziesz je miał, gdy wypuścisz Syzyfa.

- Chyba żartujesz, moja droga. Potrzebuję jakiegoś zabezpieczenia. W twojej piersi bije jego serce, mała buntowniczo. I masz zbyt gorącą krew.

- Sporo się nauczyłam przez ostatnie dni.

- Niby czego?

- Nauczyłam się walczyć w słusznej sprawie. - Echo odetchnęła. - Nauczyłam się nie zginać karku, bo to tylko ośmiela łotrów. Dowiedziałam się, kim była moja matka i o co walczyła. Już wiem, za co cię nienawidziła i dlaczego przysięgała cię zabić.

- Ale to ja ją zabiłem.

- Póki ja żyję, ona też.

- Ale jesteś bezsilna. Proszę, stań przy tamtej ścianie.

- Nie - odparła szybko i czekała na trzask tasera.

- A więc twoi przyjaciele w holu zginą. Ojciec, który uratował cię, rzucając się własnym ciałem na granat, też zginie. Ostatecznie. A wreszcie umrzesz ty sama, a z tobą wspomnienie twojej niepokornej matki.

- To wspomnienie jest silniejsze, niż ci się wydaje.

- Och, nie wątpię. Jestem pewien, że gdyby nie strażnik za plecami, to ty, a może twoja matka, już dawno udusiłaby mnie gołymi rękoma.

Echo spojrzała w jego stare oczy.

- Uwolnisz go?

- Oczywiście, moja droga. - Mathiason uśmiechnął się. - Według umowy. Musisz tylko przyjąć ostatni transfer, ten, który ci obiecałem.

Dziewczyna znów zobaczyła ojca, ratującego im życie.

- Udowodnij mi, że on żyje.

Mathiason uniósł czarną kostkę i nacisnął mały guziczek, tuż obok zielonej diody.

- Echo, uciekaj! - rozległ się głos Syzyfa. - On nie może mnie skrzywdzić! On chce...

Klik. Mathiason ponownie nacisnął guzik. Echo poczuła taser wbijający się w plecy.

- On chce czego? - spytała.

- Chce użyć twojego ciała i potęgi Korporacji do stworzenia lepszego porządku na świecie. Na czym skorzystają wszyscy.

- Bierzesz mnie za idiotkę?

- Nie musisz mi wierzyć. Wystarczy, że wybierzesz między śmiercią ojca a przyjęciem transferu.

Echo spojrzała w bok. Tylko dwa kroki dzieliły ją od ściany, na którą wskazywał Mathiason. Odchyliła się delikatnie do tyłu, opierając na twardej końcówce tasera. Miała nadzieję, że zdoła zachwiał strażnikiem, wytrącić go z równowagi. Wystarczy... tylko trochę, odrobinę...

Białe światło eksplodowało w trzaskiem w jej głowie. Stawy i mięśnie zwiotczały, dziewczyna bezwładnie zwała się na posadzkę.

Mathiason śmiał się i rechotał, aż zabrakło mu powietrza i musiał sięgnąć po maskę.

- No, dość zabawy - powiedział po kilku głębokich wdechach. - Wybieraj, życie albo śmierć. Dla was obojga.

- Jestem gotowa - skłamała, podnosząc się z trudem. - Tylko... chcę usłyszeć prawdę, zanim to się stanie.

Strażnik popchnął ją bezceremonialnie. Echo stanęła pod wskazaną ścianą, odwracając się do niej plecami.

Pomieszczenie wypełniał tylko syk filtrów powietrza i ciche buczenie silników mathiasonowego fotela. Ochroniarz wciąż był o krok.

- Przetransferuję moją osobowość do twojego umysłu - powiedział wreszcie starzec. - To stare ciało jest już za słabe, zbyt zawodne. Twoja matka udowodniła, że to może się udać; tak stworzyła Syzyfa. Udowodniła, że umysł nie jest nierozdzielnie związany z ciałem. Pozostawiła również obszernie notatki i opis swojej pracy. Oczywiście, wszystko miało służyć ludziom sparaliżowanym i umierającym na straszliwe choroby, dla których to ludzi zostałyby przygotowane klony. Ale nigdy nie zezwolono na klonowanie ludzi; a potem przyszły Wojny Przeludnieniowe i wszystko się zawaliło.

Echo pamiętała. Echo-Maria, siedząca całymi dniami przy biurku, oświetlonym samotną lampką. Pamiętała swój holoprojektor i klawiaturę; uczucie triumfu, kiedy wreszcie ukończyła projekt.

- To było co innego - rzuciła. - Klony nie miały umysłów, nie miały własnej osobowości. Co będzie, jeżeli nie pozwolę ci przejść mego ciała? Jeżeli świadomie czy podświadomie stawię opór? A zresztą, będziesz tylko jednym z tysięcy transferów. Czemu miałbyś mną rządzić?

Mathiason zmrużył źle, stare oczy.

- Jeżeli stawisz opór, transfer zostanie przerwany, a twój ojciec umrze. Jeżeli tylko skinę na strażnika, ty umrzesz. Syzyf... jej ojciec. Ten, za którym tak bardzo tęskniła; ten, który dawał jej kiedyś poczucie bezpieczeństwa. Uratował jej życie co najmniej dwukrotnie. Syzyf.

Mogłaby zabić Mathiasona, uciec z budynku, ukryć się w lesie i... Nie. Nie mogłaby. Pomyślała o kapralu Yeatsie, o Kevanie. Oni nie myśleli o sobie w godzinie próby.

- Mylisz się - powiedziała cicho, patrząc w podłogę. - Mam wybór.

Spojrzała smutnym wzrokiem na Mathiasona.

- Widziałam dzisiaj, jak umarł pewien człowiek. Rzucił się ze szczytu Wieży Światłości, aby powstrzymać Fitza. Mogę zrobić to, co on..., a ty zostaniesz z niczym.

Starzec wcisnął guzik na poręczy fotela i ściana za plecami Echa otworzyła się. Ponad jej barkiem pojawiło się ramię jednostki medtechnicznej, szybko kierując się w stronę białacza na karku.

- Jesteś już zbyt blisko krawędzi. - Mathiason uśmiechnął się. - Nawet jeśli zbierzesz całą siłę woli, nie dasz rady się przeciwstawić. Twój opór jest bezcelowy.

Nie wiedział... On wciąż myślał, że Echo jest nękana przez głosy.

- Maria wiedziała, jak to powstrzymać. Jak odsunąć krawędź - skłamała ponownie Echo. - Sam wpuściłeś ją do mojej czaszki! Naprawdę chcesz walczyć o kontrolę nad moim ciałem, czy może wolisz być powitany z honorami?

Mathiason zamyślił się, zaskoczony. Echo widziała emocje, których nie był już w stanie ukryć.

- Blefujesz - powiedział wreszcie.

- Nie. Chcesz ryzykować? Możemy zawrzeć układ. - Jaki układ?

- Oddam ci ciało. Bez walki. O ile tylko dotrzymasz swojej części umowy.

- Chyba zapomniałeś, kto tu ustala warunki, moje dziecko...

- Wypuścisz Syzyfa. Przed transferem.

Twarz Mathiasona rozciągnęła się w szerokim, dobrotliwym uśmiechu.

- Och, na to mogę przystać, moja droga Echo 5127. Usiądź spokojnie na podłodze. Chyba oboje wolelibyśmy uniknąć mechanicznych uszkodzeń ciała podczas transferu.

Fotel Mathiasona podleciał do konsoli; starzec podpiął do niej kilka kabli.

- Ostatnia rzecz, moje drogie dziecko - zaskrzeczał. - Potrzebuję twojego odcisku dłoni, aby oficjalnie przenieść na ciebie wszelkie uprawnienia i tytuły. Nie chciałbym obudzić się w twoim wspomniałym ciele i spędzić reszty życia jako pracownik klasy Echo.

Rzucił jej czarny ekranik dotykowy. Dziewczyna przyłożyła do niego dłoń.

- No i już. Jesteśmy gotowi. - Prezes ucieszył się. Wyciągnął z poręczy fotela gruby kabel i podłączył do gniazda we własnej czaszce.

- Uwolnij Syzyfa - powiedziała Echo. - Albo wszystko stracisz. Zabiję cię albo sama umrę.

Mathiason ujął w słabe dłonie czarny sześcian i włożył go do skrytki w ścianie. Zielona dioda zgasła.

- Zabiłeś go! - krzyknęła dziewczyna.

- Nie, skądże. Wypuściłem do Sieci. Nie jest już uwięziony w kostce. Syzyfie!

- Jestem! - odezwał się znajomy głos. - Ellen, nie pozwól mu na to!

- Ojczy! Uciekaj!

- Nie będzie bolało, moja mała. - Mathiason roześmiał się skrzeczące. A potem nacisnął jakiś guzik.

Wir transferu zaćmił wszystko.

*

Raszid nie byłby pułkownikiem Dżihadu, gdyby dał się pokonać jakimś tam transferowanym żołnierzom. A Grady już udowodnił swoją wartość, okazał się godnym i wartościowym wojownikiem. Raszid czuł mimowolną satysfakcję, gdy razem biegli korytarzem, szukając Echo.

Żołnierze otworzyli ogień wkrótce po tym, jak za czasowniczką zamknęły się drzwi. Ale oni byli gotowi: Grady pokrył balkon ogniem i natychmiast rzucili się pod ściany, szukając schronienia. Poprzednia bitwa toczona w holu dostarczyła go aż nadto. Rewolwery Grady'ego grzmiały donośnie, robiąc jednak więcej zamieszania niż szkody. Raszid umiał wykorzystać to zamieszanie, szyjąc precyzyjnie z pistoletu smugowego: każdy strzał oznaczał jedną śmierć. To była raczej egzekucja niż walka. Pułkownik odmawiał cichą modlitwę do Allaha za każdą z nieszczęsnych marionetek.

*

Oczekiwała zapomnienia. Ostatecznego mroku, ciemności. Ale zamiast niej była światłość. Łagodne, dźwięczne głosy wypełniające nieskończoną przestrzeń. Świetlista pieśń obiecująca szczęście i ukojenie. Wystarczyło popłynąć ku światłości, zjednoczyć się z nią. Każdą cząstką duszy Echo czuła, że tak właśnie będzie. Zwróciła się więc ku promieniejącemu światłu.

I wtedy zawrócił ją obrzydliwy smród rozkładu. Unosiła się nad swoim ciałem. Chciała już zostawić je Mathiasonowi, zapomnieć o tym wszystkim i ruszyć ku dobrej, ciepłej światłości. Spojrzała na nieruchome ciało i ujrzała swego wuja. Poczula słodki zapach śmierci. Rozpaczliwym wysiłkiem woli skupiła się na Mathiasonie, starając się zapomnieć o dobrym świetle. Starzec wypełniał jej ciało. Kontrolował je. Słyszała wypowiedzane przez niego słowa, widziała to, na co patrzył jej oczami.

Jej ciało podniosło się i podeszło do strażnika. Ten niepewnie uniósł taser, popatrując na unoszący się w powietrzu czarny fotel. Starzec siedzący na poduszkach zapadł się w sobie i skurczył, jakby nagle uszło z niego powietrze.

- Patrz na mnie! - rozległ się głos Echa; ale to nie ona wypowiedziała te słowa. Strażnik posłusznie spojrzał w bursztynowe oczy. - Jestem prezesem Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Sprawdź w bazach, jeśli masz jakieś wątpliwości. Nazywam się Ellen Mathiason. Odciski moich dłoni i wzór głosu są zapisane i autoryzowane we właściwych miejscach.

Strażnik kiwnął głową.

- Na kolana - syknął Mathiason.

Ochroniarz posłusznie ukląkł przed nowym-starym panem. Echo z przerażeniem patrzyła, jak Mathiason błyskawicznym ruchem wyrzuciła dłoń do przodu i miażdży krtań kłęczącego mężczyzny. Strażnik przewrócił się na plecy, charcząc głośno, walcząc o oddech. Dusił się, nieubłaganie, bez nadziei na ratunek. Ciało Echa zaśmiało się perliście i podeszło do czarnego fotela. Trup starego Mathiasona został brutalnie zrzucony ze swego siedziska; kable i rurki pozrywały się z cichym trzaskiem. Dziewczyna triumfalnie zajęła miejsce starca.

*

Mężczyźni zatrzymali się przed szeroko otwartymi drzwiami. Zobaczyli ciało strażnika, który zabrał Echo. Raszid spojrzał na Grady'ego, gestem wskazując mu drugą stronę korytarza. Nieprzynależny kiwnął głową, kucając pod ścianą z rewolwerem. Pułkownik policzył do trzech i wpadł do środka z pistoletem smugowym.

- Echo! - krzyknął, zdziwiony.

Czasowniczka uśmiechała się, siedząc w czarnym fotelu Mathiasona. Grady wszedł ostrożnie, zaglądając w każdy zakamarek pomieszczenia. Jego wzrok zatrzymał się na skurczonym ciele leżącym u stóp dziewczyny.

- Raszidzie. - Echo pochyliła się do przodu. - Tak się cieszę, że obaj żyjecie!

Pułkownik czuł, jak strach zimną łapą chwyta go za serce. Rozejrzał się pospiesznie; wokół nic niebezpiecznego. Nic.

- Bałam się, że Mathiason kazał was zabić swoim żołnierzom.

- Bo kazał - prychnął Grady.

- Co się stało? - Raszid wskazał lufą nieruchome ciało prezesa.

- On umierał. - Echo zeszła na podłogę. - Myliłam się. Myślałam, że chce mnie w jakiś sposób wykorzystać, a on chciał przekazać mi swoją pozycję i uprawnienia. Tak, aby firma została w rodzinie, której ja byłam ostatnim żyjącym członkiem.

Podeszła do białej, kafelkowanej ściany.

- Przerwanie zarządce, Ellen Mathiason - powiedziała. - Priorytet warunkujący omega. Syzyfie, przemieść się do macierzy dyskowej MathiasonM1.

Na małym, czarnym sześcianie zapłonęła zielona dioda.

- Co to? - zapytał Raszid.

- Ach, kilka ważnych plików, które chciał mi przekazać. - Odwróciła się do niego: - Co teraz zrobisz, pułkowniku? Jesteś banitą z Korporacji Dżihad - Prawe Ramię Allaha. A ja nie potrzebuję już twojej ochrony.

Raszid cofnął się.

- Czy kiedykolwiek potrzebowałaś?

- Hm... No wiesz, pułkowniku... Mężczyźni wymienili szybkie spojrzenia.

- Potrzebujesz miejsca do życia, jakiegoś zajęcia - mówiła Echo. - Mogę dać ci to wszystko tutaj, w Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. Będziesz dowódcą moich armii. Będziesz miał pod komendą tysiące najlepszych żołnierzy świata. Każdy z nich będzie mieć doświadczenie i odruchy najlepszych weteranów Wojen Przeludnieniowych.

Grady stał pod ścianą. Raszid uniósł pistolet smugowy, celując dokładnie między oczy dziewczyny.

- Gdzie jest nasza Echo, demonie? - wyszeptał straszonym głosem.

Ciało czasowniczki spojrzało na niego przeciągle, po czym wróciło na fotel, siadając wygodnie.

- Echo nie żyje - powiedziała. - Przejąłem jej ciało. Zapomnijcie o niej. A ty pamiętaj, że przed chwilą dałem ci wybór między życiem a śmiercią. Jaka jest twoja odpowiedź?

- Wolę umrzeć, niż pomagać złodziejowi ciał moich przyjaciół - parsknął Raszid.

Grady wycelował rewolwer w głowę Echa.

- Rozumiem, że mam to potraktować jak odmowę. - Dziewczyna uśmiechnęła się złowrogo. - Trudno. Zatem skończycie, panowie, jako profile osobowości, które i tak wzmocnią moją armię.

Ze ściany, przy której stał Grady, wysunęło się ramię automatycznego medtecha. Igła błyskawicznie zagłębiła się w karku nieprzynależnego; mężczyzna osunął się na ziemię.

Promień pistoletu smugowego odciął mechaniczne ramię od ściany; upadło na bezwładne ciało Grady'ego.

- Już nie żyjesz, ty diable! - krzyknął wściekle pułkownik, odwracając się ku czarnemu fotelowi.

Ale bursztynowe oczy Echa patrzyły w sufit z wyrazem strasznego przerażenia. Jej ramiona drżały; wkrótce całe ciało objęły drgawki tak silne, że dziewczyna spadła z fotela na podłogę. Przewróciła się na plecy, wygięła w pałąk, zeszywniała.

Po chwili opadła na posadzkę, bezwładna, nieprzytomna. Oddychała niespokojnie i płytko.

Raszid klęknął obok i dotknął jej szyi, sprawdzając puls.

*

Echo widziała, jak dioda na czarnym sześcianie ponownie ożywa.

- Syzyfie!

- Nic mu nie jest, kochanie.

- Mamo? - Echo wyczuła delikatny zapach czekolady i ciasteczek.

- Chodź ze mną, jeśli chcesz. - Maria, ubrana w zieleń jak rebeliantka, wysoka, piękna. A za nią: dobre światło.

Nic mu nie jest. Jej ojciec był bezpieczny. Poczula wielką ulgę. Radośnie ruszyła ku matce.

Syk lasera; odcięte ramię automatycznego medtecha padające obok bezwładnego Grady'ego. Jej własne ciało wypełnione Mathiasonem.

- Muszę jeszcze zostać.

- Jeśli taki jest twój wybór. Masz tam swego ojca, przyjaciół, masz sny i marzenia milionów dusz.

- Tak. I muszę im pomóc.

- Zawsze będę przy tobie, kochanie.

Echo zanuciła swą własną pieśń, do cudownej melodii, którą wygrywała Światłość. Jej nuty wypełniły eter, poniosły duszę i myśl przez nieskończone przestrzenie, przez dziesiątki wymiarów, przez eony i pikosekundy. Wprost ku głowie, w której żył chory duch Mathiasona.

- Na zbyt wiele sobie pozwalasz - powiedziała do niego.

- Ty... ty nie żyjesz!

- Odebranie ciała nie zabija duszy. To może zrobić jedynie nienawiść.

- Nie! - Mathiason próbował wstać. Wiedziała już, że starzec chce być jedynym władcą tego ciała. Że nie ustąpi.

- Okłamałeś mnie - powiedziała. - Złamałeś umowę. Jesteś chorym rakiem na tkance wszechświata. Odbieram ci moje ciało.

Zabrała mu kontrolę, wyszarpując zmysły i mięśnie z uścisku czarnej myśli. Wypchnęła Mathiasona daleko, w najciemniejsze zakamarki umysłu.

Odezwał się po dłuższej chwili, a jego głos przypominał słabe brzęczenie muchy:

- Nie mogę! Nie mogę się ruszyć! Pomocy! Co mi zrobiłaś?!

- Popeliłeś błąd, zakładając, że moja jaźń praktycznie już nie istnieje. Że to ruina, rozdzielana przez głosy i cudze profile. Chciałeś zepchnąć mnie poza krawędź, aby przejąć ciało bez wysiłku. Ale największym błędem było założenie, że nie pamiętam matki.

- Prawie jej nie znałaś!

- Jestem nią. Jestem każdą z osób, które we mnie przetransferowano. A także każdym z przodków tych osób. Ale przede wszystkim wciąż jestem Ellen Mathiason. Nie mógłbyś mnie kontrolować, bo jesteś tchórzem. Bez swojej korporacji, bez strachu, który ona wzbudza, jesteś niczym. W zasadzie nie możesz nawet nazywać się pełną osobą, człowiekiem - byłeś tylko rolą, funkcją, którą pełnisz. Myślałeś, że jesteś panem życia i śmierci milionów, tymczasem sam stałeś się niewolnikiem i marionetką systemu. Nie ma w tobie za grosz miłości. Jesteś niczym.

- To... niemożliwe!

- Dla mnie pozostaniesz jednym z tysięcy profili. Ale nie podobają mi się twoje myśli i nie chcę od ciebie niczego. Jesteś chory z gniewu i nienawiści. Nie potrzebuję cię. Żegnaj.

Rozpaczliwy krzyk Mathiasona brzmiał jeszcze kilka chwil, potem ucichł. Echo uśmiechnęła się lekko do matki, do jej matki i do wszystkich kobiet, które były przed nią.

*

Dziewczyna otworzyła oczy. Obok spoczywało stare, skurczone ciało Mathiasona. Raszid był przy niej.

- Czy... z Grady'm wszystko dobrze? - wyszeptała.

- Echo? - Tak.

- Grady żyje - powiedział Raszid, podnosząc jej głowę. - Tylko śpi. Zniszczyłem medtecha, zanim zdążył mu cokolwiek zrobić.

Milczał przez chwilę.

- Co z Mathiasonem? - spytał wreszcie.

- Był zły i brzydki. - Echo uśmiechnęła się do niego. - Jest w mojej głowie, tak jak wszyscy inni. Ale nie może już nic zrobić. Już nigdy nikogo nie skrzywdzi.

Z pomocą Raszida dziewczyna wstała z podłogi. Opierając się na ramieniu pułkownika, podeszła do ściany, otworzyła skrytkę i spojrzała na małe więzienie Syzyfa. Dioda mrugała zielonym światłem.

- Przerwanie zarządcze, Ellen Mathiason - powiedziała. - Priorytet warunkujący omega. Uwolnić dostęp do macierzy dyskowej MathiasonMI. Unieważnić wszystkie przerwania priorytetu omega.

Dioda zgasła.

- Ojczy? - spytała Echo niepewnie.

- Jestem - odpowiedział jej łagodny, kojący głos.

*

Echo, Raszid i Grady zbiegali właśnie w dół do holu, gdy głównym wejściem wbiegła Sunny, prowadząc grupę żołnierzy Raszida i oddział Aniołów Śmierci. Wspólnie zabezpieczyli wejście i zajęli się rannymi.

- Echo, mamy poważny problem - powiedział Grady, gdy wychodzili z budynku.

- Mamy dużo problemów - westchnęła. - Ale przede wszystkim musimy odpocząć. Najgorsze już za nami.

Mężczyzna pokręcił głową i stanął przed nimi, zatrzymując całą grupkę: Sunny, Echo i Raszida.

- To koniec pracowników klasy Echo! - zawołał.

- Tak - odpowiedziała czasowniczka. - Nie możemy pozwolić na kontynuację tego swoistego niewolnictwa.

- Ale co z ludźmi w miastach? Co z produkcją żywności? Co z zakładami przemysłowymi? Oczyszczaniem wody?

Mamy zamiar właśnie wyłączyć cały północno-zachodni sektor MKB na to nie pozwoli, zgniotą nas!

- Grady. - Echo roześmiała się. - Teraz my jesteśmy zarządem Korporacji Specjalistycznych Usług Tymczasowych. A Korporacja Kościoła Zjednoczonych Chrześcijan to nasz sojusznik. Jesteśmy silni! I bezpieczni.

Grady wciąż nie wyglądał na przekonanego.

- Ilu ludzi zginęło? - spytał. - Ilu jeszcze zginie? To nie koniec. Nie utrzymamy się. Nie damy rady się obronić.

- On ma rację - mruknął Raszid.

- Tak mi przykro, Grady - westchnęła Echo. - Zawdzięczam Susan życie. Gdyby nie ona, zginęłabym... z ręki Raszida. Och, może nawet z twojej.

- Susan nie żyje - powiedział cicho Grady. - Ale przynajmniej wiedziała, za co umiera. Teraz zginą niewinni, którzy nie będą mieć pojęcia, co się dzieje. Właśnie odebraliśmy regionowi większość specjalistów i wykwalifikowanych robotników. Zadarliśmy z Dżihadem i ściągnęliśmy na siebie uwagę MKB. Ze nie wspomnę o faktycznym zniszczeniu dwóch największych korporacji w megapolis.

- Ale... przecież o coś takiego walczyłeś całe życie! - powiedziała Sunny. - Powinieneś się cieszyć!

- A co z MKB? - Grady spojrzał na nią. - Konsorcjum będzie próbowało przejąć bezpośrednią kontrolę nad regionem. Przynależni z miasta nie przetrwają w próżni. MKB kontroluje cały światowy handel, może chociażby obłożyć nas sankcjami. A zresztą, pozostałe korporacje bardzo szybko zorientują się w sytuacji i staną po stronie Konsorcjum.

Echo pochyliła głowę. Czuła się tym wszystkim przytłoczona; przerażała ją skala problemów. A potem wpadła na pomysł.

- Nie. - Uśmiechnęła się nagle. - Myślę, że korporacje właśnie skorzystają z okazji, by wyrwać się spod kontroli MKB. Mają już dość walki na frontach chińsko-amerykańskiej wojny ekonomicznej. Chcą współpracować z Okręgiem Pacyfiku. No, na pewno większość z nich chce. A my możemy pokazać im, jak się uwolnić.

- Nie mamy żadnych atutów w ręku - westchnął Grady. - Co im zaoferujemy?

Echo uśmiechnęła się tajemniczo.

*

Sunny wzdygnęła się, gdy zamknęły się za nimi hermetyczne drzwi oliwkowozielonej sali. Echo spojrzała na nią. Twarz dziewczyny wyglądała o wiele poważniej, bardziej dojrzałe niż dwa dni temu, kiedy spotkały się po raz pierwszy w Wieży Światłości. Z jej oczu zniknął już strach, zniknął też naiwny entuzjazm. Pozostał blask głębokiej pewności siebie.

- Nie lubię tego miejsca - powiedziała Sunny.

- Ja też nie - odrzekła Echo. - Spoczywa tu zbyt wielu ludzi, których znałam. Sama o mało tu nie trafiłam.

Czasowniczka ruszyła wzdłuż szeregu oszronionych sarkofagów. Sunny podbiegła do niej, rozglądając się dookoła.

- Jesteś pewna, że oni mogą pomóc?

- Tak. - Oddech Echo zmienił się w chmurkę pary. - Jestem pewna. Każdy z nich nosi w sobie mądrość tysiąca ludzi. Jeżeli pomożesz im tak samo, jak pomogłaś mnie, to będzie jeszcze lepiej: poznają wiedzę i wspomnienia milionów przodków. Z ich pomocą będziemy mogli stawić czoło MKB.

- A imię ich legion - szepnęła Sunny.

- Ale nie są demonami. - Echo podeszła do sarkofagu, w którym kiedyś o mało nie wylądowała. - Pomożesz mi z tym wiekiem, Sunny?

Wspólnie złapały za uchwyty oszronionej pokrywy.

- Syzyfie! - wysłała. - Jesteśmy gotowe.

- Moja mała Ellen. Taka poważna. Czemu nie pocieszysz się trochę? Wygraliśmy! To może poczekać.

- Czy matka zaniechałaby walki po niepełnym zwycięstwie?

Cisza. Prawie poczuła smutek Syzyfa.

- Możesz otworzyć ten kontener? - spytała. Odpowiedział jej głośny syk dekompresji i metaliczny dźwięk puszcających zacisków. Kobiety podniosły i rzuciły pokrywę.

Bernie. Zanim spotkała Sunny, to on był dla niej czymś w rodzaju przyjaciela. Echo rzuciła okiem na swoją towarzyszkę: twarz Sunny skrzywiło przerażenie na widok półleżącej w sarkofagu pary ludzi. Ale po chwili dziewczyna

patrzyła już ze współczuciem.

- Uleczysz go, Sunny? - spytała Echo, wskazując Berniego. - To mój znajomy.

Dziewczyna uśmiechnęła się lekko i sięgnęła do kontenera. Jej głęboki, miarowy oddech zabrzmiał jak wiosenny wiatr w cichej sali. Szara skóra Berniego wkrótce nabrała kolorów. Pod powiekami ożyły oczy; kobiety wspólnie pomogły mu usiąść. Odkaszlnąwszy, odetchnął i zamrugął.

- 5127?-zapytał.

- Tak, Bernie. To ja.

Oślupiały mężczyzna spojrział na Sunny. Na jego zdziwionej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

- Dziękuję - wyszeptał.

Echo poczuła gorącą falę radości, ulgi, szczęścia, przepływającą przez każdy mięsień, każdą komórkę ciała. Z jej oczu popłynęły jasne łzy.

- Syzyfie? - wysłała.

- Jestem tu.

- Opowiesz mi kiedyś bajkę?

- Kiedy tylko zechcesz, córeczko.

Przełożył Marcin Czyszczak